

Lea Kampe

Anioł z Warszawy

Historia miłości i bohaterstwa
IRENY SENDLEROWEJ



Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Lea Kampe

Anioł z Warszawy

Historia miłości i bohaterstwa
IRENY SENDLEROWEJ

Tłumaczenie
Elżbieta Ptasińska-Sadowska

znak *litera
nova*

Kraków 2022

Dla Cläre Müller
Zawsze u mego boku



Rozdział 1

Wejść! – krzyknął minister Rzeszy doktor Hans Frank, podnosząc wzrok znad biurka.

Do jego berlińskiego gabinetu wszedł młody funkcjonariusz SA o pełnej twarzy i masywnej sylwetce. Ludwig Fischer na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie dobrodusznego wiejskiego chłopaka, ale w jego małych oczkach czaiło się coś perfidnego.

– Proszę, śmiało – powiedział jowialnie Frank. – Koniaku? Brandy? Czy może sznapsa?

Zaskoczony Fischer nieco uniósł brwi.

Frank wybuchnął śmiechem.

– Nasze dzisiejsze spotkanie jest radosnej natury, usiądźmy zatem, zapraszam. – Najpierw jednak podszedł do niskiego stolika zastawionego butelkami i napełnił dwa kieliszki, po czym wskazawszy gościowi fotel, sam opadł na sofę i zerknął na tarczę stojącego zegara. – A więc stało się. Jak się właśnie dowiedziałem, punktualnie o godzinie szesnastej SS-Sturmbannführerowi Naujocksowi przekazano hasło. – Uśmiechnął się pod nosem. – „Babcia nie żyje”. Ciekawe, kto to wymyślił. Tak czy owak, za parę godzin Naujocks i jego ludzie przebrani za polskich rebeliantów

zaatakują naszą radiostację w Gliwicach. To niewyobrażalna prowokacja, której my, Niemcy, nie możemy, rzecz jasna, puścić płazem, i dlatego będziemy zmuszeni wypowiedzieć Polakom wojnę. Przypuszczam, że atak nastąpi we wczesnych godzinach porannych.

Teraz roześmiał się Ludwig Fischer.

– Oczywiście Polacy się nas spodziewają. W pośpiechu ściągnęli na granicę kilka oddziałów. Wszystko w tajemnicy, żebyśmy nie czuli się sprowokowani. Oni naprawdę wierzą, że niczego nie widzimy.

– No tak, podobno mają nawet oddziały konne. Koniki, Fischer, koniki. Ciekaw jestem min tych ułanów, kiedy staną naprzeciw naszych czołgów. Mam nadzieję, że nasi chłopcy nie zrobią jatki wśród biednych zwierząt. – Doktor Frank uśmiechnął się znowu i położył rękę na oparciu sofy.

– Nie zdążą – odparł Ludwig Fischer. – Przecież wiadomo, że cała ta szopka potrwa co najwyżej parę tygodni. Najpóźniej pod koniec września będziemy mieć całą Polskę pod butem, włącznie z Warszawą.

– I to jest prawidłowa postawa, Fischer! – wykrzyknął Frank, pochylając się nieco do przodu. Jego wysokie czoło z głębokimi zakolami błyszczało w popołudniowym słońcu. Gładka skóra kanapy rzucała rudawe refleksy, podobnie jak nietknięta jeszcze brandy w dłoni ministra. – Właśnie dlatego pana wezwałem. – Przerwał na chwilę. –

Otóż mianowano mnie generalnym gubernatorem całego Generalnego Gubernatorstwa, które zostanie utworzone na terenie Polski. W Warszawie będę potrzebował wyjątkowo zaufanego człowieka. –

Spojrzał na Fischera czujnym wzrokiem. – Pomyślałem o panu. Co pan na to? Gubernator dystryktu warszawskiego? No, jak to brzmi?

– To byłby dla mnie zaszczyt, doktorze Frank.

Minister skinął głową w zamyśleniu.

– Nie każdy na taki zasługuje. Na pańską oficjalną siedzibę przeznaczymy pałac Brühla przy placu Piłsudskiego, który przemianujemy na plac Adolfa Hitlera. A zamieszka pan w willi w eleganckim podwarszawskim Konstancinie, który musimy koniecznie oszczędzić podczas nalotów. – Uniósł kieliszek. Fischer zrobił to samo. – Za Warszawę, nowe miasto niemieckie, i za jego gubernatora! Na zdrowie!



Rozdział 2

W korytarzu otworzyły się drzwi na klatkę schodową i po chwili cicho się zatrzasnęły. Irena usłyszała szybkie, lekkie kroki. Z uśmiechem sprawdziła godzinę. Wpół do piątej. Według Eleny można by spokojnie regulować zegarki. Wszyscy w Wydziale Opieki Społecznej i Zdrowia Publicznego warszawskiego magistratu wiedzieli, że ich koleżanka regularnie wychodzi z pracy pół godziny przed czasem. Tylko ona sama była niezłomnie przekonana, że nikt nie zauważa jej codziennych ucieczek z biura.

Irena odchyliła się do tyłu na krześle i przymknęła powieki. Z ulicy dobiegał szum aut, słychać było kroki i jasne głosy dwóch kobiet. Po chwili po bruku zaturkotała dorożka zaprzęzona w konie. Woźnica gwizdnął przeciągle. Nagle na pierwszy plan przebił się inny dźwięk – brzęcząca opasła mucha raz po raz uderzała w szybę. Irena otworzyła oczy. Przez chwilę przyglądała się owadowi, który próbował pokonać niewidzialną barierę, następnie wstała i uchyliła okno.

Usiadłszy znowu przy biurku, dokończyła ostatni raport dzienny i przejrzała to, co napisała. Wszystko wyglądało bardzo porządnie. Nic nie wzbudzało podejrzeń. Odkąd dokonywała korekty danych już nie sama, ale razem ze swoją koleżanką Irką Schultz, czuła się pewniej.

I w żadnym razie nie miała wyrzutów sumienia. Uważała, że postępuje właściwie, ponieważ kilka lat temu polski rząd znacznie ograniczył pomoc socjalną dla obywateli żydowskich, uzależniając ją od tysiąca absurdalnych warunków, co boleśnie dotknęło biedniejsze rodziny. Od tamtej pory Irenie regularnie zdarzały się przy prowadzeniu spraw drobne błędy. Czasami jakieś dziecko było na papierze o kilka miesięcy młodsze niż w rzeczywistości, dzięki czemu rodzina, już i tak żyjąca na granicy ubóstwa, mogła nadal otrzymywać pomoc. Kiedy indziej – jak na przykład w dzisiejszym przypadku – zmniejszała się powierzchnia mieszkalna. Właściwie to nawet nie było kłamstwo, pomyślała Irena. Popołudniowa wizyta u Geremków ogromnie ją przygnębiła. Sześcioosobowa rodzina mieszkała rzekomo w dwóch pokojach, a tak naprawdę szczywany właściciel wstawił tylko prowizoryczną drewnianą ściankę działową. Irena uznała zatem, że powinna skorygować to przekłamanie w formularzu, wskutek czego Geremkowie odzyskali prawo do comiesięcznego zasiłku.

Wykręciła kartkę z maszyny do pisania i dołożyła ją do innych. Na pobliskiej wieży kościelnej zegar właśnie wybił piątą. Irena była znana z tego, że zostawała w pracy, dopóki nie zrobiła wszystkiego. Dziś jednak zamierzała wyjść punktualnie. Zaprzyjaźniona koleżanka organizowała urodzinowy piknik w parku.

Po wyjściu na dwór dziewczynę uderzyła fala gorącego powietrza. Umieściwszy torebkę i paczkę z ciastem w rowerowym koszu, Irena wskoczyła na siodełko i ruszyła przed siebie. Ogród Saski, wspaniały park z XVIII wieku, był oddalony od jej biura przy ulicy Złotej o przysłowiowy rzut kamieniem. Naciskała mocno na pedały, pęd wiatru rozwiewał jej jasne włosy sięgające ramion. Przejeżdżając przez ruchliwą i brukowaną ulicę Emilii Plater, musiała jedną ręką przytrzymać paczkę z ciastem. Jej mama uparła się, że koniecznie

upiecze babkę drożdżową, a Irena nie chciała dowieźć na piknik samych okruchów.

Zamaszyście ominęła dorożkę, która raptem zatrzymała się przed nią, i wkrótce potem skręciła w szeroko otwartą żelazną bramę parku. Pomiedzy koronami wysokich lip i buków padało ciepłe światło. Dzieci odbywały popołudniowe spacerzy ze swoimi mamami lub guwernantkami, a na trawnikach siedziały grupki przyjaciół i gdzieś tam pary zakochanych. Im głębiej Irena wjeżdżała w morze zieleni, tym odleglejszy stawał się zgiełk miasta, zagłuszany świergotem ptaków i bzyczeniem pszczół oraz szelestem liści, gdy powiał wiatr. Ujrzawszy na trawniku kilka rąk machających w jej stronę, automatycznie odpowiedziała takim samym pozdrowieniem.

– No, nareszcie! – Solenizantka podbiegła do niej, zanim Irena zdążyła oprzeć rower o pień drzewa.

Uściskały się mocno.

– Nie wierzę, że w końcu się widzimy – powiedziała po chwili Irena, mierząc przyjaciółkę wzrokiem od góry do dołu. Odkąd Ewa Rechtman została przed kilkoma miesiącami zwolniona z magistratu z powodu swojego żydowskiego pochodzenia, spotykały się zbyt rzadko. Irenie bardzo brakowało jej niewzruszonego optymizmu.

– Chyba nie do mnie te pretensje, panno Zapracowana – odcięła się szybko Ewa. Odsunawszy się, poprawiła jasne włosy i wyjęła z kosza paczkę z ciastem.

– Mniam, babka!

Irena roześmiała się i przywitała się z resztą towarzystwa. Większość, to znaczy Irka Schultz, Jaga Piotrowska i Janka Grabowska, też była zatrudniona w wydziale opieki społecznej. Ala Gołąb-Grynberg, Żydówka tak jak Ewa, pracowała w szpitalu żydowskim.

Na obrusie w kolorową kratkę leżały talerzyki i półmisek z kanapkami. Janka przyniosła lemoniadę cytrynową własnej roboty. Ewa postawiła babkę na samym środku.

– Mam nadzieję, że to nie ty ją piekłaś, tylko twoja mama – zauważyła kąśliwie, wtykając w ciasto czerwone świece.

– Nie musisz tego tak głośno mówić – poskarżyła się Irena. Ale nie była zła na przyjaciółkę. Gotowanie i pieczenie rzeczywiście nie należały do jej mocnych stron.

– Na szczęście masz inne talenty! – Siedząca obok Jaga ucałowała ją serdecznie w policzek.

Gdy Ewa zapaliła świece, wszystkie koleżanki radośnie odśpiewały jej *Sto lat*. Spacerowicze przechadzający się zwirowanymi alejkami z uśmiechem spoglądali w ich stronę. Ledwie jednak solenizantka zdmuchnęła świece i rozłożyła kawałki ciasta na talerzyki, zaległa cisza.

– Niemal czuję się winna, że tak tu sobie siedzimy i świętujemy moje urodziny, jakby nic się nie działo – powiedziała w końcu Ewa.

– A kiedy mamy się spotykać, jeśli nie teraz? – rzuciła oschle Janka. – Jeżeli Niemcy rzeczywiście napadną na Polskę, będzie można zapomnieć o świętowaniu.

– Mietek dostał przydział do wojska. Odprowadziłam go wczoraj na dworzec – oznajmiła Irena.

Znowu zapadło milczenie. Od tygodni napięcie między Niemcami a Polską było wręcz namacalne. Już w lipcu pojawiły się pogłoski, że Polska potajemnie mobilizuje wojsko, ale dopiero teraz dotknęło to męża Ireny. Mietek był rodzinnym człowiekiem, kochającym pokój. Przed kilkoma laty objął na Uniwersytecie Poznańskim swoją pierwszą posadę i oczywiście liczył na to, że Irena do niego dołączy. Dla niej jednak

ważniejsze były studia w Warszawie i praca społeczna. Chyba dopiero wtedy zdała sobie sprawę, jak bardzo oboje się różnią. On był istotą całkowicie apolityczną, a jego marzenia nie wykraczały poza profesurę z filologii starożytnej i założenie rodziny. Ona natomiast chciała służyć innym, wraz z przyjaciółmi z uniwersytetu i z partii socjalistycznej wykuwać nową przyszłość i robić wszystko, by uczynić świat lepszym. A gdzie mogłaby zacząć realizować te cele, jeśli nie wśród biednych i pokrzywdzonych mieszkańców Warszawy? Nie było bardziej odpowiedniego miejsca.

Chociaż ona i Mietek od lat żyli osobno, a ich małżeństwo istniało już wyłącznie na papierze, nadal był dla niej ważny. To jej miłość od piaskownicy, kompan, z którym w każdą zimę jeździła na łyżwach po zamarznętej Wiśle. I teraz on tymi swoimi drobnymi i delikatnymi dłońmi miał walczyć z Niemcami? Trudno to sobie wyobrazić. Już prędzej nadawałby się do tego Adam, dawny kolega z uniwersytetu i jej najlepszy przyjaciel. Irenę ogarnęła niespodziewana fala ciepła. Dziewczyna nagle poczuła potrzebę, by o nim porozmawiać, opowiedzieć przyjaciółkom, że także jego zmobilizowano. No bo dlaczego nie? Wszyscy znali Adama, żarliwego zapaleńca pełnego rewolucyjnych pomysłów na nową, sprawiedliwszą i przede wszystkim wolną Polskę. Adama, który pochłaniał książki, od romantycznych wierszy po kodeksy prawnicze, z którym często do późnej nocy snuła marzenia i dyskutowała w kawiarni albo pod drzewami w parku.

Irena jednak nic nie powiedziała, tylko wzięła jeszcze drugi kawałek ciasta. Irka zrobiła to samo. Gdy obie niemal jednocześnie wyciągnęły ręce do talerza, ich spojrzenia się spotkały.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła Irka. – Tym razem Anglia i Francja nie zostawią Polski na łaskę losu, zobaczycie. Mamy ich mocne zobowiązanie. A Niemcy? Niech no tylko tu przyjdą! Nie zabawią u nas długo. I zanim się obejrzymy, Mietek i reszta znowu będą z nami.

– Oby tak było – wtrąciła Ala, choć nie brzmiała przekonująco. – Bo jeśli nie, to czarno to widzę. Ciężkie czasy czekają nie tylko Polskę, lecz przede wszystkim polskich Żydów, w tym Ewę i mnie. To, co Niemcy robią u siebie z żydowskimi obywatelami, jest rzeczywiście straszne, ale kiedy znajdą się u nas, daleko od domu, nie będą mieli już żadnych hamulców.

Ewa wzięła Alę za rękę.

– Daj spokój, nie bądź taką pesymistką. Poza tym dzisiaj są moje urodziny... to znaczy czysto teoretycznie, jeśli zapomnieliście. To jak, kto ma ochotę na zmianę tematu?

Irka i Janka ze śmiechem uniosły ręce. Ala ścisnęła dłoń Ewy, lecz jej uśmiech wydawał się wymuszony.

Zrobiło się już ciemno, gdy zaczęły się zbierać. Irena lubiła długie letnie wieczory, ponieważ zawsze przepełniały ją poczuciem wolności. Spotkania w parkach, kawiarniach, lodziarniach. Również dzisiaj na ulicach nie brakowało ludzi. Wszystko było jak zawsze. A może nie? Czy głosy nie stały się bardziej przenikliwe? A śmiech nazbyt hałaśliwy? Czy samochody nie jeździły szybciej? Irena nie potrafiła tego ocenić.

Dotarłszy do domu, zostawiła rower na podwórku i cicho otworzyła drzwi mieszkania, które dzieliła ze swoją mamą. W środku było ciemno. Zaczęła nasłuchiwać oddechu śpiącej matki, która z powodu problemów z sercem nierzadko oddychała bardzo ciężko. Tym razem wszystko wydawało się w porządku. Irena poczuła ulgę. Nie zapalając światła, przeszła do kuchni i uchyliła okno. Czy to zasługa mocnego krupniku własnej roboty przyniesionego na piknik przez Irkę, czy też wspomnień z wczorajszego dnia, że w ogóle nie czuła zmęczenia?

W większości okien na ulicy Ludwiki jeszcze paliło się światło. W mieszkaniu naprzeciwko widać było Nowaków siedzących przy radioodbiorniku w dużym pokoju. Jej myśli powędrowały ku Mietkowi.

W otrzymanym przez niego wezwaniu do wojska mowa była o „tajnej mobilizacji”, ale po przybyciu wczoraj na dworzec oboje doszli do wniosku, że cała tajność operacji sprowadzała się chyba jedynie do braku informacji w gazetach i radiu. Z trudem przepchnęli się najpierw do budynku dworcowego, a potem na właściwy peron. Można było odnieść wrażenie, że stawili się wszyscy młodzi mężczyźni mieszkający w Warszawie. Irena po raz pierwszy naprawdę zaczęła się bać. Czy rząd coś przed nimi ukrywa? Wiedziała, że Polska początkowo planowała pełną mobilizację, lecz Anglia i Francja sprzeciwiły się temu. Nie należy niepotrzebnie prowokować Hitlera. Na peronie Irena rozglądała się za znajomymi twarzami, a właściwie próbowała wypatrzeć jedną znajomą twarz. Poprzedniego dnia zadzwonił do niej Adam i poinformował, że jego również wezwano na granicę polsko-niemiecką. Czyli musiał tu gdzieś być, ale w tym nieprzebranym tłumie nie sposób było go znaleźć.

Jej pożegnanie z Mietkiem trwało krótko. Ze wszystkich stron popychali i potracali ich żołnierze, a on, zwykle taki elokwentny, nie wiedział, co powiedzieć. W końcu Irena go wyręczyła. „Uważaj na siebie” – szepnęła i cmoknęła go w policzek. Na co tylko skinął głową, natychmiast się odwrócił i wpełznął się do przepełnionego wagonu. Jakże podekscytowani i pełni wigoru byli ci młodzi mężczyźni, którzy wychylali się ze wszystkich okien pociągu i na cały głos krzyczeli coś do innych. Jakby jechali na wakacje. Bo może ostatecznie sytuacja wcale nie jest beznadziejna? Z sojusznikami takimi jak Anglia i Francja u boku ewentualna wojna na pewno nie potrwa długo.

A jeżeli to tylko iluzja i Adam, radykalny jasnowidz, miał rację?

– Oni nie chcą, żebyśmy to wiedzieli – powiedział. – Ale w naszym europejskim domu w błyskawicznym tempie właśnie na nowo rozdzielane są pokoje, jedne ściany są burzone, a inne wznoszone.

Nie miała pojęcia, jak to skomentować.

Zegar w dużym pokoju wybił jedenastą. Irena zamknęła okno, położyła się na swoim pościeliu i zasnęła.

Przestrzeń wypełniła się wysokim i boleśnie przenikliwym dźwiękiem. Wyciem, które narastało i opadało. Irena przewróciła się na drugi bok i spała dalej, mimo że hałas nie ustawał.

– Irena! – Czyjaś dłoń na jej ramieniu. – Irena, obudź się wreszcie!

Otworzyła oczy. Wycie stało się jeszcze głośniejsze, groźniejsze.

– Co się dzieje, mamó?

– Alarm przeciwlotniczy. Pospiesz się, musimy opuścić dom.

Podczas gdy ona szukała kapci, matka podała jej szlafrok. W kuchni Irena spojrzała za okno. Naprzeciwko pan Nowak siedział przy radioodbiorniku, nie zwracając uwagi na żonę, która ciągnęła go za ramię. Matka Ireny była już na klatce schodowej. Ściskając poręcz jedną ręką, niepewnie stawiała stopy na schodkach. Irena chwyciła ją mocno pod ramię i najszybciej, jak to możliwe, sprowadziła na dół. Drzwi na podwórze były otwarte, a na nim stało pełno ludzi. Dlaczego nie zeszli do piwnicy?

Dopiero teraz Irena zauważyła, że jedynym słyszalnym dźwiękiem jest odgłos syren przeciwlotniczych. Poza tym panowała cisza. Wyprowadzając matkę na podwórze, jednocześnie nasłuchiwała szumu silników, wybuchów. Nic. Zgromadzeni na dziedzińcu lokatorzy w milczeniu patrzyli na nowo przybywających. Wydawali się zdezorientowani, jakby nie dowierzali własnym uszom. Mieli zmierzwiene od snu włosy, ich zmęczone oczy patrzyły pytająco. Irena nie potrafiła później powiedzieć, jak długo tak stali. Mleczne światło świtu zaczęło jarzyć się złościście. W końcu syreny się wyłączyły. Przez kilka sekund zalegała śmiertelna cisza, a potem wśród zgromadzonych przeszedł szmer i raptem wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

– Alarm odwołany, proszę wracać do domów! Alarm... – Wezwanie z megafonu za bramą budynku pojawiło się jakby znikąd i przycichało w miarę oddalania się samochodu.

Niczym stado owiec ludzie ruszyli z miejsca. Irena pomogła matce wejść na drugie piętro. Potem podbiegła do radia. Pewnie jak każdy, pomyślała, kręcąc gałką. Nie musiała długo szukać. Wszystkie stacje podawały tę samą wiadomość. Niemcy już kilka godzin temu rozpoczęli ofensywę od północy, południa i zachodu. Samoloty Luftwaffe przeleciały niezauważone przez granicę i zbombardowały rejony przygraniczne. Jednocześnie wkroczyły dywizje piechoty wspierane przez czołgi. Lektor wiadomości poinformował, że polskie oddziały muszą się przegrupować, cokolwiek to znaczyło.

„Warszawa jest bezpieczna – zapewniał głos w radiu. – Proszę zachować spokój! Wszyscy członkowie rządu, wszyscy urzędnicy miejscy proszeni są o stawienie się w swoich miejscach pracy”.

Irena pospieszyła do pokoju, aby się ubrać, podczas gdy z radioodbiornika płynęła wciąż ta sama, powtarzana w kółko wiadomość.

– Dokąd ty się wybierasz?! – krzyknęła mama, gdy po chwili Irena wpadła do kuchni.

– Do pracy. Przecież słyszałaś!

– Dopiero siódma. Usiądź i napij się kawy. Przecież biuro jest jeszcze zamknięte.

Chcąc nie chcąc, Irena opadła bez słowa na krzesło. Jej myśli powędrowały ku Mietkowi i Adamowi. Czy u nich wszystko w porządku? Czy ich pułki biorą udział w walkach? Myślom o Adamie nieuchronnie towarzyszyło poczucie goryczy. Studiował prawo, ukończył je z wyróżnieniem i chciał zostać adwokatem. Ale

antysemickie nastroje ostatnich lat skutecznie ograniczyły perspektywy jego kariery.

– Kiedy staram się o zatrudnienie jako prawnik, wtedy jestem Żydem i nikt mnie nie chce. Ale gdy chodzi o wysłanie mnie na front, nagle znowu jestem w wystarczającym stopniu Polakiem – zauważył ironicznie podczas ich ostatniej rozmowy telefonicznej.

Otrząsnęła się z zadumy, gdy matka postawiła przed nią kubek z kawą oraz chleb, masło i marmoladę.

– Jedz – rzuciła tonem, który nie dopuszczał sprzeciwu.

Irena zaczęła mechanicznie smarować kromkę masłem. Była wdzięczna mamie, że ta nie próbuje wciągnąć jej w rozmowę. W pośpiechu zjadła chleb i wypila kawę. Potem zerwała się z krzesła, pocałowała matkę w czoło i opuściwszy mieszkanie, zbiegła na dół, biorąc po dwa stopnie naraz.

Jeśli Irena spodziewała się zastać opustoszałe ulice, to się pomyliła. Wydawało się, że cała Warszawa jest na nogach i wszystkim się dokądś spieszy. Mężczyźni pędzili na rowerach, kobiety ciągnęły za sobą dzieci. Tramwaje były przepełnione. Mimo wczesnej godziny otwarto już sklepy i warszawianki wypełniały torby na zakupy mięsem, warzywami i chlebem. Tym, co nadawało tej gorączkowej bieganinie pewien złowieszczy posmak, była cisza. Nikt nic nie mówił. Oprócz pojedynczych marudzących dzieci dało się słyszeć jedynie szum tramwajów, aut i dorożek. Irena mocniej nacisnęła na pedały.

Już na klatce schodowej Wydziału Opieki Społecznej i Zdrowia Publicznego przywitały ją wzburzone głosy. Korytarz wypełniali ludzie czekający na konkretnych urzędników lub tacy, którzy przedstawiali swoje sprawy już obecnym pracownikom urzędu. Ledwie Irena znalazła się w korytarzu, natychmiast skupił się wokół niej wianuszek petentów.

– Chwileczkę! Będziemy załatwiać wszystkich po kolei! – wołała, przeciskając się przez tłum.

Nagle ktoś chwycił ją za ramię i wepchnął do jej pokoju. Irka Schultz zamknęła za nimi drzwi i przekręciła klucz w zamku.

– Uff – westchnęła tylko i ciężko opadła na krzesło.

Irena omal nie wybuchnęła śmiechem. Irka jako kierowniczką sekcji zawsze przywiązywała ogromną wagę do profesjonalnego i schludnego wyglądu. A teraz bluzka wychodziła jej ze spodni, a węzeł cienkiego krawata mocno się poluzował. Z potarganymi blond włosami wyglądała tak, jakby przyszła do pracy prosto z klubu jazzowego, w którym spędziła minioną noc. Irena darowała sobie jednak tę uwagę i wskazując głową korytarz, spytała tylko:

– Co się tutaj dzieje?

Irka wywróciła oczami.

– Jak to co? Wszyscy naraz chcą dostać swój comiesięczny zasiłek. Natychmiast. Gotówkę, talony żywnościowe, bony do jadalni. Boją się, że niedługo nic nie będzie. Wielu chce wyjechać z miasta. Ze strachu przed nalotami. A sporo naszych kolegów nie przyszło dzisiaj do biura.

Irena usiadła za biurkiem.

– A może użyłabyś swojego autorytetu i zaprowadziła porządek na korytarzu? Spróbuj po prostu przysyłać nam tych ludzi pojedynczo.

Irka z rezygnacją skinęła głową. Jeszcze przez kilka sekund cieszyła się ciszą panującą u koleżanki, po czym otworzyła drzwi i znowu wyszła w tłum.

Mniej więcej po godzinie, kiedy Irena zastanawiała się, czy zdoła się przebić do biurowej kuchni po kawę, nagle znowu zaczęły wyc syreny. Natychmiast rozległ się tupot niezliczonych stóp zmierzających

w kierunku wyjścia. Ona również wyszła ze swojego pokoju. W tym samym momencie otworzyły się drzwi naprzeciwko, w których pojawił się Jan Dobraczyński, szef wydziału. Ale zamiast zwyczajowego skinięcia głową na dzień dobry, wskazał klatkę schodową.

– Kto wie, może znów skończy się na ostrzeżeniu, jak dziś rano – rzucił, gdy pospiesznie zbiegali na dół. Z zewnątrz dobiegł nieokreślony szum. Irena nagle się zatrzymała, ale napierający z tyłu ludzie pchali ją dalej. Szum przerodził się w ryk, powietrze zaczęło wibrować. Ogarnęła ją panika. Gdy dziewczyna dotarła do piwnicy, ścianami budynku wstrząsnęła pierwsza detonacja. Przez ciało Ireny przetoczyła się fala ciśnienia, wypychając powietrze z płuc i zatykając uszy. Z sufitu sypał się jak mąka betonowy pył.

Przez następne pół godziny raz po raz powtarzała się ta sama sekwencja: buczenie przechodzące w narastający huk, później wybuch, po czym hałas znowu cichł. Za każdym razem, gdy gdzieś w pobliżu spadała bomba, na kilka sekund gasło światło. Irena miała ochotę krzyczeć, ale wzięła się w garść, podobnie jak inni.

W końcu alarm odwołano i wszyscy wyszli na ulicę. Irena zakaszła. Wdychając szarobrazowe powietrze, czuła, jak dym i pył osiadają na jej płucach. Domy przy Złotej stały nietknięte, lecz kawałek dalej wzbijały się w niebo czarne słupy dymu, a ze wszystkich stron dobiegało wycie syren.

Poczuła na ramieniu czyjąś dłoń. Obróciła się.

– Jaga! – Odruchowo przytuliła koleżankę.

– Idziemy? – Jan Dobraczyński zatrzymał się obok nich. Ten wysoki, postawny mężczyzna nagle jakby się skurczył, a jego ciemne włosy, zwykle starannie zaczesane do tyłu, były białe od pyłu i całkowicie potargane. Jaga, jego sekretarka, uwolniła się z objęcia Ireny i jako pierwsza ruszyła za szefem.

Gdy wszyscy zebrali się w gabinecie dyrektora, ten popatrzył w milczeniu na swoich współpracowników. Należał do ludzi, którym rzadko brakuje słów, lecz w tym momencie zaniemówił. Odruchowo spróbował odgarnąć luźne kosmyki włosów, jednak cofnął rękę, kiedy poczuł na nich szorstki pył. Irenie prawie zrobiło się go żal. Był przyzwoitym szefem, rzetelnie wykonującym swoją pracę. To nie ulegało wątpliwości, mimo że prywatnie za nim nie przepadała. Ona bowiem była zagorzałą socjaldemokratką, Dobraczyński zaś należał do konserwatywnej partii narodowej – nie czynił też tajemnicy z tego, że nieszczególnie ceni Żydów. Ale na plus należało mu zapisać to, że pozostawiał swoim pracownikom swobodę działania. A to zapewniało Irenie wolność niezbędną do robienia rzeczy po swojemu.

W końcu zabrał głos.

– Pani Sandlerowa odpowiada u nas między innymi za darmowe jadłodajnie w mieście. – Przerwał na chwilę i zwrócił się bezpośrednio do niej. – Chyba nie muszę pani mówić, że w najbliższych dniach i tygodniach możemy się spodziewać prawdziwego szturmu na nie. Już po tym pierwszym nalocie na pewno wielu ludzi straciło dach nad głową. Oprócz tego należy się liczyć z wieloma uciekinierami z okolicznych regionów. Musimy zakwaterować gdzieś tych ludzi i zająć się nimi. –

Znowu przerwał, po czym kontynuował: – Sugeruję, żebyście teraz wrócili do domu, do swoich rodzin, upewnili się, czy wszystko jest w porządku. A kiedy spotkamy się ponownie, chciałbym usłyszeć od was propozycje, jak sprostać temu nawałowi pracy. – Rozejrzał się. Same naznaczone powagą twarze. – I bądźcie ostrożni. Jesteście tu potrzebni. Każda i każdy z was, i to bardziej niż kiedykolwiek!



Rozdział 3

Te słowa wciąż brzmiały Irenie w uszach, gdy niedługo potem jechała do domu przez całkiem zmienione miasto. Przez Warszawę, z jej kolorowymi domami i niezliczonymi kawiarniami – żyła w niej od wielu lat, znała każdą ulicę, każdy plac. I to właśnie miasto leżało teraz przed nią niczym oddychające z wysiłkiem, zranione zwierzę – zdeorientowane, bezradne. Karetka pogotowia minęła ją z tak zawrotną szybkością, że aż zachwiało się rower.

Irena skręciła w boczną uliczkę i gwałtownie zahamowała. W jezdni tuż przed nią ział głęboki krater. Czteropiętrowa kamienica obok została rozdarta wzdłuż. Pojedyncze meble zwisały z na wpół zawalonych podłóg. Mężczyźni łopatami i gołymi rękami odrzucali gruz, szukając pod nim przysypanych mieszkańców. W jednym z pomieszczeń, które jeszcze przed chwilą było kuchnią, dyndały na haczyku zrobione szydełkiem łapki do garnków. Pod sufitem kołysał się abażur lampy z tkaniny haftowanej w kwiaty.

Irena odwróciła wzrok i cofnęła się na główną ulicę. Przed placem Daszyńskiego stały dwa tramwaje, które nie dojechały do przystanku, ponieważ nie działała część sieci trakcyjnej. Wyglądały jak dwie wielkie, martwe gąsienice.

Przyspieszyła. Od nalotu myślała wyłącznie o tym, ile ma teraz do zrobienia. Jakby zniszczenia w mieście były jedynie zawodowym wyzwaniem, kompletnie obojętnym dla niej osobiście, dlatego też w pierwszej chwili poczuła się zdumiona, gdy Dobraczyński ją i innych odesłał do domu. Do domu, kiedy jest tyle roboty?! Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że być może jej domu wcale już nie ma. A co z mamą? Pot spływał Irenie do oczu i zlepił kurz w kleistą maź. Wszystko było w porządku. Budynek stał nietknięty, czyli mama żyła. W tym samym momencie dziewczyna przeraziła się własnym egoizmem, mimo to uczucie ulgi nie ustępowało i przerodziło się niemal w szczęście, kiedy kilka minut później wzięła mamę w ramiona.

W następnych dniach naloty stawały się coraz częstsze. Dziesiątki tysięcy ludzi zalały ulice Warszawy. Uciekali przed posuwającą się naprzód armią niemiecką i szukali ochrony w wielkim mieście. Znalazszy się w nim, większość nie wiedziała, co dalej. Ci ludzie zostawili wszystko i szli przez wiele dni. Wygłodzeni, brudni i wycieńczeni prosili całkiem obcych o kawałek chleba i miejsce do spania. Któregoś ranka, niemal o świcie, Irena zastała swoją matkę w bramie domu, gdzie z dużej miski rozlewała gorącą herbatę.

– Samoloty strzelają do wszystkich bez wyjątku – opowiadała jakaś kobieta wśród szlochu. Niemal nie była w stanie utrzymać kubka w drżących dłoniach. – Lecą nisko i siekają ogniem kolumny uchodźców, a nawet pojedynczych chłopów na polu. Niemal wszystkie wsie stoją w ogniu. A niemieccy żołnierze wpadają do domów i zabijają Żydów, nauczycieli, lekarzy, prawników. – Znowu wstrząsnął nią szloch.

Irena powtórzyła to później Jadze, Jance i Irce w biurze.

– To, że uwzięli się na Żydów, to wiadomo. Ale dlaczego nauczyciele i lekarze? – Jaga wydawała się zaskoczona.

Irena знаła odpowiedź.

– To przecież jasne. Chcą wytępić inteligencję. Tych wszystkich, którzy są wykształceni i na tyle samoświadomi, że nie baliby się podnieść głowy, a także nastawić przeciwko Niemcom współobywateli.

Koleżanki w milczeniu pokiwały głowami, po czym wróciły do swoich obowiązków – organizowania nowych jadłodajni, przygotowywania dodatkowych noclegów.

Pewnego dnia zadzwonił telefon. Irena właśnie wybierała się na inspekcję domową. Niezdecydowana zatrzymała się w progu i spojrzała na zegarek. Westchnąwszy, wróciła do biurka i podniosła słuchawkę.

– Irena? – Usłyszała głos mamy.

– Co się stało? Źle się czujesz czy...?

– Musisz przyjechać – przerwała jej matka. – Na naszej ulicy jest policja. Już weszli do sąsiadów. Wywlekają wszystkie meble z mieszkania albo wyrzucają je przez okno. Mówią coś o budowaniu barykad.

– Zaraz będę. – Irena rzuciła słuchawkę na widełki. Wizyta domowa musiała poczekać. Po dziesięciu minutach szaleńczej jazdy dziewczyna była już na ulicy Ludwiki. Rzeczywiście roiło się na niej od policji. Nawoływania, płacz, pełne oburzenia okrzyki. Na ulicy leżały meble, wiele roztrzaskanych. Irena bez tchu dotarła na drugie piętro. Matka, zalewając się łzami, stała w dużym pokoju, podczas gdy dwaj policjanci zaznaczali kredą meble większych rozmiarów. Irenie zrobiło się gorąco.

– Co panowie tu robią?! – wykrzyknęła.

Jeden z funkcjonariuszy obrzucił ją obojętnym spojrzeniem.

– Rozporządzenie odgórne. Na ulicy Ludwiki zostanie wzniesiona barykada.

– Ale chyba nie z naszych mebli! Poza tym w ogóle po co? Czy Niemcy zamierzają... Mamy oblężenie?

Policjant spojrział na nią ze współczuciem. Irena się zaczerwieniła. To przecież jasne, że Niemcy wkroczą do Warszawy. Od wielu dni w pracy nie mówiło się o niczym innym. Poczuła złość na samą siebie.

– To mamy bronić miasta czy jednak nie? – Mężczyzna uśmiechnął się nieco wyzywająco.

Irena przeniosła spojrzenie na regał z książkami, najcenniejszą rzecz, jaką posiadała. Przemierzywszy pokój, stanęła przed nim.

– Możecie zabrać wszystko, ale to zostaje. – Jej głos brzmiał zdecydowanie.

Mężczyzna poczerwieniał ze złości. Wystarczyły mu dwa kroki, by znaleźć się przy niej. Brutalnie odepchnął ją na bok i jednym ruchem przechylił regał. Najpierw pojedynczo, potem po kilka naraz książki wysypywały się na podłogę.

– Zaczniemy od niego – powiedział, dając znak swojemu koledze. – Może wtedy ta młoda dama zrozumie powagę sytuacji. Ciekaw jestem, czy znajdzie czas na czytanie, kiedy Niemcy się z nami rozprawią.

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Irena w milczeniu przyglądała się razem z matką, jak ich mieszkanie pustoszeje. Na koniec zostało w nim tylko kilka sprzętów. Dopiero gdy zapadła ciemność, hałas na zewnątrz ustał, a na ulicy zaległa paraliżująca cisza. Irena wolała nie wyglądać za okno. Wystarczyło, że rano będzie musiała przejść obok barykady zbudowanej z rzeczy, które towarzyszyły jej przez całe życie. A teraz ten skromny dobytek miał odeprzeć czołgi i ostrzał Niemców. Nawet jej książki wykorzystano do zatknięcia mniejszych prześwitów. Czuła ołowiany ciężar w piersi. Przy kolacji niemal się nie odzywała i wcześniej położyła się spać.

Ale już po paru godzinach coś ją obudziło. W mieszkaniu paliło się światło. Boso weszła do kuchni. Przy rozklekotanym stoliku, który wcześniej stał na strychu, siedziała jej matka pochylona nad albumem ze zdjęciami. Irena rozpoznała go od razu.

– Udało mi się go uratować. – Matka uśmiechnęła się niemal szelmowsko.

Irena usiadła obok i spojrzała na znajome zdjęcie. Ukazywało mamę z jej siostrą. Ciotka siedziała na staromodnym rowerze.

– Kazimiera – powiedziała z uśmiechem matka i przewróciła kartkę.

– I tata – uzupełniła Irena, widząc następną fotografię, a na niej ciemnowłosego, przystojnego młodego mężczyznę z podkreśloną wąsem. Leżał wyciągnięty na ziemi z głową opartą na kolanach swojej żony. Jej dłoń spoczywała na jego ramieniu.

– Ogromnie mi go brak. – W oczach matki nagle zaszklily się łzy.

Irena wiedziała, dlaczego akurat dzisiaj to wspomnienie tak bardzo bolało. Jej ojciec był lekarzem i pomagał wszystkim bez wyjątku, biednym i bogatym, niezależnie od tego, czy byli w stanie zapłacić, czy nie. W Otwocku, gdzie wtedy mieszkali, jako jedyny z tamtejszych medyków, mimo wysokiego ryzyka zarażenia, opiekował się też osobami chorymi na tyfus. I zapłacił za to życiem, mając niespełna czterdzieści lat. Kilka dni później Irena obchodziła siódme urodziny.

– Chociaż byłam jeszcze całkiem mała, to świetnie go pamiętam – rzekła cicho.

– Nic dziwnego. – Mama uśmiechnęła się przez łzy. – Strasznie cię rozpieszczał. Kiedy przychodziły ciotki, za każdym razem go upominały: „Stasiu, co ty wyprawiasz? Przecież psujesz to dziecko!”, ale on tylko się śmiał i odpowiadał zawsze tak samo: „Dajcie mi spokój. Kto

może dziś wiedzieć, jak ułoży się jej w dalszym życiu. Może nasza miłość będzie kiedyś jej najpiękniejszym wspomnieniem”.

Irena przełknęła ślinę. Znała tę opowiastkę na pamięć, ale po raz pierwszy wydała się jej zwiastunem ponurej prawdy.

W najbliższych tygodniach pracowała wręcz do wycieńczenia. Wychodziła z domu wcześniej rano i rzadko wracała przed północą. Pracę w urzędzie raz po raz przerywały alarmy przeciwlotnicze, a podczas swoich wypraw do miasta Irena próbowała utrwalić w pamięci wygląd ulic i różnych budowli. W zależności od tego, jak długo jeszcze potrwa to szaleństwo, wiele z nich nie przetrwa ataków lotniczych. Jej ukochana stara Warszawa z dnia na dzień zniknęła coraz bardziej.

Potem przyszedł 25 września. Chociaż Irena nie potrafiła sobie wyobrazić, by mogło być jeszcze gorzej, ów dzień przerósł wszystko, co widziano wcześniej. Dochodziła siódma rano. Noc była zadziwiająco spokojna i Irenie udało się przespać nawet kilka godzin. Gdy niemal pełna nadziei jechała rowerem do pracy, włączył się pierwszy alarm przeciwlotniczy. W tym samym momencie usłyszała buczenie na niebie, dźwięk szybko stawał się coraz głośniejszy. Z przerażeniem mocniej nacisnęła na pedały. Co robić? Do urzędu nie było już daleko, musi zdążyć. W ciągu kilku sekund ulice zupełnie opustoszały. Porzucone auta stały na środku jezdni. Ogarnięta paniką, jechała dalej. Ale się przeliczyła. Ni stąd, ni zowąd na przeciwległym końcu długiej ulicy pojawił się niemiecki samolot. Leciał tak nisko, jakby zaraz miał się rozbić. Na łeb na szyję zeskoczyła z roweru, puściła się pędem za zaparkowany samochód i przycupnęła za nim. Jeśli ja ciebie nie widzę, to ty mnie też nie, pomyślała z nutką czarnego humoru. Kiedy ryk silnika osiągnął apogeum, uniosła głowę i spojrzała prosto w twarz młodziutkiego pilota o krótkich kasztanowych włosach. Czy on także ją zobaczył?

Przeleciał.

– Mógł mieć co najwyżej dwadzieścia parę lat, był młodszy ode mnie – szepnęła do siebie. Potem zaczęła liczyć. Gdy doszła do dwudziestu jeden, huk detonacji wstrząsnął jej ciałem. – To gdzieś na Pradze – oceniła.

Kiedy niedługo potem, dygocząc, w piwnicy urzędu oparła się o zimny mur, była zlana potem. Z odległości kilku metrów patrzyły na nią z przerażeniem Irka, Janka i Jaga. Ale ona na razie nie była w stanie mówić. Odwróciła głowę.

Godziny zlewały się w nieskończoność. Wszyscy mogli opuścić piwnicę dopiero późnym wieczorem. Na ostatnich stopniach schodów prowadzących na parter widać było nienaturalne światło pobłyskujące w przeszklonych drzwiach frontowych. Powietrze przeciął potężny huk i brzdęk. Gdy Irena i jej koleżanki wyszły na zewnątrz, zatrzymała je fala piekącego gorąca. Na końcu ulicy kłębiła się wysoka ściana ognia, pochłaniając wszystko. Z odgłosem przypominającym potężny jęk właśnie zawalił się dach budynku.

Irena nie potrafiła potem powiedzieć, jak długo stały w tym oślepiającym żarze, porażone ogłuszającym spustoszeniem dokonywanym przez płomienie. Jeszcze w nocy podano przez radio, że tego dnia Warszawę zaatakowało ponad tysiąc bombowców. A w kolejnych dniach wcale nie było lepiej. W znacznym stopniu zniszczona została przede wszystkim licznie zamieszkiwana przez Żydów dzielnica między cmentarzami a Wielką Synagogą, ale również reszta miasta była nie do rozpoznania. Wszędzie straszyły zbombardowane domy, płonące auta i tramwaje.

Niszczycielski atak niemieckiej Luftwaffe trwał wiele dni i nocy. Potem zaległa cisza.

Czwartek, 28 września 1939 roku. Przerywamy program, aby podać pilny komunikat.

Irena właśnie usiadła z mamą do kolacji. Pogłosiła radio.

W związku ze znacznymi stratami wśród ludności cywilnej dowódca obrony miasta Warszawy, generał Juliusz Rómmel, ogłosił wczoraj kapitulację. Warszawa jest w rękach niemieckich. To jest komunikat nowego gubernatora dystryktu warszawskiego, doktora Ludwiga Fischera.

Rozległy się dźwięki marszu. Następnie dobiegł dziarski głos mówiący po niemiecku. Zdanie po zdaniu od razu tłumaczono na polski.

Mieszkańcy Warszawy. Tu mówi wasz nowy gubernator, doktor Ludwig Fischer. Wasze miasto poddało się i znajduje się w rękach niemieckich. Za kilka dni do Warszawy wkroczy niemiecki Wehrmacht. Miasto stanie się częścią nowo powstałego Generalnego Gubernatorstwa kierowanego przez generalnego gubernatora, doktora Hansa Franka. Należy się ściśle stosować do wszystkich wydawanych instrukcji i obwieszczeń.

Znowu muzyka marszowa. A potem polski nadawca podał dalsze informacje. Wiadomości były druzgocące. Wolne państwo polskie już nie istniało. Niemcy i Rosjanie podzielili kraj między siebie, jeszcze zanim padł pierwszy strzał na granicy. Porażały również liczby. Czterdzieści tysięcy ludzi zginęło podczas nalotów, siedemdziesiąt tysięcy – na różnych frontach, a setki tysięcy polskich jeńców wojennych było w drodze na roboty przymusowe w Niemczech. Czy jest wśród nich Mietek? A co z Adamem?

Następnego ranka Irena już z daleka zobaczyła zbiegowisko na rogu ulicy. Co najmniej dwadzieścioro mężczyzn i kobiet cisnęło się przed jakimś ogłoszeniem. Pierwszy komunikat skierowany do podbitej

ludności, pomyślała z goryczą. Z trwogą w sercu precyzyjnie się na miejsce, z którego mogła cokolwiek przeczytać.

Obwieszczenie

Wszystkim Polakom gwarantuje się prawa obywatelskie
w Rzeszy Niemieckiej.

Wszystkim Żydom gwarantuje się ich prawa, włącznie
z prawem do własności i bezpieczeństwa.

Kamień młyński spadł jej z serca. Może Niemcom wystarczy, że wchłonęli część Polski, a zniszczenia ostatnich tygodni były już kulminacją apokalipsy?

Przez kilka następnych godzin Irena pracowała z nową energią. Samo to, że znowu można było poruszać się swobodnie, bez strachu przed nalotami, wydawało się niezwykle błogosławieństwem. Kiedy po południu wpadła do zaprzyjaźnionej żydowskiej rodziny, która zgodziła się udzielić schronienia parze uchodźców z pogranicza, kobieta odciągnęła ją na bok.

– Ty chyba przyjaźnisz się z Adamem Celnikiem, prawda?

Irenie serce podeszło do gardła. Nic nie mówiąc, skinęła głową.

– Czyli dobrze pamiętałam. – Znajoma uśmiechnęła się ciepło. – W takim razie pewnie cię zainteresuje, że dzisiaj rano widziałam go w mieście z jego matką. Wrócił cały i zdrowy. Jego oddział rozwiązał się już kilka tygodni temu. Musiał być niezły bałagan.

– Wspaniale! – wyrwało się Irenie. Gdy poczuła, że się zaczerwieniła, dodała szybko: – Szczerze się cieszę. W takim razie za jakiś czas do niego wpadnę.

Za jakiś czas?, pomyślała, zbiegając kilka minut później po schodach. Wybierze się do niego zaraz, dzisiaj.

I rzeczywiście niedługo później postawiła swój rower przy wejściu do kamienicy przy ulicy Bałuckiego 18ab. Było kilka minut po szóstej, słońce wciąż grzało, a radosne oczekiwanie na spotkanie z Adamem przepełniało ją euforią. Jego matka otworzyła drzwi, nim ona zdążyła dotknąć dzwonka.

– Irena, to ty! Jak miło cię widzieć. Adam jest u siebie. Może tobie uda się go trochę rozchmurzyć.

Jej słowa lekko zaniepokoiły Irenę, o nic jednak nie spytała. Wetknęła głowę do pokoju. Adam siedział na łóżku. Spojrzał na nią, w jego oczach przemknął uśmiech, lecz zniknął równie szybko, jak się pojawił.

– Cześć. – Podniósł się.

Przez chwilę bez słowa stali naprzeciw siebie. Gdy w końcu milczenie zrobiło się nie do zniesienia, Irena odezwała się pierwsza:

– Pani Kowak powiedziała mi, że cię widziała. Tak się cieszę, że wróciłeś.

Pokiwał głową.

– Widzę, że przynajmniej poczta pantoflowa wciąż działa.

– Na szczęście. – Uśmiechnęła się do niego szeroko, ale on milczał. – Adam? O co chodzi? Jesteś smutny.

– A ty nie? – rzucił nieoczekiwanie szorstko. – Pół Warszawy leży w gruzach. Nasza tak zwana obrona na granicy okazała się kpiną. Niemcy dosłownie zaskoczyli nas w łóżkach. Mój pułk rozpierzchnął się w bezładnym odwrocie, nie zdążyliśmy oddać nawet jednego strzału! A potem każdy próbował, jak potrafił, dostać się z powrotem do domu. Jestem wściekły. Nie, wstyd mi. – Chociaż miał czerwoną twarz, wydawał się bardziej rozluźniony niż kilka chwil wcześniej.

Irena doskonale rozumiała jego emocje.

– Mimo wszystko cieszę się, że cię widzę. Martwiłam się – powiedziała cicho.

Ich spojrzenia na moment się spotkały. A potem, jakby na umówiony znak, uściskali się mocno. Lecz kiedy Adam uwolnił się z jej ramion, pospiesznie zrobił krok do tyłu i utkwiał wzrok w podłódze.

– A Mietek?

Irena pokręciła głową.

– Nie wiem nic nowego. Mam nadzieję, że wszystko z nim w porządku. – Miała ochotę wywrócić oczami. Chyba nic bardziej banalnego nie mogła wymyślić.

Adam podszedł do otwartego okna i przysiadł na szerokim parapecie. Podciągnął jedną nogę, druga zwisała nad podłogą. Wrześniowe wieczorne słońce rzucało refleksy na jego krótkie ciemne włosy. Irena usiadła naprzeciw niego, tak jak wiele razy wcześniej.

– Czytałeś obwieszczenie? Wszystkie prawa są gwarantowane – odezwała się po chwili.

Adam spojrzał na nią. W jego oczach malowała się zabarwiona gorczą wesołość.

– Przecież jesteś zbyt inteligentna, żeby w to wierzyć, nie sądzisz?

Irena odwróciła wzrok i buńczucznie wzruszyła ramionami.

– Po prostu jestem większą optymistką od ciebie.

Adam roześmiał się gorzko.

– Możesz mi wierzyć, że też bardzo chciałbym mieć nadzieję, ale to, co widziałem, kiedy się wycofywaliśmy... Jak Niemcy wywlekali ludzi z domów i rozstrzeliwali wprost na ulicy. Głównie Żydów i inteligencję.

Lekarzy, adwokatów, nauczycieli. Tak po prostu. Ani śladu gwarantowanych praw. Pomyśl też o sytuacji Żydów w Niemczech. Naprawdę sądzisz, że u nas Niemcy będą zachowywać się w bardziej cywilizowany sposób? Akurat w Polsce, po tym, jak pokonali nas w niecały miesiąc? Nic z tych rzeczy. Przekonasz się: oni nami gardzą. I zrobią z nami, co zechcą.

Serce Ireny zamarło. Znała pesymizm przyjaciela. Często stanowił on dla Adama bodziec do energicznego działania i motywował do przeciwstawiania się temu, czego mężczyzna się obawiał lub co krytykował. Ale dzisiaj wypowiedziane słowa były przesycone rezygnacją, kryło się w nich wręcz coś fatalistycznego, a jej własne obawy nie ułatwiały obrony.

– Słyszałaś, że nasz rząd być może uda się na emigrację? – spytał w zalegającej ciszy.

– Co takiego?! – wykrzyknęła z niedowierzaniem Irena, na co on skinął głową.

– To na razie tylko plotki. Ale jeśli tak się stanie, to będziemy tu zdani wyłącznie na siebie. – I znowu ten drwiący uśmiech. – Szczury opuszczają tonący statek. – Uśmiech zniknął. – Może posuwam się zbyt daleko. Kto wie, może z naszych polityków będzie więcej pożytku za granicą, niż gdyby Niemcy aresztowali ich tutaj albo zabili.

Słowa Adama, wspomnienie jego smutnych oczu, krótki, ale mocny uścisk na pożegnanie – to wszystko jeszcze długo dręczyło Irenę, kiedy wieczorem próbowała zasnąć. Martwiła się też o Mietka. Mimo że w ostatnich latach widywali się co najwyżej sporadycznie, nie potrafiła sobie wyobrazić, by miała go już nigdy nie zobaczyć.



Rozdział 4

Dwaj funkcjonariusze SA stali po obu stronach wejścia do imponującej rezydencji, gdy zajechało przed nią eleganckie auto. Po chwili wysiadł z niego Ludwig Fischer wraz ze swoim adiutantem.

– Heil Hitler, panie gubernatorze! – Ramiona obu młodych mężczyzn wystrzeliły do przodu, ich spojrzenia były skierowane na wprost. Fischer odpowiedział na pozdrowienie.

– Które piętro? – spytał adiutanta.

– Ostatnie. Jest winda. Wspaniały widok na miasto. Ponad dwieście pięćdziesiąt metrów powierzchni. Wykwintnie urządzone. Dobrze wyposażona biblioteka, oddzielne pomieszczenia dla służby. Park w pobliżu – odczytał adiutant. Było to już trzecie mieszkanie z listy oferowanych do wyboru. Dwa pierwsze też nie należały do najgorszych, ale nie do końca przekonały Fischera.

– Dotychczasowi właściciele? – chciał wiedzieć gubernator.

– Doktor Samuel Weintraub z żoną i trójką dzieci. Chirurg. Właśnie siedzieli przy kolacji. Zebraliśmy ich w salonie.

– Hm – mruknął niechętnie Fischer.

Winda sunęła w górę. Kolejny funkcjonariusz SA zasalutował im przy drzwiach do mieszkania. Fischer wszedł do środka.

– Nieźle. – Krocząc po lśniącym parkiecie w holu, zajrzał do pierwszych pokoiów. Ciepłe światło wieczoru padało przez duże okna na mahoniowe meble. Grube perskie dywany tłumiły odgłos jego kroków. W kuchni personel w uniformach stał rzędem ze wzrokiem utkwionym w podłogę. Pachniało świeżym jedzeniem. – Personel żydowski? – spytał Fischer.

– Nie, polski.

Fischer prychnął. Oczywiście. Jakżeby inaczej. To jego faworyci. Bogaci Żydzi, którzy wkradali się do szanowanych profesji, nosili eleganckie garnitury, żyli w pałacach takich jak ten, lecz nie zatrudniali żydowskiej służby. Spotkani na ulicy – gołym okiem nie do rozpoznania. Złudzenie niemal stuprocentowe. Ale za tą fasadą wciąż byli tylko brudnymi parchami.

Gubernator wszedł do salonu. Stali wszyscy razem: Żyd z bordową jedwabną poszetką w kieszonce marynarki, jego żona z perłami na szyi i dzieci, z których dwójka była jasnowłosa. Jak perfidna potrafi być natura!? To wszystko tylko pozór, cienka skorupa, pomyślał Fischer. W piekle, dokąd was pošlemy, szybko objawi się wasza prawdziwa twarz.

– Doktor Fischer? Nazywam się Weintraub. To mieszkanie jest własnością mojej rodziny. Co tutaj się wyprawia? Ja protestuję... – odezwał się chirurg. W jego szarych oczach za szklami okularów w złotych oprawkach odbijał się niepokój.

– Milczeć! – wrzasnął na niego adiutant.

Fischer popatrzył na pięć osób przed sobą, jakby były inwentarzem. Potem zatrzymał wzrok na wysokim stiukowym suficie z freskami pośrodku. Następnie przez otwarte dwuskrzydłowe drzwi wyszedł na

balkon. Widok na czerwone dachy warszawskiej Starówki był piękny. Tu i ówdzie wysokie drzewa pomiędzy nimi wysuwały zielone korony ku niebu. W wielu miejscach wzbijały się jeszcze słupy dymu, ale w końcu przecież zniknęły, a okolica wydawała się odpowiednia. Wprawdzie i tu nie brakowało zniechęconych Żydów, ale na szczęście nie widać było pejsatych ortodoksów w czarnych chałatach i kapeluszach. Na razie znał takie postacie wyłącznie z karykatur zamieszczanych w „Stürmerze” i z kroniki „Wochenschau”. W Niemczech nie żyło ich wielu. Ale w Warszawie widoczni byli niemal wszędzie. Snuli się po każdej ulicy, wylewali się z każdej bramy.

W pierwszym dniu pobytu w mieście poczuł się niemal zbrukany samym ich widokiem. Byli obcy. Groźni. Odpychający. Obrzydzenie wzbudzały w nim ich brody i ich ciała pod czarnymi ubraniami, pod którymi na pewno roiło się od wszy przenoszących tyfus. Nie był w stanie patrzeć w ich ciemne oczy. Ze swojej urzędowej siedziby w pałacu Brühla obserwował, jak całymi licznymi rodzinami zmiernają do ogrodu Saskiego. Dość tego. Pora, aby parki znowu stały się czyste.

Ludwig Fischer skinieniem ręki przywołał adiutanta.

– Rekwirujemy to mieszkanie. Jutro się tu wprowadzę. Proszę zająć się wszystkim. I niech pan dopilnuje, żeby ci tutaj niczego nie wynieśli. Każdy może wziąć jedynie po jednej walizce z ubraniami.

Adiutant skinął głową.

– Tak jest, doktorze Fischer. A oto lista, na którą pan czekał. Właśnie mi ją dostarczono.

Gubernator wziął kartkę do ręki i zaczął czytać. Znajdowało się na niej kilka nazwisk opatrzone krótkimi komentarzami.

– To są potencjalni kandydaci na prezesa planowanego Judenratu – uzupełnił adiutant i nieco ostrożniej dodał: – Pierwszy kontakt już się

odbył. Żaden z tych... hm... panów nie chce dobrowolnie objąć urzędu.

– Co pan powie? – Na twarzy Fischera pojawił się chytry uśmiech. – Wygląda na to, że nie są tacy głupi, jak myślałem. – Wskazał palcem pierwsze nazwisko. – Ten. Czerniaków. Prezes gminy żydowskiej. Niech pan wyśle do niego Müllera. On już będzie wiedział, co ma zrobić. Resztą zajmę się ja. No, to tyle, wracamy do pałacu.



Rozdział 5

Niecałą godzinę później przed budynkiem gminy żydowskiej z piskiem opon zatrzymało się kilka samochodów. Wskoczyło z nich dziesięciu młodych mężczyzn w czarnych jak smoła mundurach gestapo.

– Pierwsze i drugie piętro. Naprzód! – krzyknął ich dowódca.

Funkcjonariusze, wbiegłszy do środka, rozdzielili się. Po chwili z wnętrza dobiegły krzyki i rumor przewracanych krzesel.

Dowódca niespiesznie podążył za swoimi ludźmi. Spokojnym, niemal znudzonym krokiem wszedł do biura prezesa gminy. Sekretarka w niebieskiej sukience stała obok biurka i wystraszona patrzyła na czubki swoich butów.

– Gdzie jest Czerniaków? – spytał gestapowiec.

– Poszedł właśnie do innego biura.

– Co? Nie rozumiem. Głośniej!

– Poszedł do innego biura. – Głos młodej kobiety wyraźnie drżał.

Na korytarzu rozległy się energiczne kroki. Do środka weszli dwaj kolejni gestapowcy. Mężczyzna, którego trzymali między sobą,

przewyższał ich o całą głowę. Miał około sześćdziesięciu lat, błyszczącą łysinę; oczy za małymi okrągłymi szklami okularów spoglądały nerwowo.

– Co tu się dzieje? – spytał. Choć miało to zabrzmieć szorstko, głos postawnego mężczyzny się załamał.

Przywódca zmierzył go wzrokiem od góry do dołu.

– Jeszcze jeden parszywy Żyd, który ma się za kogoś eleganckiego – powiedział, po czym z marynarki przewodniczącego wyrwał złoty zegarek kieszonkowy. Nacisnął przycisk. Zegarek otworzył się z kliknięciem. – Ładna rzecz. – Wsunął go do kieszeni swojego płaszcza. – Niestety, będziemy cię jeszcze potrzebować. Zabrać go. Do głównej siedziby.

– Ale o co... – wyjąkał Czerniaków, podczas gdy gestapowcy wlekli go na zewnątrz.

– Gdzie jest sejf gminy? – zwrócił się znowu dowódca do sekretarki, która jednak nie odpowiedziała. – Sejf gminy! – ryknął.

Śmiertelnie wystraszona kobieta podeszła do swojego biurka, wzięła z szuflady klucz i wyjęła z szafy metalową kasetkę.

Najbliższe godziny Czerniaków spędził w celi w głównej siedzibie gestapo przy alei Szucha. Miał gonitwę myśli w głowie, ale mimo najlepszej woli nie potrafił zrozumieć, dlaczego został aresztowany. Raz po raz wycierał twarz chusteczką. Piekielnie chciało mu się pić. W końcu w zamku zazgrzytał klucz.

– Za mną.

Gestapowiec wprowadził go do elegancko urządzonego gabinetu. Pod oknem stało masywne biurko z drewna wiśniowego, wyłożone boazerią ściany zdobiły obrazy olejne. Na kanapie w rogu siedział mężczyzna z nogą założoną na nogę. Jego czarne oficerki lśniły.

– Niech pan siada, Czerniaków. – Wskazał jeden z foteli.

– Gubernatorze Fischer, ja...

– Koniaku? – przerwał mu gospodarz. – Chciałbym pana przeprosić za moich ludzi. – Dał znak podwładnemu, aby napełnił Czerniakowowi kieliszek. – Żeby od razu wsadzać pana do celi... trochę przesadzili. Ale przejdźmy do rzeczy. Pewnie już pan słyszał, że chcemy powołać do życia radę żydowską, Judenrat. A mówiąc precyzyjnie: to pan ją powoła. Jest pan jej nowym prezesem. Niech pan wybierze do niej dwudziestu czterech mężczyzn. Tyle powinno wystarczyć.

– Doktorze Fischer, wolałbym nie...

– To nie podlega negocjacom. – Gubernator Fischer machnął lekceważąco ręką. – Trzeba tylko ustalić szczegóły. Judenrat ma pełnić funkcję swego rodzaju pośrednika między nami a gminą żydowską. Będzie pan naszym rzecznikiem i jednocześnie organem wykonawczym. Pańskie zadania będą wielorakie. Praca, zdrowie, opieka socjalna, finanse, po prostu wszystko. Utworzy pan komisje i pan będzie odpowiadał za realizację i przestrzeganie wszystkich nowych przepisów. Od tej chwili Judenrat jest jedyną instancją do zgłaszania skarg i problemów dotyczących ludności żydowskiej.

Czerniaków się pocił. To, co gubernator dystryktu warszawskiego mu teraz oferował, brzmiało na pozór nieszkodliwie, ale on nie miał złudzeń. Judenrat stałby się instytucją do nękania ludności żydowskiej.

– Tworzycie Judenrat po to, aby wprowadzał w życie przeciwko własnemu ludowi wasze przyszłe prawa – powiedział z opanowaniem.

– Mój drogi Czerniaków! – Fischer się uśmiechnął. – To było niestosowne. Ależ nie, przeciwnie! Zależy nam na pokojowej koegzystencji. I jestem pewny, że będzie pan potrafił przedstawić nową rzeczywistość swoim braciom w wierze bardziej przekonująco niż my.

Uważam, że powinien pan traktować to zadanie jako szansę. Szansę na współkształtowanie. Oczywiście moje ucho pozostanie zawsze otwarte na wszelkie sugestie i propozycje dotyczące doskonalenia naszej współpracy. – Uniósł kieliszek. – Czerniaków, daję panu dwa tygodnie na wybór członków rady. Niech mnie pan nie zawiedzie. Proszę uświadomić kandydatom, że przywilej zasiadania w niej jest trudny do przecenienia. Oni i ich rodziny będą cieszyć się szczególną ochroną. A nigdy nie wiadomo, na co może się przydać taka obietnica. – Nie czekając na reakcję Czerniakowa, pociągnął łyk koniaku. – Ach, jak on dobrze robi. No cóż, a teraz nie będę już pana dłużej zatrzymywał. Ma pan się czym zająć. – Powiedziawszy to, wstał, ale Czerniaków nadal siedział. – No, o co chodzi? Może pan iść. – W głosie Fischera pobrzmiwało zniecierpliwienie.

Czerniaków w końcu się podniósł. Wciąż oszołomiony skierował się do wyjścia.



Rozdział 6

Irena siedziała wpatrzona w szare światło późnej jesieni za oknem, gdy do jej pokoju weszła Irka i stanęła tuż obok.

– Widziałaś nowe obwieszczenia? – zapytała Irena niemal beznamiętnie.

Koleżanka skinęła głową.

– Tak. Wszystkie żydowskie sklepy i firmy przejmą Niemcy. Żydowski urzędnicy zostaną zwolnieni z pracy, żydowski właściciele domów stracą prawo do swoich nieruchomości, a nowe sklepy będą mogli otwierać tylko Aryjczycy.

– Zapomniałaś o emeryturach – uzupełniła z goryczą Irena. – Żydom nie przysługuje już emerytura ani pomoc socjalna. – Obróciła się do Irki. – Adam miał rację. Jeszcze kilka tygodni temu opowiadali nam bajki o bezpieczeństwie. Zobaczycie, nie będzie tak źle. A teraz pokazują swoje prawdziwe oblicze.

– To prawda. Co będzie z naszymi żydowskimi podopiecznymi? Bez pracy, zasiłku czy emerytury? Jak to ma funkcjonować?

Irena pokręciła głową.

– Nie wiem, ale musi być jakieś wyjście.

– Jasne – stwierdziła zdecydowanie Irka. – Trzeba będzie coś wymyślić... – Nagle urwała, ponieważ zobaczyła na ulicy Adama. – O wilku mowa. Zdaje się, że ktoś po ciebie przyszedł i chce cię odprowadzić do domu. – Wychodząc, przyjaźnie stuknęła koleżankę w ramię. – I nie martw się. Jeśli chodzi o naszych żydowskich klientów, znajdziemy jakieś rozwiązanie.

Irena wyjrzała na ulicę. Ucieszyła się, w ostatnich tygodniach bowiem bardzo rzadko widywała Adama. Opuszczając wieczorem biuro, zwykle padała ze zmęczenia, a w domu czekała na nią mama z kolacją.

Szybko spakowała swoje rzeczy i wybiegła z pokoju.

– Masz ochotę się czegoś napić? – Adam spytał zamiast pozdrowienia.

– Chętnie! – Kiedy wzięła go pod rękę, poczuła się trochę dziwnie. Przed wojną tak często odbierał ją z pracy, że niektóre koleżanki zaczęły już poszeptować między sobą, ale ostatnie tygodnie wywróciły wszystkie dotychczasowe zwyczaje do góry nogami.

Ich ulubiona kawiarnia znajdowała się niedaleko. Ulice były niemal puste, w lokalu też siedziało niewielu gości. Z radia dobiegały dźwięki amerykańskiego jazzu.

– Co z Mietkiem? – spytał Adam, gdy tylko usiedli.

Jej radosny nastrój natychmiast się ulotnił, ustępując irytacji. Podczas każdego z ich nielicznych ostatnio spotkań Adam zaczynał rozmowę zawsze od tego. Mimo rozstania Mietek był niczym twierdza, która ich rozdziela. Czy Adam robił to specjalnie? A jeśli tak, to po co? Tym razem jednak Irena rzeczywiście miała nowiny do przekazania.

– Napisał do mnie – oznajmiła. – Jest w Niemczech, w obozie jenieckim. Cały i zdrowy. Warunki kiepskie, ale do wytrzymania.

– To dobrze. Cieszę się – odparł Adam ze szczerą ulgą.

Irena uśmiechnęła się do niego.

– Ja też.

Adam odwzajemnił jej spojrzenie trochę za długo, Irena była więc wdzięczna kelnerowi, gdy ten podszedł do ich stolika. Oboje zamówili piwo i prażone ziarna słonecznika.

Kiedy znowu zostali sami, Adam rozejrzał się po lokalu.

– No i już się zaczęło – zauważył. – Widzisz, jak niektórzy się na nas gapią? Ty, blondynka, z kimś takim jak ja w kawiarni. Niepojęte!

– Z kimś takim jak ty?

– Kto wygląda tak, jak według Niemców wyglądają Żydzi. – Wskazał na swój wydatny nos i czarne włosy.

Irena westchnęła.

– Już wcześniej ludzie tak patrzyli. Nie pamiętasz gett ławkowych w salach wykładowych na wyższych uczelniach przed wojną? Polacy na prawo, Żydzi na lewo.

Adam tylko skinął głową. Irena została zawieszona na kilka lat na uniwersytecie, ponieważ w swoim indeksie przekreśliła adnotację „prawa strona aryjska” i uparcie siadała razem z żydowskimi kolegami w lewej części sali. Oczywiście wtargnięcie Niemców dodatkowo wzmocniło antysemickie tendencje wśród Polaków.

– Ostatnio jakoś rzadko się odzywasz – zauważyła Irena, aby zmienić temat. Chciała, aby zabrzmiało to swobodnie, lecz nie zapanowała do końca nad swoim tonem.

– Ty też – padła odpowiedź podszyta nutą przekory.

– Tak trudno sobie wyobrazić, ile pracy przybyło mi w tych tygodniach? – rzuciła, nie kryjąc irytacji i obrzucając go agresywnym spojrzeniem.

Twarz Adama złagodniała, a ona poczuła ciepło jego dłoni na swojej. Ów gest był tak nieoczekiwany, że mimowolnie cofnęła rękę, na co oczy Adama natychmiast przesłoniła mgłą. Irena była zła na samą siebie. Dlaczego jest tak strasznie spięta? Gdzie podziała się ich dawna swoboda? Trochę niezdarnie i zdecydowanie zbyt szybko musnęła palcami grzbiet jego dłoni. Na usta Adama powrócił uśmiech.

– Przepraszam – powiedział. – Masz rację. Niestety moje powody nie są tak ważne i pilne. Ja po prostu... sobie nie radzę. Czuję się dosłownie jak królik, do którego coraz bliżej podpełza wąż. Przecież pewnie widziałaś te wszystkie obwieszczenia. – Jego palce mięły papierową serwetkę. – Słyszałem poza tym, że oni planują przeprowadzić spis ludności żydowskiej. W jakim celu, można się domyślić. I co gorsza, Żydom nie wolno już opuszczać Generalnej Guberni.

– Wiem – przyznała Irena. – Profesor Palester stracił swoje stanowisko. Znasz go przecież.

– Henryk Palester? Ten specjalista chorób zakaźnych?

– Tak. Pracował w ministerstwie zdrowia. Po prostu go wyrzucili.

Adam pokręcił głową.

– Chcą pozbyć się nas ze wszystkich wyższych stanowisk i dobrych zawodów. A ci, którzy jeszcze w nich pracują, prawie nie dostają pieniędzy. Mamy popaść w nędzę, żebyśmy jak najszybciej zamienili się w podludzi, za których nas uważają.

Zaległa chwila ciszy.

– Myślisz, żeby stąd wyjechać? – spytała nagle. – Podobno na terenach okupowanych przez Sowieców Żydom jest łatwiej. Znam kilku,

którym udało się przejść przez zieloną granicę.

– Wiem. – Adam zapatrzył się tępo przed siebie. – Tu, w Warszawie, rzeczywiście prawie już nie sposób wychodzić z domu. Nie mogę znieść tych pełnych obrzydzenia spojrzeń Niemców. U siebie prawdopodobnie nawet nie umieli odróżnić Żydów od innych obywateli, ale u nas jest tylu ortodoksów rozpoznawalnych na pierwszy rzut oka. Znasz pewnie te pogardliwe spojrzenia, kiedy młodziak z Wehrmachtu widzi przed sobą kogoś takiego. A mówiąc szczerze, oni sami powinni spojrzeć na siebie w lustrze. – Roześmiał się gorzko. – Bez tych swoich mundurów i błyszczących butów są niczym więcej jak paskudnymi pryszczatymi niedorostkami.

Irena się roześmiała, chociaż wiedziała, że to nie był żart.

– Ale wracając do twojego pytania – ciągnął Adam. – Taka ucieczka na Wschód nie wchodzi w rachubę ze względu na moją mamę. Przecież nie mogę jej zostawić.

Irena skinęła głową. Sama się zastanawiała, czy nie powinna wyjechać do podwarszawskiego Otwocka, w którym kiedyś mieszkali. Dla matki nie byłoby to wcale najgorsze rozwiązanie. A dla niej? Wiedziała, że potrzebna jest w Warszawie, zwłaszcza teraz, gdy żydowscy podopieczni zostali odcięci od wszelkich świadczeń socjalnych.



Rozdział 7

Już teraz nie starcza nam dla każdego, kto przyjdzie. A będzie coraz więcej potrzebujących. – Rita, jedna z kucharek pracujących w jadłodajni, mechanicznie wytarła ręce o fartuch. Jej okrągła twarz była rumiana od wysiłku i pary unoszącej się znad garnków.

– Spróbuję wam dodatkowo zwiększyć przydziały...

– Dodatkowo? – przerwała jej Rita, mrużąc oczy. – Przecież my nie dostajemy nawet tyle, ile nam przysługuje. Na przykład wczoraj zamiast stu kilo ziemniaków przywieźli tylko siedemdziesiąt.

– Co?! – wykrzyknęła Irena. – Dlaczego? Ostatecznie jedzenia nie brakuje. Przynajmniej na razie. Muszę to... – Nie dokończyła, ponieważ z zewnątrz dobiegł histeryczny krzyk.

– Żydówka! Tam, z przodu, w kolejce! Znam ją. Mieszka na naszej ulicy. Nawet nie nosi opaski z gwiazdą Dawida. Żydom nie wolno tu przychodzić!

Irena pospieszyła wzdłuż długiego na co najmniej sto metrów szeregu ludzi. Już z daleka zauważyła kobietę z rozpuszczonymi włosami, która wyszła z ogonka czekających.

– To ona! Zatrzymać ją! – Krzycząca kobieta nadbiegła od tyłu.

Równocześnie z kolejki wystąpiło dwóch mężczyzn. Ich wygląd nie wróżył nic dobrego.

Zaledwie trzy dni wcześniej Irena widziała, jak trzech wyrostków na środku ulicy obcięło starszemu żydowskiemu mężczyźnie brodę, a potem jeden z nich podeptał mu kapelusz i na pożegnanie dał kopniaka. To tylko jeden z tysięcy upokarzających napadów, które stały się codziennością i bynajmniej nie były dziełem wyłącznie niemieckich żołnierzy. Trudno było się oprzeć wrażeniu, że polscy antysemita i ich bojówki tylko czekali na sygnał, jaki dały im nowe antyżydowskie rozporządzenia i niemiecka propaganda nienawiści.

– Przestańcie! Natychmiast! Co wy robicie?! – Irena krzyczała z daleka, ale jeden z mężczyzn już chwycił ofiarę w żelazny uścisk, podczas gdy drugi wymierzał jej policzek za policzkiem. Głowa kobiety odskakiwała raz w jedną, raz w drugą stronę, coraz więcej włosów fruwało wokół jej twarzy. Kiedy mężczyźni kopniakiem przewrócili ją na chodnik, Irena akurat znalazła się przy nich.

– Czy wyście poszaleli?! – wrzasnęła, po czym schyliła się, żeby pomóc kobiecie wstać.

Jeden z nich chwycił Irenę za ramię.

– Kto tu jest szalony? – spytał złowroźnie niskim głosem. – Bronimy tylko naszych praw. Żydzi nie mają wstępu do jadłodajni. Ale nikt tego nie przestrzega. Wszystko nam zeżrą. Jak chcesz, to oddaj tej szlampie swoją własną porcję, ty żydowielbicielko.

Irena była purpurowa ze złości. Gwałtownym szarpnięciem wyzwoliła się z uchwytu mężczyzny.

– To ja organizuję tę jadłodajnię. Jeszcze jedno słowo i będziecie mogli iść sobie gdzie indziej – wysyczała przez zaciśnięte zęby. Potem obróciła się ku kobiecie, ale ta zniknęła. Irena bez słowa ruszyła

z powrotem do kuchni, odprowadzana wzrokiem przez pozostałych czekających.

– Żydowielbicielka! – krzyknął ponownie jeden z mężczyzn.

Zacisnęła pięści. Z czysto prawnego punktu widzenia nie mogła mu nic zrobić. Obywatelom żydowskim nie przysługiwało już prawo do darmowego posiłku w jadłodajniach, a od kilku dni musieli nawet nosić na ramieniu białą opaskę z niebieską gwiazdą Dawida, aby byli natychmiast rozpoznawalni. Ta opaska oznaczała dla nich znacznie więcej niż upokorzenie – izolowała ich i wystawiała na grubiańskie reakcje innych.

Irena nie zamierzała, rzecz jasna, przestrzegać antysemitycznych przepisów i dotychczas zachęcała swoich żydowskich podopiecznych, aby mimo wszystko nadal przychodzili do jadłodajni – bez opaski. Wyglądało jednak na to, że nie jest to dobre rozwiązanie, a przynajmniej nie zawsze. Musiała wymyślić coś innego.

Niedługo później siedziała znowu w swoim biurze przy Złotej. Na biurku przed nią leżał stos dokumentów do przejrzenia, lecz nie mogła się zmusić do pracy. Nie potrafiła dojść do siebie po tym wstrętnym incydencie w jadłodajni.

Przecież nie mogę pozwolić im umrzeć z głodu, pomyślała nie po raz pierwszy w ostatnich tygodniach o swoich żydowskich podopiecznych. Ale wysyłanie ich nadal bez opaski do jadłodajni i liczenie na to, że nikt ich nie rozpozna i nie wyda, było zbyt ryzykowne. Gdyby dziś znajdował się w pobliżu jakiś niemiecki żołnierz, ta biedna kobieta za nadzieję na miskę zupy być może zapłaciłaby życiem. Tylko jak pomóc tym ludziom i jednocześnie nie narażać ich na niebezpieczeństwo?

Nagle Irena wyprostowała się na krześle. Nadzwyczajne regulacje wymagają nadzwyczajnych działań, doszła do wniosku, po czym wstała.

Miała szczęście. W pokoju u Irki zastała też Jagę i Jankę.

– Trzy pieczenie na jednym ogniu – powiedziała ze śmiechem na ich widok. – Macie jakieś plany na dzisiejsze popołudnie?

– Właściwie... zamierzałam pracować – odparła Jaga z wahaniem.

– No i będziesz – odrzekła Irena. – Tylko u mnie w domu. Mogłybyście się tak zorganizować? Chętnie zaprosiłabym was na wieczór, ale z powodu godziny policyjnej to niemożliwe. To jak?

Trzy kobiety popatrzyły na siebie lekko rozbawione, po czym się zgodziły.

Punktualnie o czwartej spotkały się „w celu realizacji zlecenia zewnętrznego”, jak określiła to Irena. Zaparzyła herbatę i wyjęła butelkę likieru morelowego produkcji swojej mamy.

– Taką pracę to rozumiem – zażartowała Jaga, napełniając kieliszki. – A teraz powiesz nam wreszcie, co to za konspiracja?

Irena zerknęła na drzwi sypialni mamy, która niedawno się położyła. Były zamknięte. Potem spojrzała po kolei na zaciekawione i pełne napięcia twarze koleżanek. Nagle poczuła narastające zdenerwowanie. Czy to rozsądne, aby proponować im coś takiego?

– Chodzi o kreatywną pracę socjalną – wyjaśniła Irena zdecydowanym tonem, tłumiąc własne wątpliwości. – Wszystkie doskonale wiecie, co to znaczy.

Irka uśmiechnęła się tajemniczo.

– No jasne, przecież ten termin pochodzi ode mnie.

– Mam pomysł, jak mogłybyśmy być jeszcze ciut kreatywniejsze – powiedziała Irena. – Przez pewien czas nasze małe sztuczki całkiem dobrze się sprawdzały. Fałszowałyśmy dane w formularzach, pomniejszałyśmy mieszkania na papierze, dzieciom ujmowałyśmy,

a dorosłym dodawałyśmy lat. Ale to miało sens, dopóki nasi podopieczni posiadali jeszcze w ogóle prawo do czegokolwiek. Teraz nie przysługuje im już nic. Koniec, kropka. I nawet nie wiedzą, gdzie jutro mogliby dostać miskę zupy.

– Hm – bąknęła Irka. – Ale co to znaczy „ciut kreatywniejsze”? Co możemy zrobić?

– To całkiem proste! – Twarz Ireny promieniała z ekscytacji. – Na czym opierają się nasze działania pomocowe?

Irka wzruszyła ramionami.

– Odbywamy wizyty domowe u osób potrzebujących, aby sprawdzić ich sytuację, przeprowadzamy wywiady, sporządzamy listy, statystyki. Mimo to dalej nie rozumiem.

– Otóż to, statystyki. – Irena rozpromieniła się jeszcze bardziej. – Ważne jest to, że to my je robimy. *My* układamy listy potrzebujących, rozumiecie?

– Czyli nadal chcesz wciągać na listy rodziny żydowskie? – spytała Jaga, nie kryjąc zawodu. – Przecież to od razu się wyda.

– Nie, oczywiście, że nie o to chodzi! Pomyślałam raczej, że mogłybyśmy umieścić na listach rodziny nieżydowskie. Rzecz jasna, rodziny, które bardzo, ale to bardzo wnikliwie sprawdziliśmy i zakwalifikowałyśmy jako potrzebujące pomocy. – Uśmiechnęła się chytrze. – A przysługujące im świadczenia dostaną rodziny żydowskie. W ten sposób ci ludzie zostaną zabezpieczeni i nie będą już musieli ryzykować życia, zakradając się do jadalni bez opaski. – Następnie opowiedziała o porannym incydencie, którego była świadkiem.

– Pomysł nie jest zły, ale trochę ryzykowny – oceniła w końcu Irka. – A jeśli Niemcy sprawdzą te „podstawione” rodziny? Wtedy będzie po nas i po wszystkich pozostałych.

– Na pewno nie sprawdzą – odparła Irena. – Bo przy każdej z takich rodzin będziemy robić malutki krzyżyk, którego Niemcy boją się bardziej niż diabeł święconej wody.

Jaga domyśliła się jako pierwsza, o czym mówi Irena.

– Będziemy utrzymywać, że występują u nich przypadki tyfusu albo cholery! – wykrzyknęła z triumfem. – Wchodzę w to, a wy?

– W porządku – powiedziała Irka po krótkim wahaniu.

Również Janka nie odmówiła udziału.

Irena miała ochotę uściskać wszystkie przyjaciółki po kolei. Choć głos wewnętrzny podpowiadał jej, że wkraczają na niebezpieczną ścieżkę, to czuła się tak podekscytowana, jak już dawno jej się to nie zdarzyło. Zrobią coś, aby pomóc ludziom, a jednocześnie zagrają na nosie niemieckiemu okupantowi.

– W naszym mieście to *my* decydujemy, kto otrzyma pomoc. – Irena przesunęła dłoń na środek stołu. Koleżanki położyły na niej swoje dłonie.

– My! – zawołały wszystkie cztery i wybuchnęły śmiechem.



Rozdział 8

Zawsze staraj się dostrzegać to, co dobre – upomniała niedawno po raz kolejny Irenę jej przyjaciółka Ewa. Podczas jednego z ich spotkań wyznała, że ma w zwyczaju każdego wieczoru zapisywać co najmniej jedno miłe przeżycie. Irena przypomniała to sobie, gdy po przebudzeniu ujrzała na szybie w swoim pokoju delikatne kwiaty namalowane przez mróz. Przywykła już do tego, że teraz również w mieszkaniu para z ust zamienia się w białawe obłoczki i że zarówno w dzień, jak i w nocy ona sama zmuszona jest nosić po kilka wełnianych swetrów i po kilka par skarpet, ale te lodowe kwiaty były czymś nowym. Wyglądały przepięknie.

Irena wstała z łóżka. W nocy padał śnieg i w białym puchu na parapecie pozostały delikatne ślady ptasich pazurków. To musiał być gołąb, bo jego gruchanie obudziło ją wcześniej rano.

Na początku grudnia uczestniczyła w zapaleniu pierwszej świecy chanukowej w domu Ewy. Żydowskie Święto Świąteł upamiętnia ponowne poświęcenie świątyni jerozolimskiej po zwycięskim powstaniu przeciwko obcemu panowaniu w II wieku p.n.e. Oliwa do lampy, której powinno było wystarczyć do utrzymania płomienia tylko przez jeden dzień, dzięki cudowi płonęła aż przez osiem dni. I dokładnie tyle trwało

to święto. Co wieczór zapalano nową świecę, a oczy Ewy lśniły, gdy mówiła o tym, że również obecna tyrania przeminie.

– Wierzę w cuda – powiedziała. – One dzieją się każdego dnia. Trzeba tylko je dostrzec.

Irena mocno przytuliła przyjaciółkę. Kochała ją za ten niewzruszony optymizm, którego jej samej tak często brakowało. Pomyślała o swoim ojcu. O tym, jak niezmordowanie walczył o każdego pacjenta. Być może dlatego wątpiła w cuda. Dla niej były one zawsze wynikiem ciężkiej pracy.

W następnych tygodniach widok kwiatów na szybie spowszedniał i Irena nie czuła już tej samej magii co tamtego pierwszego ranka. Atmosfera w mieście była zbyt przygnębiająca. Obowiązkowa opaska z gwiazdą Dawida wręcz fizycznie łamała i pochylała ku ziemi tych, którzy ją nosili. Przygarbieni przemykali chodnikami, nie podnosząc wzroku. Jeszcze wczoraj byli zwykłymi obywatelami, na których nikt nie zwracał szczególnej uwagi. A dzisiaj te opaski czyniły z nich trędowatych. Niektórzy z przechodniów świadomie patrzyli w bok, inni wręcz przeciwnie – gapili się na nich. Stopniowo w sklepach zaczęły się pojawiać wywieszki z napisem: „Żydów nie obsługujemy”. Irena na przekór wszystkiemu chodziła wyłącznie do tych z obowiązkową żydowską gwiazdą w witrynie.

Opaska miała być nie tylko zwykłym upokorzeniem. Wprowadzono ją także ze względów praktycznych. Dzięki niej można było już z daleka rozpoznać, czy nie-Żydówka zadaje się z Żydem lub odwrotnie. Adam coraz częściej nie chciał wychodzić z Ireną na spacer czy umawiać się z nią w kawiarni. Miejscem ich spotkań stał się w końcu parapet w jego pokoju.

Potem posypał się grad nowych obwieszczeń:

Żydom zabrania się wstępu na pocztę przy ulicy Wareckiej.

Wszystkie szkoły żydowskie zostają zamknięte.

Żydowskim prawnikom zabrania się wykonywania zawodu.

Modlitwy w synagodze są zabronione.

– Oni nas zagłodzą – powtarzał za każdym razem Adam, gdy siadali u niego naprzeciw siebie na parapecie. – Chcą zamorzyć nasze umysły i dusze. Chcą odebrać nam wszystko, co ludzkie. Każdą radość, każdą satysfakcję. A to jest dopiero początek. Zobaczysz.

Trudno było znaleźć przeciwwagę dla jego słów. Oddech Ireny zamglił szybę, aż mleczna ściana oddzieliła ich od świata zewnętrznego. Węgiel był towarem deficytowym i nawet w zamożnych domach palono w piecach wyłącznie wieczorami.

Adam miał rację. W styczniu zamknięto wszystkie synagogi i żydowskie miejsca spotkań. Rzekomo w celu zapobieżenia epidemii tyfusu, którą niechybnie wywołaliby brudni Żydzi, gromadząc się w miejscach kultu. Dzielnica żydowska była w kilku miejscach otoczona ogrodzeniem z drutu kolczastego, a tablice informacyjne wskazywały otoczony nim obszar jako strefę zagrożenia epidemicznego. Żydom zakazano wstępu do parków, kawiarni i restauracji, nie wolno im było także siedzieć na ławkach w miejscach publicznych.

Podczas nielicznych wspólnych przechadzek z Adamem po mieście Irena coraz częściej zakładała opaskę z gwiazdą. „Przez solidarność” – mówiła. Ale nie tylko. Po ulicach kręciło się wielu zbirów, a widok Żyda z nie-Żydówką u boku był jak proszenie się o kłopoty.

Potem nadeszło pierwsze wiosenne ciepło, a wraz z nim obudziła się nadzieja na rychły koniec wojny, na normalność, trochę życia. Rzeczywistość jednak szybko położyła jej kres. W maju poddały się Holandia, Belgia i Norwegia. Armia brytyjska wycofała się po miażdżącej klęsce pod Dunkierką i zaledwie kilka dni później na Polach

Elizejskich rozbrzmiało echo marszowych kroków wystukiwanych przez żołnierzy Wehrmachtu, nad którymi łopotały flagi ze swastyką. Choć to wszystko działo się daleko od Polski, Irena zdawała sobie sprawę, że wydarzenia te okażą się brzemiennie w konsekwencje dla niej i dla jej kraju. W toczącej się wojnie wszystko było ze sobą powiązane. To, co działo się w Paryżu czy Dunkierce, wpływało bezpośrednio na jej życie w Warszawie.

Mimo że naprawiono główne ulice i wyremontowano najważniejsze gmachy zbombardowanego miasta, a po bruku turkotały konne dorożki i na placach oraz chodnikach pojawiły się stoliki w pierwszych otwartych kawiarnianych ogródkach, wystarczyło skręcić w jakikolwiek zburzony zaułek, aby poczuć odór wciąż jeszcze leżących pod gruzami zwłok.

– Masz jakieś wiadomości od Mietka? – spytała Irenę Ewa, gdy siedziały w słońcu na płaskim dachu szpitala żydowskiego. Pracująca tu Ala, którą obie przyszły odwiedzić, miała właśnie przerwę obiadową.

– Tak – rzekła z westchnieniem Irena. – Od czasu do czasu pisze do mnie kilka linijek. Nadal jest w tym samym obozie jenieckim w Niemczech. Ciężko pracuje, ale przynajmniej jest zdrowy. Nie wiadomo, kiedy go wypuszczą.

– Cieszę się, że nic mu nie jest – powiedziała Ewa. – Ale jeśli chodzi o nas tutaj... mam wrażenie, jakby nad wszystkim zalegało fałszywe światło. Coś brzydkiego. Nie wiem, jak to inaczej opisać. – Brązowe oczy Ewy kryły się za ciemnymi szklami okularów przeciwsłonecznych.

Irena przyjrzała się jej w zadumie. Nie mogła się nadziwić, jak bardzo atrakcyjnie wygląda jej przyjaciółka nawet w powszedni dzień. Choć był dopiero koniec maja, jej twarz i ramiona nosiły już ślad pierwszej opalenizny, blond włosy miała zgrabnie upięte z tyłu, a jasnoniebieska bluzka leżała na niej wręcz idealnie. Ala natomiast

bardziej przypominała ją samą. Była ładna, lecz najwyraźniej nie poświęcała dużo czasu ani fryzurze, ani strojowi.

– Chyba rozumiem, co chciałaś powiedzieć – odezwała się po chwili Ala. – Czasami mam poczucie, jakby istniały dwie rzeczywistości. Jedna, którą znamy i wciąż jeszcze widzimy, ale jakby w tle. I druga, nowa, która nałożyła się na tę pierwszą jak szablon. Niby jest podobna i udaje przed nami normalność, obie jednak nie do końca się pokrywają, a kiedy próbujesz wyciągnąć po coś rękę, te dwie rzeczywistości się rozjeżdżają i w końcu nie wiesz, co masz chwycić. Na przykład teraz – dodała, dostrzegając, że Ewa chce coś powiedzieć. – Siedzimy sobie podczas przerwy obiadowej, jemy kanapki i opalamy się w słońcu, z ulicy dobiega skrzypienie tramwaju. Jest tak, jak było zawsze. Rok temu i jeszcze wcześniej. Ale kiedy za pół godziny zejdem na dół, zobacze samych chorych na tyfus. I to wcale nie jest przypadek. W całym mieście roi się od głodujących i bezdomnych uchodźców. Niemcy od miesięcy gadają o groźbie wybuchu epidemii, a mimo to stworzyli idealne warunki, aby ją wywołać.

– Wiem, co masz na myśli! – wykrzyknęła Ewa. – Czasami, kiedy idę ulicą, niby wszystko jest jak dawniej – otwarte sklepy, ludzie z torbami na zakupy, i raptem staję przed drutem kolczastym. To ogrodzenie jest od miesięcy, a mimo to zapominam, że istnieje.

Zaległa cisza. Ewa poruszyła bolesny temat.

– W Łodzi Niemcy kilka tygodni temu założyli żydowskie getto – powiedziała cicho Irena. – Zamknięte.

Ewa energicznym ruchem zdjęła okulary przeciwsłoneczne z nosa.

– Słyszałam, ale tu nie mogą tego zrobić. Nie w Warszawie. Tutejsza gmina żydowska jest za duża. To ponad trzysta tysięcy ludzi. Całkowicie nie do pomyślenia. I niby gdzie miałyby się znaleźć to getto? Przecież

zajęłoby połowę miasta. Zwłaszcza że cała masa Żydów wcale nie mieszka w dzielnicy żydowskiej, tylko są rozsiani po całej Warszawie.

– Zasadniczo masz rację – stwierdziła Ala z namysłem, wygładzając papier, w który owinięta była jej kanapka. – Chociaż wczoraj widziałam ludzi budujących mur. Według mnie to byli żydowscy robotnicy przymusowi. A mur? No właśnie: po co mur?

Ewa utkwiała wzrok w Ali.

– Chyba nie wierzysz, że otoczą murem dzielnicę żydowską? I to na dodatek wzniesionym rękami żydowskich robotników? To byłoby... –

Ewa szukała odpowiedniego słowa. – To byłoby... niedorzeczne. Nie, kochana – dodała, wkładając z powrotem okulary i kręcąc głową. – Nie ma ku temu żadnego powodu. Mówię wam: nie zrobią tego!



Rozdział 9

Doktor Lambrecht? Standartenführer Schön? Proszę siadać, panowie.

Ludwig Fischer wskazał doktorowi Lambrechtowi i Standartenführerowi Schönowi fotele dla gości w swoim obszernym gabinecie w pałacu Brühla. Z przyjemnością przesiadł się zza biurka na kanapę w mniej oficjalnej części pomieszczenia. Pocił się w mundurze, poza tym za dużo zjadł na obiad. Kieliszek alkoholu na pewno zbawiennie podziałałby na trawienie, ale kwestia, którą mieli rozstrzygnąć, była zbyt złożona. Getto – tak czy nie, gdzie i kiedy? Dlaczego najwyższe dowództwo nie mogło dać jasnych wytycznych? Czy wszystko musi zależeć od niego w tym znenawidzonym mieście? Zazdrościł kolegom wysłanym do Francji. Paryż nie był w ogóle zniszczony, a Francuzi to w końcu całkiem cywilizowany ludek, no i przede wszystkim mają dobre wino i świetną kuchnię.

– Panowie – zaczął, kiedy obaj goście zajęli miejsca. – Jak wszyscy wiemy, od września istnieje oficjalne zalecenie naszego SS-Obergruppenführera Reinharda Heydricha, aby możliwie jak najszybciej skoncentrować Żydów w gettach w celu zwiększenia naszej kontroli i ułatwienia ewentualnych deportacji. Niestety, od tamtego czasu nie

otrzymaliśmy żadnych konkretnych instrukcji z góry. Jesteśmy więc zdani na siebie. – Sięgnąwszy do kołnierza munduru, lekko go rozluźnił, oparł się jednak pokusie i nie odpiął górnego guzika.

– Standartenführer Schön – zwrócił się do szefa wydziału wysiedleńczego. – Mam nadzieję, że są postępy.

– Tak jest, panie gubernatorze – odparł z werwą Waldemar Schön. – Przypominam cele gettoizacji: po pierwsze przestrzenna koncentracja Żydów i tym samym całkowita ich kontrola. Po drugie zapobieganie rozprzestrzenianiu się chorób przenoszonych przez Żydów. Po trzecie usunięcie żydowskiej skazy z aryjskiej przestrzeni życiowej.

– Znamy to, znamy – rzucił szorstko Fischer, na co Schön przerwał raptownie, nie kryjąc zaskoczenia. Gubernator podniósł ze stolika papierową teczkę i zaczął się nią wachlować. – Bez obrazy, Schön – rzekł – ale niech pan nam powie tylko to, czego jeszcze nie wiemy.

– Naturalnie. – Schön usiadł wyprostowany jak struna. – Dla realizacji wymienionych powyżej celów proponuję utworzenie dwóch gett na przedmieściach Warszawy. W ten sposób nie tylko uwolnimy ludność aryjską od żydowskiego piętna, ale upiększymy też wizerunek miasta. Centrum Warszawy będzie wolne od Żydów. Na obu przedmieściach nie brakuje miejsca do dyspozycji. Baraki można by postawić przy minimalnym wysiłku, a...

– A termin? – przerwał mu oschle Fischer.

– Od czterech do pięciu miesięcy.

– Wykluczone! – Arnold Lambrecht, naczelny lekarz dystryktu warszawskiego, gwałtownie potrząsnął głową. – Miałem przyjemność rozmawiać już na ten temat z szanownym Standartenführerem Schönem – zwrócił się do Fischera. – Teraz, gdy nasza kampania we Francji zakończyła się takim sukcesem, coraz liczniejsze oddziały będą ściągane

na Wschód. Odpowiadamy za zdrowie naszych żołnierzy. Nie wolno nam dopuścić do tego, aby żydowska szarańcza zatrąła niemiecką armię chorobami, do czego mogłoby dojść, gdybyśmy pozostawili ją na wolności. Cztery, pięć miesięcy? Tyle czasu nie mamy. Poza tym to wymagałoby przesiedlenia około sześciuset tysięcy ludzi. Żydów i Polaków. To zbyt wielki wysiłek.

– Hm – mruknął Fischer, rzucając teczkę, którą się wachlował, z powrotem na stół. – Trzeba rozwiązać ten irytujący problem przy jak najmniejszym nakładzie czasu i kosztów. Jakież alternatywne propozycje?

Na twarzy Schöna malowało się wyraźne rozczarowanie, lecz szybko się opanował.

– A więc – zaczął, otwierając drugi segregator – moglibyśmy także utworzyć getto, które obejmowałoby już istniejącą dzielnicę żydowską. Oczywiście w niej również mieszkają nie sami Żydzi, ale i Polacy, lecz to rozwiązanie wymagałoby przesiedlenia mniejszej liczby osób. Pytanie tylko, ile miejsca chcemy pozostawić Żydom w centrum Warszawy.

– Rzecz jasna, jak najmniej.

Schön się uśmiechnął.

– Tak myślałem. Pozwoli pan, gubernatorze? – Wyjąwszy z segregatora plan miasta, rozłożył go na stole.

Fischer wstał i obaj pochylili się nad mapą.

– Według moich obliczeń można by to urządzić tak: na zaznaczonym obszarze znajduje się około dwudziestu siedmiu tysięcy mieszkań liczących średnio po dwa i pół pokoju. Tę część miasta w większości zamieszkują Żydzi, ale jest też osiemdziesiąt tysięcy Polaków, którzy musieliby się stamtąd wynieść. Poza tą strefą żyje sto czterdzieści tysięcy Żydów i oni się do niej przeprowadzą.

– Osiemdziesiąt tysięcy ubędzie i sto czterdzieści tysięcy przybędzie. Ten rachunek chyba nie do końca się zgadza – zauważył Lambrecht z ironicznym uśmiechem.

Waldemar Schön obrócił się ku niemu lekko rozdrażniony, ale gdy zobaczył twarz doktora, zaraz się odprężył.

– To nie była krytyka z mojej strony, drogi panie – wyjaśnił Lambrecht, unosząc ręce. – Mnie wszystko odpowiada. Najważniejsze, żeby jak najszybciej wziąć te wszy pod klucz.

– Czy to realne? – spytał krótko Fischer.

– Nie będą mieli innego wyboru jak tylko dzielić pokoje. W niektórych miejscach wznieśliśmy już mury, żeby regulować napływ. Naturalnie trzeba zbudować kolejne. Ale w końcu do czego mamy robotników przymusowych? Więc nie poniesiemy prawie żadnych kosztów.

Fischer pokiwał głową w zamyśleniu.

– Otóż to, koszty. Dochodzimy do kwestii finansowej. Jeśli zamkniemy getto, przeważająca część Żydów straci pracę po aryjskiej stronie.

– To również wziąłem pod uwagę – oznajmił z dumą Waldemar Schön. – Oczywiście musimy zachować kontrolę nad dostawami żywności do getta. Najlepiej byłoby powołać w tym celu swego rodzaju komórkę transferową, która będzie odpowiedzialna wyłącznie za to, co zostanie dostarczone na teren getta. Sugeruję zmniejszenie racji żywnościowych, na początek proponuję około czterystu kalorii na Żyda dziennie. Dzięki temu koszty pozostaną niewygórowane.

– Doktorze Lambrecht? – Fischer spojrzał pytająco na naczelnego lekarza dystryktu warszawskiego.

– Nie mam zastrzeżeń.

Gubernator uśmiechnął się z ulgą.

– Świetnie, czyli problem rozwiązany. – Rozpiął górny guzik munduru. Wreszcie będzie mógł sobie pozwolić na kieliszek koniaku. Ale sam.



Rozdział 10

Ostatnie tygodnie były zastanawiająco spokojne, jakby po kapitulacji Francji świat wstrzymał oddech, zdezorientowany i niepewny, co wydarzy się dalej. Mieszkańcy Warszawy zapadli latem w rodzaj głębokiego snu. Oswojono się z nowymi zakazami, z racjonowaniem żywności, wieczorną godziną policyjną. Rząd polski przebywał na uchodźstwie w Londynie, a w stolicy mówiono po cichu o powstającym podziemnym ruchu oporu. Na powierzchni jednak nic się nie działo.

Od utworzenia getta łódzkiego minęło kilka miesięcy. I z każdym kolejnym rosła pewność, że Niemcy nie planują niczego podobnego w Warszawie. Ewa miała rację. Stołeczna gmina żydowska była po prostu za duża. A tych kilka zasieków z drutu kolczastego, które odgradzały dzielnicę żydowską jako obszar zamknięty z powodu zarazy, można było z rozmysłem „przeoczyć”. Właśnie o tym myślała Irena, gdy w jesienny poranek jechała do pracy, ale na placu tuż przed Wydziałem Opieki Społecznej i Zdrowia Publicznego zdziwiona zeskoczyła z roweru. Samochody i dorożki stały. Szyby w autach osobowych były opuszczone, ludzie wychylali się na zewnątrz, a niektórzy nawet wysiedli. W pierwszej chwili Irena nie miała pojęcia, o co chodzi. Czy

coś się stało? Zdarzył się wypadek? Potem, w ciszy zalegającej wokół, usłyszała zniekształcony głos dobiegający z głośnika.

– *...przeprowadzka Żydów musi zostać sfinalizowana do końca października. Rozporządzenie doktora Ludwiga Fischera, gubernatora dystryktu warszawskiego.*

W głośniku zatrzeszczało. Co za przeprowadzka? Dłoń Ireny zacisnęła się kurczowo na kierownicy roweru. Donośny głos kontynuował:

– *Mieszkańcy Warszawy! Wszyscy Żydzi mieszkający poza dzielnicą żydowską muszą opuścić swoje domy i przenieść się do wyznaczonej strefy mieszkaniowej. Wolno zabrać tylko tyle, ile da się przenieść w rękach lub przewieźć ręcznym wózkiem. Resztę należy pozostawić. Wyniesienie się z dzielnicy żydowskiej wszystkich Polaków musi dobiec końca do 31 października. Zarządzenie doktora Ludwiga Fischera, gubernatora dystryktu warszawskiego.*

Podczas kolejnej pauzy rozległy się klaksony samochodów wjeżdżających na plac od tyłu. Kto usłyszał ogłoszenie, robił miejsce innym. Po kolei uruchamiano auta. Kiedy Irena próbowała wsiąść na rower, niemal straciła równowagę. Trzęsły się jej ręce. Przycisnęła dłonie do zimnej twarzy i potarła policzki, jakby usiłowała obudzić się ze snu. Adam – to była jej pierwsza myśl. Ewa. Ala.

Zacisnąwszy zęby, ruszyła przed siebie. Kiedy w urzędzie otworzyła drzwi do swojego pokoju, zastała w nim Irkę, Jankę i Jagę. Wszystkie były blade.

– Już wiemy – powiedziała Jaga. – Rozmawiałam z Janem Dobraczyńskim. Dostał oficjalną informację. Zobacz.

Irena upuściła torbę na podłogę i przebiegła wzrokiem pismo, które podała Jaga. Nazwy dobrze znanych jej ulic. Wiele z nich już teraz

należało do dzielnicy żydowskiej, inne znajdowały się dotąd poza nią. Mimo to był to mały teren.

– To niemożliwe – wymamrotała, po czym spojrzała na koleżanki. – Na takim obszarze nie pomieści się nawet sto tysięcy ludzi. Na wielu ulicach są tylko małe domy robotnicze bez wody i prądu. To po prostu czysto matematycznie niemożliwe. – Szukała w oczach koleżanek potwierdzenia. Czegokolwiek, co zadałoby kłam temu, co usłyszała. Ale nie dostrzegła w nich nic.

W następnych tygodniach w mieście zapanowała panika. Ludzie biegali jak opętani, mieli zapłakane, zacięte lub obojętne twarze. Setki tysięcy osób musiały w ciągu kilku tygodni „zamienić” mieszkania. Ale liczba obywateli żydowskich, którzy powinni przenieść się do nowej dzielnicy, wielokrotnie przewyższała liczbę Polaków, którym nakazano się z niej wyprowadzić. Zrozpaczeni ludzie desperacko szukali jakiegokolwiek schronienia. Kogo było na to stać, znajdował mieszkanie w nielicznych porządnym domach klasy średniej w okolicy ulicy Siennej, podczas gdy setki tysięcy osób zadowalały się byle czym.

Już po kilku dniach stało się jasne, że nie ma miejsca dla wszystkich. Całe rodziny prowadziły wojny o pojedyncze pokoje w przepełnionych do granic mieszkaniach. Wysokość czynszu strzeliła w górę. Z podwórzy dobiegały krzyki i płacz. Groźba ewentualnego braku dachu nad głową doprowadzała do tego, że ludzie odchodzili od zmysłów. Na dodatek granice nowej „dzielnicy mieszkaniowej” nieustannie się zmieniały. Ulice pierwotnie przynależne do niej ponownie dodawano do strony polskiej i odwrotnie. Mieszkańcy, którzy właśnie się przenieśli, musieli zaczynać wszystko od początku i na nowo szukać schronienia.

Ci, którzy cokolwiek znaleźli, wlekli ulicami swój skromny dobytek w walizkach i tobołkach. Wszędzie widać było całe rodziny ciągnące za sobą wózki wyładowane sprzętami domowymi. Mimo jeszcze łagodnej

temperatury każdy miał na sobie kilka warstw ubrań. Ludzie starali się zabrać wszystko, co tylko się dało. Jeszcze jedną parę majtek, dodatkową koszulę. Dzieci szły w butach rodziców, które włożyły na swoje buty, a na ich milczących twarzach malowało się zagubienie. Starzy i chorzy z plecakami na plecach usiłowali nadążyć za młodymi. Wszyscy znaleźli się na wygnaniu we własnym mieście i nawet nie wiedzieli dlaczego.

Irena wciąż miała przed oczami te obrazy, kiedy późnym popołudniem siedziała w swoim pokoju w urzędzie i porządkowała ostatnie papiery na biurku. Za godzinę była umówiona z Adamem na obejrzenie mieszkania, które on i jego matka prawdopodobnie będą mogli wynająć.

Rozległo się krótkie pukanie i drzwi pokoju otworzyły się szeroko. Zaskoczona Irena podniosła wzrok i od razu się uśmiechnęła.

– Maria, co tu robisz?

Maria Palester była szczupłą kobietą o ciemnych krótkich włosach i pięknie zarysowanych brwiach. Razem z mężem wiele lat temu przeszła na judaizm i od kilku miesięcy udzielała się w stworzonej przez Irenę kreatywnej siatce wsparcia.

– Pewnie zamierzałaś już wyjść? – spytała.

Irena potaknęła.

– Jestem umówiona z Adamem. Mamy obejrzeć mieszkanie. Jego matka ciągle nie chce przyjąć przeprowadzki do wiadomości. Wypiera rzeczywistość, a ja nie chcę, żeby on chodził po mieście sam.

– Jak przystało na dobrą przyjaciółkę. – Maria uśmiechnęła się zagadkowo, Irena zaś zarumieniła się lekko.

– A wy? – spytała szybko. – Ostatnio wspominałaś, że macie coś na oku.

Maria wyjrzała na korytarz, następnie zamknęła drzwi pokoju i podeszła do Ireny.

– Zmieniliśmy zdanie – powiedziała cicho.

Irena pytająco uniosła brwi.

– Nigdzie się nie wybieramy – oznajmiła Maria. – Henryk i ja wciąż mamy nasze katolickie metryki i akty chrztu, a nikt z sąsiadów nie wie, że zmieniliśmy wyznanie. Postanowiliśmy więc zaryzykować i przeczekać wszystko w naszym mieszkaniu.

Irena pokiwała głową w zadumie.

– Rozumiem was. Ale to dosyć ryzykowne.

– Chyba nie bardziej niż przeniesienie się do getta. – Maria mimo woli podniosła głos, szybko jednak się zreflektowała. – Jeśli dopisze nam szczęście, jakoś prześlizgniemy się przez oczka sieci z naszymi oryginalnymi dokumentami. Wiem, wiem, na razie nic się nie mówi o zamknięciu getta. Rzekomo chodzi tylko o izolację jego terenu z powodu groźby epidemii. Ale jakoś nie potrafię pozbyć się wrażenia, że to jest zaledwie pierwszy krok. W zeszłym roku przeprowadzili spis ludności, od którego ja i Henryk szczęśliwie się wywinęliśmy. A teraz te mury. Co będzie następne? Uwierz mi, kiedy teraz będą mieli wszystkich Żydów w jednym miejscu, to dopiero się zacznie. Getto to pułapka.

Irena poczuła się tak, jakby dostała pięścią w żołądek. Maria powiedziała dokładnie to, czego ona sama się obawiała.

Gdy niedługo później Irena weszła z Adamem do obcego mieszkania, miała tak jak on kamienny wyraz twarzy. Dobra wiadomość była taka, że on i matka nie będą musieli z nikim go dzielić. Ale to wszystko. Podeszła do okna.

– Nie najgorszy widok. – Szybko ugryzła się w język. Jakby Adam przeprowadzał się tutaj dla lepszego widoku. Stał na środku pokoju

i nawet nie rozglądał się po nim. – Co u twojej mamy? – Irena zmieniła temat.

Wzruszył ramionami.

– Wszystko pozostawia mnie. Chociaż wczoraj powiedziała nagle, że cała ta sytuacja ma też dobrą stronę. Bo w naszej własnej, żydowskiej dzielnicy będziemy nawet bezpieczniejsi przed ciągłymi atakami Niemców i bandytów. Oby miała rację. Koniec ze sklepami i kawiarniami, do których nie wolno nam wejść, a dopóki bramy pozostaną otwarte, może to rzeczywiście będzie tylko przeprowadzka.

Jego ostatnie słowa brzmiały mało przekonująco. Irena nie miała wątpliwości, że on sam nie wierzy w to, co mówi. Apatycznie podszedł do szafy w ścianie i ją otworzył. Brakowało półek. Na dole leżała jedna skarpetka. Irena zbliżyła się do Adama od tyłu i dotknęła jego ramienia.

– Posłuchaj, ja...

– To jest absurdalne – rzucił, nie oglądając się za siebie. – Absurdalne, że przez cały czas muszę myśleć, czy potem będę mógł cię jeszcze widywać. To znaczy, kiedy zamkną getto. Wtedy ja będę tkwił tutaj, a ty zostaniesz za murami. Jakby to było teraz moim głównym zmartwieniem. Ja...

Delikatnie, ale zdecydowanie Irena obróciła go, na co on przyciągnął ją ku sobie i mocno objął. Jej głowa spoczęła na jego ramieniu. Ciało Adama promieniowało ciepłem, lecz w jego uścisku nie było czułości. Irena wyczuwała w nim desperację.

– Henryk i Maria chcą zostać po drugiej stronie – szepnęła. – I ukryć się na widoku, na oczach wszystkich. Mają jeszcze poprzednie akty chrztu i spróbują załatwić fałszywki dla dzieci. Może wy też zrobilibyście coś podobnego? Mogłabym wam pomóc zdobyć nowe

papiery. Co prawda na razie nie wiem jak, ale na pewno dałabym radę. Maria uważa, że getto to pułapka, i ja też jestem tego zdania...

– Ireno, przestań! – Adam szarpnięciem uwolnił się od niej i cofnął o krok. Jego głos był szorstki, ale widząc jej wystraszone oczy, przybrał łagodniejszy wyraz twarzy. Znowu podszedł do niej i przez chwilę wydawało się, że chce ją przytulić, w końcu jednak tylko powiedział: – Moja mama nigdy by się na to nie zdobyła. Nie umiałyby udawać, nie wytrzymałyby tych wszystkich kontroli. Do tego trzeba mieć nerwy ze stali. Znasz ją. To byłoby ponad jej siły. A nie mogę zostawić jej samej.

Irena przełknęła ślinę. Doskonale go rozumiała. Mimo to w jej głowie wciąż nie milkł głos: getto to pułapka. Pułapka. Pułapka.

Termin przeprowadzki do żydowskiej dzielnicy mieszkaniowej został przedłużony. Ludzie mieli czas do 15 listopada. Wielu pozostało w swoich starych mieszkaniach do samego końca, żywiąc nieokreśloną nadzieję na dalsze przedłużenie. Inni postawili wszystko na jedną kartę. Przecież nie sposób, aby przy ponad trzystu pięćdziesięciu tysiącach ludzi Niemcom udało się sprawdzić każdą rodzinę z osobna. A jednak. W dniach poprzedzających upływ terminu odgłos wojskowych butów odbijał się echem w setkach klatek schodowych, przez okna wyrzucano na ulice meble, wywlekano z domów za włosy starców i kobiety. Zwykle dawano nie więcej niż pół godziny na zebranie paru rzeczy, a potem pędzono ludzi do dzielnicy żydowskiej, gdzie nie mieli dachu nad głową.

Irena odwiedzała Adama, Ewę i Alę codziennie. Ostatecznie bramy stały otworem i nigdzie nie było widać ani niemieckich żołnierzy, ani polskiej policji. Polscy dostawcy przywozili do dzielnicy żydowskiej warzywa i mięso, a mieszkańcy bez przeszkód przechodzili co rano na drugą stronę muru do pracy. Na „stronę aryjską”, jak nazywano teraz świat poza gettem, co też było mylące, ponieważ Polacy nie byli

bynajmniej dla Niemców równorzędnymi Aryjczykami, tylko co najwyżej trochę lepszą wersją podludzi.

Potem przyszedł 16 listopada. Przenikliwie zimno mimo wspaniałego słońca. Irena wskoczyła na rower i rozkoszowała się lodowatym wiatrem na rozgrzanej twarzy. Chciała wstąpić po Adama i Ewę, może napić się z nimi kawy lub raczej... Zahamowała raptownie. Przy bramie getta stali niemieccy żołnierze i polscy policjanci oraz kilku młodych mężczyzn z nowo utworzonej Żydowskiej Służby Porządkowej, która miała przejąć na terenie dzielnicy obowiązki policji. Po drugiej stronie bramy Irena dostrzegła gromadę ludzi. Krzyczano coraz głośniej, ale ona nie była w stanie nic zrozumieć. Poczwała, jak przyspieszył jej puls. Szybko przepchnęła się z rowerem przez ostatnie metry dzielące ją od bramy.

– Chciałabym tylko odwiedzić przyjaciółkę!

– Mój piekarz jest zaraz za rogiem. Kupię co trzeba i od razu wrócę.

Ludzie przekrzykiwali się jeden przez drugiego.

– Co tu się dzieje? – zwróciła się Irena do polskiego policjanta w granatowym mundurze. – Dlaczego nikogo stamtąd nie wypuszczacie?

– Zamknięte! – powiedział beznamiętnie, nawet nie patrząc na nią.

– Zamknięte? Ale dlaczego? – spytała, chociaż jednocześnie zdawała sobie sprawę, że pytanie o „dlaczego” już dawno stało się bezcelowe. Niemcy nie potrzebowali żadnych uzasadnień dla tego, co robili.

– Paniusiu – odezwał się policjant takim tonem, jakby Irena była niespełna rozumu. – To jest obszar zamknięty ze względu na ryzyko zarazy. Jaki sens miałyby dzielnica żydowska, gdyby każdy mógł wchodzić i wychodzić, kiedy mu się żywnie podoba, i roznosić swoje wszy i choroby? Dlatego teraz oni zostaną tam, za murami. Tak będzie najlepiej dla nas wszystkich.

– Ale ja muszę wejść – rzuciła Irena. – Jestem umówiona.

Policjant udawał głuchego. Nagle po drugiej stronie mignęły jej twarze Ewy i Adama. Ewa miała zaczerwienione policzki, a ze spinki wysunęło się pasmo jasnych włosów i opadło na lewy policzek. Chyba musiała biec. Irena uchwyciła spojrzenie Adama i przez kilka sekund stali tak naprzeciw siebie. Jego twarz wydawała się spokojna. Zbyt spokojna. Potem jego rysy się zmieniły. Nagle odwrócił się na pięcie i zniknął.

– Adam! – krzyknęła Irena. – Adam, poczekaj! – Ale on szedł dalej.

– Irena! – Ewa usłyszawszy jej głos, przepchnęła się do przodu. Ponad szeregiem policjantów udało im się obu zamienić kilka słów.

Kiedy niemieccy żołnierze zaczęli odpychać tłum, Irena otworzyła plecak i osłupiałemu polskiemu policjantowi wcisnęła butelkę soku jabłkowego domowej roboty.

– To jest dla tej kobiety, tam, z przodu, widzi pan?

Dopiero teraz mężczyzna ją rozpoznał. Pokręcił głową.

– Pani to ma nerwy. – Ruszył jednak z miejsca.

Następny tydzień minął jak w gorączce. Wciąż utrzymywała się ładna pogoda, ale Irenę niewiele to obchodziło. Maria miała rację: getto było pułapką, która właśnie się zatrzasnęła. Chociaż osoby pracujące poza jego terenem co rano prowadzono w kolumnach na aryjską stronę, a wieczorem z powrotem otwierano dla nich bramę. Wśród nich znajdowała się też Ala zatrudniona w szpitalu żydowskim, który nadal pozostawał poza murami getta. Dzięki temu Irena miała okazję kilkakrotnie z nią rozmawiać i dowiedzieć się od niej najważniejszych rzeczy o Ewie, Adamie i swoich najbardziej potrzebujących podopiecznych. Były to krótkie i nerwowe wymiany zdań, podczas gdy Ala, stojąc w kolejce przed bramą getta, czekała, aż ci przed nią przejdą kontrolę i zostaną wpuszczeni za mur.

– Przynieś mi trochę maści na rany – szepnęła podczas ich ostatniego spotkania. – Rodzina Krolów potrzebuje jej pilnie, a nie ma na nic pieniędzy.

Zdobycie maści nie stanowiło problemu. Mimo to kiedy następnego dnia rano Irena weszła do biura, była w fatalnym nastroju. Od wielu dni prawie nie spała, a karuzela myśli w głowie kręciła się wokół jednego pytania: jak załatwić sobie wstęp do getta?

Jej rozmyślania przerwały mocno wybijane kroki wojskowych butów na schodach urzędu. Drzwi w korytarzu uderzyły o ścianę.

– Kontrola! Kontrola! – rozlegało się po niemiecku raz po raz.

Zanim Irena zdążyła wstać, również jej drzwi gwałtownie się otworzyły na oścież.

– Jaki jest pani zakres obowiązków? – warknął do niej Niemiec w mundurze.

Irena domyśliła się, o co chodzi.

– *Soup kitchen*. – To jedyne, co przyszło jej do głowy po angielsku.

Wojskowy chwycił kilka segregatorów i zniknął na korytarzu. Wyglądało na to, że w innych pokojach odbywa się to samo. Irena podeszła do drzwi, ale któryś z mundurowych dał jej do zrozumienia, że ma pozostać u siebie, i zatrzasnął jej drzwi przed nosem. Przez następną godzinę nic się nie wydarzyło. Później znowu rozległy się energiczne kroki na schodach. Tuż potem do jej pokoju wpadła Irka.

– Co się właściwie dzieje? – spytała Irena.

– Ogólna kontrola naszych działań – syknęła Irka. – Rozmawiałam z Rosą. Była przy nich przez cały czas, bo mówi po niemiecku. Niemcy poznosili wszystkie dokumenty do gabinetu Dobraczyńskiego i zadawali tysiące pytań, ale według niej tak naprawdę chyba nie wiedzą, czego

szukają. Prawdopodobnie to tylko próba zastraszenia, żeby przypadkiem nie przyszły nam żadne głupie pomysły do głowy. – Przez chwilę znacząco popatrzyły na siebie nawzajem. W końcu Irka bąknęła: – Teraz zostawili tylko jednego człowieka. Po przerwie obiadowej wróci cała reszta.

I rzeczywiście. Kilkadziesiąt minut później Niemcy pojawili się znowu. Godziny mijały w pełnej napięcia ciszy. Irena przekładała sterty formularzy z jednej strony stołu na drugą, nie czytając ani jednej kartki.

Spojrzała na zegarek. Jeśli chciała podać lekarstwa Ali, powinna wkrótce wyjść, jednak bała się opuścić biuro. Jej teczki wciąż jeszcze leżały w gabinecie szefa. Czyżby Niemcy coś odkryli? Ale wtedy na pewno przyszliby do niej. A jeśli szef się zorientuje, że naciągają przepisy? Prawdopodobnie od razu by je wyrzucił. Policzyła szybko w myślach, jak długo byłaby w stanie utrzymać mieszkanie bez pensji. Dwa miesiące? Trzy? Potem wylądowałaby na ulicy. Nie tylko ona, ale także jej chora na serce matka.

Zmusiła się do zachowania spokoju. Większość koleżanek odebrała już swoje dokumenty od Dobraczyńskiego, tylko ona siedziała jak wrośnięta w krzesło za biurkiem. Zegar na ścianie wskazywał wpół do szóstej. Albo natychmiast pójdzie po teczki... albo spotka się z Alą, nie mając pewności, jaka jest jej sytuacja. Zdeterminowana wstała i zapukała do drzwi szefa. Rozległo się burkliwe „Wejść!”. Kiedy weszła do środka, on nawet nie podniósł na nią wzroku. Skinięciem głowy wskazał stertę segregatorów. Irena chwyciła je wszystkie i ruszyła do drzwi.

– Pani Sendler?

Zatrzymała się.

– Zdaje się, że przybyło nam sporo rodzin, zwłaszcza takich z ciężkimi przypadkami tyfusu i innymi chorobami zakaźnymi.

– Tak, sytuacja jest rzeczywiście poważna. – Irena była zdumiona stanowczym brzmieniem własnego głosu, a gdy na chwilę zaległa cisza, dzielnie wytrzymała spojrzenie przełożonego.

– Co dziwne, Niemcy nie mieli zarejestrowanej ani jednej z tych rodzin na swojej liście zameldowanych mieszkańców – kontynuował Dobraczyński.

Irena poczuła, jak coś w niej zamiera. Daj spokój, poradzisz sobie, pomyślała i uśmiechnęła się przepraszająco.

– Tak, wiem. Oni wszyscy są uchodźcami i nie zostali jeszcze zarejestrowani. Czasami potrzeby są tak ogromne, że musimy udzielić pomocy przed dopełnieniem wszelkich formalności.

Dobraczyński przyjrzał się jej wnikliwie.

Przecież on nie jest głupi, pomyślała. Przejrzał mnie. Jest prawicowcem i żarliwym katolikiem, który nigdy nie robił tajemnicy z tego, że nie lubi Żydów. Już widziała siebie, jak w domu przy kuchennym stole wyznaje mamie, że została zwolniona.

– No właśnie, dokładnie to powiedziałem tym gościom w oficerkach – odezwał się w końcu Dobraczyński. – Nie byli zachwyceni, ale w obliczu chaosu ostatnich miesięcy niewiele mogą zrobić. Pracujemy, jak nam warunki pozwalają.

Irena z trudem zachowała obojętny wyraz twarzy.

– Skoro pan tak mówi.

– Życzę pani udanego wieczoru! – Jej szef znowu skupił się na swoich dokumentach.



Rozdział 11

Irena zdążyła dotrzeć do bramy getta, by podać Ali lekarstwa. Spotykały się tam co wieczór. Czasami był z Alą także jej kolega, lekarz i mikrobiolog Ludwig Hirszfel.

– Początkowo mogłam jeszcze wnosić rzeczy z zewnątrz – szepnęła jej Ala, podczas gdy kolejka czekających przy bramie stopniowo przesuwała się w stronę wachmanów. – Ale robi się coraz gorzej. Wczoraj zabrali mi słodycze, które kupiłam dla córki.

Kiedy Irena spytała o Ewę, usłyszała, że przyjaciółka mocno zaangażowała się w pracę z dziećmi w getcie. Cała Ewa. Próbowwała robić to, co do tej pory.

– Nie jesteś ciekawa, co u Adama? – zagadnęła ją Ala.

– Jestem w stanie sobie wyobrazić, co u niego – odpowiedziała szorstko. Co było prawdą. Ale tylko w połowie. Miała bowiem nadzieję, że Adam przynajmniej od czasu do czasu pokaże się przy bramie, aby się z nią zobaczyć. Wiedział przecież, że przychodziła tu co wieczór, żeby porozmawiać z Alą po jej dyżurze w szpitalu. Tymczasem nie pojawił się ani razu. Irena domyślała się dlaczego. Samo widywanie się, bez możliwości rozmowy, byłoby dla niego upokarzające, a on czułby się jak

zwierzę w klatce. Mimo to każdego dnia na nowo miała nadzieję, że ujrzy jego twarz.

Pewnego wieczoru, gdy razem z Alą stała w kolejce przed bramą, zagadnął ją doktor Hirszfeld. W jednej ręce miał brązowy kuferek lekarski, drugą zaś przytrzymał swój czarny kapelusz, aby nie porwał go wiatr. Silne podmuchy rozwiewały jego siwe włosy na wszystkie strony.

– Słyszałem, że wydawane są przepustki do getta. Tylko dla wykwalifikowanego personelu. Podobno trzeba się zwrócić do Juliusza Majkowskiego, dyrektora Miejskich Zakładów Sanitarnych przy Spokojnej. Więcej nie wiem, ale może warto spróbować.

Oczywiście, że warto było spróbować. Następnego dnia z samego rana Irena udała się na ulicę Spokojną. Sekretarka poprosiła ją, by zaczekała obok gabinetu szefa. Dziesięć minut później w głębi korytarza pojawił się Majkowski. Jego twarz była na wpół ukryta za szalikiem, a kapelusz miał głęboko naciągnięty na czoło.

– Gdyby tak każdego ranka czekała na mnie piękna młoda dama. Proszę wejść, moja sekretarka już mnie uprzedziła.

Irena wstała. Tylko po jego oczach mogła poznać, że uśmiecha się szelmowsko. Usiadłszy w gabinecie na krześle dla gości i odczekawszy, aż on mozolnie uwolni się od zimowego płaszcza i szala, Irena przedstawiła swoją prośbę. Majkowski spojrział na nią z powagą.

– Przepustki wydawane są osobom kontrolującym rozprzestrzenianie się przypadków tyfusu w getcie. A z pani słów wnoszę, że nie jest pani wykwalifikowaną pielęgniarką.

– To prawda – odpowiedziała Irena. – Ale jako pracownica socjalna mam w getcie mnóstwo byłych podopiecznych. Wiele potrzebujących

i częściowo chorych rodzin, którymi w tej sytuacji nie jestem w stanie się opiekować.

Majkowski popatrzył na nią w zadumie.

– Niejeden by się cieszył, że mur uwolnił go od odpowiedzialności. To, o co pani prosi, oznaczałoby dla pani ogromne obciążenie. Co ja mówię! Śmiertelne niebezpieczeństwo! Getto jest zamknięte dopiero od kilku tygodni, ale każdy rozsądny człowiek nie ma wątpliwości, że panujące w nich bieda i ciasnota wcześniej czy później wywołają katastrofę o niespotykanych rozmiarach. Musi być pani tego świadoma.

– Jestem.

Majkowski się uśmiechnął.

– No dobrze, jak pani sobie życzy.

Dziesięć minut później Irena wstała, by się pożegnać. Ale dyrektor zamiast podać jej rękę, obrócił się do szafki i wyjął z niej dwie ampułki.

– Szczepionka Weigla. Sama pani najlepiej wie, kto jej najpilniej potrzebuje.

Irenie zrobiło się gorąco z radości. Wzięła ampułki i uściśnęła jego dłoń.

– Dziękuję – powiedziała.

Zaledwie kilka dni później mogła odebrać nową przepustkę. I nie tylko dla siebie. W przyływie zuchwałej śmiałości poprosiła Majkowskiego o wystawienie ich także dla swoich koleżanek: Jagi, Janki i Irki. Wszystkie trzy nie mogły uwierzyć we własne szczęście.

– Irena to nasza bojowniczką – skostatowała Irka. – Kiedy czegoś chce, zawsze to dostaje.

Gdy Irena chciała niemal natychmiast wypróbować swoją przepustkę, Ala ją ostrzegła. Podobno Niemcy przeprowadzali ostatnio

ostre kontrole. Do getta mogły trafiać wyłącznie lekarstwa, żywność i surowce oficjalnie przydzielone jego mieszkańcom. Kiedy zatem wieczorem mama położyła się spać, Irena przyniosła swój płaszcz. Ostrożnie nadpruła podszewkę pokrywającą ocieplającą watolinę, po czym w kilku miejscach wszyła małe woreczki. Do dwóch z nich wsunęła ampułki ze szczepionką i z powrotem zafastrygowała szew. Następnie włożyła płaszcz, aby sprawdzić rezultat. Nic nie rzucało się w oczy, a ukryte w watolinie torebki były na tyle duże, że od biedy mogły się też nadać do przemycenia większych przedmiotów.

Postanowiła dostarczyć szczepionki Ewie. Przyjaciółka pracowała dla Centosu, Centralnego Towarzystwa Opieki nad Sierotami, polsko-żydowskiego stowarzyszenia pomocy dzieciom. W czasie wolnym opiekowała się także jednym z wielu ognisk młodzieżowych, które powstawały w getcie. W ogniskach tych spotykały się dzieci i młodzież z różnych wspólnot mieszkaniowych, bawiły się, dyskutowały i dodawały sobie nawzajem otuchy. Starsze dzieci opiekowały się młodszymi, których rodzice byli w pracy.

Kiedy następnego dnia Irena stanęła po południu w kolejce przed bramą, musiała bardzo się pilnować, aby nieustannie nie sprawdzać, jak wygląda. Wszystko jest w porządku, powtarzała sobie. Utrata paru kilogramów wagi wreszcie się na coś przydała. Płaszcz był tak luźny, że nikt nie zauważyłby nawet zaszytego w nim bochenka chleba. Mimo to pociła się na grudniowym mrozie, jedynie dłonie miała lodowate. Raz po raz przykładła je do rozpalonych policzków. Nie chciała wyglądać na zdenerwowaną. Odnosiła wrażenie, że akurat dzisiaj ludzie posuwali się do przodu wyjątkowo opieszale. W końcu została przed nią już tylko jedna kobieta.

– Miejsce pracy? – warknął strażnik.

– Pralnia na Towarowej – odpowiedziała kobieta.

– Pokazać torbę!

Gdy kobieta chciała otworzyć torbę z materiału w kwiaty, strażnik chwycił ją i wywrócił do góry dnem. Na ziemię wypadło pudełko na drugie śniadanie. Było puste.

– Podnieść! – ryknął mężczyzna. Kiedy kobieta się schyliła, Irena wstrzymała oddech, widząc, jak spomiędzy zwojów przesuniętego szala wystaje tabliczka czekolady.

– A co my tu mamy? – Wachman z drwiącym uśmiechem sięgnął po nią.

– To dla mojego synka...

– Milczeć! – Odwinął czekoladę z papieru i z lubością odgryzł kawałek.

Jak na komendę zaległa cisza jak makiem zasiał. Gromada czekających w napięciu śledziła każdy ruch strażnika, który wkładał sobie cząstkę po cząstce do ust. Jego koledzy obok przyglądali mu się z rozbawieniem. W końcu palcem zebrał ostatnie okruchy z opakowania. Następnie splunął w nie, zmiął papier i podał kobiecie, która patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Zabierać! – wrzasnął, na co kobieta pospiesznie chwyciła kulkę papieru. – Przechodzić... Następny.

Kwadrans później Irena stanęła przed domem swojej przyjaciółki Ewy przy ulicy Siennej. Wyglądało na to, że strażnik widział podobne przepustki już wcześniej, a ponieważ ona miała puste torby, tylko machnął ręką i kazał iść dalej.

Zamknawszy za sobą ciężkie drewniane drzwi frontowe, poszukała dłonią włącznika światła. Z daleka dobiegały jakieś głosy. To musiały być dzieci. Ewa wspominała, że jej ognisko spotyka się dzisiaj na strychu, gdzie wystarczy miejsca dla wszystkich. Im wyżej Irena

wspinała się po kamiennych schodach, tym wyraźniejsze stawały się głosy.

– Jestem za tym, żeby utworzyć kilka grup – powiedziała dziewczyna z brązowym kucykiem, gdy Irena otworzyła drzwi na strych. Było na nim tak zimno, że podczas mówienia tworzyły się białe obłoczki pary. Niedaleko wejścia stała Ewa oparta o drewnianą skrzynię. Mała dziewczynka o blond włosach objęła jej nogi rączkami i przycisnęła do nich twarz, trzymając kciuk głęboko w buzi. Z szeroko otwartymi oczami przysłuchiwała się starszej koleżance. – Zajęcia z maluchami powinny się odbywać w różnych grupach. Nie zawsze da się zainteresować wszystkich naraz, dlatego trzeba dzieciaki podzielić. Mogłaby na przykład powstać grupa malarska. I grupa gry na flecie, poza tym...

– Zabrałaś flet do getta? – spytał ją równolatek na wpół z niedowierzaniem, na wpół z rozbawieniem. Równocześnie podrapał się demonstracyjnie po głowie, uśmiechnął się i rozejrzał dookoła. Kilko dzieci wybuchnęło śmiechem.

– Zabrałam – odpowiedziała chłodno dziewczyna. – Ale jeśli nie ma wystarczająco dużo fletów, można też śpiewać. Chodzi mi tylko o to, żeby zająć maluchy czymś sensownym, skoro nie ma już dla nich przedszkoli ani szkół. Powinniśmy je wspierać.

Irena podeszła do Ewy. Uściskały się krótko, po czym Irena odpięła płaszcz, z pomocą igły rozluźniła szew i wydobyła ze skrytek ampułki. Ewa ujęła w dłonie jej głowę.

– Jesteś nieoceniona!

– Wspominałaś o dwójce dzieci, których rodzice chorują – szepnęła Irena.

Twarz Ewy spochmurniała.

– Jest dużo więcej osób potrzebujących szczepionki. Ale jej cena to dla większości czysta utopia, pomijając fakt, że aby przeszmyglować ją z za muru, potrzebne są odpowiednie kontakty, a takie mają tylko nieliczni. – Przez chwilę popatrzyła na swoje buty, a potem znowu podniosła wzrok na Irenę. – Wiesz co? Po prostu spytajmy tych, których to bezpośrednio dotyczy.

Irena milczała, tymczasem Ewa już poprosiła dzieci o uwagę i wyjaśniła im powód wizyty przyjaciółki.

– Sami wiecie, jak trudno jest zdobyć szczepionkę przeciw tyfusowi i jak bardzo jest droga – dokończyła. – Ale kto ją dostanie, będzie skutecznie chroniony. Mamy tylko dwie dawki, a ja nie chciałabym nikogo wskazywać. Zdecydujcie sami, która rodzina ma je otrzymać.

Na moment zapadła cisza. Potem Irena usłyszała głos chłopca w czapce z daszkiem, który mógł mieć co najwyżej dwanaście lat.

– Powinniśmy rozdzielić te dwie ampułki między dwie rodziny i w każdej z nich szczepić tylko tatę albo mamę, a nie oboje, bo dzięki temu wystarczy jej nie dla jednej, ale dla dwóch rodzin.

– To dobry pomysł – odezwała się dziewczynka z brązowymi lokami i ciemną cerą. – I najlepiej wybrać rodziny z małymi dziećmi, które nie potrafią jeszcze o siebie zadbać. Może dać je rodzicom Romka i...

Nie zdążyła dokończyć, ponieważ przerwała jej koleżanka.

– Proponuję, żeby dać szczepionki Noahowi i Halinie.

Irena od razu się zorientowała, o kim mówi rudowłosa dziewczynka. O dwóch szczupłych nastolatkach otoczonych czwórką maluchów. Chłopiec o imieniu Noah trzymał na ręce co najwyżej półtorarocznego braciszka.

– Rodzice Noaha już umarli na tyfus, ojciec Haliny jest w obozie pracy, a mama zaginęła – kontynuowała rudowłosa. – Oboje muszą sami

zajmować się rodzeństwem. Jeśli im się coś stanie, maluchy nie będą miały nikogo.

Twarze obojga nastolatków zrobiły się ognistoczerwone. Chyba również ich młodsze rodzeństwo wyczuło, że mowa jest o nich, bo lękliwie przytuliło się mocniej do brata i siostry.

– No dobrze, to zagłosujmy. Kto jest za tym, niech uniesie rękę – powiedziała dziewczyna z brązowym końskim ogonem.

Jedna ręka za drugą poszybowały w górę. Nikt nic nie mówił, nikt się nie uśmiechał. Ewa i Irena wymieniły spojrzenia. Dzieci, z których żadne nie miało więcej niż szesnaście lat, podjęły właśnie bezinteresowną, czysto pragmatyczną decyzję, by chronić najsłabszych spośród nich. Decyzję, której stawką były życie i śmierć i która mogła już jutro dotknąć ich własnych rodziców lub ich samych.



Rozdział 12

Adam Czerniaków, prezes warszawskiego Judenratu, ugniatał swoje czerwone dłonie i nerwowo bawił się spinką w prawym mankiecie koszuli. Wściekłość i irytacja mieszały się z dobrze mu znanym poczuciem bezsilności. Już od kilku godzin tkwił w poczekalni Urzędu Rozrachunkowego, podobnie jak siedział w niej wczoraj i przedwczoraj i nie został przyjęty.

Czerniaków dotkliwie czuł własną niemoc. Gdy powierzono mu urząd prezesa rady żydowskiej, miał jeszcze iskrę nadziei, że jako pośrednikowi między Niemcami a bolączkami i potrzebami gminy żydowskiej uda mu się coś wskórać. Jednak z każdym dniem był coraz bardziej zrozpaczony. Ludzie przychodzili do niego ze skargami, cierpieniami, licząc na pomoc Judenratu. A konkretnie na jego pomoc, no bo kogo innego? Czy Rada nie jest za nich odpowiedzialna? Czy to nie on jest jedynym uznanym partnerem do negocjacji z Niemcami? I robił, co mógł. Raz po raz chodził do władz niemieckich, wysyłał pisma, przedstawiał nieznośne warunki, donosił o niedostatecznym zaopatrzeniu – i wszędzie był odprawiany.

Nastawienie ludzi wobec Judenratu już dawno przerodziło się w nieufność, a wręcz w nienawiść. Zamiast oczekiwanego wsparcia

Niemcy wciąż stawiali nowe żądania, które Rada musiała spełniać, nakładali podatki. Czy jego krytycy mieli rację? Ale co on mógł poradzić? Mógł chodzić do sprawujących władzę, prosić, domagać się, zdzierać gardło – na jego słowa reagowano uśmieszkami.

Minęło kolejne pół godziny. Urząd Rozrachunkowy, który Niemcy utworzyli po zamknięciu getta, zajmował się dostawami do niego artykułów żywnościowych, lekarstw, surowców, materiałów opałowych. Wszystko, co trafiało legalnie w jego mury, przechodziło przez tę instytucję. W niej rozstrzygano, czy zostanie dostarczona partia ziemniaków i w jakiej cenie, ponieważ oczywiście musieli za nie płacić mieszkańcy getta. I najwyraźniej także tutaj decydowano, żeby na jakiś czas wstrzymać dostawy.

– Pan Czerniaków? – Do poczekalni weszła sekretarka w średnim wieku z upiętym sztywno kokiem. – Dyrektor Palfinger ma teraz wolną chwilę.

Kiedy sekretarka się odwróciła, Czerniaków odruchowo przeciągnął dłoń po swojej łysinie. Ten gest pozostał mu z czasów, gdy miał jeszcze włosy. Sięgnął po aktówkę, poprawił okrągłe okulary na nosie i podążył za kobietą, która otworzyła drzwi do gabinetu.

Stojąc przy oknie, Palfinger wskazał mu krzesło przed biurkiem. W przeciwieństwie do innych Niemców nie silił się na fałszywe uśmieszki ani pozorną jowialność. Jak tylko mógł, unikał osobistego kontaktu z Żydami i podobno po każdym spotkaniu otwierał okno, aby przewietrzyć pokój. Czarniaków czuł się zawsze Polakiem. Tutaj był tylko Żydem.

– O co chodzi? – spytał Palfinger bez powitania.

– Panie Palfinger – zaczął Czerniaków. – Przyszedłem, ponieważ chciałbym jeszcze raz zwrócić uwagę na to, że od grudnia do getta nie jest dostarczana żadna żywność. A mamy styczeń. Pod koniec grudnia

obiecał mi pan dostawę, ale nic nie dotarło. Z pewnością chodzi o jakieś...

– To żadne nieporozumienie, Czerniaków. Ani żadne wąskie gardło w dostawach. Zmieniłem zdanie.

– Zmienił pan zdanie? – spytał z konsternacją Czerniaków. – Nie rozumiem, co to ma wspólnego z pańskim zdaniem? W grudniu nie było żadnych dostaw. Ludzie głodują i marzną. Są bardziej podatni na choroby niż kiedykolwiek, śmiertelność wynosi...

– Niech mnie pan, Czerniaków, nie zanudza śmiertelnością – przerwał mu szorstko Palfinger.

– Ale jak ludzie mają żyć?! – wykrzyknął przerażony Czerniaków.

Palfinger uśmiechnął się chytrze.

– Czy pan naprawdę uważa, że my nie wiemy o codziennym szmuglowaniu do getta żywności i innych towarów? Bez względu na to, ilu przemytników rozstrzelamy, wciąż pojawiają się nowi.

– Ale ceny na czarnym rynku są zaporowe. Większości na nic nie stać. Do tego dochodzi ograniczona przestrzeń i ciasnota. Czysze są wysokie i coraz więcej ludzi traci dach nad głową. Sprzedają ostatni zegarek, ostatnie porządne spodnie, a kiedy nie mają już niczego, co mogliby spieniężyć, kończą na ulicy.

– Wysokie czynsze, wysokie ceny czarnorynkowe. Czy to mój problem? – Palfinger obrzucił go surowym spojrzeniem. – Przecież to pan jest prezesem Judenratu. I to pańscy rodacy sprzedają wszystko po wyśrubowanych cenach. Ale wy, Żydzi, tacy jesteście. Zawsze myślicie tylko o pieniądzach, i nawet nie chce się wam kiwnąć palcem. Obijacie się całymi dniami i czekacie, że dostarczymy wam jedzenie pod same drzwi. Nie widziałem bardziej leniwego narodu.

– Po zamknięciu getta większość straciła pracę poza murem – zaprotestował gwałtownie Czerniaków. – A w samym getcie nie starcza jej dla każdego. Poza tym wiele zakładów nie działa, ponieważ przestały dostawać surowce do produkcji. One też nie docierają już od grudnia. Ludzie daliby wszystko, byle tylko móc zarobić na życie.

– Doprawdy? Dlaczego w takim razie nikt nigdy nie zgłasza się na ochotnika do obozów pracy? Dlaczego musimy wykurzać was z waszych nor jak szczury, aby zachować limity?

Czerniaków chciał coś odpowiedzieć, ale właśnie rozległo się pukanie do drzwi.

– Tak!

Do środka weszła sekretarka.

– Gubernator Fischer do pana, panie Palfinger.

– Doskonale. Proszę odprowadzić mojego gościa.

Czerniaków nie ruszał się z miejsca przez kilka sekund niemego protestu. Następnie wstał i wyszedł.

– Czego chciał ten nasz oberżyd? – spytał Fischer, gdy tylko usiadł na krześle dla gości.

– Jak to czego? Pomarudzić, ponieważ jakiś czas temu wstrzymaliśmy dostawy.

Fischer spojrzał na niego w zamyśleniu.

– Twardy z pana zawodnik, Palfinger. Nasze dane z getta mówią o ponad tysiącu zgonów miesięcznie tej zimy. Głód, zimno, choroby. Nie wiem, czy to jest do końca zgodne z ustaloną linią. Także w dowództwie przybywa głosów optujących za tym, żeby nie marnować przedwcześnie siły roboczej i produkcyjnej Żydów.

– Proszę się nie martwić, panie gubernatorze. To robactwo, które zdycha, i tak nie nadawałoby się już do pracy. Ponadto mamy informacje, z których wynika, że w getcie wciąż jeszcze znajdują się znaczne majątki. Ten Czerniaków przyłazi tu co parę dni i zawodzi swoją pieśń o biedzie i niedoli. Biedacy tu, biedacy tam! – Wykonał zamaszysty gest obiema rękami. – Powiedzmy sobie jednak szczerze: nie wszyscy są takimi gołodupcami. Tam nadal kryją się małe i wielkie bogactwa. Moim celem jest, by tak rzec... wypłukanie ich z getta.

– Oj, Palfinger, Palfinger. – Ludwig Fischer uśmiechnął się. – Jeśli będzie pan tak robił dalej, Żydzi powymierają z głodu i nędzy, a po kwestii żydowskiej pozostanie tylko cmentarz.



Rozdział 13

Gruha pierzyna śniegu nie zdołała ukryć nędzy życia w getcie. Niemal na każdej ulicy widziało się żebraków. Ci, którzy jeszcze mieli siłę, śpiewali pieśni w jidysz albo grali na jakimś instrumencie. Inni już umilkli. Siedzieli lub leżeli apatycznie, od czasu do czasu mechanicznie wyciągając rękę i w ogóle nie patrząc na przechodniów. Nocą temperatura spadała do minus piętnastu stopni, a kiedy Irena rankiem odbywała swoją pierwszą wizytę w getcie, na chodnikach i w wejściach na podwórza zalegały nagie zwłoki, ledwie nakryte gazetami. Ubrania wzięli sobie inni, w nadziei, że się w nich ogrzeją albo sprzedadzą je za parę groszy. Co jeszcze kilka miesięcy temu wydawałoby się czystym barbarzyństwem, teraz nie było niczym innym, jak tylko desperacką próbą przedłużenia własnego życia.

Niemożność pomocy potrzebującym była dla Ireny nie do zniesienia. Przystanęła na rogu jednej z ulic. Zawsze spotykała na nim wychudzone młode małżeństwo z dwójką małych dzieci, któremu podsuwała trochę chleba i pieniędzy. Dzisiaj siedział tylko ojciec. Na kolanach trzymał trzyletnią córeczkę.

– A gdzie jest pana żona i drugie dziecko?

Mężczyzna wzdrygnął się i uniósł zaczerwienione powieki. Kiedy rozpoznał Irenę, jego usta lekko drgnęły, a ramię zacisnęło się mocniej wokół dziecka. Dziewczynka zakwiliła.

– Moja żona... Zamarzła we śnie ostatniej nocy. Miała przy sobie malutkiego Dariusza, a ja tuliłem naszą córeczkę. Gdyby oboje byli przy mnie... może nasz synek by jeszcze żył... – Wstrząsnął nim szloch.

Dziewczynka także zaczęła płakać. Irena podsunęła jej kawałek chleba. Łzy przestały płynąć, a brudna rączka chciwie wysunęła się po kromkę.

– Wrócę do pana – obiecała. Nie wiedziała, dlaczego to powiedziała ani co właściwie miała na myśli. Szybko ruszyła ulicą, nie dlatego, że dokądś się spieszyła, lecz by uciec przed bólem mężczyzny, który stracił żonę i dziecko. Uciekała przed własną bezsilnością.

Na ulicy Leszno zaczerpnęła oddechu. Szpital, w którym pracowała Ala, kilka tygodni wcześniej znalazł się na terenie getta. Irena jak zwykle przyniosła jej trochę lekarstw.

– Co się stało? Jesteś blada jak ściana. – Ala z z troskaniem odciągnęła przyjaciółkę na bok. Jak zawsze przede wszystkim myślała o innych. O swojej córeczce Rami, o pacjentach, przyjaciółach. Sama miała podkrążone oczy, a mocno wystające kości policzkowe świadczyły o niedożywieniu.

Irena opowiedziała krótko o niedawnym spotkaniu.

Ala ponuro skinęła głową. Słowa były zbędne. Potem zmieniła temat.

– Przyjdiesz dziś wieczorem? – spytała.

– Dokąd?

– Do kawiarni Sztuka. Będzie koncert, śpiew przy fortepianie. Mówiłam ci przecież. – Uśmiechnęła się. – Grupka utalentowanych

dziewcząt i chłopców z ognisk młodzieżowych też coś przygotowała. Dochód z biletów pójdzie na rzecz Domu Dziecka doktora Korczaka.

– Aha. – Irena wahała się. Po porannym wstrząsie nie była w nastroju, by spędzać wieczór w kawiarni, a już tym bardziej w Sztuce. Lokal był miejscem spotkań nie tylko towarzyskiej elity getta, ale cieszył się też popularnością wśród oficerów gestapo, którzy regularnie odwiedzali tę elegancką kawiarnię z cowieczornymi koncertami. Siedzieli obok bogatych mieszkańców getta i niczego sobie nie szczydzili. Bo również w getcie nadal można było dostać wszystko, wystarczyło tylko odpowiednio zapłacić.

– Wiem, co myślisz. – Ala chwyciła ją za rękę. – Nie lubisz Sztuki.

Irena skinęła głową.

– Uważam za niegodziwe, że bogaci piją wieczorami szampana i tańczą przy akompaniamencie orkiestry, podczas gdy na ulicach ludzie zamarzają pod gołym niebem. A na domiar wszystkiego razem z nimi siedzą jeszcze gestapowcy, jakby nagle zamienili się w najlepszych przyjaciół.

Ala westchnęła.

– Oczywiście masz rację. Bogacze są niestety wszędzie tacy sami. Są samolubni. Ale jeśli chcemy wyciągnąć od nich jakieś darowizny czy środki na coś, to tylko przez takie imprezy charytatywne. Najlepiej w miejscu, gdzie i tak lubią bywać... – Przybrawszy łagodniejszy wyraz twarzy, Ala położyła rękę na ramieniu Ireny. – Poza tym, czy chcesz zabronić ludziom, których jeszcze na to stać, by od czasu do czasu zaznali odrobiny szczęścia? Na przykład by ubrali się w coś ładnego, posiedzieli w kawiarni, potańczyli i pogawędzili jak przed wojną? Życie nigdy nie było tylko czarne albo tylko białe.

Irena wciąż nie czuła się przekonana.

– To co, przyjdiesz?

Westchnęła.

– Wyłącznie ze względu na ciebie i na sierociniec.

Odwołując się do argumentów Ali, Irena zdołała przekonać nie tylko Ewę i Adama, ale także Rachelę Rosenthal, przyjaciółkę z czasów studenckich. Wizyta w Sztuce oznaczała, że Irena będzie musiała spędzić noc w getcie, co było surowo zabronione nie-Żydom. Ala zaproponowała jej nocleg u siebie, a Ewa pożyczyła jasnoniebieską sukienkę.

– No i co? Pasuje? – Ewa weszła do pokoju akurat w momencie, gdy Irena zaciągała zamek błyskawiczny. Zmierzyła ją taksującym spojrzeniem. – Hm, czegoś tu brakuje. – Wzięła z komody klamrę, następnie odwróciła się do przyjaciółki i spięła jej półdługie ciemnoblonde włosy kokieteryjnie po jednej stronie.

– Tylko po jednej stronie? – spytała Irena, podczas gdy Ewa sięgnęła po szminkę.

– Tak, a teraz jeszcze trochę...

– To już chyba przesada – powiedziała, patrząc na szminkę. Od czasu, kiedy ostatnio zrobiła sobie makijaż, minęły miesiące i nie była pewna, czy Adam widział ją kiedykolwiek w takim wydaniu. Nagle poczuła się zakłopotana. – Przecież to jest jedynie impreza dobroczynna na rzecz sierocińca doktora Korczaka – broniła się.

– Posłuchaj! – Ewa cofnęła się o pół kroku i zmierzyła przyjaciółkę surowym spojrzeniem. – My zawsze jesteśmy na służbie. Robimy, co w naszej mocy. Patrzymy nieszczęściu w oczy. Każdego dnia. Czasami udaje się nam pomóc, innym razem nie. Nawet ten mały koncert dzisiejszego wieczoru temu służy. Dlatego uważam, że wolno nam

pozwolić sobie na kilka godzin odprężenia... a nieodłącznym tego elementem jest szminka, no i Adam.

– Adam? Jak to? Ja... – Irena urwała. Wiedziała, że to bezcelowe. Ewa znała ją zbyt dobrze, a jeśli ona sama miała być szczerą, musiała przyznać, że ucieszyła ją perspektywa spędzenia z nim wspólnych chwil.

Wkrótce potem rozległ się dzwonek do drzwi. Gdy Ewa otworzyła, Irena wprost oniemiała. Adam bujne czarne włosy miał zaczesane do tyłu, a do białej koszuli z bordowym krawatem włożył czarne spodnie z zaprasowanym kantem. Nie ulegało wątpliwości, że musiał spędzić trochę czasu przed lustrem, co dla człowieka, dla którego w życiu liczyły się przede wszystkim książki, polityka i idee, było równie nietypowe, jak dla Ireny. Nagle poczuła się zadowolona, że posłuchała Ewy, a gdy w końcu się zorientowała, jak długo już się w niego wpatruje, spąsowiała. Wyglądało na to, że on też jest skonfundowany. Szybko zwrócił wzrok w inną stronę i spytał:

– Wszystko w porządku? Jesteście gotowe?

Z Siennej na Leszno nie było daleko. Dzięki małym kinkietom na ciemnoczerwonych ścianach w kawiarni panował półmrok typowy dla teatrzyków variétés. Dostrzegłszy w głębi twarze Ali i Racheli, Irena wraz z resztą precyzyjnie się między okrągłymi stolikami, na których paliły się białe świece. W przeciwieństwie do mieszkań w getcie Sztuka była dobrze ogrzewana. Panie miały na sobie obcisłe sukienki z odkrytymi ramionami, a niektórzy z mężczyzn w garniturach już ocierali sobie czoło chusteczką. Ala i Rachelą zamówiły likier i kanapki. Usiadłszy, Irena dostrzegła kątem oka, że Adam pospiesznie sięga po krzesło tuż obok niej.

Niedługo potem zgasło światło. Na scenie stały cztery duże świeczniki z płonącymi świeczkami. Po chwili weszli na nią śpiewaczka

z pianistą, po czym ukłonili się wśród aplauzu i cichych okrzyków publiczności.

– Marysia Ajzensztadt! Słowik getta! Dlaczego mi nie powiedziałaś?! – szepnęła z zachwytem Irena do Ali na widok niespełna osiemnastoletniej panienki o okrągłej dziewczęcej twarzy i półdługich brązowych włosach. Wiele słyszała o tej młodziutkiej solistce, ale nigdy dotąd nie miała okazji podziwiać jej śpiewu. Marysia była córką dyrygenta chóru chłopięco-męskiego Wielkiej Synagogi na Tłomackiem. Stała obok pianisty i niecierpliwie czekała na koniec oklasków. Wreszcie umilkły i akompaniator uderzył w klawisze.

Gdy po chwili rozbrzmiał jej sopran, wszyscy w lokalu wstrzymali oddech. Najpierw zaśpiewała pieśni Schumanna i Mozarta, a potem, po krótkiej przerwie, kilka piosenek francuskich.

Irena nie wiedziała, co się stało. Czy to likier, przytłumione światło, czy lekkość francuskich *chansons*, lecz gdy pod stołem poczuła przy swojej nodze kolano Adama, spontanicznie położyła na nim dłoń. Była rozpalona i roztrzęsiona jak nastolatka. A kiedy po kolejnej piosence podniosła rękę do oklasków, mimo woli musnęła rękę Adama.

– Brawo! – wołały Ala i Ewa.

Irena zerknęła na Adama. Nie patrzył na nią, ale na jego twarzy malował się dyskretny uśmiech, a kolano przycisnęło się mocniej do jej nogi.

Po Marysi Ajzensztadt występowali inni młodzi ludzie, którzy też pięknie grali i śpiewali. Ile talentów kryje się za tymi murami, myślała raz po raz Irena. I jak wielka jest w tych dzieciach potrzeba nauki, jak ogromne pragnienie normalności.

Kiedy po koncercie Irena wstała, aby rozprostować nogi, dostrzegła z dala od stolików opartego o ścianę chudego i siwowłosego mężczyznę

w drucianych okularach i ze spiczastą bródką. Sprawiał wrażenie zagubionego wśród tych wszystkich radosnych i ożywionych gości w lokalu.

– To doktor Korczak! – szepnęła. Bez namysłu ruszyła w jego stronę. Już dawno nie miała okazji widzieć słynnego pediatry i pedagoga. Przed wojną prowadził na Krochmalnej duży sierociniec, w którym wdrażał swoje postępowe, oparte na prawach dziecka idee. Już jako mała dziewczynka pochłonęła jednym tchem popularną książkę dla dzieci *Król Maciuś Pierwszy* jego autorstwa, a jego powszechnie znaną pogadankę radiową *Stary doktor* ona i jej mama rzadko przegapiwały. Znała Janusza Korczaka jako niezwykle serdecznego człowieka, który przyprawiał swoje rozważania filozoficzne powściągliwym humorem.

– Dobry wieczór, doktorze Korczak!

Zaskoczony kierownik sierocińca obrócił głowę. Sądząc po cieniu ulgi, który przemknął przez jego twarz, chyba ją rozpoznał, ale najwyraźniej nie potrafił sobie przypomnieć jej nazwiska.

– Jestem Irena Sendlerowa – pomogła mu. – Pracuję w wydziale opieki społecznej. – Kilkakrotnie mieliśmy okazję się ze sobą kontaktować.

Korczak lekko skinął głową.

– Tak, pamiętam. Chodziło o dzieci. – Uśmiechnął się. – Bo właściwie zawsze chodzi o dzieci.

Irena odwzajemniła uśmiech.

– Również dziś wieczorem. Słyszałam, że dochód ze sprzedaży biletów i wszystkie datki przeznaczone są dla Domu Sierot. To wspaniale.

– Hm. – Popatrzył nieobecny wzrokiem przed siebie. – Wspaniale, owszem, ale w naszym domu musi być gdzieś jakaś wielka dziura,

w którą wpadają wszystkie pieniądze, ledwie je otrzymamy. Jak to ładnie określa się coś takiego. Żyjemy z dnia na dzień. – Widząc jej zafrasowaną twarz, poklepał ją po ramieniu. – Proszę nie psuć sobie wieczoru przez starego człowieka. Ale zanim się pożegnamy, chciałbym pani coś opowiedzieć. – Na chwilę zmrużył oczy. – Ile ma pani lat? Pewnie jest pani za młoda, aby znać ten dawny zwyczaj. W każdym razie w czasach mojego dzieciństwa był on bardzo popularny. W okresie Bożego Narodzenia bogatsze domy w Warszawie zawsze odwiedzali robotnicy budowlani. Zimą nie mieli pracy, więc w zamian za drobne datki wystawiali przedstawienia kukielkowe. Wystarczyła im drewniana skrzynka, parę kukielek i katarynka. Każdego roku czekałem na nich z wytęsknieniem, ale i z wielkim lękiem. A wie pani dlaczego?

Irena pokręciła głową, Korczak zaś kontynuował:

– Z wytęsknieniem, bo to było coś wyjątkowego. Z lękiem, bo na koniec zawsze podchodził do nas z woreczkiem stary mężczyzna i zbierał monety. Rodzice pozwalali mi, abym mu je dawał, a on co święta patrzył na mnie zaszępioty i mówił: „Tak mało, młodzieńcze, tak mało?”. Za każdym razem czułem się na wpół urażony, na wpół zawstydzony, i wreszcie zacząłem w ciągu roku odkładać ze swojego kieszonkowego dla tego staruszka, aby móc wrzucić mu nieco więcej do woreczka. Lecz bez względu na to, ile monet bym wrzucił, nigdy nie było dość. A teraz – ponownie uśmiechnął się do Ireny z odcieniem ironii w oczach – teraz ja sam jestem tym starym mężczyzną z woreczkiem.

Irena pokiwała głową. Nie był to z pewnością właściwy moment na to, co zamierzała mu powiedzieć, ale być może lepsza okazja się nie nadarzy.

– Doktorze Korczak, jest pewna mała dziewczynka, która potrzebuje pomocy. – I opowiedziała mu o swoim porannym spotkaniu

z pozbawionym dachu nad głową ojcem, który w ciągu jednej nocy stracił na mrozie żonę i synka.

Korczak westchnął.

– A czy ojciec będzie chciał się rozstać ze swoim dzieckiem?

Tego Irena nie wiedziała, opisała mu jednak, gdzie można znaleźć tych dwoje.

– Przy najbliższej okazji podrzucę panu kilka lalek – obiecała. – Profesor Witwicki robi je własnoręcznie.

– Władysław Witwicki? Ten profesor psychologii? – Korczak rozejrzył się ostrożnie dookoła, na szczęście nikogo nie było w pobliżu. – Słyszałem, że ukrywa się poza gettem. A teraz, mówi pani, robi lalki... – Przez jego twarz przemknął uśmiech. – No dobrze, pani Sandler, proszę mi przynieść te lalki, moja banda łobuziaków na pewno się ucieszy, chociaż ja osobiście wolałbym kartofle. – Podał jej rękę, a potem odszedł.



Rozdział 14

Irena dotrzymała słowa. Trochę to jednak trwało, zanim przeszmygowała do getta wystarczająco dużo lalek dla dzieci doktora Korczaka, ponieważ z powodu ich rozmiarów mogła za jednym razem przemyścić tylko jedną. Profesor Witwicki cieszył się, że może sprawić radość zabawkami wykonanymi ze zwyczajnego workowego płótna. Ukrywał się w małym pokoiku po aryjskiej stronie. Ponieważ nie miał podrobionych dokumentów, w ogóle nie wychodził na ulicę i musiał we wszystkim liczyć na pomoc przyjaciół. Jego sytuacja była niepewna, dlatego Irena łamała sobie głowę, jak zdobyć dla niego kenkartę, bez której nikt nie mógł poruszać się po mieście. Niestety brakowało jej odpowiednich kontaktów. Profesor Witwicki zaś machnął ręką z uśmiechem.

– Jakoś dam sobie radę – zapewnił. – Nie chcę, żeby narażała pani życie dla takiego starca jak ja.

Ale Irena nie zamierzała się poddać. Początkowo wywiezienie do obozu koncentracyjnego groziło za szmuglowanie na teren getta lekarstw i jedzenia. Teraz Niemcy jeszcze podnieśli stawkę. Na każdym rogu wisiały obwieszczenia ostrzegające Polaków, że kto udzieli pomocy Żydowi, choćby tylko dając mu kromkę chleba, zostanie zgodnie

z prawem rozstrzelany. Od wejścia w życie tego rozporządzenia solidarność warszawiaków z ich żydowskimi współobywatelami jeszcze bardziej osłabła. Ludzie się bali, a kto nadal mimo wszystko pomagał, czynił to ze straceńczą odwagą. Irena zareagowała na to surowe prawo typową dla siebie przekorą. Skoro już miała umrzeć za przemycenie do getta lalki czy chleba, dlaczego nie poważyc się na coś więcej i nie uczynić czegoś donioślejszego? Jeśli potem mnie złapią – myślała w przystępie cynizmu – przynajmniej będzie się opłacało.

Tymczasem bywała w getcie kilka razy dziennie, a to, czego w nim doświadczała, niekiedy odbierało jej powietrze. Ktokolwiek sądził, że będzie tam bezpieczny przed atakami Niemców, czuł się gorzko rozczarowany. Nieustannie widziało się żołnierzy, którzy wycieńczonym z głodu ludziom kazali na chodnikach robić pompki do utraty przytomności. Przypadkowe rozstrzelania na ulicy czyniły z każdego wyjścia z domu po zakupy śmiertelną pułapkę. Tysiące umierały co miesiąc na tyfus, z głodu, z zimna albo ginęły w drodze do piekarni czy apteki. Ludzie już dawno przestali pytać o sens tego wszystkiego. Przecież umrzeć można było każdego dnia na różne sposoby. Wystarczyło znaleźć się w niewłaściwym czasie na ulicach i w zaułkach, z których nie można uciec.

Mimo to starano się zachować jak największą dyscyplinę. Lekarze z getta przeprowadzali szkolenia uświadamiające mieszkańcom wagę higieny. Jeśli chciano zapobiec jeszcze większemu rozprzestrzenianiu się tyfusu, była to jedyna droga.

W pewien mroźny marcowy poranek pełen zaangażowania doktor Landauer przekonywał o tym także młodych ludzi z ogniska młodzieżowego Ewy. Szczelnie okutani siedzieli lub stali w piwnicy, oblani jedynie stożkiem bladej poświaty wpadającej przez małe okienko na wysokości chodnika. Zapalenie światła nie wchodziło w rachubę,

ponieważ mogłoby ich zdradzić, a w getcie zabronione było wszelkie nauczanie.

– Ta choroba bierze się z katastrofalnych warunków, w jakich tu żyjemy – podkreślił po raz kolejny lekarz.

Nie odrywając od niego wzroku, młodzi ludzie słuchali go w maksymalnym skupieniu, jakby rychłe otwarcie bram getta zależało wyłącznie od ich koncentracji. Landauer sięgnął po gazetkę przemyconą tajnymi kanałami przez polski ruch oporu i przeczytał na głos:

– „Stan aktualny: gęstość zaludnienia, warunki sanitarne i higieniczne w getcie są nieludzkie. W wielu lokalach mieszka nawet po dwadzieścia osób w jednym pomieszczeniu”. – Podniósł wzrok znad gazety. Niektórzy z uczniów zwiesili głowy. Ta informacja nie była tu dla nikogo żadną nowiną. – Myślę, że wiecie, co to oznacza – kontynuował lekarz. – Wasze życie i życie waszych rodzin zależy od przestrzegania tego, czego was dzisiaj nauczyłem. Wy sami... – Urwał, ponieważ na zewnątrz rozległy się krzyki.

Ciężkie buty zadudniły o bruk, kilka strzałów odbiło się echem od murów. Znowu krzyk. Donośne kroki przyspieszyły, potem zwolniły – były coraz bliżej.

– Tam! – wrzasnął mocny głos. – Z tyłu jest jeszcze paru.

Irena się domyśliła, co dzieje się na ulicy. SS musiało dostarczyć dzienny limit robotników przymusowych do okolicznych obozów pracy i urządziło polowanie na każdego napotkanego dorosłego mężczyznę.

Wszyscy w piwnicy wstrzymali oddech. Niektóre ze starszych dzieci otoczyły ramieniem swoje młodsze rodzeństwo. Twarz doktora Landauera była pozbawiona wyrazu, ale on też stał jak zamurowany. Kroki ucichły. Czyjś cień przesłonił stożek światła z okienka. Irena nie

śmiała się ruszyć. SS-mani zatrzymali się tuż przed piwnicą. Jeśli ich zauważą, wtedy... Wolą nie kończyć tej myśli.

Nagle znów rozległ się odgłos ciężkich kroków, ale stopniowo się oddalał. Gdy całkiem ucichł, dzieci zaczęły się ruszać. Jedna z dziewczynek wybuchnęła zdławionym szlochem.

– Spokój! – ofuknął ją Landauer. – Trzeba zachować spokój i dyscyplinę. Zarówno w obliczu choroby, jak i wobec tych na zewnątrz. Myślicie, że tylko oni są żołnierzami? Nie... – Uśmiechnął się ponuro. – Na tej wojnie każde z was jest żołnierzem. I to frontowym. Nikt was nie pytał, czy tego chcecie. Ale tak się stało. Musicie być teraz silni. Nie, silniejsi. My wszyscy musimy być dużo silniejsi niż tamci... Wtedy być może to przetrwamy.

Po zakończonej lekcji Irena, doktor Landauer i dzieci przy zachowaniu największej ostrożności opuścili pojedynczo piwnicę. Nikt nie mógł zauważyć, że odbywało się w niej jakieś zgromadzenie. Kiedy Irena dotarła potem do mieszkania Adama po lalki dla doktora Korczaka, które u niego zostawiła, już go nie zastała. Odebrała więc plecak od jego matki. Na wszelki wypadek ukryła lalki pod bandażami i materiałami opatrunkowymi, ale dopisało jej szczęście. W drodze do Domu Sierot Korczaka nikt jej nie kontrolował.

Pchnęła ciężkie drzwi i weszła na ponurą klatkę schodową. Mury nadwerężonego budynku były popękane, schody wydeptane, mimo to Irena za każdym razem chętnie tu wracała. Dzieci pomalowały ściany na kolorowo, ozdabiając je wizerunkami ludzi, drzew i zwierząt. Były to ciepłe obrazki pełne nadziei i radości życia, której brakowało w getcie, a którą Korczak wbrew wszystkiemu próbował podarować swoim podopiecznym każdego dnia na nowo.

Na pierwszym piętrze zastała ją tak głęboka cisza, że aż przystanęła. Wezbrał w niej lęk. Czyżby coś się stało? Wówczas usłyszała głos.

Jakieś dziecko mówiło dosyć długo jakby do siebie. Gdy skończyło swoją przemowę, rozległ się inny głos, który odpowiedział podniesionym tonem. Irena ruszyła dalej. Dotarłszy do korytarza, podążyła za głosem i po cichu otworzyła drzwi. Za nimi znajdowało się obszerne pomieszczenie. Ponad setka dzieci w różnym wieku siedziała w dużym kręgu. Kilka głów obróciło się w jej stronę, ale najwyraźniej dziewczynka, która stała pośrodku i mówiła, była bardziej interesująca od gościa.

Irena podeszła do doktora Korczaka przysłuchującego się w pobliżu okna. Uśmiechnąwszy się do niej, przyłożył palec do ust.

– To nasz sąd dziecięcy – szepnął, gdy znalazła się obok. – Obraduje raz w tygodniu.

Irena uniosła brwi, nie śmiała jednak o nic pytać, ponieważ dziewczynka właśnie przestała mówić. Pięcioro dzieci z niebieskimi klockami do zabawy w dłoniach wystąpiło naprzód.

– Teraz się naradzimy – powiedziało jedno z nich, po czym wszystkie nachyliły ku sobie głowy. Przez pozostałą grupę przetoczył się szept.

Korczak po cichu wyjaśnił Irenie:

– Jeśli w naszym domu któreś z dzieci zostanie skrzywdzone przez inne dziecko, nie krzyczy, nie bije ani nie drapie. Musi tylko zawołać: „Oskarżam cię!” i wpisać swoją „sprawę” na listę. Raz w tygodniu zebrane sprawy są rozpatrywane w obecności wszystkich wychowanków. Co tydzień pięcioro z nich pełni rolę sędziów. – Wskazał głową w kierunku naradzającej się piątki: – To ci z klockami.

Irena była pod wrażeniem. Szybciej, niż się spodziewano, mali sędziowie poprosili resztę o ciszę.

– Maja oderwała ucho małpce Jany – zabrał głos jeden z nich. – Przyznała się i przeprosiła. Poza tym zrobiła coś takiego pierwszy raz. Aby naprawić swój błąd, musi sama przyszyć ucho małpce. Zgadza się?

Jana i Maja najpierw popatrzyły na siebie niepewnie, po czym obie skinęły głowami.

– W porządku. To była ostatnia sprawa na dzisiaj. Sąd zamyka obrady do przyszłego tygodnia. – Inny mały sędzia zakończył rozprawę.

Nagle wszyscy zaczęli mówić i śmiać się jeden przez drugiego.

– To imponujące! – Irena musiała podnieść głos, aby być słyszana, ale Korczak zrobił kilka kroków do przodu i krzyknął:

– W łazience z wiaderkami toaletowymi jest więcej much niż w ostatnich dniach! – Dzieci zamilkły. – Dlatego cena za najlepsze miejsce w toalecie wzrasta do piętnastu much dziennie. – Wśród kręgu siedzących dzieci rozeszło się pogodne jęknięcie, po czym wszyscy ostatecznie ruszyli się ze swoich miejsc.

Janusz Korczak wrócił do Ireny, lecz w tym samym momencie podbiegli do niego dwaj chłopcy.

– Panie doktorze, panie doktorze! – zawołał jeden z nich, niemal nie mogąc złapać tchu. – Powiedział pan, że za dobre miejsce w toalecie należy się piętnaście much. A ja nie złapałem dzisiaj jeszcze ani jednej. Ale... – Wykrzywił buzię w grymasie. – Muszę strasznie pilnie do toalety. I bardzo chciałbym usiąść. Czy mógłbym zapłacić później?

– Ja dziś złapałem już osiemnaście! – zawołał równie zadyszany jego kolega. – I mogę dać mu trzy. Jako zaliczkę!

Obaj chłopcy promienieli pełni oczekiwania.

– Zgoda – odparł ciepło Korczak, na co malcy zniknęli równie szybko, jak się pojawili.

Irena spojrzała podejrzliwie na doktora.

– Dzieciaki łapią muchy jako zapłatę za najlepsze miejsce w toalecie?

Korczak uśmiechnął się z przekąsem.

– Odkąd w styczniu zamarzły rury doprowadzające wodę i musieliśmy zacząć używać wiader, nie możemy pozbyć się plagi much. Mimo zimna. Dlatego musiałem odwołać się do pomysłowości.

Irena roześmiała się serdecznie. Oto cały „stary doktor”, właśnie takiego znała go z pogadarek radiowych.

– Sąd dziecięcy był imponujący – powtórzyła.

– Imponujący? No nie wiem, czy o to chodzi. Ale przynajmniej przed wojną nie martwiłem się o naukę pisania i czytania. Od tego w końcu była szkoła. Mnie zależy przede wszystkim na wychowaniu moralnym. Chciałbym, żeby te dzieci wyrosły na dobrych ludzi, którzy umieją rozwiązywać swoje problemy bez przemocy.

– Tacy ludzie będą potrzebni... kiedy to wszystko minie.

Nagle ten tak zazwyczaj pełen werwy mężczyzna wydał się stary i zmęczony. Próbował się uśmiechnąć, ale na próżno.

– Ach tak, przyszłość. Czasami pozwalam sobie o niej marzyć. Dlaczego by na przykład nie wyjechać do Palestyny, mówię sobie wtedy. Tam jest ciepło. Dobry klimat na twój reumatyzm. Wyobrażam sobie, że zamieszkuje ogromną przestrzeń na płaskim dachu. Cały dach jest moim tarasem, a ściany są ze szkła. Nie ma żadnych murów, które zasłaniałyby widok. Już nigdy nie przegapię wschodu ani zachodu słońca, a nocą widzę gwiazdy. – Westchnął. – Kiedyś, droga pani, kiedyś. – Zatarł

dłonie. – No, a teraz proszę mi pokazać, co mój stary przyjaciel Witwicki produkuje w swoim niekończącym się wolnym czasie.



Rozdział 15

W pierwszych tygodniach lata słońce zachodziło późno. Właśnie zapadał zmierzch, gdy Adam Czerniaków siedział przy biurku i pisał list. Jego żona dzwoniła już dwa razy, żeby spytać, kiedy może się go spodziewać na kolacji. Zwodził ją, każąc sekretarce udzielić wymijającej odpowiedzi. Nie mógł na razie wyjść. Przed opuszczeniem biura musiał skończyć list. Chodziło o szwankujący wywóz śmieci w getcie. Odrzucił już kilka wersji. Raz jego słowa były zbyt ostre, raz zbyt błagalne. Nie umiał trafić we właściwy ton.

– Niech mnie pani przepuści! Z drogi!

Z korytarza dobiegł rozhisteryzowany kobiecy głos.

– Nie może pani tak po prostu... Au, co pani wyprawia? Zwariowała pani? – Drugi głos należał do sekretarki Czerniakowa, pani Tyszki, która nigdy nie wychodziła z biura przed swoim szefem.

– Tak, zwariowałam. I to nie bez powodu!

Dały się słyszeć pospieszne kroki. Były coraz bliżej. Nagle drzwi gabinetu Czerniakowa gwałtownie się otworzyły i do środka wtargnęła nieznajoma kobieta. Trzymała za ramię młodego mężczyznę, który wtoczył się do pokoju razem z nią. Jego spocona twarz miała zapadnięte

policzki, głowa była ogolona na łyso, ciało wychudzone. Oczy pałały gorączkowym blaskiem. Zza obojga wyłoniła się twarz sekretarki.

– Próbowałam ich zatrzymać, ale ta obłąkana osoba mnie podrapała! – krzyknęła z oburzeniem pani Tyszka, pokazując czerwoną pręgę na ramieniu.

Czerniaków wstał, podszedł do niej i powiedział uspokajającym tonem:

– Zaraz do pani przyjdę, pani Tyszka. Albo jeszcze lepiej: proszę już skończyć na dzisiaj. Jest późno, ja też niedługo pójdę do domu.

– A list, który miałam przepisać panu na maszynie?

– Zrobi to pani jutro.

Sekretarka popatrzyła na niego z powątpiewaniem, w końcu jednak skinęła głową i wyszła.

Młody mężczyzna osunął się na krzesło. Wił się, krztusił, spluwał śluzem w zwiniętą dłoń. Z jego wciąż otwartych ust wydobywał się charczący kaszel.

Czerniaków spojrzał bezradnie na kobietę. Siwe pasma włosów opadały jej na twarz. Na policzkach pokazały się czerwone plamy.

– Jak mogę pani pomóc? – spytał.

– Pomoże mi pan, okazując wstyd. – Jej głos był teraz spokojniejszy, lecz brzmiał gorzko, wręcz nienawistnie. – Niech się pan przyjrzy mojemu chłopcu, panie prezesie Judenratu. Parę miesięcy temu Niemcy szukali mężczyzn do pracy w obozach i obiecywali nawet zapłatę. Pan, panie prezesie, sam wzywał, aby zgłaszać się na ochotnika. Zorganizował pan rekrutację i zrobił wszystko, żeby zrealizować limity wyznaczone przez Niemców. A teraz niech pan spojrzy na mojego syna. Ile dałby mu pan lat? Czterdzieści pięć? Pięćdziesiąt? Powiem coś panu:

mój Leo ma lat dwadzieścia siedem. Ma żonę i dwie małe córeczki, a mój mąż nie żyje. Leo zgłosił się dobrowolnie, bo stracił pracę poza gettem. Myślał, że w obozie będzie mógł zarobić dla nas na życie.

Przez moment kobieta wpatrywała się w Czerniakowa z wściekłością, on zaś odwzajemnił jej spojrzenie ze skamieniałą obojętnością.

– Tak – mówiła dalej. – Niech mu się pan dokładnie przypatrzy. Za dzień pracy dostawał trzy złote dwadzieścia, a z tego odliczali mu jeszcze za jedzenie. Ale nie to było najgorsze. Rano budzili go o piątej, jego i pozostałych. Biciem i kopniakami. Do pracy musiał iść całe kilometry. Oczyszczanie rzeki. W środku zimy stał całymi dniami w wodzie aż po biodra. Do jedzenia dostawał cieką zupę i kromkę chleba. A potem w mokrym ubraniu spał w lodowato zimnym baraku. I tak całymi miesiącami. Wokół niego umierali ludzie, padali jak muchy. Jemu się udało. Wrócił, tyle że to coś – wskazała na mężczyznę z błyszczącymi, ale martwymi oczami – to nie jest mój chłopiec. Mojego Leo już nie ma. Nawet jeśli przeżyje, nie będzie w stanie zatroszczyć się o mnie i o swoją rodzinę. Rzucili mi wrak mojego dziecka pod nogi, a ja mam być im jeszcze wdzięczna za to, że w ogóle wrócił.

Czerniaków zaczerpnął powietrza, żeby coś powiedzieć, lecz kobieta go uprzedziła.

– Niech pan milczy! Nie chcę nic od pana słyszeć. Ani słowa. Chcę tylko, żeby się pan dobrze przyjrzał. To pańskie dzieło. Jest pan tylko wstrętnym pomocnikiem diabła. – Podniosła syna z krzesła. – Niech mu się pan dokładnie przypatrzy i niech się pan wstydzi. – Idąc do drzwi, splunęła mu pod nogi, po czym pociągnęła syna za sobą.

Czerniaków cofnął się przerażony. Nagle zakręciło mu się w głowie, chwycił się krawędzi biurka. Tak mocno, że aż pobielaly mu knykcie.



Rozdział 16

Mieszkańcy getta wiązali pewne nadzieje z latem, ale się zawiedli. Wprawdzie o poranku na ulicach nie leżeli już zamarznięci żebracy, same środki higieny jednak nie zdołały zapobiec wybuchowi epidemii tyfusu na dużą skalę. Codziennie umierały setki ludzi. Mężczyzn i kobiet, starców i dzieci. Na drzwiach wejściowych do szpitala Ali wisiała tablica z informacją: „Brak wolnych łóżek”. Dwa inne szpitale na terenie getta też były zamknięte.

– To nieludzkie – zauważyła Ala. – Ale co mamy robić? Chorzy leżą już na podłodze w korytarzach. Nie starcza nam miejsca, żeby przyjąć choćby jeszcze jednego, nie wspominając już o lekarstwach, których permanentnie nam brakuje.

Irena doskonale wiedziała, co jej przyjaciółka jako pielęgniarka oddziałowa musiała przechodzić każdego dnia. Chciała pomagać – naprawdę pomagać. To było jej zadanie, powołanie, jej natura. A zamiast tego mogła w najlepszym razie dać choremu łóżko z brudnym prześcieradłem, trochę wody i kromkę chleba.

– Mimo to ja przyjąłabym wszystkich – zwierzała się Irenie. – Bo jeśli nawet nie możemy ich już leczyć, jeśli nie jesteśmy w stanie ich czysto ubrać i wystarczająco nakarmić, wielu z nich jest nam po prostu

wdzięcznych za to, że w ostatnich godzinach życia mają przynajmniej dach nad głową i nie są sami.

Irena myślała o tym, idąc w czerwcowe południe zakurzoną ulicą Leszno. Pociła się, jej twarz była zaczerwieniona. Wysokich, rozłożystych drzew, które w pozostałej części miasta zapewniały cień na ulicach, próżno szukać w getcie. Nie było w nim zieleni, nawet jednego, jedyne parku. Przyniosła pieniądze i lekarstwa dla najbiedniejszych ze swoich podopiecznych, a teraz szła do Adama, gdy w pewnej odległości ujrzała wychudłego mężczyznę. Tylko jego postrzępione ubranie – o kilka numerów za duże – świadczyło o tym, że dawno temu codziennie jadał trzy posiłki. Ale to nie z tego powodu Irena zwróciła na niego uwagę. Wynędzniali i obdarci ludzie nie byli na ulicach getta niecodziennym widokiem.

Ten człowiek potykał się, idąc chodnikiem, a na rękach niósł chłopca, który mógł mieć trzynaście lub czternaście lat. Jego głowa, ramiona i nogi zwisały bezwładnie, twarz była rozpalona, a oczy miał zamknięte. Ojciec dotarł właśnie przed szpital. Zatrzymawszy się przed wejściem, stał niezdecydowany, czy mimo informacji o braku miejsc nie powinien jednak próbować dostać się do środka. Rozglądał się na wszystkie strony, jakby skądś mogła przyjść pomoc albo przynajmniej jakaś rada. Następnie pochylił się i ostrożnie położył chłopca na chodniku. Delikatnie obrócił mu głowę i ułożył kończyny w takiej pozycji, którą uznał za najwygodniejszą dla swojego dziecka, po czym wstał.

Chłopiec raptem zaczął głośno zawodzić, a także kręcić się i rzucać. Ojciec zrobił krok do tyłu i zasłonił sobie twarz dłońmi. W tym momencie drzwi szpitala się otworzyły i młoda, wyglądająca na wyczerpaną pielęgniarka zbiegła szybko po schodkach.

– Nie widzi pan tabliczki?! – zawołała. – Przecież nie może pan tak po prostu zostawić chłopca na ulicy... – Urwała, gdy mężczyzna wybuchnął gwałtownym szlochem, który wstrząsał całym jego ciałem.

– Tarek – wykrztusił. – Tarek.

Pielęgniarka stała, nie wiedząc, kim ma się najpierw zająć, po czym pochyliła się nad chłopcem, który przestał się ruszać i wydawał jedynie słabe dźwięki. Po chwili także one umilkły. Kobieta przyłożyła palec do jego szyi, spuściła głowę i na moment zastygła w bezruchu. Następnie zamknęła mu oczy.

Co stało się potem, Irena już nie widziała. Pobiegnęła ulicą ze łzami bezsilnej wściekłości w oczach. Dopiero gdy znalazła się przed domem Adama, nieco ochłonęła. Z podwórza docierały głosy Adama, jego matki i ciotki Dory. Wszyscy byli na dworze. Irena weszła za bramę. Rzeczywiście cała trójka pracowała na niedużej grządce warzywnej, którą mieszkańcy domu założyli po usunięciu części kamiennych płyt chodnika. Oficjalnie dostarczano do getta co najwyżej pomarszczoną marchew, rzepę i nadgniłe ziemniaki, których już nie chcieli Niemcy.

Irena przywitała się z matką Adama i jego ciotką, która co prawda z mężem Jakubem miała własne mieszkanie, ale niemal bez przerwy przesiadywała u swojej siostry. Potem uśmiechnęła się do Adama i też zabrała się do pracy. Wyrwali chwasty i podlewali grządkę. Obie starsze kobiety rozmawiały o tym, czym od kilku dni żyli wszyscy: 22 czerwca 1941 roku Niemcy zerwali pakt o nieagresji ze Związkiem Sowieckim i napadli swojego dotychczasowego sojusznika.

– Rasa aryjska potrzebuje więcej przestrzeni życiowej – odezwała się z goryczą matka Adama, cytując hasło powtarzane w tamtych dniach przez każdą gazetę.

Ciotka Dora rozprostowała plecy. Miała dłonie czarne od ziemi.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi. A niech sobie idą na tę Moskwę. Naprawdę wierzysz, że Rosjanie pozwolą im na wszystko? Taki ogromny kraj, Hitlerowi nigdy w życiu nie uda się go podbić. Może i Rosjanie są gorzej uzbrojeni, ale Niemcy nie mają dość ludzi. Jednego martwego Rosjanina zastąpi od razu pięciu żywych. Według mnie to najlepsza rzecz, jaka mogła nas spotkać. Wspomnisz moje słowa. Napadając na Rosję, Hitler strzelił sobie w kolano. Wreszcie popełnił błąd. Rosja zmusi go do kapitulacji i znowu będziemy wolni.

– Obyś miała rację – odpowiedziała matka Adama. – Pytanie tylko, czy gdy nadejdzie ten dzień, będziemy jeszcze na tym świecie.

Ciotka Dora zamilkła, nikt inny też się nie odzywał, ale każdy myślał o tym samym. Rano dotarła do Warszawy wręcz niewyobrażalna wiadomość. Nie było wiadomo na pewno, czy to prawda, wielu po prostu nie chciało w to uwierzyć, ale Irena i Adam nie mieli złudzeń. W Białymstoku Niemcy podobno zapędzili ponad tysiąc Żydów do miejscowej synagogi i ją podpalili. Nie przeżyła ani jedna osoba.

– Szymona przyjęli do Żydowskiej Służby Porządkowej – rzuciła Dora w ciszy, starając się nadać głosowi obojętny ton. W oczywisty sposób próbowała odwrócić myśli wszystkich od tego, co niewypowiedziane. Akurat syn sąsiada doskonale się nadawał do tego celu. Zwłaszcza że wiedziała, co jej siostra myśli o żydowskiej policji.

– No jasne! – rzuciła pogardliwie matka Adama, chętnie porzucając ponure myśli. – To pasuje do Horowitzów. Ciekawe, ile zapłacili, żeby dostał tę posadę. Bo to, że ich syn na tej służbie ubrudzi sobie ręce, najmniej ich obchodzi. Nie pojmuję, jak Żydzi tu, w getcie, są w stanie nękać własnych współbraci i być pomocnikami Niemców.

Irena i Adam wymienili spojrzenia. Wiedzieli, co teraz nastąpi, ponieważ słyszeli tę dyskusję między siostrami już kilkanaście razy i sami często prowadzili podobną. Chyba nie było nikogo w getcie, kto

by tych młodych ludzi z policji żydowskiej nie nienawidził, a jednocześnie im nie zazdrościł.

I rzeczywiście, Dora zareagowała zgodnie z oczekiwaniami.

– Jesteś zbyt surowa – stwierdziła. – Każdy, kto należy do Żydowskiej Służby Porządkowej, dostaje większe racje żywnościowe dla całej rodziny i jest chroniony przed pracą przymusową. Czy możesz winić kogoś za to, że próbuje ocalić swoich najbliższych?

– To cel ma uświęcać wszelkie środki?! – wybuchła matka Adama. – Poza tym to nie usprawiedliwia brutalnej gorliwości, z jaką wielu z nich próbuje udowodnić Niemcom swoją przydatność.

Dyskusja toczyła się jeszcze dosyć długo, a gdy w końcu odłożyli narzędzia ogrodnicze, podwórze było już pogrążone w głębokim cieniu. Matka Adama i jej siostra poszły do mieszkania. Również Irena musiała wracać do domu.

– Mama nie czuła się dziś rano najlepiej. Serce.

Adam skinął głową.

– Odprowadzę cię kawałek.

– Może lepiej nie. O tej porze Niemcy uzupełniają limit robotników przymusowych, dlatego... – Nie zdążyła dokończyć.

– Nic mnie to nie obchodzi. Chcę cię odprowadzić – oznajmił stanowczo.

Irena westchnęła z rezygnacją, chociaż w głębi ducha się cieszyła. W milczeniu ruszyli Sienną. Z jednej strony chętnie zrzuciłaby ciężar z serca i opowiedziała mu o mężczyźnie i jego martwym synu przed szpitalem Ali, lecz coś ją powstrzymywało. Chwile sam na sam z Adamem, bez jego rodziny, bez jej przyjaciół, były dla niej bezcenne. Nie chciała mówić wtedy o okropieństwach, których musieli

doświadczając każdego dnia, ani też nie wspominała o Mietku. Zapalenie oskrzeli, które złapał na wiosnę i którym bardzo się martwiła, na szczęście minęło bez śladu. Chociaż Irena chciałaby jak najszybciej go zobaczyć, w ostatnich miesiącach zdała sobie sprawę z tego, że ich małżeństwo definitywnie się skończyło, ponieważ jej serce należy teraz do innego.

Zmrużyła oczy, patrząc na coraz bardziej zniżające się słońce. Chodnik leżał w cieniu. Wciąż było ciepło, ale już nie gorąco. Na Siennej, szerokiej ulicy otoczonej ładnymi kamienicami, mijali ich przechodnie – kobiety i mężczyźni w czystych ubraniach. Z piekarni rozchodził się zapach świeżo pieczonego chleba. Białego chleba, na który mogli sobie pozwolić bogaci z tej okolicy, podczas gdy w pozostałej części getta ludzie głodowali. Mimo to Irena poddała się iluzji normalności. Ich krótki spacer przypominał jej letnią wakacyjną przechadzkę. O ile to w ogóle możliwe w tych czasach.

Wciąż milcząc, szli obok siebie; przy każdym kroku ramię Adama muskało jej rękę, słowa tylko by przeszkadzały. Nagle w tę błogą ciszę wdarły się czyjeś szybkie kroki, które z każdą sekundą się przybliżały. Irena spojrzała z przestraszeniem na Adama, jednak zareagowali zbyt późno. Zza rogu wybiegł mężczyzna i niemal ich przewrócił. Zarówno ona, jak i Adam o mały włos straciliby równowagę. Ten młody człowiek najwyraźniej musiał mieć jakiś ważny powód, że się tak spieszył, ponieważ popędził dalej, nie rzucając nawet „przepraszam”. Znowu rozległy się szybkie kroki, tym razem wybijane przez ciężkie buty. Zza węgła wyłoniła się spocona twarz żydowskiego policjanta. Przemknął obok nich w pogoni za mężczyzną.

Irena miała złe przeczucia.

– Chodźmy stąd. – Instynktownie chwyciła Adama za rękę i pociągnęła za sobą. Szli najszybciej, jak mogli, ale nie biegli.

Wszystkie zmysły Ireny były maksymalnie wyostrzone. Nagle uświadomiła sobie, że kroki policjanta umilkły. Zatrzymała się.

– Co jest? – spytał Adam.

Znów dał się słyszeć stukot butów, lecz tym razem się nie oddalał. Był coraz bliżej.

– Uciekaj! – rzuciła do Adama, ale za późno. Przed nimi wyrósł kolejny policjant, podczas gdy za ich plecami rozległ się głos pierwszego:

– Bierz tego! Tamten zwiął.

Irena rozejrzała się w panice. Nigdzie w pobliżu żadnej bramy ani sklepu. Adam próbował czmychnąć na jezdnię, lecz jeden z policjantów już go dopadł i wykręcił mu rękę do tyłu. Adam krzyknął z bólu i wściekłości. Usiłował uwolnić się z uścisku, również Irena próbowała mu pomóc, ale już znalazł się przy nich także drugi mundurowy.

– Uciekaj! – wrzasnął do niej Adam. – Szybko!

Policjanci zabrali go ze sobą. Irena biegła za nimi. Tam! Rzut kątem oka. Drzwi jakiegoś sklepu się otworzyły. Zanim Irena zdążyła się zorientować, ktoś złapał ją za ramię i wciągnął do pracowni krawieckiej. Drzwi natychmiast zatrzasnęły się za nią.

– Nie! – krzyknęła z całych sił. – Nie! Zostawcie mnie!

Obcy mężczyzna trzymał ją mocno. Za kontuarem stała wyprostowana siwowłosa kobieta i patrzyła na nią niewzruszenie.

– Ja muszę stąd wyjść – błagała Irena. – Muszę pomóc mojemu przyjacielowi.

– Nic już nie możesz zrobić, dziecko. Co najwyżej uratować samą siebie, żeby nie zabrali cię na Pawiak – powiedziała nieznajoma.

Irena się zastanowiła.

– Czy macie tu tylne wyjście? Czy wypuscicie mnie, jeśli obiecuję, że wrócę do domu bocznymi ulicami?

Starsza kobieta najpierw popatrzyła na nią z powątpiewaniem, a potem wskazała głową w stronę zaplecza.

– Puść ją, Yaron.

Uścisk wokół jej ręki zelżał.

– Dziękuję – zdążyła jeszcze rzucić Irena, zanim zniknęła na zapleczu, skąd drzwi rzeczywiście prowadziły na tylny dziedziniec. Puściła się pędem, ale nie w kierunku, w którym zabrano Adama. Błaganie i prośby nic by nie dały, gdyby zaś on sam próbował uciekać, zostałby zastrzelony. Istniała tylko jedna szansa.

Niemal bez tchu dobiegła do domu swojej przyjaciółki Racheli Rosenthal. Rachelę studiowała polonistykę i przed wojną pracowała jako nauczycielka. W getcie dołączyła do grupy nauczycieli, którzy potajemnie kontynuowali nauczanie dzieci. Jeśli teraz mogłaby pomóc, to nie dzięki swojemu dobremu sercu czy niespożytej energii, z których wszyscy ją znali, ale dzięki temu, że miała wielbiciela w żydowskiej policji. Oczywiście jego szanse u niej były zerowe, Rachelę bowiem to szczęśliwa mężatka i matka. Niemniej Irena wiedziała, że ów młody mężczyzna wciąż wzdycha do niej i robi słodkie oczy, i właśnie to musiała teraz wykorzystać. Może to niewłaściwe z jej strony, ale niewiele ją to obchodziło.

Na szczęście zastała Rachelę w domu. Szybko wyjaśniła, co się stało.

– Czy mogłabyś poprosić Tadka o pomoc? Może udałoby mu się coś zrobić? Proszę cię, Rachelo, nie mam pojęcia, co innego wymyślić.

Przyjaciółka ponuro skinęła głową.

– Masz coś wartościowego przy sobie? Cokolwiek.

W pierwszej chwili Irena spojrzała na nią osłupiała, ale szybko zrozumiała. Bardzo możliwe, że Tadek będzie musiał zaoferować swojemu koledze na miejscu zbiórki odpowiednie „wykupne”. Zastanawiała się gorączkowo.

– Tylko ten mały zegarek – powiedziała w końcu. Była bliska płaczu.

Rachela wzięła zegarek do ręki i pokręciła głową.

– Przypuszczam, że w domu u Adama znalazłoby się coś więcej, ale nie ma czasu. Poczekaj. – Wyszła z pokoju, a po chwili wróciła z małą torbą.

– Co ty...? – zaczęła Irena.

Rachela przerwała jej.

– Ja pójdę teraz do Tadka, a ty idź do mieszkania Adama. Jeśli Tadek się zgodzi i da radę, przywitasz Adama w domu. Jeśli nie... – Zawahała się. – Jeśli nie, dam ci znać. – Po czym bez słowa wybiegła.

Irena jak pijana wracała bocznymi ulicami do domu Adama. Próbowwała zdusić każdą myśl w zarodku. Znalazłszy się pod drzwiami mieszkania, już chciała nacisnąć guzik dzwonka, gdy nagle opuściła rękę. Ze środka dobiegały głosy matki i ciotki. Czy naprawdę powinna wpędzać te dwie kobiety w rozpacz, skoro jeszcze istnieje nadzieja?

Usiadła na schodach piętro niżej. Mimo ciepła i letniej pogody tu panował chłód. Miała nerwy napięte jak postronki. Musiała zmobilizować wszystkie siły i mocno wziąć się w garść, żeby się nie rozplakać. Ile czasu minęło od wyjścia Racheli? Nie miała już zegarka. Pół godziny? Godzina? Dwie?

W końcu na zewnątrz dał się słyszeć jakiś hałas. Na nowo ogarnęła ją panika. Na parterze otworzyły się drzwi. Ktoś powoli włókł się po schodach na górę. Czy to mogła być Rachela? Irena chciała się zerwać z miejsca, wybiec naprzeciw, lecz bała się, kogo zobaczy.

– Adam!

Właśnie wchodził na półpiętro. Kiedy ją ujrzał, przystanął. Był biały jak kreda, jego ciemne oczy wydawały się niezwykle duże. Irena podniosła się ze stopnia. W tej samej sekundzie Adam był już przy niej. Objęli się mocno, jakby już nigdy nie mieli się rozłączyć. Początkowo cicho, a potem coraz bardziej niepoohamowanie Adam zaczął szlochać. Irena tuliła go mocno. Gdy w końcu się uspokoił, spojrzeli na siebie. Ona delikatnie otarła mu łzy z policzków. Jego usta się przybliżyły. Ledwie zauważalnie dotknęły jej warg. Na chwilę oboje zastygli w bezruchu, a potem się pocałowali.



Rozdział 17

Gabinet znajdował się na końcu korytarza. Przez wysokie okna wpadało ciepłe popołudniowe światło, malując podłużne prostokąty na parkiecie. Zgiełk z ruchliwej Berliner Strasse docierał na górę przytłumiony. SS-Obergruppenführer Reinhard Heydrich zatrzymał się przed wejściem, wygładził górę czarnego munduru i zdjął czapkę. Następnie spojrzął na tabliczkę na drzwiach: Hermann Göring, Marszałek Rzeszy.

Zapukał. Natychmiast rozległo się energiczne „Wejść!”. Wszedł więc. Göring przywitał go pośrodku pokoju.

– Heil Hitler!

– Heil Hitler! – zasalutował Heydrich.

– Może pani wyjść – polecił swojej sekretarce Göring.

Kobieta spojrzała na niego zdziwiona.

– Czy nie powinnam...?

– To będzie krótka rozmowa między przyjaciółmi, Frau Schmitz. Potem wróci pani do swoich obowiązków.

Sekretarka wstała i opuściła gabinet.

Gospodarz wskazał gościowi miejsce i nalał mu kieliszek koniaku.

– Miło mi pana widzieć, Herr Obergruppenführer – rzekł.

Heydrich sięgnął po kieliszek. Był bardzo ciekaw, co Marszałek Rzeszy ma do powiedzenia. Göring nie kazał mu długo czekać.

– Wezwałem pana, drogi Heydrich, ponieważ znowu chodzi o najbardziej dokuczliwy problem ze wszystkich: o kwestię żydowską. Ustawy norymberskie pozwoliły nam uczynić pierwszy krok. Usunęliśmy Żydów z naszego społeczeństwa, z naszej kultury, z naszej gospodarki. Ale pozbyć się ich nie pozbyliśmy. Oni wciąż tutaj są, tu, w naszych niemieckich miastach, pośród nas, każdego dnia.

– Myśli pan o utworzeniu gett, jak w Polsce? – wtrącił Heydrich.

Göring się uśmiechnął.

– Gett? O nie, to żadne rozwiązanie. I jak słyszę, nie sprawdza się też na Wschodzie. Miliony Żydów, przepelnione getta, no i te choroby. To nas wszystkich dużo kosztuje, zarówno czasu, jak i personelu i środków finansowych.

– Oczywiście można by było wybudować jeszcze więcej gett na Wschodzie i wszystkich niemieckich Żydów tam...

Göring uniósł rękę, aby mu przerwać. Heydrich natychmiast zamilkł.

– Führer jest przekonany, że nasza dotychczasowa tak zwana polityka emigracyjna się nie sprawdza. Kto chce mieć Żydów u siebie? Kto ma ich przyjąć? Amerykanie?

– Raczej nie byliby wdzięczni.

– Otóż to, Heydrich, otóż to. Nikt nie chce Żydów. Nawet Polacy, bo mają dosyć własnych. Ilu ich tam jest?

– Od dwóch i pół do trzech milionów?

Göring zawachłował ręką, jakby na dźwięk tej liczby zabrakło mu powietrza.

– Trzy miliony. A kiedy niedługo wygramy wojnę z Rosjanami, dojdzie kolejnych pięć milionów. I dla nich wszystkich mamy tworzyć nowe getta? – parsknął. – Getta, Heydrich, jedynie odwlekają rozwiązanie problemu, zamiast go rozwiązywać. Rozumie pan, co mam na myśli?

Obergruppenführer milczał przez chwilę. A potem powiedział:

– Sądzę, że pana zrozumiałem.

– Doskonale. – Göring uderzył dłońmi o kolana. – Chciałbym mianowicie, aby to pan zajął się tą sprawą. Niniejszym oficjalnie zlecam panu podjęcie wszelkich przygotowań organizacyjnych, materialnych i rzeczowych w celu ostatecznego i kompleksowego rozwiązania kwestii żydowskiej. A jeśli używam określenia „ostateczny”, to mam na myśli „ostateczny”. Oczyszcmy wreszcie raz na zawsze naszą europejską przestrzeń życiową.

– Powierza mi pan wyłączną odpowiedzialność? – Heydrich nie krył zaskoczenia.

– Powiedzmy, że kierownictwo i najwyższą odpowiedzialność – odparł Göring. – Ale musimy oczywiście włączyć do procesu przedstawicieli wszystkich instancji zaangażowanych w kwestię żydowską i wysłuchać ich pro forma, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. Proponuję, aby zwołał pan konferencję.

– W rzeczy samej. Byłoby dobrze, gdybyśmy wszyscy w tej sprawie mówili jednym głosem. Niestety, od razu przychodzi mi na myśl kilka osób, które w razie przyjęcia radykalnego pragmatycznego rozwiązania prawdopodobnie będą miały moralne skrupuły.

– O tak, wiem, o kim pan mówi. – Marszałek wybuchnął śmiechem. – I tu właśnie potrzebne jest pewne finezyjne wyczucie retoryczne. Rzeczowy i neutralny sposób prezentacji. Proszę unikać takich sformułowań, jak zabijać, mordować, dokonywać egzekucji czy innych niemiłych słów. Musi pan skupić się na aspekcie pragmatycznym. Jak pan uważa, jak należałoby nazwać całą tę akcję?

Heydrich się zastanowił.

– Może warto byłoby zachować termin, którego już wcześniej używaliśmy, kiedy jeszcze wierzyliśmy, że uda nam się pozbyć Żydów, wysiedlając ich z Niemiec?

Göring nie zrozumiał od razu.

– Wyszalenie – doprecyzował Heydrich. – Tyle tylko, że teraz nie odprawimy ich do innych krajów, tylko... całkowicie – dodał z uśmiechem.

Marszałek zaś skwitował to gromkim śmiechem.

– Doskonale. Zróbmy tak.

– Pozostaje pytanie: w jaki sposób?

Göring machnął ręką.

– Akurat problem techniczny został już rozwiązany. Latem zbudowaliśmy dwadzieścia ruchomych komór gazowych. Ich rury wydechowe, a tym samym spaliny kierowane są do wnętrza pojazdu, gdzie można zmieścić kilkudziesięciu Żydów. Kilka z nich chcemy wykorzystać niedługo w Polsce, w obozie w Chełmnie. Ale nasi technicy pracują nad jeszcze bardziej efektywnymi rozwiązaniami. Myślę, że już niedługo będziemy stosować stacjonarne komory gazowe i ciężarówki przestaną nam być potrzebne. To będzie wydajniejsze i znacznie korzystniejsze finansowo. Niech mi pan wierzy: to działa.

– Czy przekaże mi pan wszystkie niezbędne informacje? – spytał Heydrich.

– Ależ oczywiście. Od tej chwili jest pan moim bezpośrednim łącznikiem. Swoją drogą powinien pan wybrać sobie także zastępcę. Ma pan jakąś propozycję?

Heydrich nie musiał się długo zastanawiać.

– Adolf Eichmann z Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Odpowiedzialny za sprawy eksmisyjne i emigrację żydowską.

– Ależ oczywiście! – Göring strzelił palcami. – Doskonały wybór. A jeśli chodzi o konferencję, powinien pan tak czy inaczej zaprosić na nią naszego przyjaciela Bühlera. Zastępcę gubernatora Generalnego Gubernatorstwa. Ponadto Stuckarta, który pracował nad ustawami norymberskimi. Może też Müllera, szefa gestapo, i Rudolfa Langego, komendanta policji bezpieczeństwa na Łotwie. To bardzo zdolny człowiek.

– Bez Kritzingera z Kancelarii Rzeszy też się prawdopodobnie nie obejdziemy. – Heydrich uniósł wysoko brwi, dając w ten sposób wyraz swojemu sceptycyzmowi.

Göring odchylił się ciężko na fotelu i pociągnął łyk koniaku.

– No chyba niestety nie. Potrzebujemy jego aprobaty przynajmniej formalnie. Myślę, że da pan sobie radę. Całkowicie zdaję się na pana.

Heydrich w zamyśleniu pokiwał głową, gospodarz zaś uniósł kieliszek.

– Za ostateczne rozwiązanie, Heydrich!

– Za wysiedlenie!



Rozdział 18

Proszę! Drzwi uchyliły się nieco i mizerny młody mężczyzna w czarnej sutannie ostrożnie wsunął głowę do środka. Miał rzadkie jasne włosy i nosił druczane okulary.

– W czym mogę pomóc? – spytała przyjaźnie Irka.

Mężczyzna wydawał się zakłopotany.

– Ja do pani Sendlerowej. Nie ma jej w biurze?

Irka spojrzała na zegar.

– Jest na wizytach domowych, które potrwiają jeszcze pewnie dwie, trzy godziny. Ale jeśli ksiądz ma ochotę, może, rzecz jasna, porozmawiać ze mną. Ściśle współpracuję z panią Sendlerową.

Duchowny się zawahał, ale w końcu otworzył drzwi trochę szerzej.

Irka wyszła zza biurka i wyciągnęła ku niemu rękę.

– Irka Schultz. W czym mogę pomóc? – powtórzyła pytanie.

Młody ksiądz wszedł dalej i uściśnął jej dłoń, ale wydawał się jeszcze bardziej niepewny. Wreszcie usiadł na wskazanym mu miejscu.

– Jestem ojciec Wiktor – przedstawił się. – Przyszedłem, bo w naszym domu parafialnym przyjęliśmy trzech uciekinierów. Stracili wszystko i zostali z niczym.

Dokładnie opisał sytuację, a Irka obiecała zająć się sprawą. Nagle przestało mu się spieszyć. Zaczął mówić o jadłodajni w swojej parafii i nędzy bezdomnych.

– Nie powinienem narzekać – stwierdził wreszcie. – Mój kościół przynajmniej wciąż stoi i możemy być jakoś przydatni.

Irka tylko kiwała głową, bo nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Zresztą kapłan chyba nie oczekiwał żadnej reakcji.

– Znajomemu księdzu we Lwowie spalił się cały kościół.

– To straszne! – wykrzyknęła.

– Tak, okropne – potaknął, splatając palce. – Z całym archiwum i kartoteką. Zostało tylko kilka czystych aktów urodzenia.

Nastąpiła pauza. Irka czekała, czy ojciec powie coś jeszcze, ale on milczał. Nagle doznała olśnienia. Czyste akty urodzenia to dokumenty umożliwiające stworzenie nowej tożsamości, a z taką nową tożsamością można było ubiegać się u Niemców o oficjalną kenkartę, stać się nowym człowiekiem, bezpiecznym. W jej głowie kipiało. Czy ten młody duchowny wspomniał o pustych metrykach właśnie z tego powodu? Czy wpadł na ten sam pomysł co ona?, zastanawiała się gorączkowo. Tyle razy rozmawiała z Ireną i innymi koleżankami o tym, jak dobrze by było, gdyby ukrywanym po aryjskiej stronie żydowskim przyjaciołom udało się zapewnić polską tożsamość, jednak przeszkodą był brak odpowiednich dokumentów.

Mimo to musiała zachować ostrożność. Podczas gdy intensywnie myślała nad tym, co powiedzieć, ksiądz przerwał przedłużające się milczenie głośnym chrząknięciem.

– Najpierw zamierzałem poprosić, żeby wysłano mi te metryki pocztą, ale przecież Niemcy często otwierają listy, i gdyby znaleźli takie puste dokumenty, mogliby pomyśleć Bóg wie co. – Spojrzał na Irkę z nienaturalnym rozbawieniem.

To nie przypadek, uznała. Na pewno. Postanowiła więc zaryzykować.

– A może ktoś mógłby je stamtąd odebrać? – rzuciła od niechcienia, jakby nie był to żaden interesujący temat.

– Tak. – Ksiądz żarliwie skinął głową. – Też przyszło mi to do głowy. Ale podróż do Lwowa jest długa, uciążliwa i... – Raptem urwał.

I niebezpieczna, dodała Irka w duchu.

– ...ja sam nie bardzo mogę się stąd ruszyć. Ale gdyby pani, to znaczy, pani urząd...? Tak tylko sobie pomyślałem. Warszawski urząd opieki społecznej z pewnością ma kontakty międzyregionalne.

– Oczywiście. – Irka się uśmiechnęła. – Dlaczego nie?

– To dobrze. – Nagle młodemu księdzu zaczęło się spieszyć. Wstał i pochyliwszy się nad biurkiem, zapisał na kartce dwa nazwiska i adresy. – Jeśli rzeczywiście ktoś wybierze się do mojego kolegi, proszę dać mi znać, to go uprzedzę.

– Dobrze. – Irka uśmiechnęła się i również podniosła się z krzesła. Gdyby ktoś nas podsłuchiwał, mógłby sądzić, że chcemy wypożyczyć sobie nawzajem nasze ulubione książki, pomyślała chytrze.

Ledwie ksiądz wyszedł z pokoju, zacisnęła pięści w geście triumfu. Niebawem! Już niedługo będą mieć do dyspozycji czyste akty urodzeń. Irka nie mogła się wprost doczekać, by podzielić się tą nowiną z Ireną.

Reakcja całej reszty była zgodna z oczekiwaniem. Koleżanki nie kryły entuzjazmu.

– Jedynym problemem jest ryzyko – zauważyła Jaga, gdy późnym popołudniem zebrały się wszystkie.

– Podróż do Lwowa jest długa – przyznała Janka. – A jeśli w drodze powrotnej akurat trafi się kontrola w pociągu i Niemcy znajdą czyste metryki, raczej się domyślą, do czego są potrzebne. To jest śmiertelnie niebezpieczne.

Na chwilę zaległa cisza.

– Ja to zrobię – odezwała się nagle Irena. – Pojadę tam.

– Wykluczone – rzuciła Irka tak stanowczo, że Irena popatrzyła na nią ze zdumieniem. – To ja nakręciłam całą sprawę. I ja doprowadzę ją do końca.

I po długich wspólnych naradach na tym stanęło. Zaledwie kilka dni później Irka wsiadła do pociągu. Pociągów dalekobieżnych prawie nie było, ponieważ Niemcy zarekwirowali wszystkie lepsze składy do własnych celów. Pozostały stare, zużyte wagony, które wyglądały tak, jakby prosto ze złomowiska wprowadzono je z powrotem na tory. Irka musiała wiele razy się przesiadać. Jechała z tłumami ludzi objuczonych walizkami, paczkami i tobołkami, ludzi o zmęczonych i zamkniętych twarzach. Nikt się nie odzywał. Za oknem przesuwały się lasy, łąki, jeziora i pola, na których jeszcze niedawno rosło zboże lub ziemniaki. Tu i ówdzie widać było przejeżdżające wozy konne. Ale generalnie krajobraz ział pustką.

Wysiadła w niedużej miejscowości pod Lwowem. Stamtąd czekał ją jeszcze dwukilometrowy marsz do maleńkiej wsi, w której pozbawiony kościoła ksiądz schronił się u swojej siostry.

Wszystkie domy w wiosce stały nienaruszone. Nawet Niemcom nie opłacało się bombardować miejsca z niespełna pięćdziesięcioma mieszkańcami. Bury kurz znad wyschniętej na wiór drogi osiadał Irce na

butach i łydkach. Przy bramie ogrodowej drzemał pies. Za pochylonym drewnianym płotem kwitły margerytki, astry i słoneczniki. Nigdzie nie było żywego ducha. Jedynie w oknie niemal niezauważalnie drgnęła firanka.

Nikt się nie pokazał również wtedy, gdy Irka zapukała w niebieskie drzwi, które wcześniej dokładnie jej opisano. Zapukała po raz drugi i nic. Ktoś jednak musiał podejść na palcach od drugiej strony, bo nagle padło rzucone podejrzliwie pytanie:

– Kto tam?

– Ojciec Antoni? Nazywam się Schultz – szepnęła Irka i szybko dodała: – Ojciec Wiktor to nasz wspólny znajomy.

Drzwi się otworzyły i po chwili ukazał się w nich szczupły mężczyzna w średnim wieku. Miał w sobie coś z ptaka. Być może wywoływał takie skojarzenie jego długi, zakrzywiony nos lub małe czujne oczy? Wprowadził ją do większego z trzech pokoi, gdzie przywitała ją kobieta, którą Irka nawet w nieprzebranym tłumie rozpoznałaby jako jego siostrę. Obok stała miska, w której mogła umyć ręce, a potem krewna księdza zaprosiła ją do wspólnego posiłku. Przygotowała proste, ale smaczne jedzenie – zupę jarzynową z chlebem i jajkami.

O czystych metrykach nikt nie wspomniał ani słowem. Dopiero kiedy siostra położyła się spać, ojciec Antoni otworzył szafę i wyjął z niej cienką kopertę. Irka poczuła ukłucie zawodu. Nie przyszło jej do głowy, aby spytać warszawskiego księdza, ile pustych blankietów ma w posiadaniu jego kolega. Ojciec Antoni bez słowa położył kopertę na stole. Irka zajrzała do środka. Mogło w niej być siedem albo osiem, co najwyżej dziesięć formularzy. Mało – pomyślała. Wezbrało w niej rozczarowanie. Założyła jako rzecz oczywistą, że dostanie solidny plik

dokumentów. A okazało się, że jechała cały długi dzień po zaledwie kilka papierków.

Ledwie dokończyła tę myśl, energicznie pokręciła głową. Osiem metryk to osiem istnień ludzkich. Osiem istnień, które być może da się ocalić! Podziękowała ojcu z uśmiechem.

– Jak przewiezie pani tę kopertę? – spytał duchowny.

– Pod obszerną bluzką. Wsunę ją w talię pod spódnicę i jakoś przykleję do ciała. Na wypadek rewizji. Zawsze najpierw sprawdzany jest bagaż.

Ksiądz spojrział na nią z przestraszonym wyrazem twarzy.

– Niemcy kontrolują nie tylko bagaż. Robią też rewizje osobiste. Walizkę czy torbę może pani w razie czego zostawić i pójść, ale jeśli znajdą kopertę pod pani ubraniem, będzie po wszystkim.

Irka wpadła w przerażenie. Ojciec Antoni miał rację. Chyba będzie musiała wymyślić inny sposób.

Źle spała tej nocy. A to było zbyt cicho, a to pohukiwanie sów i poszczekiwanie wiejskich psów wydawało się zbyt głośne. Raz za razem analizowała potencjalne możliwości. Kiedy wstała wcześnie rano, czuła się, jakby ją łamano kołem, dlatego ucieszyła się, gdy udało jej się zabrać z jednym z chłopów ze wsi do najbliższej miejscowości na stację. Furmankę wyładowaną workami dyni, jabłek i marchwi koń ciągnął tak wolno, że Irka chyba szybciej dotarłaby na miejsce piechotą. Mimo to była wdzięczna temu człowiekowi. Czekala ją niekończąca się podróż w dusznych, zdezelowanych wagonach. Ponadto nie była już zwyczajną młodą pasażerką, która rzekomo spędziła kilka dni u krewnych w odległym Lwowie. Jeśli dziś zdarzy się rewizja, wszystko będzie zależało od jej przytomności umysłu i szczęścia.

Godziny w zatłoczonych wagonach mijały niesłuchanie powoli. Wreszcie Irka przesiadła się do ostatniego pociągu. Jeszcze tylko pół godziny i znajdzie się w Warszawie. Bolały ją grzbiety dłoni, ponieważ przez cały dzień z nerwów wbijała w nie paznokcie. Ale wszystko szło dobrze.

Do tej pory. Skrzypiąc i posapując, pociąg zatrzymał się w jakiejś małej miejscowości – i tu je usłyszała: niemieckie głosy.

– Kontrola! Otwierać torby! Każdy zostaje na swoim miejscu!

Na moment zamarła ze strachu, jednak szybko wzięła się w garść i przypomniała sobie, co wymyśliła na taką ewentualność.

Wstała. Głosy zbliżały się od czoła pociągu, ruszyła więc w kierunku tylnej części składu. Zapowiedź rewizji wywołała popłoch także wśród współpasażerów. Wielu gorączkowo próbowało upchnąć gdzieś swoje torby i tobołki, przez co Irka z trudem posuwała się do przodu. Wreszcie dotarła do drzwi wagonu, ale przez okno na jego końcu dostrzegła Niemców także w ostatnim wagonie.

Muszę wysiąść i szybko wsiąść do następnego pociągu – przemknęło jej przez głowę, ale wtedy zobaczyła, jak Niemcy przetrząsają wysiadających. Zaczęła się pocić, w głowie miała gonitwę myśli, podczas gdy na twarzy starała się zachować obojętny wyraz. Mimo to fakty były faktami. Rewidowano przed nią, rewidowano za nią. A jeżeli zostawi walizkę byle gdzie w wagonie, Niemcy znajdą czyste metryki i na pewno wyładują wściekłość na pierwszych lepszych przypadkowych pasażerach. Oni nazywali to sprawiedliwością zbiorową. Jeśli nie mogli znaleźć sprawcy danego przestępstwa, zamiast niego musiało zapłacić życiem wielu niewinnych ludzi.

Irka dostrzegła szczelinę między otwartymi drzwiami wagonu a ścianą. To kiepska kryjówka i trudno było raczej liczyć na to, że nikt jej nie zauważy, ale nie miała lepszego pomysłu. Najgłębiej jak mogła

wepchnęła w nią walizkę i się oddaliła. Pot spływał jej po twarzy i plecach, podczas gdy Niemcy sprawdzali każdego podróżnego. Zabierali każde jabłko, każdy bochenek chleba. Irka pokazała im papiery. Były bez zarzutu, Niemcy nie tracili więc na nią czasu. Mimo to z trudem panowała nad nerwami. Spodziewała się, że lada moment ktoś odkryje jej walizkę. Nie widziała jej z miejsca, w którym stała. Do wagonu wszedł właśnie kolejny gestapowiec. Czy chciał zgłosić, co znalazł?

– Czysto, idziemy.

Czysto – tyle Irka zrozumiała. Niemcy mówili tak dosyć często. Czy to możliwe, aby te słowa oznaczały to, co wydawały się oznaczać? Chyba tak. Bo pierwsi żołnierze wyskoczyli już z pociągu i ruszyli po peronie. Aż w końcu wszyscy zniknęli. Z szarpnięciem i z wyraźnym mrozem pociąg zaczął się toczyć po torach. Irka zmusiła się, by zostać tam, gdzie stała, dopóki nie znajdą się poza stacją, a potem ruszyła. Jeśli to był podstęp, zastanie obok swojej walizki Niemca, który tylko czeka na to, aby pokazał się jej właściciel.

Kiedy dotarła do końca korytarza, jej serce zamarło. Obok już zamkniętych drzwi wagonu stała chłopka w nieokreślonym wieku. Miała ogorzałą twarz, a jej głowę okalała korona spleciona z siwoblond warkoczy. Nie była wysoka, ale za to korpulentna, i miała na sobie wyjątkowo szeroką spódnicę. Widząc przerażoną minę Irki, uśmiechnęła się dobrodusznie i odsunęła się nieco na bok. Za nią była walizka.

Irka nie mogła wręcz uwierzyć. Ta kobieta ustawiła się przed jej walizką i zakryła ją podczas kontroli swoją obszerną spódnicą. Musiała się domyślić, że jest w niej coś zakazanego, i dlatego zasłoniła ją przed spojrzeniami Niemców, nie zastanawiając się nad tym, na jakie niebezpieczeństwo może narazić ją jej zawartość ani dla kogo to robi. Teraz już wiedziała i śmiała się z mieszaniną dumy i satysfakcji.

Irka sięgnęła po swój bagaż.

– Dziękuję – wymamrotała i już miała odejść, gdy nagle odwróciła się jeszcze i mocno uścisnęła pulchną kobietę. – Dziękuję! – powtórzyła.



Rozdział 19

Złe wiadomości dotarły do Warszawy wraz z pierwszymi ulewnymi deszczami jesieni. Gazeciarze wykrzykiwali najświeższe doniesienia pod osłoną bram domów: Niemcy rozgromiły Armię Czerwoną w bitwie o Kijów i chwaliły się wzięciem do niewoli ponad sześciuset tysięcy jeńców oraz zdobyciem niemal trzech tysięcy dział. Linia frontu rosyjskiego ciągnęła się na długości czterystu kilometrów. Dla Związku Sowieckiego była to klęska o wręcz niespotykanym rozmiarze, dla ludności polskiej zaś, a przede wszystkim dla Żydów – gorzkie rozczarowanie. Ku wielkiej euforii społeczeństwa niemieckiego Hitler zapowiedział marsz na Moskwę. I chociaż Adam nie należał do tych, którzy liczyli na zwycięstwo Rosjan, również on zrobił się w tamtych dniach milczący.

Nastał październik i deszcz zamienił się w śnieg. Dokuczliwy wiatr smagał twarz Ireny wilgotnymi płatkami, gdy późnym popołudniem przekroczyła bramę getta. Była ubrana w dwa płaszcze. Kto jej udowodni, że ich nie potrzebuje? Ostatecznie jest bardzo zimno. Ale miała szczęście. Wachtę przy bramie wśród wielu innych pełnił żołnierz Wehrmachtu wyglądający na oko na dwadzieścia lat. Odkąd Irena zobaczyła go pierwszy raz, ciągle był przeziębiony: blada, mizerna twarz

ponad cienką szyją, załamane oczy za okularami w drucianych oprawkach, niezmiennie czerwony nos, zapadła pierś. Sprawiał wrażenie, że wszędzie byłoby mu lepiej niż na tym świecie. W żadnej książce o niemieckiej rasie panów nie poświęcono by mu ani jednej linijki, doszła do wniosku Irena. Kiedyś przyłapała go na tym, jak umyślnie odwraca wzrok. Nie widział podejrzanego wybruszenia pod płaszczem starszej robotnicy ani dwóch par butów na nogach mężczyzny wracającego z aryjskiej strony. Od tamtej pory zaczęła go obserwować. Albo szkła w jego okularach były za słabe, albo...

Bez problemu minęła posterunek i żwawym krokiem poszła dalej. Pewnemu młodemu małżeństwu niedawno urodziło się dziecko. Osłabiona głodem matka omal nie przypłaciła porodu życiem i nie miała pokarmu dla małego Piotrusia, a sam noworodek był tak słaby, że Irena ani razu nie słyszała, aby płakał.

Zapukała do drzwi mieszkania młodych rodziców. Najpierw cicho, po chwili głośniejsze. Nikt nie otwierał. Czyżby Woźniakowie dokądś poszli? W taką pogodę, w takie zimno? Z maleńkim dzieckiem? Zapukała ponownie – bez skutku. Dopiero kiedy znalazła się znowu na schodach, uchyliły się drzwi – ale inne. W szparze ukazała się twarz starszej kobiety, która widząc Irenę, otworzyła drzwi szerzej.

– Jestem Irena Sendlerowa – przedstawiła się, cofnąwszy się do sąsiadki. – Pracuję w Wydziale Opieki Społecznej i Zdrowia Publicznego i opiekuję się rodziną Woźniaków. Czy wie pani, gdzie oni są?

Siwowłosa staruszka przełknęła głośno ślinę i przycisnęła dłoń do ust.

– Był nalot – powiedziała w końcu. – Polscy policjanci szukali mężczyzn do robót przymusowych. Kiedy usłyszeliśmy ich na dole, na klatce, wszyscy uciekliśmy do naszej kryjówki na strychu, Dorota

z maleństwem też. Ale bez męża. On nie wrócił jeszcze wtedy z pracy. Zjawił się, kiedy policjanci wciąż przeszukiwali mieszkania. Nagle dotarł do nas jego krzyk. Normalnie wpadł im prosto w ręce. Próbowałam zatrzymać Dorotę, ale kiedy oni go zabrali i w domu zaległa cisza, nie mogła tego znieść. Wyrwała mi się i puściła się pędem na dół, żeby mu pomóc.

– A dziecko? – spytała zadyszana Irena.

Kobieta ponownie przyłożyła dłoń do ust. Łzy napłynęły jej do oczu.

– Chciałam, żeby dała mi Piotrusia, ale ona powiedziała, że widok nowo narodzonego dziecka może zmiękczy serca policjantów. Wołałam za nią, krzyczałam. Niedługo potem padł strzał. Oni po prostu ją zastrzelili. Bo walczyła o własnego męża. Leżała na ulicy. Jego zabrali. A po chłopczyku nie było ani śladu. Prawdopodobnie go zabili i gdzieś... – Nie dokończyła.

Irena słuchała z przerażeniem. W jej głowie kołatała jedna myśl. Dziecko! Gdyby Niemcy je zabili, zostawiliby je na ulicy. Czyżby zabrali? Mało prawdopodobne.

Podeszła do drzwi Woźniaków. Może są otwarte? Nacisnęła klamkę i drzwi rzeczywiście ustąpiły. Pokój, w którym jeszcze niedawno mieszkało pięć osób, był pusty, ale czysty i wysprzątnany, tak jak Irena go zapamiętała. Panował w nim nieprzenikniony spokój. Kiedy z ociąganiem podeszła do kołyski, nie mogła uwierzyć własnym oczom. Niemowlę leżało owinięte w kołderkę i przyglądało się jej apatycznym wzrokiem. A więc matka w ostatniej chwili zmieniła zdanie i zanim popędziła na dół, położyła synka do łóżeczka, domyśliła się Irena. Może przeczuwała, że czeka ją śmierć.

Zalała ją fala sprzecznych emocji. Czuła ulgę, że dziecko żyje, ale i niepokój o to, co dalej.

– Jednak jest! – Stara kobieta stanęła obok niej. Znowu miała łzy w oczach. Wyciągnawszy pomarszczoną dłoń, pogłaskała zapadnięty policzek chłopczyka.

– Czy mogłaby pani się nim zająć? – spytała spontanicznie Irena.

– Och. – Sąsiadka spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami. – Bardzo bym chciała. Ale mieszkamy w siedmioro w jednym pomieszczeniu. Sami nie mamy co jeść, a mój szwagier zachorował na tyfus. – Zastanowiła się przez chwilę. – Ten mały robaczek nie ma teraz zupełnie nikogo. Kilka tygodni temu zmarli na tyfus jego dziadkowie. Więc może bym się nim...

Irena słuchała tylko jednym uchem. Starsza pani wyraźnie miała dobre serce i pewnie wzięłaby małego do siebie. Ale z drugiej strony, przecież ona i jej rodzina sami nic nie mają, do tego jeszcze ta choroba w domu. Oddanie im niemowlęcia byłoby najprostszym rozwiązaniem... a jednocześnie wyrokiem śmierci dla niego.

Nagle przypomniała sobie zasmarkanego strażnika przy bramie. I pomyślała o drugim płaszczu, który chciała dać Woźniakom. To ryzykowne, może nieodpowiedzialne, ale trudno. W jej mieszkaniu czekała ostatnia czysta metryka. Dzięki niej mogliby umieścić małego w sierocińcu poza gettem, gdzie miałyby szansę przeżyć. Teraz albo nigdy.

– Ja go wezmę – oznajmiła stanowczym tonem.

Kobieta spojrzała na nią ze zdumieniem. Po chwili się uśmiechnęła i pogłaskała Irenę po ramieniu.

– Dobrze z pani dziecko – powiedziała cicho.

Irena zdjęła wierzchni płaszcz i podała go do przytrzymania starszej pani. Potem zajrzała do jedynej komody w mieszkaniu i znalazła w niej to, czego szukała – koszulę. Zerknęła na zegar. Niedługo zmieniały się

wachty. Nie było ani chwili do stracenia. Sąsiadka pomogła jej mocno przywiązać niemowlę do brzucha, a następnie ukryć je pod swetrem i płaszczem. Dziecko było tak chude, że nie dało się zauważyć najmniejszej różnicy.

Oby tylko nie płakało. Oby miało dość powietrza. I oby ten zasmarkany niedorostek wciąż jeszcze stał przy bramie. Irena raz za razem powtarzała w duchu te trzy życzenia, biegnąc przez gęstniejącą śnieżycę w kierunku bramy. Bardzo często rozmawiały z koleżankami o przemycaniu ludzi z getta. W przypadku dorosłych nie wchodziło to w rachubę. Z dziećmi, mimo ogromnego ryzyka, mogło się udać, ale każdą akcję należało dobrze przygotować. Potrzebne były też dokumenty, których dzieci będą później potrzebować, a ona miała tylko jeden egzemplarz czystej metryki. Wszystkie pozostałe przywiezione przez Irkę ze Lwowa rozdysponowano między rodziny ukrywające się po aryjskiej stronie, wśród nich był także wytwórca lalek profesor Witwicki. Przeszmugłowanie noworodka tak po prostu, z marszu, równało się niemal samobójstwu.

Już było widać bramę. Irena przystanęła w wejściu do najbliższej kamienicy. Wiedziała, że musi odczekać na właściwy moment i niby przypadkiem, jak gdyby nic, stanąć w kolejce, kiedy inni wachmani będą zajęci, a ten zasmarkany będzie wolny. Mijały minuty, robiło się coraz później. Niektórzy strażnicy spoglądali już na zegar. Zaraz nastąpi zmiana. Teraz! Gdy Irena ruszyła w kierunku młodego Niemca, dostrzegła, że z drugiej strony bramy zmierza również ku niemu jakaś kobieta. Chyba też na niego czekała, przebiegło jej przez głowę.

Irena przyspieszyła kroku. Jeśli teraz jej się nie uda, niewykluczone, że kontrola zostanie przerwana przez zmianę strażników albo inny z nich będzie wolny. Niemal była gotowa dać tamtej kobiecie z naprzeciwka jakiś błagalny znak, ale się nie odważyła.

Miała jednak szczęście. Młody wartownik obrócił głowę w jej stronę, gdy dzieliło ją od niego zaledwie kilka kroków. Wyjęła przepustkę z torebki.

– To znowu pani. Szybko poszło – skomentował. – Wszystkie sprawunki załatwione?

– Prawie – odpowiedziała i niemal zaraz ugryzła się w język. Co za idiotyczna odpowiedź. – Jeszcze tylko trzeba kupić parę ziemniaków i wreszcie będzie można wrócić do domu.

– Ja na szczęście też zaraz kończę. Ale tej torby chyba pani nie miała, jeśli dobrze pamiętam?

– Nie.

– W porządku, proszę przechodzić.

Zmęczonym skinieniem głowy dał jej znak, że może opuścić getto. Jak we śnie oddalała się krok za krokiem od muru. Niemal nie czuła własnego ciała i kręciło jej się w głowie. Gdy skręciła za róg najbliższej ulicy, ustąpiła świeżej wachcie zmierzającej do bramy.

Pół godziny później znalazła się na Lekarskiej. Jaga mieszkała niemal w bezpośrednim sąsiedztwie niemieckiego szpitala wojskowego. Wszędzie kręcili się Niemcy. Pojawienie się tutaj z żydowskim dzieckiem było czystym szaleństwem, a mimo to Irena czuła się bezpieczna. Prawdopodobnie okupanci nie przypuszczali, że ktoś odważyłby się na jakieś nielegalne akcje tuż pod ich nosem. Lekarska była jedną z nielicznych ulic, na której jeszcze nigdy nie została zrewidowana. Ale to nie dlatego Irena zadzwoniła do drzwi Jagi.

Jaga mieszkała z rodzicami, z siostrą, mężem i ich córeczką Haną w przestronnym mieszkaniu, w którym zawsze mnóstwo się działo i panował duży ruch. Gdyby niemowlę zaczęło płakać, tu raczej nikt by tego nie zauważył. To było rozwiązanie przynajmniej na najbliższą noc.

Następnego dnia rano sfalszują metrykę i zawiozą małego Piotrusia do Domu Małego Dziecka imienia księdza Boduena. Irena już wielokrotnie współpracowała z tą placówką. Władka, jedna z tamtejszych opiekunek, była jej dobrą znajomą.

Jaga wraz z rodziną zareagowała zgodnie z oczekiwaniami. Jej matka, nie zważając na własne bezpieczeństwo, natychmiast zajęła się niedożywionym niemowlęciem, które do tej pory nawet ani razu nie zakwiliło. Irena zaś przeszła z przyjaciółką do jej pokoju i opowiedziała ze szczegółami, co się wydarzyło.

– Świetnie – rzuciła Jaga. – Nie wiem, czy stać by mnie było na taką odwagę. Ale postąpiłaś właściwie.

– Wcale nie! – odparła Irena gwałtowniej, niż zamierzała.

Jaga ze zdziwieniem uniosła brwi.

– Tylko się zastanów. W swojej pysze naraziłam na śmiertelne niebezpieczeństwo nie tylko siebie, ale także tego malucha – wyjaśniała Irena. – To było lekkomyślne, aby bez żadnego przygotowania przynosić go przez bramę. – Na chwilę przerwała, a potem ciągnęła dalej. –

Oczywiście nie chodzi mi o to, że generalnie uważam coś takiego za zbyt niebezpieczne. Przeciwnie. Nieraz już o tym rozmawialiśmy i bardziej niż kiedykolwiek jestem zdeterminowana, aby spróbować wydostać z tego piekła jak najwięcej dzieci. Zbliża się zima. Ludzie znowu będą umierać z głodu i przemarznięcia. Ale musimy działać systematycznie. W jaki sposób i dokąd przemycać dzieci? Gdzie umieszczać je potem na kilka dni i jakie mamy do dyspozycji stałe miejsca pobytu dla nich? Do tego dochodzi kwestia aktów urodzenia. Potrzebujemy nowych dokumentów, bez nich nic się nie uda.

Jaga skinęła głową.

– Jeśli chodzi o czyste metryki, mam pewien pomysł. Znam paru księży w okolicy. Można by spytać, czy... nie odstąpiłoby nam kilku. – Uśmiechnęła się. – A zaraz po wyniesieniu z getta dzieci mogłyby przez pierwsze dni być u mnie albo u innych godnych zaufania rodzin, które i tak mają małe dzieci, więc jeszcze jedno przez krótki czas nie zwróci niczyjej uwagi.

Irena zastanowiła się.

– Brzmi nieźle – stwierdziła w końcu. – A potem można by je przekazać do Domu imienia księdza Boduena.

– No właśnie! – wykrzyknęła Jaga, ale natychmiast zniżyła głos. – Poza tym proponuję, żeby wtajemniczyć Jana Dobraczyńskiego. On ma rozległe kontakty w okolicznych klasztorach. Wiele z nich w ostatnich tygodniach przyjęło polskie sieroty. Gdybyśmy miały go na pokładzie, nasza siatka rozrosłaby się wielokrotnie.

Irena wykrzywiła twarz.

– Dobraczyński? Chyba wiesz, że on nie należy do przyjaciół Żydów? Wątpię, by chciał narażać siebie i innych tylko po to, aby uratować parę żydowskich dzieci. A co w sytuacji, gdy wtajemniczymy go w nasze plany, a on odmówi? Może nawet nas zadenuncjuje?

– Zadenuncjuje? Nigdy. Jesteś dla niego niesprawiedliwa. Poza tym czy musimy w ogóle przyznawać w zakonach, że dzieci są żydowskiego pochodzenia?

Irena wybuchnęła śmiechem.

– Daj spokój! Sfałszowana metryka nie uczyni jeszcze dziecka katolikiem. Maluchy zdradzą się tym, że nie znają żadnej modlitwy albo że mówią w jidysz. Ktokolwiek je przyjmie, będzie musiał włożyć sporo wysiłku, żeby w żaden sposób się nie wyróżniały. Bo jeśli będą rzucać się w oczy i zostaną wydane, będzie to wyrok śmierci nie tylko dla nich,

ale też dla tych wszystkich, którzy je przyjęli. Chyba rozumiesz, o co mi chodzi? – Spojrzała uważnie na Jagę.

– Jasne – potwierdziła przyjaciółka. – Ale zastanów się jeszcze nad Dobraczyńskim. Jako jego sekretarka znam go lepiej od ciebie. On wcale nie jest taki wredny, jak go zawsze malujesz. To, że należycie do wrogich obozów politycznych, teraz, w czasie wojny, nie ma żadnego znaczenia. Może rzeczywiście nie jest przyjacielem Żydów, ale ich ochrona przed Niemcami to zwykły akt patriotyzmu. Opór wobec niesprawiedliwego reżimu. A patriotyzmu na pewno odmówić mu nie można.

Irena skinęła głową, mimo to nie uwolniła się od wątpliwości. Po chwili sięgnęła po jedną z bibulek papierosowych z biurka Jagi i po ołówkę.

– Co robisz? – spytała Jaga.

Irena coś zapisała. Potem pokazała przyjaciółce karteczkę.

„Piotr Woźniak >> Paweł Mazur. Urodzony 18 września 1941, ulica Nalewki 4”.

Jaga spojrzała na nią pytająco.

– Żeby dzieci później wiedziały, kim są naprawdę, i miały szansę odnaleźć członków rodziny – wyjaśniła Irena. – Wiem, że to ryzykowne. Ale przynajmniej tyle możemy dla nich zrobić.



Rozdział 20

Zima zaczęła się wyjątkowo wcześnie i już nie ustąpiła. Góry śniegu piętrzyły się coraz wyżej, a dwudziestopięciostopniowy mróz nie był niczym nadzwyczajnym. Polskie dziewczęta i polscy chłopcy jeździli po zamrożonej Wiśle na łyżwach, podczas gdy w getcie co rano ładowano na wozy ciała zagłodzonych i zamrożonych żebraków i wywożono je do masowych grobów mozolnie wykopanych na cmentarzu. Adam wybuchnął cynicznym śmiechem, kiedy w styczniu Niemcy ogłosili, że wszyscy Żydzi mają oddać swoje futra.

– Niemcy potrzebują naszych futer, bo ich żołnierze kostnieją na rosyjskim mrozie – powiedział. – Ale jak słyszałem, większość posiadaczy futer wycina w nich dziury przed oddaniem. Moja matka dała swoje szmalcownikom do sprzedania po drugiej stronie muru.

– I co za nie dostała? – wymamrotała Irena z twarzą opartą na jego ramieniu.

Leżeli mocno przytuleni pod grubym kocem. Po ich pierwszym pocałunku wszystko potoczyło się szybko i nie było już odwrotu. Spotykali się, kiedy tylko mogli. Mimo niebezpieczeństwa, jakie to stwarzało, Irena coraz częściej zostawała na noc w getcie. Mogli być

sami jedynie w jego nieogrzewanym pokoju, ale to im nie przeszkadzało. Najważniejsze, że byli razem. Jedynie to się liczyło.

– Nie za wiele – odpowiedział Adam po chwili. – Ale i tak lepsze to niż rzucenie go Niemcom w paszczę.

– Teraz przynajmniej ja cię ogrzewam – szepnęła Irena z uśmiechem.

Przyciągnął ją mocniej do siebie i zaczął żarliwie całować.

– No, nawet to czuję – wymamrotał, na co ona roześmiała się cicho. – Ale może podziałałoby to jeszcze skuteczniej, gdybyśmy...? – Wsunął rękę pod jej sweter, coraz wyżej, aż jego palce znalazły się pod stanikiem.

– Twoja mama jeszcze nie śpi – szepnęła Irena, lecz już po kilku sekundach jego pieśczoły sprawiły, że jęknęła z błogością. Obróciwszy się, pociągnęła go na siebie.

Potem leżeli, milcząc w nieprzeniknionej ciszy. Z kuchni dobiegały ostatnie odgłosy i wreszcie cienka smuga światła pod drzwiami zniknęła.

– Nie śpisz? – spytała Irena.

Adam sennie otworzył oczy.

– Jasne, że nie.

– To dobrze. – Oparłszy się na łokciu, spojrzała mu prosto w twarz. – Czy udało ci się dowiedzieć od twoich kontaktów, gdzie są otwory w murze, przez które moglibyśmy przeprowadzać dzieci?

– Hm – bąknął.

Nie brzmiało to przekonująco.

– Nie rozmawiałeś z nimi – stwierdziła, nie kryjąc rozczarowania.

– Rozmawiałem – odparł przeciągle. – Ale dobrze wiesz, co o tym myślę. To bardzo niebezpieczne, a ja nie chcę cię stracić. – Ująwszy jej

głowę w dłonie, spojrzał jej głęboko w oczy.

– Dobrze wiesz, że i tak to zrobimy. Ewa wspomniała mi o kilku piwnicach, które mają wyjście zarówno po stronie getta, jak i po stronie aryjskiej. Zagrozeniem są tylko dozorczy, którym nie zawsze można ufać. Niejeden z nich dostaje pieniądze od gestapo za to, żeby mieć oczy otwarte. Jakąś opcją jest też ambulans Ali. Kierowcy mają przepustki na wszystkie bramy, a w karetce można dosyć łatwo ukryć maluchy. Ale gdyby realne okazało się to rozwiązanie z dziurami w murze, bardzo by to nam pomogło. Im więcej możliwości, tym częściej można je zmieniać. Żeby się nie narażać.

– Jesteś niepoprawna – odpowiedział z uśmiechem Adam. – Ale czy macie chociaż wystarczająco dużo czystych aktów urodzenia?

Uśmiech na twarzy Ireny od razu zgasł.

– Niestety na razie prawie żadnych. Ale akurat dzisiaj Ala wspomniała mi o pewnej znajomej pielęgniarce. Nazywa się Helena Szeszko, jej mąż podrabia dokumenty. Podobno jest dobry i bierze niedrogo.

Adam zrobił wielkie oczy.

– No widzisz? Nasza siatka się rozrasta – stwierdziła z zadowoleniem Irena i ponownie wtuliła się w niego.

– Przez co całe przedsięwzięcie staje się jeszcze bardziej ryzykowne.

– Wiem. Dlatego przyjęliśmy pseudonimy. Nie każdy członek siatki musi wiedzieć, jak naprawdę nazywają się pozostali.

– Niech zgadnę. Ty jesteś Amelia.

– Amelia? – Irena zmarszczyła czoło. – Skąd ci to przyszło do głowy?

– Przecież to ładne imię, nie uważasz?

– Nic z tego. Zdecydowałam się na Jolantę – odpowiedziała ze śmiechem.

– Jolantę? – Adam usiadł na łóżku. – O Boże! To najmniej erotyczne imię, jakie istnieje.

– Nie martw się. – Irena przyciągnęła go z powrotem do siebie. – Przy tobie zawsze będę w stu procentach Ireną.

Potem go pocałowała.

Następnego ranka Irena zjawiała się w pracy piętnaście minut po czasie. Irka stała na korytarzu pod gabinetem Dobraczyńskiego i najwyraźniej podsłuchiwała. Ujrawszy przyjaciółkę, machnęła do niej.

– Do szefa właśnie wszedł kapitan policji – szepnęła.

Obie przyłożyły uszy do drzwi. Głos Niemca brzmiał ostro, głosu tłumacza Irena nie rozpoznała – nie był to nikt z ich biura.

– W całym mieście roi się od zebrzących dzieci, i nie mówię tu o żydowskim getcie, ale o aryjskiej Warszawie, za którą odpowiada pańska instytucja. To haniebane!

– Wiele z nich to sieroty – wtrącił Dobraczyński. – Ich rodzice to uchodźcy albo zmarli na tyfus...

– Czy pana zdaniem wyglądam na kogoś, kogo to interesuje? Mam w nosie, skąd się biorą te zawszone bękarty. Jestem tutaj, bo oczekuję, że sprzątnie je pan z ulicy, zanim rozniosą między nas swoje choroby. Niech pan zatem wyłapie, z łaski swojej, te bachory. A potem trzeba je odwszawić, umyć i gdzieś umieścić. To chyba nie jest szczególnie wygórowane żądanie. – Zrobił wymowną pauzę. – Albo niech pan zostawi tę sprawę nam. My radzimy sobie z takimi problemami bardzo skutecznie.

Irka i Irena z trwogą popatrzyły na siebie. Potrafiły sobie wyobrazić, co Niemcy rozumieją przez skuteczne rozwiązywanie problemów.

– Nie, nie, zajmiemy się tym. Bezzwłocznie. Może być pan spokojny – odpowiedział Dobraczyński.

– Świetnie. – Dało się słyszeć szuranie krzeseł. Irena pospieszyła za Irką do jej pokoju i od razu zamknęła drzwi. Nie zdążyły zamienić ze sobą nawet słowa na temat usłyszanej rozmowy, gdy rozległo się pukanie. Do środka wszedł Jan Dobraczyński.

– Dobrze się składa, że zastaję panie obie – powiedział zamiast powitania. Następnie krótko i węzłowato zrelacjonował im to, co i tak już wiedziały.

– Zamówię kilka furgonetek – zakończył. – A panie utworzą zespół i pozbierają te dzieci. Trzeba ja odwszawić, spisać ich dane. Nazwisko, rodzice, skąd są. Potem załatwię im przydziały do sierocińców w mieście. – Skierował się z powrotem do drzwi. – I proszę się pospieszyć – dodał jeszcze. Po czym wyszedł.

Zaledwie kilka godzin później pierwsze wychudzone dzieci w obszarpanych ubraniach i dziurawych butach gramoliły się z platform furgonetek. Dzieci wojny, pomyślała Irena, patrząc w ich milczące, zamknięte buzie.

Hala, którą Dobraczyński zorganizował w pośpiechu, była zimna, ale już niedługo całe pomieszczenie wypełnił zapach wody z mydłem. Dzieci wciąż przybywało. Irka, Irena, Jaga i Janka nie mogły pozwolić sobie ani na chwilę przerwy. Myły, szorowały, obcinały włosy.

– Nie, proszę, nie! – Mały chłopiec w wieku około sześciu lat kurczowo trzymał spodnie obiema rękami i mocno zaciskał powieki, gdy Irena próbowała go rozebrać.

– Nie masz się czego bać – uspokajała go. – Chcemy cię tylko umyć. Nic ci się nie stanie i... – Urwała, gdy zobaczyła, co chłopiec próbował ukryć. – Cholera – wysnęło się jej mimo woli.

Drżący na całym ciele malec był obrzezany. Podciągnęła mu z powrotem spodnie, wzięła go za rękę i ruszyła do Irki, która razem z Jagą i Janką uwijała się w drugim końcu hali. Okazało się, że one też odkryły żydowskie dzieci, które nie wiadomo w jaki sposób trafiły na drugą stronę muru.

– To było do przewidzenia – zauważyła Irka. – Proponuję zebrać je w sąsiednim pomieszczeniu i zastanowić się, dokąd możemy je zawieźć.

Irka miała rację. Wprawdzie Irena spodziewała się jednego czy dwojga, ale nigdy nie przypuszczała, że na koniec się okaże, iż niemal połowa jest pochodzenia żydowskiego. U chłopców zdradzało je obrzezanie, u dziewczynek – jidysz.

– Jest ich z kilkadziesiąt – szepnęła Irka do koleżanek, po czym przeniosła spojrzenie na niemieckich strażników, którzy nieoczekiwanie pojawili się późnym popołudniem i stali znudzeni przy wejściach. Nie wydawali się zainteresowani całą operacją, ale ich obecność sprawiała, że Irena i jej przyjaciółki miały związane ręce. Umieszczenie tych biedaków wraz z innymi dziećmi w polskich domach opieki nie było możliwe bez odpowiednich papierów. Musiały więc znaleźć dla nich inne schronienie.

– Jest ich za dużo, żeby przetrzymać je w naszych awaryjnych kryjówkach u przyjaciół – stwierdziła zdecydowanie Jaga. Następnie zwróciła się do Ireny: – Teraz naprawdę musimy wtajemniczyć Dobraczyńskiego. Tylko on ma odpowiednie kontakty, aby w krótkim czasie coś zorganizować.

Irena patrzyła przed siebie, nie mogąc nadażyć za własnymi myślami. Dobraczyński miałby im pomóc w przemyceniu

kilkudziesięciorga żydowskich dzieci tuż pod nosem Niemców i ukryciu ich gdzieś poza gettem? Jaga była dogłębnie przekonana, że gotów jest to zrobić, jednak Irena nie podzielała jej ufności. Sęk w tym, że nie miały wyboru.

Dokładnie te słowa powtórzyła później w gabinecie szefa.

– Nie mamy wyboru, panie Dobraczyński. Za opuszczenie getta grozi kara śmierci. Chyba pan wie, co stanie się z nimi, jeśli wpadną w ręce Niemców.

Twarz Dobraczyńskiego wyrażała irytację.

– Pani Sendler, nie musi mi pani tego mówić. Ale chyba wiadomo też pani, że oficjalne sierocińce w przypadku tych dzieci w ogóle nie wchodzi w rachubę, co najwyżej polskie rodziny zastępcze. Tylko kto chciałby narażać własne życie za żydowskie znajdy? Jest ich po prostu za dużo...

– Ale...

– Nie, pani Sendler. Ostateczna decyzja należy do mnie. Dziesiątki jednoznacznie żydowskich dzieci bez dokumentów. Tego nie da się utrzymać w tajemnicy.

Nie mówiąc nic więcej i w ogóle nie krępując się obecnością Ireny, podniósł słuchawkę.

– Tak, są wśród nich dzieci żydowskie. – Irena słyszała czyjś głos po drugiej stronie. – Tak, dużo. Kilkadziesięcioro.

Domyśliła się, z kim on rozmawia. Z płonącymi policzkami opuściła gabinet i poszła prosto do swojego pokoju. Nie miała ochoty mówić teraz z Jagą, która tak bardzo wierzyła w tego tchórza.

Kilka minut później Dobraczyński stanął przed jej biurkiem. Był blady jak ściana, a kiedy usiadł na krześle dla gości, Irena dostrzegła, że

drży mu dolna warga.

– Mamy umowę – powiedział niepewnym głosem. – Niemcy nic nie zrobią tym dzieciom, jeśli w ciągu dwudziestu czterech godzin sprowadzimy je z powrotem do getta. A właściwie: przeszmuglujemy. Nieoficjalnie. Nikt nie może się dowiedzieć, jak w ogóle udało się im uciec. Bo to mogłoby zachęcić innych.

Irena prychnęła pogardliwie. Każdy w getcie wie, że coś takiego jest możliwe. Jedyne strach przed złapaniem i zastrzeleniem podczas próby ucieczki powstrzymuje większość. Dygotała w środku. Z jednej strony czuła ulgę, ponieważ dzieci zyskały szansę na przeżycie. Z drugiej – ogarnęła ją wściekłość, bo za sprawą jej urzędu zostaną wysłane tam, skąd uciekły.

– Nie sprowadzę dzieci z powrotem do piekła – oznajmiła oziębło. – A skoro to wszystko ma się odbyć nieoficjalnie, to znaczy, że wachmani na bramach nic nie wiedzą. Jeśli odkryją dzieciaki pod murem, zastrzelą je. To obłąd, nie przyłożę do tego ręki.

Jeszcze nigdy nie rozmawiała w ten sposób ze swoim przełożonym, on zaś był najwyraźniej zbyt wzburzony, by wziąć jej to za złe.

– A tak w ogóle, to gdzie one mają się podziać w getcie? – rzuciła z furią. – Kilkoro z nich ma rodziców i przeszło na drugą stronę, żeby zebrać o parę groszy i chleb dla rodziny. Ale większość to sieroty.

– Zadzwońię do doktora Korczaka. – Dobraczyński wstał. – I sam pójde pod mur.

Czy postąpił właściwie?, zastanawiał się wiele godzin później Jan Dobraczyński, siedząc samotnie w swoim biurze i spoglądając na nieubłaganie przesuwającą się wskazówkę zegara. Czy rzeczywiście nie miał innego wyjścia? Czy też istotnie jest takim człowiekiem, za jakiego uważa go pani Sandlerowa? Tchórzem bez kręgosłupa, odsyłającym

bezbronne istoty do piekła, z którego uciekły, ryzykując życiem? Przeczesał włosy palcami.

Zostało już niewiele czasu. Same dzieci mu powiedziały, gdzie znajduje się najświeższy otwór w murze. Z pewnością Niemcy wkrótce odkryją tę wyrwę i ją załatają, ale przynajmniej do dzisiejszego ranka jeszcze tego nie zrobili. Wspólnie z Januszem Korczakiem uzgodnił termin operacji: sześćdziesiąt minut przed wieczorną godziną policyjną. Po jej rozpoczęciu bowiem Niemcy mieli rozkaz zastrzelić każdą osobę napotkaną na ulicach getta. Dzieci musiały zatem znaleźć się na jego terenie, dopóki ostatni mieszkańcy spieszyli z pracy do domu albo w pośpiechu załatwiali jakieś sprawy. Kilku współpracowników Dobraczyńskiego przyprowadzi maluchy w niedużych, nierzucających się w oczy grupkach w odpowiednie miejsce pod mur, gdzie on je przejmie.

W końcu nadeszła ta chwila. Dobraczyński nie czekał długo, gdy nadeszły pierwsze. Niebawem były już wszystkie. Przemarznięte tłoczyły się wokół niego. Mała blondyneczka z czerwoną spinką we włosach chwyciła jego lodowatą dłoń.

– Tobie też jest zimno – powiedziała po prostu.

Nagle Dobraczyński uświadomił sobie, że one wszystkie mu ufają. A co on właściwie robi? Czy nie zdradza ich zaufania? Ogarnął go wstyd i odwrócił wzrok. Odruchowo zaczął rozcierać zmarzniętą rączkę dziewczynki z czerwoną spinką. Niektóre dzieci tupwały sztywnymi z zimna nogami na zlodowaciałym śniegu. Ich oddechy powlekały ciemność bielą. Po drugiej stronie ulicy ziały czernią puste okna zbombardowanego domu.

– Cisza – szepnął Dobraczyński. W rozrzedzonym lutowym powietrzu wydawało się, że każdy odgłos nabiera zdwojonej ostrości. Przykucnął przed otworem w murze i zaczął nasłuchiwać. – Dzieci

Korczaka – powiedział, zniżając głos. To było umówione hasło. Odpowiedź jednak nie padła.

Minęła minuta, dwie minuty. Bolały go kolana i przestał czuć palce u stóp. Mimo to nie odważył się wstać. Bezskutecznie próbował rozetrzeć sobie zdętwiałe dłonie. Dzieci siedziały cicho jak mysz pod miotłą. Przechodziły przez mur więcej niż raz i stały się mistrzami w milczeniu. W razie potrzeby potrafiły być niewidzialne i nie oddychać.

Nagle po drugiej stronie otworu dał się słyszeć nieznaczny chrzęst na śniegu.

– Dzieci Korczaka – powtórzył cicho Dobraczyński.

– Drzwi są otwarte – padła uzgodniona odpowiedź.

Dobraczyński zdębiał. Po grupę dzieci przyszedł nie sam Korczak, tylko jeden starszy chłopak. Znowu wezbrał w nim wstyd. Te dzieciaki są o wiele odważniejsze ode mnie, pomyślał gorzko. Dał znak stojącym za jego plecami maluchom i jednocześnie znowu przyłożył palec do ust. Pierwsze dziecko, mniej więcej ośmioletnia dziewczynka, przygarbiła się.

– Do widzenia, panie Dobraczyński – powiedziała cicho i przeczołgała się przez otwór.

Za nią podszedł chłopiec. Nogawki spodni sięgały mu zaledwie do kostek, był bez skarpet i nogi miał czerwone od zimna.

– Do widzenia, panie Dobraczyński. – Uśmiechnął się smutno.

Jakaś starsza dziewczynka przepuściła przed sobą swojego małego braciszka.

– Idź pierwszy, będę zaraz za tobą – uspokajała go siostra, kiedy chłopiec popatrzył na nią wylękniony i nie chciał puścić jej ręki. Delikatnie dała mu klapsa. Gdy zniknął w otworze, ruszyła za nim.

Wreszcie została już tylko blondyneczka z czerwoną spinką we włosach. Dobraczyński niemal stracił równowagę, kiedy nieoczekiwanie objęła go za głowę i mocno uściskała, niechcący zsuwając mu okulary. Aby nie upaść, musiał podeprzeć się ręką o ziemię.

– Dobranoc, panie Dobraczyński – pożegnała się.

– Jak masz na imię? – spytał.

– Halina. Ale mama zawsze mówiła do mnie Linabina. – Uśmiechnęła się. Potem przykucnęła i przeczołgała się w ciemność po drugiej stronie muru.



Rozdział 21

Doktorze Stuckart, czy wie pan, dlaczego akurat my jesteśmy tutaj? – Friedrich Wilhelm Kritzinger, podsekretarz stanu w Kancelarii Rzeszy, pochylił się ku stojącemu obok niego mężczyźnie. W pomieszczeniu o wytwornym wystroju należeli do nielicznych osób bez munduru.

– Właściwie nie – odparł Stuckart. – Wiem jedynie tyle, że chodzi o kwestię żydowską, ale...

– No właśnie – szepnął nerwowo Kritzinger. – A kwestia żydowska mieści się w kompetencjach Kancelarii Rzeszy. Zadaję sobie zatem pytanie, dlaczego zwołano tę konferencję, nie informując Kancelarii, o co chodzi.

Stuckart skinął głową.

– A mnie bardziej ciekawi, dlaczego nie mogliśmy spotkać się w Berlinie, zamiast jechać aż do Wannsee. Owszem, willa jest przepiękna. Park i jezioro także... ale latem. Dotarcie dziś tutaj przy tym śniegu i mgle było dosyć uciążliwe.

– Istotnie. Prawdopodobnie dlatego nie ma jeszcze Obergruppenführera Heydricha. – Kritzinger spojrzął na zegarek.

W tym momencie na parkiecie w holu dały się słyszeć energiczne kroki. Tuż potem SS-Obergruppenführer wszedł do sali.

– Heil Hitler!

– Heil Hitler! – Twarze wszystkich zwróciły się ku niemu.

– Przepraszam za spóźnienie. Chciałbym od razu zacząć. Przed nami ogromne zadanie. Ale bez obaw, zadbano też o wsparcie. O ile wiem, przygotowano bufet. – Spojrzał na Adolfa Eichmanna.

Ten kiwnął głową.

– W sali obok – wyjaśnił.

– Cudownie. – Heydrich napełnił sobie szklankę i wskazał na stół. – Panowie, proszę dowolnie zajmować miejsca.

Rozległo się szuranie krzesel.

Obergruppenführer Heydrich położył przed sobą na lakierowanym blacie teczkę z dokumentami.

– Proszę zaprotokołować: Dwudziesty stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku. Obecni: SS-Obergruppenführer Reinhard Heydrich, Gauleiter dr Alfred Meyer, sekretarz stanu w Ministerstwie Rzeszy do spraw Okupowanych Terytoriów Wschodnich, SS-Sturmbannführer Adolf Eichmann z Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, doktor Josef Bühler, sekretarz stanu w Urzędzie Generalnego Gubernatora w Krakowie, SS-Sturmbannführer doktor Rudolf Lange, komendant policji bezpieczeństwa i służby bezpieczeństwa na Łotwie, dyrektor Friedrich Wilhelm Kritzinger z Kancelarii Rzeszy, doktor Wilhelm Stuckart z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, doktor Roland Freisler, sekretarz stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości...

Kontynuował wyliczanie. Kiedy skończył, w milczeniu potoczył wzrokiem po twarzach wszystkich uczestników.

– Drodzy panowie – przystąpił wreszcie do rzeczy. – Zebraliśmy się tu dzisiaj, ponieważ musimy podjąć fundamentalne decyzje. Chciałbym zwrócić uwagę, że wszystko, co zostanie powiedziane w tej sali, jest ściśle tajne. Dokumenty w teczkach przed wami są przeznaczone wyłącznie dla panów osobiście. Jeśli podczas naszego spotkania ktoś zechce robić notatki, na koniec będzie musiał przekazać je Sturmbannführerowi Eichmannowi, który w najbliższych dniach dostarczy panom protokół z naszego posiedzenia. Dokumentu tego nie wolno pokazywać nikomu poza bezpośrednim przełożonym, a następnie należy go zniszczyć. Czy się rozumiemy?

Uczestnicy spotkania potaknęli z aprobatą. Wymieniono spojrzenia.

Korzystając z krótkiej pauzy, Kritzinger postanowił zadać pytanie, które nie dawało mu spokoju.

– Panie Obergruppenführer, pozwoli pan, że spytam, dlaczego Kancelaria Rzeszy nie została zaangażowana w przygotowanie tej konferencji? My...

Heydrich uciszył go gestem ręki.

– Marszałek Rzeszy Göring zlecił mi osobiście opracowanie ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej. Zarówno pod względem organizacyjnym, jak i merytorycznym oraz materialnym.

– Ale kwestia żydowska to sprawa Kancelarii Rzeszy. – Zaskoczony Kritzinger nie ustępował.

– Już nie. – W głosie Heydricha pobrzmiwała irytacja. – We wszystkich zagadnieniach wymagających bieżącego rozwiązania wyłączną władzę decyzyjną będzie miała SS. Czy moglibyśmy już przejść do rzeczy?

Kritzinger zamilkł skonsternowany, Heydrich zaś kontynuował.

– Jak wiadomo, nasza dotychczasowa polityka wobec Żydów opierała się na ustawach norymberskich. Nie da się zaprzeczyć, że regulacje te doprowadziły w minionych latach do pierwszych widocznych efektów w utrzymaniu naszej rasy w czystości. Przyczyniły się w dużej mierze do wyrugowania Żydów z niemieckiego społeczeństwa i życia gospodarczego. Przy czym nasze wysiłki ograniczały się głównie do wypychania ludności żydowskiej z niemieckiej przestrzeni życiowej lub do jej koncentracji w gettach. Nie udało się jednak wyeliminować jej ze wszystkich dziedzin życia. Proszę o otwarcie teczek z dokumentami. Znajdą w nich panowie statystyki dotyczące wykazu ludności żydowskiej w Europie i Rosji.

Szelest przierzucanych kartek. Sekretarz stanu Meyer gwizdnął cicho przez zęby.

– Eichmann? Czy zechciałby pan krótko zrekapitulować najważniejsze dane?

Skinąwszy głową, Eichmann poprawił sobie okulary.

– Żydzi pozostali na terenie Starej Rzeszy: sto trzydzieści jeden tysięcy osiemset. Na terytoriach wschodnich: czterysta dwadzieścia tysięcy. Generalne Gubernatorstwo: dwa miliony dwieście osiemdziesiąt cztery tysiące. – Znowu ciche gwizdnięcie Meyera. Eichmann niewzruszenie kontynuował: – Francja: w sumie osiemset sześćdziesiąt tysięcy. Związek Sowiecki: pięć milionów. – Odczytał listę do końca, następnie odłożył ją na bok.

Hyedrich uniósł ręce w teatralnym geście.

– Pięć milionów w samej Rosji! Myślę, moi panowie, że się ze mną zgodzicie: mamy do czynienia z istnym zalewem Żydów! – Dały się słyszeć pomruki aprobaty i słaby śmiech. – I właśnie dlatego się tutaj zebraliśmy. – Uśmiechnął się. – Potrzebne jest nam praktyczne i korzystne finansowo rozwiązanie, które raz na zawsze uwolni nas od

tego problemu. Stąd nasz Führer opowiedział się za ostateczną ewakuacją Żydów.

– Ewakuacją? – spytał Bühler, zastępca Hansa Franka w Generalnym Gubernatorstwie. – Mam nadzieję, że nie chcecie tych wszystkich Żydów przesiedlić do nas, na tereny wschodnie. Nasze getta są i tak już beznadziejnie przeludnione. Nie mamy ani pieniędzy, ani zamiaru, aby utrzymywać tych wszystkich ludzi przy życiu. Fetor ich chorób i rozkładu zatruwa teraz polskie powietrze.

Rozległ się czyjś śmiech.

Heydrich uniósł rękę i kontynuował:

– Prawdziwym celem jest ostateczne wysiedlenie Żydów. Fizyczne usunięcie ich z europejskiej i rosyjskiej przestrzeni życiowej.

Zaległa cisza, podczas której obecni zastanawiali się nad usłyszanymi słowami.

– Wysiedlenie? – odezwał się Lange. – Na ile różni się ono od deportacji, które tak czy inaczej już się odbywają?

Heydrich spojrzał na niego wymownie.

Wreszcie na twarzy Langego pojawił się uśmiech.

– Aha – powiedział. – Chcemy wysiedlić Żydów... całkowicie. – Wykonał nieokreślony ruch ręką w powietrzu.

Heydrich potaknął.

– Taki jest plan.

– Chwileczkę. – Stuckartowi nie udało się całkiem zapanować nad własnym głosem. – Czy ja dobrze rozumiem? Tego rodzaju kroki nie są usankcjonowane aktualnym prawodawstwem.

– Czyżbym słyszał przejaw sympatii dla Żydów? – spytał z rozbawieniem sekretarz stanu Meyer.

– *Dobre sobie.* – W głosie Stuckarta pobrzmiwała irytacja. – Proszę przeczytać jeszcze raz ustawy norymberskie, a wtedy zrozumie pan moje stanowisko. Istnieją jednak kwestie prawne wymagające wyjaśnienia. Co na przykład zrobimy z mischlingami pierwszego i drugiego stopnia? Czy oni też mają być wysiedleni, czy wyłączeni z tej akcji? Jak pan widzi, sprawa jest bardziej skomplikowana, niż się wydaje, a...

– Doktorze Stuckart – przerwał mu szorstko Heydrich. – Niech mi będzie wolno przypomnieć panu, że wszyscy mamy obowiązek wspierać cele wyznaczone przez Führera. Wszyscy panowie jesteście tutaj po to, aby reprezentowane przez panów instytucje ukierunkować zgodnie ze wspólną linią działania. Każda z nich ma do wykonania swoje zadanie. To jest poza wszelką dyskusją.

Stuckart milczał.

– Ja patrzę na sprawę czysto pragmatycznie – odezwał się w powstałej ciszy SS-Sturmbannführer Lange. – I w związku z tym nasuwa mi się następujące pytanie: nasza lista mówi o jedenastu milionach Żydów w Europie i Związku Sowieckim. Jak większość z panów wie, łotewskie Einsatzkommando 2, którym przejściowo dowodziłem, do minionego grudnia rozstrzelało około sześćdziesięciu tysięcy Żydów. To, jak sądzę, imponująca liczba, ale wymagała niezwykłych nakładów czasowych, osobowych i finansowych. A jedenaście milionów? Myślę, że to niewykonalne. Ponadto nasi żołnierze mają z takimi rzeczami problem moralny. – Zrobił lekceważący gest. – No wiecie, z powodu kobiet i dzieci.

Heydrich się uśmiechnął.

– Oczywiście, że rozstrzeliwanie nie jest praktyczne. Eichmann, kolej na pana.

Adolf Eichmann znów skinął głową.

– Z technicznego punktu widzenia idealnym rozwiązaniem jest gaz. Czysty tlenek węgla. Jak panom wiadomo, eksperymentowano z nim już w naszym programie dotyczącym eutanazji. W samym procesie eutanazji dorosłych można było w ten sposób efektywnie wyeliminować dziesiątki tysięcy niepełnosprawnych lub chorych psychicznie. Od ostatniego roku stosowane są specjalne samochody do trucia gazem. Ale z powodu ograniczonej wydajności stanowią one tylko rozwiązanie przejściowe. Naszym celem jest zbudowanie w strategicznie korzystnie położonych obozach komór gazowych o znacznie wyższej wydajności.

– W obozach? – spytał Meyer.

Eichmann potaknął.

– Wyznaczono już Bełżec na wschodzie. W przygotowaniu są kolejne dwa obozy. Jeden z nich znajduje się w pobliżu Sobiboru, a trzeci jest dopiero planowany, ale będzie niedaleko Warszawy. Również Auschwitz należy do obozów zagłady. – Zdjął okulary.

Heydrich z zadowoleniem popatrzył na zebranych.

– I co, panowie? Jak to brzmi? Jeśli dopisze nam szczęście, nasi naukowcy niebawem dostarczą nam tańsze rodzaje gazu. Wciąż dyskutowane są jeszcze opcje alternatywne, na przykład elektryczność. Byłoby szybciej.

– À propos szybkości – wtrącił Bühler. – Czy można by w wysiedlaniu dać pierwszeństwo Generalnemu Gubernatorstwu? Jak wspomniałem, pękamy w szwach.

– Niestety, o ile rozumiem, to niemożliwe – odparł Heydrich. – Ale proszę się nie martwić. Pierwsze deportacje z terenów priorytetowych zaplanowano już za kilka dni. A zatem wkrótce nadejdzie też kolej na

pańskie Generalne Gubernatorstwo. Radzę pracować już nad rozkładami pociągów. – Uśmiechnął się drwiąco.

Bühler pokiwał głową, nic nie mówiąc. Generalny gubernator będzie zły, ale chyba nic nie można było na to poradzić.

– No, moi panowie – odezwał się z emfazą Heydrich. – Myślę, że pora kończyć. Bufet czeka, a przypuszczam, że nie tylko mnie burczy w brzuchu.



Rozdział 22

WWarszawie topniały już ostatnie resztki śniegu. Rozmarzniete góry śmieci, które nagromadziły się w getcie przez zimowe miesiące, zaczęły cuchnąć. Brudna woda płynęła wartkimi strugami po ulicach. Irka Schultz trzymała parasol przed sobą, aby osłonić się przed deszczem, którym wiatr smagał jej twarz. Miała przemoczone buty i pończochy, stopy też były całkiem mokre. W końcu żołnierz pilnujący bramy getta dał jej znak ręką, że może przejść przez bramę. Po wizycie u Ali w szpitalu zamierzała wrócić do biura.

W małej bocznej ulicy przystanęła. Czy to jakiś głos? Wytężyła słuch. Wszędzie cicho. Ale gdy ruszyła, usłyszała znowu. Ciche łkanie, niemal skomlenie. To kot? Czy może jednak człowiek? Rozejrzawszy się, weszła w najbliższą bramę, sprawdziła za dwoma dużymi pojemnikami na śmieci. Nic. Kręcąc głową, już chciała się poddać, ale coś ponownie pisnęło, tym razem całkiem blisko. I jakby gdzieś od dołu. Jej spojrzenie zatrzymało się na pokrywie studzienki kanalizacyjnej. Czy to możliwe? Upewniwszy się, że nikogo nie ma w pobliżu, pochyliła się i zajrzała w ciemną otchłań.

Mała dziewczynka o brudnej buzi patrzyła na nią dużymi, przepelnionymi strachem oczami.

– Kto ty jesteś? – wyszeptała Irka. – I jak się tam znalazłaś?

Dziewczynka pociągnęła nosem, ale nic nie powiedziała.

– Mówisz po polsku?

Brak odpowiedzi.

Irka gorączkowo się zastanawiała. Jeśli zostawi ją, żeby sprowadzić pomoc, istniało ryzyko, że małą znajdzie ktoś inny. Kto być może odda ją polskiej policji albo – co gorsza – Niemcom. Jej jasne włosy i niebieskie oczy nikogo bowiem nie zwiodą, kim jest naprawdę: to żydowskie dziecko, które przedostało się z getta kanałami i teraz czeka, aby ktoś pomógł mu wyjść na powierzchnię.

Ten ktoś to ja, pomyślała Irka. To ja ją znalazłam – na jej szczęście. Znowu rozejrzała się dookoła. Ulica wciąż była pusta. Irka położyła parasol na ziemi i chwyciła pokrywę obiema dłońmi. Ani drgnęła. Deszcz bębnił po plecach, przemoczył jej płaszcz.

– No, wyłaź – mamrotała cicho, ciągnąc pokrywę z całej siły, a kiedy ta w końcu z kląśnięciem się odessała, Irka niemal straciła równowagę. – Szybko, pospiesz się, wejdź po stopniach – mobilizowała dziewczynkę, wyciągając do niej rękę.

Ta bez wahania wykonała jej instrukcje. Irka pomogła jej wyjść i szybko podała parasol, aby osłonić ją przed wzrokiem ciekawskich. Następnie wcisnęła dekiel z powrotem na miejsce, wzięła małą za rękę i pociągnęła za sobą. Dziecko było w tragicznym stanie. Wychudzone, buty i stopy pokryte szlamem, z jasnych kosmyków strużkami spływała po policzkach brudna woda. Na następnej ulicy Irka skręciła w pierwszą z brzegu bramę. Bez słowa wyjęła z torebki chusteczkę i w pośpiechu wytarła nią twarz dziewczynki. Mimo że jej ubranie było przemoczone i zabrudzone, nie ulegało wątpliwości, że musiały to być najlepsze rzeczy, jakie w ogóle miała. Kochająca matka, zanim wysłała swoją

córeczkę w nieznane, starannie ją ubrała i wsunęła spinki we włosy. Irka jęknęła bezgłośnie. Potem wyprostowała się i ruszyła z nią dalej. Dopiero gdy zamknęła za sobą drzwi swojego mieszkania, wzięła głęboki oddech.

– Poczekaj tutaj. – Zostawiwszy wciąż ociekające brudną wodą dziecko w kuchni, zadzwoniła do biura, do Ireny.

– Mam problem. Pękła mi rura w domu. Mogłabyś do mnie jak najszybciej przyjechać i mi pomóc? – Już od wielu miesięcy rozmawiając przez telefon, przyjaciółki posługiwały się szyfrem.

Irena zrozumiała natychmiast. Pół godziny później była już u Irki. Pomogła jej umyć i przebrać małą w co prawda za duże, ale czyste rzeczy. Potem dziewczynka usiadła przy stole i z bogobojnym wyrazem twarzy śledziła każdy ruch Irki, gdy ta smarowała dla niej chleb marmoladą.

– Jak ona się nazywa? – spytała Irena.

– Nie mam pojęcia. Nic nie mówi. Ale przy sukience miała przypiętą agrafką tę karteczkę.

– Dziewięć? – Irena odczytała widniejącą na niej cyfrę i spojrzała pytająco na Irkę.

– Ma dziewięć lat. To informacja od matki dla tego, kto znajdzie jej córkę.

– Wierzyła, że to będzie dobry człowiek. – Irena westchnęła. – Trzeba być w kompletnej desperacji, żeby skazać własne dziecko na niepewny los. Nie widzieć żadnej nadziei i żadnego wyjścia. – Irena zastanowiła się przez chwilę. – Może ona ma żydowskie imię i dlatego podany jest tylko wiek. I prawdopodobnie nauczono ją, że ma się nie odzywać, żeby nie zdradzić, że jest Żydówką.

– Jest bardzo osłabiona – zauważyła Irka. – Powinien obejrzeć ją lekarz. Na szczęście dla niej spełnia wszystkie stereotypy jasnowłosej aryjskiej dziewczynki. Myślisz, że mogłybyśmy zaryzykować i zabrać ją do Domu Sierot imienia księdza Boduena?

– Gestapo ma to miejsce wciąż na oku, a dziś nie zdobędziemy dla niej papierów. Muszę się postarać o nową partię od męża koleżanki Ali – odpowiedziała Irena.

– Myślę, że Władka mimo to nie odmówi – stwierdziła Irka.

– Możemy spróbować. Jej wygląd nie wzbudza podejrzeń. A papiery dostarczymy później. – Irena zmarszczyła czoło. – Mam nadzieję, że ona jednak mówi po polsku.

Irka zadzwoniła do swojej znajomej Władki Marynowskiej pracującej w Domu Sierot i poinformowała ją, że niedługo odniesie jej pożyczony szalik. Najważniejsze w tej wiadomości było słowo „szalik”. Następnie ruszyła razem z małą na Nowogrodzką. Sierociniec mieścił się w masywnym gmachu z czerwonej cegły z portalem w stylu gotyckim i z dużymi oknami. Władka czekała już w sieni.

– Kogo my tu mamy? – Uśmiechnęła się ciepło do dziewczynki, ale ta obrzuciła ją ponurym spojrzeniem. – No to chodź ze mną – dodała pogodnie. – Zajmiemy się tobą.

Irka chwyciła Władkę za ramię.

– Musisz jeszcze coś wiedzieć. – Zawahała się. Po raz pierwszy prosiła koleżankę o podjęcie takiego ryzyka, nie miała jednak wyjścia. – Mała nie ma jeszcze papierów – szepnęła. – Poza tym nie wiemy nawet, czy mówi po polsku.

Władka popatrzyła na nią z powagą.

– Irka, przecież wiesz, że gestapo ma oczy wszędzie i wszędzie węszy. Nie każdemu tu, w domu można ufać. – Westchnąwszy, pochyliła

się ku dziecku. – No dobrze. Ale jeśli będziesz miała ochotę porozmawiać, to na razie tylko ze mną, zgoda?

Mała skinęła głową.

– Rozumie po polsku. – Władka i Irka uśmiechnęły się z ulgą.

W tym momencie w korytarzu rozległy się pospieszne kroki. W ich kierunku biegła jakaś kobieta. Jej brązowy koński ogon podskakiwał w górę i w dół. Ręką przyciskała stetoskop do piersi. Była to młoda lekarka, pracująca w sierocińcu dopiero od niewielu miesięcy.

– Pani Marynowska – zawołała bez tchu. – Bracia Lewandowscy znowu się biją. Nikt nie może nad nimi zapanować. Ci chłopcy słuchają tylko pani. Proszę się pospieszyć!

Władka się zawahała. Spojrzała najpierw na Irkę, potem na lekarkę.

– Czy mogłaby pani zająć się małą? – poprosiła. – To dziecko polskich uchodźców. – Zerknąwszy jeszcze raz na Irkę, zniknęła w korytarzu.

– Znajda? – Lekarka przyklękła przed dziewczynką i przyjrzała się jej uważnie. – Jak na znajdę jesteś bardzo czysta.

– To ja ją umyłam – wyjaśniła Irka.

Młoda kobieta wstała i zmierzyła ją swoimi szarozielonymi oczami. Irka poczuła się nieswojo.

– Pójdę już. – Pogłaskała dziewczynkę po policzku i obróciła się na pięcie.

– Nie, proszę zostać – powiedziała lekarka.

Zabrzmiało to tak zdecydowanie, że Irka nie miała wyboru. Woląca nie wzbudzać podejrzeń, wypadając jak burza z budynku.

– Proszę ze mną – rzuciła pani doktor.

Irka bez słowa podążyła za nią i za małą do gabinetu zabiegowego.

– Proszę usiąść! – Kobieta wskazała krzesło pod ścianą. Następnie zdjęła dziewczynce bluzkę i sweterek i zaczęła ją badać, podczas gdy w szybę wciąż bębnił deszcz.

Mroczne światło dnia zaczynało już przechodzić we wczesny zmierzch, zimne oświetlenie pod sufitem również nie wywoływało miłych skojarzeń. Irka czuła się coraz bardziej nieswojo. Czego mogła od niej chcieć ta lekarka? Może chodzi o wypełnienie formularzy? Wreszcie badanie dobiegło końca. Młoda lekarka usiadła za biurkiem, sięgnęła po okulary do czytania i zapisała coś w swoim bloczku.

Następnie podniosła wzrok.

– Jest niedożywiona, ale raczej zdrowa.

Irka uśmiechnęła się niepewnie.

– To dobrze.

Znowu to badawcze spojrzenie. I po chwili kobieta nagle rzuciła ostrym tonem:

– No, a teraz proszę mi po prostu powiedzieć prawdę.

– Prawdę? Jaką prawdę? – Irka poczuła, że się rumieni. Przecież to niemożliwe, aby przy aryjskim wyglądzie milczącej dziewczynki lekarka była w stanie odgadnąć jej rzeczywiste pochodzenie. O co więc chodziło? Irka opanowanym głosem powtórzyła jeszcze raz wymyśloną wspólnie z Ireną historię.

Tymczasem wyraz twarzy lekarki stawał się coraz surowszy.

– Niech pani wreszcie przestanie i nie marnuje mojego czasu – warknęła na nią. – Niech się pani przyjrzy tej małej: kolor włosów, niebieskie oczy. Jesteście podobne jak dwie krople wody. To pani jest matką. Niech zgadnę: panna, tak? Do tej pory jakoś sobie pani radziła,

choć, jak widzę, raczej gorzej niż lepiej, ale w końcu dziecko stało się ciężarem i chce się go pani pozbyć. Nawet się pani nie domyśla, ile razy widziałam już takie historie.

Irka zaprotestowała gwałtownie. Dziewczynka, wciąż siedząc na leżance, zaczęła pochlipywać.

– No i widzi pani, co pani robi własnej córce? – prychnęła lekarka, po czym podniosła słuchawkę telefonu.

Irka nie mogła uwierzyć własnym uszom, gdy usłyszała:

– Policja? Dzwonię z Domu Sierot księdza Boduena. Mam tu kobietę, która chce się pozbyć swojego dziecka.

Irena dowiedziała się o katastrofie, gdy po południu wróciła do biura z getta, gdzie rozmawiała z koleżanką Ali, Heleną Szeszko, o kupnie fałszywych papierów, które miał przygotować jej mąż Leon. Już na korytarzu usłyszała dzwonek telefonu. Szybko wbiegła do pokoju i podniosła słuchawkę. To była Władka.

– Policja zabrała Irkę i dziecko – poinformowała z desperacją w głosie. – Są na głównym posterunku. Musimy coś zrobić. Za to, co już teraz zarzucają Irce, grozi jej więzienie, ale kiedy mała w którymś momencie się odezwie i zdemaskuje, dopadną nas wszystkich. Wywrócą cały sierociniec do góry nogami i dojdą do wszystkiego. Musimy je wydostać. Irena, błagam, wymyśl coś.

Kiedy Władka się rozłączyła, Irena opadła na krzesło i utkwiała wzrok w suficie.

– Co za nedorzeczność – szepnęła. – Normalnie mamy problem z dziećmi o zbyt żydowskim wyglądem. A tu coś takiego!

Myślała intensywnie, szukając rozwiązania. Oczywiście można by spróbować zorganizować fałszywych świadków: ludzi, którzy nie znają Irki osobiście, ale rzekomo byli przy tym, jak znalazła to dziecko. Po

przesłuchaniu jej sąsiadów w którymś momencie też by się okazało, że to nie ona jest jego matką. Ale to wszystko wymagało czasu. Czasu, którego nie mieli. Wystarczy bowiem, że dziewczynce wymknie się jedno jedyne słowo w jidysz, i będą załatwieni. Irena wzięła ołówek do ręki i zaczęła stukać nim nerwowo w blat biurka. Stuk, stuk... stuk, stuk. Po chwili wstała. To szaleństwo, lecz istniała tylko ta jedna możliwość. Trzeba wtajemniczyć lekarkę i mieć nadzieję, że ich nie zdradzi.

Oznaczało to ogromne ryzyko, ponieważ nikt nic nie wiedział o tej kobiecie. To było skrajnie niebezpieczne. Ale jedynie wtedy, gdy ona pod jakimś pretekstem wycofa swoje oskarżenie, policja wypuści Irkę – i to jeszcze dzisiaj.

Irena sięgnęła po płaszcz i wybiegła z biura. Dom Sierot znajdował się niedaleko urzędu. Najpierw odszukała Władkę, a potem we dwie zapukały do gabinetu młodej pani doktor. Mówiła Irena. Zrezygnowała z jakichkolwiek dalszych kłamstw, ponieważ zdawała sobie sprawę, że jeśli nie chcą wikłać się dalej, to jedyną szansą jest prawda. Wyjaśniała szybko, ale ze szczegółami. Lekarka jej nie przerywała. Gdy skończyła, na twarzy kobiety pojawiła się konsternacja. Irena i Władka wstrzymały oddech.

– Co ja najlepszego zrobiłam – odezwała się w końcu, opadłszy na oparcie krzesła.

– Pani nie ponosi żadnej winy – zapewniła Irena kojąco. – Pani tylko wykonała swój obowiązek i chciała jak najlepiej dla dziecka. Ale jak pani teraz widzi, jedyną szansą dla tej dziewczynki jest miejsce w tym domu.

Lekarka położyła ręce na kolanach i niemo pokiwała głową, po czym energicznie wstała.

– Wyprostuję to. Proszę mi zaufać.

Irena i Władka chwyciły się za ręce i mocno je ścisnęły. Minęła cała godzina, podczas której nie śmiały zamienić ze sobą choćby słowa. Czy lekarce rzeczywiście uda się przekonać policję i wycofać swoje wcześniejsze oświadczenie?

Udało się. Drzwi otworzyły się bez pukania. Irka i dziecko weszły do środka, a za nimi młoda pani doktor. Na jej twarzy malowała się niewysłowiona ulga.

– Dziękuję! – powiedziała Irena, wyciągając do niej rękę.

– Przepraszam – odparła kobieta. – Przysięgałam, że będę pomagać, a nie szkodzić. Ale czasami granica między jednym a drugim jest bardzo cienka.

Irena skinęła głową.

– Na pewno wkrótce się spotkamy.

Na pożegnanie Irka pochyliła się ku dziewczynce i odgarnąwszy jej kosmyk z czoła, powiedziała:

– Tutaj jesteś bezpieczna. Bądź grzeczna, dobrze?

Mała wymamrotała coś w jidysz i od razu się przeraziła.

– Będę – poprawiła się szybko po polsku.

Lekarka z uśmiechem położyła jej dłoń na ramieniu.

– Damy sobie radę – zapewniła.



Rozdział 23

Powtarzam – powiedział z naciskiem Ludwig Fischer. – Wydajność jest najważniejsza. Organizacyjnie powinny być możliwe zarówno transport, jak i likwidacja sześciu tysięcy Żydów dziennie, pod warunkiem że obóz zagłady będzie się znajdował w pobliżu Warszawy. Jeśli wszystko przebiegnie zgodnie z naszym zamysłem, pierwsza faza akcji Reinhardt zajmie około dwóch do trzech miesięcy. W zależności od tego, na ile efektywnie obóz będzie pracować. Czy przyniósł mi pan plany?

SS-Hauptsturmführer Richard Thomalla skinął głową i rozłożył schemat. Pulchnym palcem wskazującym pokazał liczne prostokąty otoczone wieloma małymi kółkami. Czuł się zmęczony. Wprawdzie przy planowaniu nowego obozu kierował się własnymi pomysłami z Bełżca i Sobiboru, ale szczególne uwarunkowania geograficzne wymagały w tym wypadku indywidualnych rozwiązań, dlatego ślęczał nad tym projektem przez wiele tygodni.

– Oto moja propozycja, panie gubernatorze. Rozważyłem i porównałem różne opcje. Doszedłem do wniosku, że Treblinka to najlepsza lokalizacja na nowy obóz.

– Treblinka? Przecież tam już jest obóz pracy.

– No właśnie. W środku lasu, gdzie diabeł mówi dobranoc. Na uboczu. A jednocześnie tylko osiemdziesiąt kilometrów od Warszawy, ponadto do obecnego obozu poprowadzone są już droga i linia kolejowa. Czyli nie trzeba się martwić o infrastrukturę.

– Interesujące – mruknął Fischer i pochylił się nżej nad planem. – Tu jest kamieniołom, a te znaczki tuż obok to istniejący obóz?

– Tak. Nazwałem go Treblinka I. A zaraz tutaj zbudowalibyśmy obóz zagłady, Treblinka II.

– Idealne miejsce – zauważył z uznaniem Fischer. – Ustronnie, a zarazem w pobliżu Warszawy. A robotnicy przymusowi z Treblinka I mogliby wykonać prace budowlane.

Kąciki ust Thomalli lekko opadły. Jego twarz pokrywała cienka warstwa potu.

– Z całym szacunkiem, ale wolałbym pracować z niemieckimi Żydami. Ze względu na język. Byłoby łatwiej. O ile mi wiadomo, niedawno deportowano do warszawskiego getta cały transport Żydów z Berlina i Hanoweru. Jeśli pan pozwoli, wyszukałbym sobie wśród nich odpowiednich ludzi.

– Oczywiście. To pan kieruje budową. I ma pan całkowicie wolną rękę. Ale co mi pan tu jeszcze przyniósł? – spytał Fischer, wskazując na kartonowy model.

Thomalla uśmiechnął się dumnie.

– Pozwoliłem sobie stworzyć małą makietę.

Fischer podszedł bliżej.

– Bardzo ładna. Naprawdę bardzo ładna.

Odchrząknąwszy, Thomalla wyjął z kieszeni marynarki rozkładany wskaźnik.

– Jak pan widzi, obóz jest podzielony na trzy strefy. Tu jest strefa pierwsza, czyli budynki administracji i część mieszkalna dla strażników, a także baraki dla więźniów. Trzymanie pewnej liczby więźniów będzie konieczne do usuwania zwłok. – Spojrzał krótko na Fischera, a gdy ten pokiwał głową z aprobatą, kontynuował: – Ta rampa to peron, na którym będzie się odbywał wyładunek. Stamtąd idzie się prosto do strefy przyjęć. Tutaj jest okienko, w którym Żydzi zostawiają swoje kosztowności. Tylko na przechowanie, podczas gdy będą brać prysznic. – Uśmiechnął się znacząco do Fischera. – Tuż obok baraki, w których mężczyźni i kobiety rozbierają się oddzielnie. Tutaj odbywa się również strzyżenie.

– A to co takiego? – spytał Fischer.

– Magazyn na bagaże. Odpowiednio duży, by od razu na miejscu mogło się odbywać sortowanie. Zdaje się, że każdemu wolno zabrać ze sobą piętnaście kilogramów bagażu?

– Zgadza się.

– To dobrze. Czyli każdy będzie miał tylko swoje najlepsze i najcenniejsze rzeczy. Na pewno wiele z nich się jeszcze przyda. A teraz część najważniejsza.

Fischer się uśmiechnął.

– Serce całego projektu. Nieco wyżej, na lekkim wzniesieniu. Ta strefa jest całkowicie oddzielona i osłonięta od pozostałych, aby uniknąć niepokojów. Mały laszek, dodatkowy nasyp. A z tyłu komory gazowe z miejscem na masowe groby.

Thomalla wskazał kolejne obiekty. Warsztaty, kantinę dla personelu, zaplecze sanitarne.

Kiedy skończył, Fischer lekko gwizdnął przez zęby.

– Imponujące. Ogromnie imponujące. Miałbym jednak kilka drobnych uwag.

Thomalla wyprężył się.

– Ależ oczywiście, panie gubernatorze.

– Chodzi o tę rampę wyładunkową. Proszę zrobić z niej podwójny peron. Jeden dla przyjeżdżających, drugi dla wyjeżdżających.

– Dla wyjeżdżających? – Thomalla uniósł wysoko brwi. – Nie rozumiem. Myślałem, że ci, którzy tam przyjadą...

– Naturalnie. – Fischer wybuchnął śmiechem. – Treblinka to stacja końcowa. Ale przecież ci ludzie nie muszą tego wiedzieć. Sprzedajemy im tę małą wycieczkę jako przesiedlenie. Dlatego wolno im zabrać bagaż. Proszę uwiarygodnić to miejsce. Niech tam będzie prawdziwa nieduża stacja z zegarem i rozkładem jazdy, z godzinami przyjazdu i odjazdu. Taka malownicza teatralna kulisa. I proszę postawić tablicę z jakąś ładną wymyśloną nazwą. Treblinkę znają wszyscy jako obóz pracy. To nie brzmi dobrze. Poza tym już na samym wstępie wywoływałoby złe skojarzenia. Potrzebna jest nowa nazwa. Jakaś przyjemnie brzmiąca.

– Oczywiście, zastanowię się – odparł szybko Thomalla. – Nie ma problemu. – Z tych samych względów chyba dobrze by było zasłonić pierwszy krąg drutu kolczastego przy wjeździe. Można by też zamaskować bramę małym zagajnikiem.

– Świetny pomysł, Thomalla. Widzę, że doskonale pan rozumie, o co chodzi. I na koniec jeszcze jedno. Na stacji powinien być głośnik. Przydałoby się trochę muzyki podczas wyładunku. Ostatecznie Żydzi będą myśleć, że są w podróży. Muzyka da im poczucie, że są mile widziani. Tylko jeszcze nie wiem, jaka byłaby najlepsza.

– Pomyślę nad tym.

Fischer znowu przyjrzał się makiecie.

– Wreszcie sprawa zaczyna nabierać konkretnych kształtów. Kiedy może pan być gotowy?

– Za trzy, cztery miesiące.

– W porządku. Proszę zatem zabierać się do pracy. Trzymam pana za słowo.



Rozdział 24

Mara spała skulona we wnęce piwnicznego okienka, w której idealnie mieściła się z podwiniętymi nogami. Miała czternaście lat i była tylko jedną z tysięcy osób zebranych na ulicach getta – a wciąż ich przybywało, ponieważ niemal każdego dnia ciężarówkami przywożono setki nowych przybyszów. Żydów z innych części Polski i z Niemiec, których „zbierano” w getcie warszawskim. Żyli w nim na ulicy albo stłoczeni w wielkich halach pozbawionych urządzeń sanitarnych i wegetowali, czekając na śmierć z głodu.

Osierocona Mara była jedną z nich. Irena obserwowała, jak powoli gaśnie w niej wszelka nadzieja. Na początku jej oczy jeszcze lśniły, gdy ją zagadywała, i jak wszystkie dziewczęta w tym wieku uwielbiała opowiadać o sobie. Ostatnio zamilkła, jej oczy stały się matowe, a gdy Irena tego ranka schyliła się do piwnicznego okienka i próbowała nawiązać rozmowę, ona tylko odwróciła się demonstracyjnie na drugi bok. Wetknąwszy parę kanapek do kieszeni jej płaszcza, Irena obiecała przyjść znowu.

– Niestety, Mara nie odpowiada niemieckiemu ideałowi aryjskiej dziewczynki – powiedziała niedługo potem do Adama, siedząc naprzeciw niego w jego kuchni. – Plus jej wiek. Już przemycenie

niemowląt i małych dzieci jest wyzwaniem, a co dopiero nastolatki? Pozostają nam tylko otwory w murze wykorzystywane przez szmalcowników. Tyle że Niemcy bez przerwy robią inspekcje i zamurują każdą najmniejszą dziurę. Wtedy przemytnicy robią nową, a ja nie mogę nadążyć za aktualnymi danymi. Wyobraź sobie sytuację, że podchodzisz z maluchem do muru, a tam zamiast przejścia zastajesz żołnierza. Nie chcę stracić w taki sposób żadnego dziecka.

– Hm – bąknął Adam.

– A nawet gdyby mi się udało wydostać Marę na aryjską stronę... Przy jej wyglądzie nie pomogłyby żadne papiery, Niemcy i tak od razu nabraliby podejrzeń. Oficjalne sierocińce w ogóle nie wchodzi w rachubę. Potrzebna byłaby na stałe jedna rodzina gotowa ukryć u siebie starsze dziecko. Obarczone ryzykiem. To trudna sprawa. Żeby chociaż Dobraczyński nie był taki porządnicki. Bardzo by się nam przydała jego siatka kontaktów. Otworzyłaby nam wszystkie drzwi i umożliwiłaby bezpieczne ulokowanie dzieci w różnym wieku. Zastanawiam się, czy nie powinnam zwrócić się do niego jeszcze raz. Ostatnio wydał mi się jakiś zmieniony. Może ta ostatnia historia dała mu trochę do myślenia? Jak sądzisz? Mam zaryzykować?

Spojrzała na Adama, który bawił się serwetką i chyba nawet nie zauważył, że zadała mu pytanie.

– Adam, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

W tym momencie się ocknął.

– Oczywiście.

– No i jakie jest twoje zdanie?

– Wczoraj poznałem kogoś, kto często bywa w gmachu sądu na Lesznie. Pewnie wiesz, że są w nim dwa wyjścia: jedno na aryjską stronę

i jedno na stronę getta. Ten człowiek zna dozorcę, który za drobną opłatą otwiera drzwi. Może mógłby z nim porozmawiać.

– Co? Serio? – Irena przechyliła się przez stół i ucałowała ukochanego. – To byłoby cudowne! Nie tak dawno byłam w sądzie. Tam wprost roi się od ludzi. Gdybyśmy mieli swojego człowieka, który otwierałby nam odpowiednie drzwi, w tym tłumie nikt niczego by nie zauważył. – Spojrzała na Adama z radosnym wyczekiwaniem, lecz on był znowu zajęty serwetką.

Irena westchnęła ciężko.

– Czy wreszcie łaskawie mi powiesz, co się dzieje?

Cisza.

– Adam? – Delikatnie pogłaskała go po policzku.

– Teraz już mamy pewność. – Popatrzył na nią swoimi ciemnymi oczami. – Byłem wczoraj u mojego kolegi Domka. A on z kolei dostał informacje od przyjaciela spod Chełmna, który obserwował okolicę wokół obozu.

– Masz na myśli obóz pracy? – spytała Irena.

– Tak. Ale on twierdzi, że coś z tym obozem jest nie tak. W ostatnim czasie codziennie przyjeżdżają nowe ciężarówki wyładowane ludźmi. W tej sytuacji obóz powinien już pękać w szwach. Poza tym podobno w ogóle nie wychodzą z niego żadne komanda robocze. A w powietrzu unosi się dziwny zapach.

– Myślisz o plotkach, które krążą od niedawna?

Adam potaknął niemo.

– A jeśli oni mordują tych ludzi?

– Czy ten kolega słyszał jakieś strzały?

Adam pokręcił głową.

– To raczej dobry znak – stwierdziła Irena.

– Ciekaw jestem tylko, kim są ci zwożeni tam nieszczęśnicy i skąd pochodzą.

– Według ciebie w pogłoskach o tym, że Niemcy chcą wysiedlać ludzi z gett, może być ziarno prawdy?

– Niestety. Rzekomo wysiedlenie ma służyć poprawie warunków życia. I wysiedlanych, i tych, którzy zostają. Biorąc pod uwagę to, jak się tu gnieździmy, taka relokacja miałaby nawet sens. Ale właśnie to napawa mnie przerażeniem. – Spojrzał uważnie na Irenę. – Czy cokolwiek, co Niemcy z nami dotychczas robili, miało sens?

Idąc niedługo potem do biura, Irena wciąż rozmyślała o słowach Adama. Czowała mrowienie w całym ciele, jakby ktoś podłączył ją do prądu. Do tej pory ewentualna deportacja mieszkańców getta na Wschód była tylko jedną z wielu niestworzonych plotek krążących po ulicach. A co, jeśli to wcale nie jest plotka? I wcale nie chodzi o przesiedlenie, tylko o...

Irena odepchnęła tę myśl. Wydawała się tak nieprawdopodobna, że mogła tylko sparaliżować. A paraliż byłby teraz najgorszy. Jeśli bowiem Niemcy rzeczywiście planują coś nowego, to nie ma czasu do stracenia. I nie ma też miejsca na wątpliwości dotyczące Dobraczyńskiego.

Dotarłszy do urzędu, bez pukania od razu weszła do pokoju Irki. Wkrótce dołączyły do nich obu Jaga i Janka. Irena opowiedziała o relacjach z Chełmna, a potem spojrzała na Jagę.

– Dobraczyński nie popisał się w sprawie dzieci z ulicy, a nawet wystawił ich życie na niebezpieczeństwo. Ale teraz nie widzę innego wyjścia, jak znów z nim porozmawiać. – Podniosła się. – Pójdę do niego.

– Idę z tobą – oznajmiła Jaga.

– Ja też – powiedziały równocześnie Irka i Janka.

Dobraczyński z niepokojem uniósł brwi, gdy cztery kobiety nagle stanęły przed jego biurkiem.

– Pora opowiedzieć się po określonej stronie – zaczęła bez ogródek Irena, biorąc się pod boki, podczas gdy jej szef odchylił się na krześle do tyłu, jakby chciał zyskać kilka dodatkowych centymetrów dystansu. –

Przecież pan chyba od dawna wie, że fałszujemy dokumenty i umieszczamy żydowskie dzieci w sierocińcu księdza Boduena, prawda?

Dobraczyński poczerwieniał.

– Oczywiście, że wiem o pani... aktywności. W końcu nie jestem głupi. Ani ślepy. I w żadnym razie nie jestem też kreaturą, za jaką pani najwyraźniej mnie uważa. – Kobiety nie kryły zdumienia. – Skoro rozmawiamy tak otwarcie, może warto, aby poznały panie prawdę. –

Zniżył głos. – Ja też działałam w ruchu oporu. Moja decyzja dotycząca tamtych dzieci... cóż, może nie była najrozsądniejsza, przyznaję. – Przez chwilę popatrzył w milczeniu na swoje dłonie. – Ale teraz do rzeczy: jak wam mogę pomóc?

– Przydałyby się nam numery telefonów i pański podpis – odpowiedziała Jaga. – Oczekujemy, że kiedy tylko będziemy potrzebować miejsca dla jakiegoś dziecka, pan porozmawia ze swoimi łącznikami w zakonach, sierocińcach i domach opieki w Warszawie i pod Warszawą. Zna pan te zakłady i ludzi. Orientuje się pan, kogo na co stać. A potem podpisze pan papiery. I to wszystko.

– Chodzi tylko o telefon i podpis? – spytał Dobraczyński. – A cała reszta? Kto wyszuka te dzieci? Kto przemyci je z getta? Kto podejmie się wstępnej opieki? I skąd wziąć papiery? Bez nich nawet ja nic nie zrobię. Chyba zdajecie sobie z tego sprawę, prawda?

– My to załatwimy – zapewniła Irena.

Dobraczyński spojrział na nią zaskoczony.

– Wszystko?

Kiwnęła głową.

– Wszystko. A zatem: czy wchodzi pan z nami na pokład i dołącza do naszej załogi?

Minęło kilka sekund, po czym wzruszywszy ramionami, mężczyzna powiedział:

– Oby ominęły nas wszelkie sztormy.

– Dobraczyński w ruchu oporu? Serio? – Ala siedziała przy kuchennym stole i pomagała swojej córcece Rami rozsmarować na kromce chleba marmoladę z buraków. Dziewczynka pracowała w ogromnym skupieniu. Wiedziała, że nie może zmarnować się ani kropla.

– Tak, tak, cicha woda brzegi rwie – zauważyła Irena z uśmiechem, po czym spojrzała na zegar nad kredensem. – Kiedy musisz wrócić do kliniki?

– Za godzinę kończy mi się przerwa obiadowa. – Ala zamasyście zgarnęła na dłoń kilka okruchów ze stołu.

Irena martwiła się o przyjaciółkę, którą wycieńczała nie tylko ciężka praca w szpitalu, lecz przede wszystkim ból, że nie może zrobić wystarczająco dużo. Miała zapadnięte policzki, jej czarne włosy zrobiły się matowe, a pod oczami pojawiły się ciemne kręgi.

– Ale wcześniej muszę jeszcze wpaść z wizytą domową do pewnej młodej matki. Dwa miesiące temu urodziła i w zeszłym tygodniu miała przyjść na kontrolę, jednak się nie pokazała. Trochę mnie to niepokoi. Jej mąż jest w obozie pracy i od miesiący nie daje znaku życia. – Po

chwili zwróciła się do swojej córeczki: – Zjadaj, Rami, potem babcia coś ci poczyta i trochę się zdrzemniesz, zgoda?

Dziewczynka spojrzała na nią z wyrzutem:

– Znowu musisz iść?

Ala czule pogłaskała ją po główce.

– Niedługo wrócę.

– Zawsze to mówisz, a nigdy tak nie jest – odpowiedziała mała rezolutnie i włożyła do ust ostatni kęs chleba.

Westchnąwszy ciężko, Ala sprzątnęła talerz ze stołu.

– Chcesz pójść ze mną? – zwróciła się do przyjaciółki. – To niedaleko.

– Chętnie. Może się do czegoś przydam. – Irena spojrzała na zegar. Miała jeszcze trochę czasu.

Młoda matka mieszkała trzy ulice dalej.

– Pani Zielińska? – Ponieważ dzwonek nie wydał żadnego dźwięku, Ala zapukała. Mimo to nikt nie otworzył. – Może akurat wyszła coś załatwić? – powiedziała do Ireny.

– Może.

Na wszelki wypadek nacisnęła klamkę. Drzwi ustąpiły.

– Pani Zielińska? To ja, Ala Gołąb-Grynberg, pielęgniarka z kliniki. Proszę się nie przestraszyć. Wchodzę do środka.

Irena podążyła za nią. W mieszkaniu było brudno i duszno, unosił się smród odchodów. Zaniepokojona Ala przeszła przez kuchnię do pokoju.

– O nie!

Podbiegła do materaca na podłodze. Młoda kobieta leżała na nieświeżym prześcieradle, miała zamknięte oczy i rozpaloną twarz. Prawdopodobnie wcześniej trzymała córeczkę w ramionach, lecz gdy zasnęła, niemowlę sturlało się na ziemię.

Ala sprawdziła puls matki, podczas gdy Irena ostrożnie podniosła dziecko.

– Niech to szlag – wymamrotała Ala. – Nie czuję pulsu. Zejdź na dół do sklepu i zadzwoń do szpitala, żeby przysłali karetkę – poleciła koleżance.

Irena podała jej niemowlę, które wydawało jakieś słabe dźwięki, i wybiegła z mieszkania.

Ala pogłaskała zapadnięte policzki dziewczynki. Ona też miała oczy zamknięte, a wątle ramionka zwisały bezwładnie.

– Obudź się, maleńka. Twoja mama niedługo poczuje się lepiej. Masz na imię Hedi, prawda? Chyba tak nazwała cię mama.

Pospieszyła do kuchni i podstawiła filizankę pod kran. Nie poleciała z niego ani jedna kropla. Niemowlę musiało być całkowicie odwodnione. Potem pootwierała wszystkie okna i zerknęła na dół. Gdzie ta Irena się podziewa?

Wyszła na korytarz i zaczęła pukać po kolei do drzwi, ale nikt jej nie otworzył.

– Akurat kiedy człowiek potrzebuje pomocy – syknęła przez zęby. Wiedziała jednak, że jest niesprawiedliwa. W gruncie rzeczy była wściekła na samą siebie, że nie przysłała tu wcześniej. Przecież wiedziała, że ta kobieta jest niedożywiona i mieszka zupełnie sama. W takiej sytuacji czasami nawet głupia grypa albo kaszel mogą doprowadzić do katastrofy...

Gdyby tylko w szpitalu tyle się nie działo, pomyślała. To po prostu za dużo. Mimo to powinna była zajrzeć.

Z dzieckiem na ręce ponownie przysiadła przy jego matce i sprawdziła puls kobiety. Oczy Ali napełniły się łzami. Za późno. Przyszła za późno.

Tak właśnie zastała ją Irena, kiedy niedługo potem wpadła bez tchu do pokoju.

– Telefon w sklepie na dole nie działał, a w innym był w ogóle wyłączony. Musiałam popędzić do szpitala. Karetka jest teraz gdzieś indziej. I pewnie trochę to potrwa, zanim wróci.

Nabrała powietrza. Twarz miała purpurową.

– Ala? – Podeszła do przyjaciółki, której po policzkach płynęły łzy. – Co się stało?

– Matka Hedi nie żyje.

Irena miała wrażenie, jakby z jej płuc odessano całe powietrze. Osunęła się na podłogę.

– Dlaczego nie przyszłam do niej wcześniej? – wybąkała Ala.

Irena wyczuła w jej głosie stłumioną wściekłość.

– Nie wolno ci tak nawet myśleć.

Ala jednak w ogóle jej nie słuchała.

Irena wzięła od niej dziecko, a potem lekko dotknęła jej ramienia.

– Malutka żyje. Teraz musimy zatroszczyć się o nią. Chodź – powiedziała stanowczo i wstała. Ala też się dźwignęła i podążyła za nią.

Niedługo później obie znalazły się w klinice.

– Przyrowadź swoją koleżankę Helenę – szepnęła do Ali. – Na razie zgłoszę śmierć matki.

Wkrótce trzy kobiety zebrały się w małym gabinecie.

– Dobrze, że nasza mała Hedi przynajmniej nie jest wyziębiona – zauważyła Helena, przygotowując dla niej pokarm. Rzuciła okiem na Alę, która stała obok jak nieobecna, a następnie zwróciła się do Ireny: – A ty co tutaj robisz? Znowu potrzebujecie papierów od Leona?

Irena pokręciła głową. Tym razem nie chodziło o podrobienie dokumentów, tylko o samego Leona jako motorniczego tramwaju.

– Szczerze mówiąc, dzisiaj mam zupełnie inną sprawę. – Podeszła bliżej do pielęgniarki. – Zdaje się, że twój mąż czasem szmugluje różne rzeczy z getta, prawda?

Helena potaknęła.

– Podczas pierwszego kursu wcześniej rano zabiera jakieś zawiniątka, które chowa pod ostatnią ławką w wagonie. Zazwyczaj są to drobne kosztowności, które na zlecenie ich właścicieli sprzedaje za murem. Wcześniej działało to w obie strony, ale teraz Niemcy tak gruntownie sprawdzają tramwaje jadące do getta, że nie da się już nic przemyścić. A dlaczego pytasz? Ktoś chce coś sprzedać?

– Nie, nie w tym rzecz. Chodzi o dziecko.

– O dziecko? Jakie dziecko? – Helena była tak pochłonięta małą Hedi, że dopiero gdy nie doczekała się odpowiedzi, zaskoczyła. – Co? Masz na myśli ją? To niemowlę? Chyba żartujesz!

– Nie – cicho, ale zdecydowanie odparła Irena. – Ona nie ma tu już nikogo. Sierocińce w getcie są pełne. Jak tylko trochę się wzmocni, będzie można jej dać odrobinę środka uspokajającego i wtedy Leon przewiózłby ją pierwszym kursem. Zaraz za murem wsiądę na przystanku i ją przejmę.

Patrzyła przenikliwie na Helenę, ale jej twarz była nieporuszona. Jedynie po zaczerwienionych policzkach można było poznać, co się

w niej dzieje.

– Ona ssie – powiedziała nieoczekiwanie. – Spójrz, pije... hola, hola, nie tak szybko.

Irena czuła, że musi dać Helenie więcej czasu, dlatego zaczęła rozważać inne opcje. Na razie było zbyt ciepło, by paradować przez punkt kontrolny w szerokim płaszczu, zwłaszcza że młody Niemiec, który nie przyglądał się zbyt uważnie, już od dawna nie pełnił służby.

– Porozmawiam z Leonem – rzuciła Helena zniecierpliwiona.

– Jesteś nieoceniona! – wykrzyknęła Irena i spontanicznie ją przytuliła. – W takim razie ja w tym czasie zorganizuję wszystko po drugiej stronie.

Niewiele dni później nadszedł ten moment. Ala, która jako siostra przełożona mogła chodzić ulicami także po godzinie policyjnej, spędziła noc w szpitalu przy małej Hedi i podała jej luminal w niewielkiej dawce. O wpół do piątej rano miała się spotkać z Leonem w zajezdni tramwajowej na północnym krańcu getta. Nie włożyła żadnego wierzchniego okrycia, żeby każdy już z daleka mógł rozpoznać jej biały pielęgniarski kitel. Dziecko leżało w szerokiej czarnej torbie lekarskiej.

Jestem całkiem zwyczajną siostrą szpitalną w drodze do jakiegoś wczesnego wezwania, powtarzała sobie. Mocno przeżyła śmierć matki Hedi i dlatego uważała, że musi pomóc jej dziecku. Mąż Heleny powiedział, że strażnik przed zajezdnią zawsze ruszał do domu zaraz po przyjeździe Leona o wpół do piątej, mimo że jego wachta kończyła się dopiero o piątej. Musiała więc się spieszyć, aby mogła przekazać małą, zanim jeszcze zacznie się rozwidniać.

Od szerokiej ulicy przed zajezdnią dzielił ją tylko jeden dom. Kiedy wyjrzała zza jego węgła, stwierdziła, że przed zamkniętą bramą nadal stoi strażnik. Leona ani śladu. Spojrzała na zegarek. Cholera! Za

wcześniej. Jak to możliwe? Widocznie szła szybciej, niż zamierzała. Wciąż trwała godzina policyjna. Ala weszła na podwórze i poszukała jakiegoś ciemnego kąta. Minęły dwie minuty, potem trzy. Na ulicy rozległy się czyjeś kroki. Czyżby Leona? Tuż potem usłyszała głosy dwóch mężczyzn. Nie mogła zrozumieć, co mówią, ale wyglądało na to, że się żegnają. Cisza. I znowu kroki na wysokości wejścia na podwórze. To musiał być strażnik.

Policzyła do sześćdziesięciu. Następnie ostrożnie opuściła swoją kryjówkę i ruszyła w stronę rogu domu. Rzeczywiście. Żelazna brama była już otwarta. Najdłużej jak to możliwe, szła pod murem. Dopiero w ostatniej chwili przecięła szeroką ulicę i przeszła przez bramę. Trzymaj się lewej strony, upominał ją Leon. Aż dojdiesz do baraku. Właśnie do niego dotarła.

Okrzyżowała niewielki drewniak i znalazła drzwi. Biała chusteczka do nosa pobłyskiwała w słabym blasku latarni. Wyglądała, jakby ktoś niechcący ją upuścił, tymczasem był to uzgodniony znak. Ala postawiła torbę. Nagle zrobiło jej się ciężko na sercu. Położyła dłoń na wytartej skórze.

– Powodzenia, Hedi. Niech ci się szczęści! – szepnęła. I odeszła. Gdy po chwili obejrzała się za siebie, w szarawych oknach wagonu tramwajowego dostrzegła ciemną sylwetkę Leona. Ostrożnie zmierzał na jego koniec. Ala ruszyła dalej.

Kilka minut później usłyszała zgrzytanie żelaza o żelazo. Zwolniła kroku. Kiedy tramwaj mijał ją z turkotem, odważyła się spojrzeć w bok. Leon uniósł rękę do daszka czapki. Skinęła mu nieznacznie głową. Zaraz zaczęła wsiadać pierwsi robotnicy z getta. Mogła mieć tylko nadzieję, że nikt nie zauważy torby pod ławką.

Na pierwszym przystanku po drugiej stronie muru Irena gorączkowo czekała na tramwaj. Jest! Skrzypiąc i grzechocząc, wyjechał z zakrętu.

Kilka osób wysiadło. Nikt nie niósł lekarskiej torby. To dobrze! Irena weszła do wagonu i zajęła miejsce na wolnej ławce na końcu. Oprócz niej wsiedli też inni. Nie patrząc w dół, ostrożnie wsunęła piętę pod siedzenie. Kiedy napotkała opór, poczuła ulgę. Mając nadzieję, że jej spojrzenie jest stosownie do pory wystarczająco apatyczne i senne, rozejrzała się, aby zapamiętać, kto wsiadł razem z nią. Potem przez brudną szybę popatrzyła na pierwsze światło nowego dnia. Musiała czekać dwadzieścia minut, aż wszyscy „starzy” pasażerowie opuszczą wagon. Przed najbliższym przystankiem sięgnęła jak gdyby nic po torbę. Po drodze do wyjścia jej wzrok spotkał spojrzenie Leona w lusterku wstecznym. Dostrzegła, że się uśmiechnął.

Drzwi się otworzyły. Dziesięć kroków. Dwadzieścia. Pierwszy róg, drugi. Udało się. Światło poranka kładło się złotym jedwabiem na bruku. Był pierwszy czerwca 1942 roku. Niemowlę w jej torbie nazywało się teraz Helena i właśnie rozpoczęło nowe życie.



Rozdział 25

Jesteś pewny, że to tutaj? – szepnęła Irena.

– O północy przy bramie na dziedziniec kościoła Wszystkich Świętych – szepnął Adam. – Tak mi powiedziano.

Nocą w getcie nie paliły się żadne uliczne latarnie. Ciemność była tak nieprzenikniona, że nawet gdy Irena uniosła zegarek tuż pod oczy, i tak nie mogła odczytać, która jest godzina. Wciąż pilnie nasłuchując, zaczęła się już trochę denerwować. Ciepły podmuch wiatru zaszeleścił liśćmi dębu na przykościelnym cmentarzu. Minęło co najmniej pół godziny od ich przyjscia, a przemytnicy, z którymi mieli się spotkać, wciąż się nie pojawili.

– Pewnie coś się stało – wyszeptał zaniepokojony Adam. – Może wpadli? A jeśli tak, to nie powinniśmy stać tu dłużej, bo to niebezpieczne. Musimy iść. – Chwycił ją za rękę, ale ona ścisnąwszy ją krótko, poprosiła:

– Jeszcze minutkę... – Nagle urwała. Czy to nie było delikatne nawoływanie puchacza? Umówiony znak? W odpowiedzi rzuciła przez niski mur kamyk, który trzymała w gotowości. Przez chwilę nic się nie

działo, a potem brama otworzyła się od środka. Irena spojrzała na Adama, jego oczy migotały nerwowo.

Wkrótce oboje znaleźli się na dziedzińcu, na którym było równie ciemno. Przeszli po omacku kilka metrów i przystanęli. Stopniowo z czerni wyłoniły się trzy postacie. Irena przełknęła ślinę. To były dzieci – dziewczynka w wieku około piętnastu lat, jej koledzy mogli mieć osiem i jedenaście. Pomalowali sobie twarze sadzą. Irena już nieraz słyszała, że przemytnicy to często dzieci albo nastolatki. Początkowo przedstawali się na aryjską stronę, aby poza murami getta zebranią zdobyć dla swoich rodzin jakieś datki albo jedzenie, a potem rozwinęło się to w coś więcej. Wiele z tych dzieciaków to prawdziwi profesjonaliści, którzy dobrze zarabiali, ale igrali ze śmiercią. Nic więc dziwnego, że artykuły spożywcze na czarnym rynku były drogie. W ich cenę bowiem wliczano ryzyko, jakie przemytnicy ponosili noc w noc.

– Jolanta? – wyszeptała beznamytnie nastolatka. Mimo ciepłej pogody miała na głowie czapkę, a pod nią ukryte włosy. W przeciwieństwie do większości dzieci z getta nie była chuda, lecz w jej oczach czaiło się coś dziwnego, jakaś nietypowa dla jej wieku czujność.

– Jolanta – potwierdziła cicho Irena.

– Wiemy od naszego łącznika, że chcecie przerzucać dzieci z getta i korzystać z naszych przejść.

– Tak – odparła krótko Irena.

Trójka wymieniła się spojrzeniami. Wyglądało na to, że komunikują się wzrokowo.

– Zasadniczo nie mamy nic przeciwko temu – oznajmiła wreszcie dziewczyna. – Ale musimy to odpowiednio skoordynować. Nie możemy ryzykować, żeby pojawiało się ich za dużo naraz w jednym punkcie. To

mogłoby wydać się podejrzane. Jedno z naszych przejść to ten kościół. Ma wyjście na drugą stronę. Proboszcz współpracuje z nami. Chcemy też wypróbować kanały. To byłaby dodatkowa możliwość. Otwory w murze i cmentarz stały się niepewne. – Zrobiła krótką pauzę, podczas której Irena ponownie zmierzyła ją od góry do dołu. Następnie powiedziała: – My pracujemy w nocy. Wy możecie działać w dzień. Wtedy nie będziemy wchodzić sobie w paradę.

Irena się zgodziła. Obie wymieniły się dodatkowymi informacjami.

Niecałe pół godziny później Adam bezszelestnie zamknął drzwi swojego mieszkania. Matka nie powinna wiedzieć, że wychodził podczas godziny policyjnej.

W jego pokoju było gorąco, ponieważ ze względu na bezpieczeństwo nie należało zostawiać na noc otwartych okien. Rozebrawszy się, od razu położyli się do łóżka. Nie przykryli się niczym. Irena całym ciałem przyłgnęła do niego. Leżeli tak przez chwilę, nic nie mówiąc. Delikatnie przesunęła dłonią po jego plecach, biodrach. Czuła jego kości i mięśnie pod rozgrzaną skórą. On zanurzył twarz w jej włosach, muskając wargami ucho. Miał ciepły oddech.

– O czym myślisz? – spytała.

– O tamtych dzieciach, które ryzykują własnym życiem, aby przemyścić do getta trochę jedzenia – odpowiedział. – I o tobie, bo ty też narażasz się nie mniej od nich.

– A ty? Ty nie ryzykujesz życiem, zostając w getcie, zamiast ukryć się gdzieś po aryjskiej stronie?

Nie raz i nie dwa rozmawiali o możliwości ucieczki, choć Irena wiedziała, że ten temat działa na Adama jak płachta na byka. Dlatego teraz przeraziła się. Po co znowu z tym wyjechała? Pytanie wymknęło jej się nieopatrznie, ponieważ zirytowały ją jego słowa. Zabrzmiały jak

wyrzut. Czy on myśli, że specjalnie wybrała taką sytuację? Uważa, że ona albo te dzieciaki naprawdę chętnie narażają swoje życie?

– Mój ojciec zawsze mówił, że gdy widzisz tonącego człowieka, to wskakujesz do wody i pomagasz. Nie ma żadnego myślenia czy rozważania. Po prostu to robisz – kontynuowała. – Robimy, co robimy, ponieważ nie mamy innego wyboru.

– Aha, czyli ja jestem tym tchórzem, który nie robi tego, co powinien – wybuchnął Adam po chwili milczenia. – To wcale nie jest takie proste, jak ci się wydaje. Mam matkę i ciotkę. Nie wolno mi myśleć wyłącznie o sobie.

– Ja też mam matkę, która na dodatek jest chora. Ale nie wykorzystuję jej jako pretekstu. – Irena uwolniła się z jego objęcia.

– Jako pretekstu? Pretekstu do czego?

– Do bycia biernym. Masz wybór, Adam. Ale nie wybierasz.

– A czy to też nie jest jakiś wybór? – Uśmiechnął się cynicznie.

– Może do tej pory był. Jeżeli jednak to prawda, co wszyscy mówią, że Niemcy chcą deportować ludzi... to musisz się stąd wynosić. I twoja mama też. Także ciotka Dora z mężem. Ukrywanie się poza gettem jest niebezpieczne, ale to prawdopodobnie wasza jedyna szansa. Kościół Wszystkich Świętych to wasza szansa. A ty jesteś tą osobą w rodzinie, która powinna podjąć decyzję – za was wszystkich. Ponosisz odpowiedzialność nie tylko za siebie, ale i za nich.

– A więc jeszcze jestem nieodpowiedzialny! – Adam spojrział na nią z furią. – Posuwasz się za daleko. – Obróciwszy się na bok, naciągnął na siebie koc.

Irena z kolei położyła się na plecach i wpatrzyła się w sufit. Do oczu napłynęły jej łzy. Łzy wściekłości, ale i strachu. Władze niemieckie jednoznacznie oświadczyły, że nie planują wysiedlenia getta

warszawskiego. Także Judenrat zapewniał o tym raz po raz. Mimo to miała wrażenie, że ciepłe czerwcowe powietrze jest naładowane napięciem. Wyczuwała je na pokrytych kurzem ulicach, w stężonych twarzach ludzi, w nieokreślonym czekaniu i trwaniu. Coś nadciągało. Bez względu na to, co oficjalnie twierdzono.

Znowu przypomniało jej się zdanie wypowiedziane przez przyjaciółkę, Marię Palester. Getto to pułapka.

Zacisnęła dłonie w pięści i powstrzymała łzy. Musiała się przespać. Jutro czekało ją dużo pracy.



Rozdział 26

Delikatna pajęczyna światła rozsnuwała się po dnie lasu po obu stronach drogi. Minęło już sporo minut, odkąd przejechali przez ostatnią wioskę i zanurzyli się w gęstej zieleni. Przez otwarte okno samochodu wlewał się zapach suchych igieł sosnowych. Ludwig Fischer myślał o swojej rodzinie w Niemczech, o wędrownikach po Lesie Palatyńskim, który zawsze działał na niego kojąco. Wyobrażał sobie, że w nim teraz jest. Oparł się wygodnie na tylnym siedzeniu i głęboko wdychał aromatyczne powietrze.

– Jak jeszcze daleko? – spytał młodego żołnierza za kierownicą.

– Najwyżej kwadrans, panie gubernatorze.

Fischer spojrział przez tylną szybę. Za nimi jechał drugi wóz, z Thomallą, inżynierem kierującym budową nowego obozu w Treblince, oraz z Heinzem Auerswaldem, komisarzem warszawskiego getta.

Droga zakręciła i po prawej ukazały się biegnące równoległe do niej tory kolejowe. Minęli rozwidlenie z ogrodzeniem z drutu kolczastego i barakami na końcu. Treblinka I, obóz pracy. A zatem musiało już być blisko.

Fischer pochylił się między siedzeniami do przodu. Jakieś pięćdziesiąt metrów przed nimi znajdowała się polana z peronem. Wysoki na dwa i pół metra płot z drutu kolczastego był tak dobrze zakamuflowany, że na pierwszy rzut oka w ogóle niewidoczny. Gubernator włożył czapkę na głowę i odpowiednio ją poprawił. Do jego uszu dotarły dźwięki dziarskiej muzyki w wykonaniu orkiestry dętej.

Oba auta zatrzymały się przy peronie, na którym obok orkiestry Fischer rozpoznał SS-Unterscharführera Kurta Seidla, jednego z kierowników budowy. Za nim stali jeszcze dwaj funkcjonariusze. Fischer, Thomalla i Auerswald weszli po stopniach na rampę.

– Heil Hitler!

– Heil Hitler!

– Pozwoli pan, panie gubernatorze, że przedstawię – odezwał się Seidel. – SS-Scharführer Josef Hirtreiter będzie odbierał Żydów z rampy wyładunkowej i nadzorował ich w strefie recepcji. A to jest SS-Unterscharführer August Miete, który odpowiada za lazaret i sortownię.

Obaj funkcjonariusze zasalutowali.

Fischer rozejrzał się dookoła. Powiódł wzrokiem po peronie. Do słupa przymocowany był głośnik.

– Podczas przybycia każdego transportu popłynie z niego muzyka – wyjaśnił Thomalla, idąc za spojrzeniem gubernatora.

Fischer podszedł do tablic z przyjazdami i odjazdami pociągów.

– Jeśli pan pozwoli: podane tu godziny odpowiadają mniej więcej planowanym godzinom przyjazdu pociągów – rozległ się głos Hirtreitera. – W konsekwencji fikcyjne czasy odjazdu są bardziej wiarygodne. O ile oczywiście ktokolwiek będzie miał czas je przeczytać.

Fischer obrócił się w stronę Thomalli.

– *Moje uznanie. Doskonała oprawa.*

– *Pozwoli pan, panie gubernatorze, że oprowadzę pana po obozie?*

Fischer i Thomalla ruszyli przodem, dwaj pozostali podążyli za nimi. Po mniej więcej stu metrach znaleźli się przy dwóch dużych barakach, przed którymi stał mniejszy budynek. Ich dachy błyszcząły jaskrawo w niemal pionowo padających promieniach południowego słońca. Fischer pocił się w mundurze, dlatego doznał ulgi, gdy weszli w cień obszernego, pustego pomieszczenia.

– *Tutaj się rozbierają – wyjaśnił Thomalla. – Jak pan widzi, nie tracimy czasu. – Wskazał na kontuar na drugim końcu baraku. – Tam, z przodu, każdy zostawia kosztowności, które po prysznicu rzekomo otrzyma z powrotem. Tam z kolei oddawane są walizki i ubrania. Ale nie zostają w tym miejscu. Za barakiem znajduje się plac sortowniczy.*

Opuścili budynek innymi drzwiami. Południowy upał natychmiast ponownie ich osaczył.

– *Na placu będą sortowane ubrania i inne rzeczy osobiste. Cokolwiek się przyda, zostanie przekazane dalej, reszta ulegnie spaleniu z tyłu, za lazaretem. – August Miete wskazał na nieduży budynek z namalowanym czerwonym krzyżem.*

– *Lazaretem? – spytał Fischer, zwracając się do Thomalli. – Nie przypominam sobie, abyśmy rozmawiali o lazarecie.*

– *Bo to nie jest żaden szpital. A przynajmniej nie dla naszych gości w podróży – wyjaśnił inżynier z uśmiechem. – Zapraszam.*

W środku budynku znajdowała się w pełni wyposażona izba chorych.

– *Tylko dla strażników i innego personelu – dodał. – Mimo to nazwa jest odpowiednia także dla Żydów. Bo w baraku, gdzie się rozbierają, od razu wyłapiemy chorych, rannych i niedołączonych. I przekierujemy ich w inne miejsce. – Thomalla wyprowadził wszystkich szerokim korytarzem*

z izby chorych na tył budynku. Tu też znajdował się rozległy plac, a za nim głęboki dół. – Z chorymi rozprawimy się szybko, żeby nie hamowali sprawnej obsługi reszty. Ustawimy ich przed dołem i... – Wyjąwszy broń z kabury, udał, że celuje.

– Bardzo rozsądne – stwierdził Fischer.

Następnie przeszli wyasfaltowaną główną drogą prowadzącą przez obóz, kierując się ku małemu laskowi i mijając kolejne zabudowania.

– To jest strefa mieszkalna z kwaterami wachmanów i reszty personelu – wyjaśnił Seidel. – Piekarnia, kuchnia, jadalnie. Wszystko ładnie urządzone meblami zabranymi warszawskim Żydom. Ale zajrzemy tam później, na mały poczęstunek. Teraz chciałby pan z pewnością obejrzeć to, co najważniejsze.

– Nie mogę się doczekać.

– Zapraszam więc dalej.

Na końcu obozu Thomalla i Seidel odbili w las. Ograniczona z obu stron drutem kolczastym ścieżka wiodła w zieloną ciszę. Dokąd, nie było widać.

– Celowo oddzieliliśmy komory gazowe od pierwszej części obozu, aby uniknąć paniki. Nawiasem mówiąc, ten szlak przez las nazywamy drogą do nieba. Ciekawe, kto wymyślił tę nazwę. – Thomalla pytająco spojrzał na Seidla, lecz ten pokręcił głową.

– Ja też już nie pamiętam. Któregoś dnia po prostu się pojawiła.

Droga się skończyła. Ich oczom ukazało się kilka płaskich niepozornych budynków. Seidel otworzył boczne drzwi. Weszli do maszynowni.

– To jest nasz silnik spalinowy – objaśnił Thomalla. – Spaliny są bezpośrednio kierowane do tak zwanej łaźni.

– Najpóźniej tutaj dotrze do nich, że wybiła ich godzina – zauważył Fischer, wchodząc do wyłożonej białymi kafelkami komory gazowej. – Nie obejdzie się bez wrzasków.

– Niestety – rzekł z westchnieniem Seidel. – Dlatego mamy nadzieję, że technicy niedługo znajdą jakieś rozwiązanie elektryczne. Prąd pozwoliłby zaoszczędzić sporo czasu i wywoływałby odpowiednio mniej hałasu.

– Czy chce pan zobaczyć też doły za barakami?

Fischer wprawdzie bardzo obawiał się piekącego słońca, mimo to się zgodził.

– Na początek zastosujemy sprawdzony system – wyjaśnił Thomalla. – Do wrzucania ciał do grobów wykorzystamy więźniów. To nie jest praca odpowiednia dla wachmanów.

– Czy one wystarczą? – Fischer zmarszczył czoło z powątpiewaniem. – W końcu zakładamy, że będzie około sześciu tysięcy ciał dziennie.

– Proszę spojrzeć tam dalej! Pracujemy już nad rozwiązaniem przez spalanie – poinformował Thomalla. – Ma to być coś, powiedzmy, w rodzaju stosu.

– Bardzo dobrze – stwierdził z ulgą Fischer. – A ile czasu zajmie to wszystko?

– Szacujemy, że między rozładowaniem a likwidacją minie niecałe pół godziny. No, może trochę więcej.

– Hm, doskonale.

Fischer chwycił za kołnierz munduru.

– Ten upał... można by pomyśleć, że ogień już się pali.

– Wobec tego może wrócimy – zaproponował Seidel. – Poczęstunek już czeka.

– Mam nadzieję, że macie zimne piwo – zauważył ze śmiechem gubernator.

– Zimne piwo, zimną pieczeń i świeżo upieczony chleb. Swoją drogą to pierwszy chleb z naszej piekarni. Specjalnie sprowadziłem na dzisiaj naszych przyszłych piekarzy.

– Rozpieszcza nas pan, Seidel. Świetna robota, Thomalla. Treblinka w niczym nie ustępuje Bełżcowi i Sobiborowi. Znowu przeszedł pan samego siebie.

Thomalla uśmiechnął się z satysfakcją.

– Dziękuję, panie gubernatorze!

Fischer poklepał go po ramieniu.

– No, a teraz chodźmy na te zimne przekąski, zanim tu padniemy.



Rozdział 27

Całe miesiące zajęło im zbieranie desek na małą scenę. Starsze dzieci z sierocińca doktora Korczaka zbudowały ją same pod okiem zaprzyjaźnionego stolarza. Wreszcie nadszedł dzień występu. W dużej sali służącej na co dzień za stołówkę ustawiono krzesła w długich rzędach, ale i tak było ich za mało. Irena i Adam, którzy przyszedli tuż przed spektaklem, siedzieli na podłodze oparci o ścianę. Mimo lipcowego upału okna były zamknięte, a widzowie rozmawiali przytłumionym głosem. Niemcy w żadnym razie nie mogli się dowiedzieć o tym wydarzeniu.

Na scenę wszedł Janusz Korczak. Od ostatniego razu, kiedy Irena go widziała, wychudł jeszcze bardziej. Jego ciemne oczy tkwiły w zapadniętych oczodołach ukryte za małymi okularkami. Na wysokim czole perliły się krople potu. W sali zaległa cisza. Doktor przez chwilę popatrzył na publiczność, po czym zaczął mówić z charakterystyczną dla niego autoironią.

– Co powinienem powiedzieć widzom?, zadałem sobie wczoraj pytanie. Czy mam podziękować im za to, że przyszedli, mimo że już sama droga tutaj jest niebezpieczna? Czy zareklamować im sztukę? *Pocztę Tagore*? Czy istnieje coś dobrego lub miłego, co mógłbym w tych

czasach państwu opowiedzieć? No, czy komuś przychodzi coś do głowy?

Niektórzy z widzów roześmiali się cicho.

– A jednak na mojej liście znalazło się kilka rzeczy. – Z kieszeni spodni wyjął zmiętą kartkę i poprawił okulary. – Zapisalem je sobie wczoraj wieczorem po tym, jak nielegalnie siedzialem w ciemności na naszym dziedzińcu, co teraz graniczy przecież z samobójstwem. – Na widowni znowu rozległ się przytłumiony śmiech. – W każdym razie nagle pojawił się lekki wieczorny zefirek. Było cudownie. Kwiaty, które posadziliśmy w kącie i które w upale w ciągu dnia się pozamykały, rozsiewały delikatny zapach. Podszedłem bliżej i wciągnąłem go najgłębiej, jak mogłem. I nagle już nie byłem sam.

Zrobił teatralną pauzę. Publiczność wstrzymała oddech. Po figlarnym błysku w jego oczach Irena rozpoznała w nim „starego doktora” z wcześniejszych pogadanek radiowych.

– I nagle już nie byłem sam – powtórzył. – W ciemności poruszał się przede mną świecący punkcik. Robaczek świętojański! – I znowu śmiech, tym razem głośniejszy. – Czy Bóg istnieje? – spytał Korczak. – Tak, być może. A jeżeli istnieje, powinniśmy mu podziękować. Za to, że dał kwiatom zapach, a świetlikom blask. Za to, że powietrze może stać się zefirkiem. Oraz za to, że człowiek rodzi się dzieckiem. Dzieci... – Wsunął listę z powrotem do kieszeni. – ...są dla nas, dorosłych, jak zapach kwiatów. Są blaskiem świetlika i każdego dnia dziękuję losowi, że przynosi mi je tak licznie jak fale niosą muszle.

Spojrzał na publiczność w taki sposób, jakby chciał zwrócić się do każdego z osobna. Następnie spytał:

– Czy ktoś z was był obecny przy tym, jak budzi się cała wielka sypialnia dzieci?

Niektórzy z widzów mimowolnie pokręcili głowami.

– Powieki powoli się unoszą i ponownie opadają. Jedno dziecko przeciera sobie oczy, inne wysuwa nogę spod kołdry. Zawsze znajdzie się ktoś, kto jednym susem wyskoczy z łóżka, są też tacy, którzy z lalką w ramionach rozglądają się nieprzytomnie po sali, niczego nie widząc. Jakiś chłopiec drapie się po nosie, jakaś dziewczynka poprawia sobie włosy. A ja leżę w swoim łóżku pośrodku i mam szansę doświadczać tego przebudzenia. Każdego dnia. – Uśmiechnął się znowu. – Jeśli więc miałbym opowiedzieć państwu coś miłego, to wybrałbym właśnie to. Wiele z tych dzieci ostatniej nocy prawie nie spało, ponieważ są bardzo podekscytowane. Od dawna pilnie ćwiczyły dla was tę sztukę, mamy zatem nadzieję, że się wam spodoba.

Na widowni rozległy się brawa. Na chwilę wszyscy zapomnieli o świecie za oknami. Korczak zszedł ze sceny, a wtedy zza kartonowej ściany wyłonili się mali aktorzy. Zaczęło się przedstawienie. Irena już je знаła. Sztuka była wystawiana kiedyś, przed wojną w teatrze na Starym Mieście i nietrudno było się domyślić, dlaczego Korczak ją wybrał – nawet jeśli mali wykonawcy nie rozumieli do końca głębszego znaczenia swojego występu.

Sztuka bengalskiego autora Rabindranatha Tagore opowiadała o małym chłopcu cierpiącym na niezrozumiałą śmiertelną chorobę, z powodu której nie mógł opuszczać swojego pokoju. W życiu toczącym się przed jego domem uczestniczył jedynie przez rozmowy z ludźmi, którzy wykonywali swoje codzienne obowiązki i gawędzili z chłopcem. Jego największym marzeniem było zostać królewskim listonoszem. I chociaż nikt nie wspominał o zbliżającej się śmierci, każdy zdawał sobie sprawę ze smutnej prawdy: tylko ona mogła wyzwolić małego z jego więzienia.

– Mocna rzecz jak na przedstawienie w wykonaniu dzieci – szepnął Adam do Ireny, gdy godzinę później wraz z innymi głośno bili brawo. Mali aktorzy ustawili się rzędem na scenie. Mieli błyszczące oczy, zarumienione twarze, zlepione potem kosmyki na czole. Trzymali się za ręce, a kiedy jedno dziecko na końcu szeregu zaczynało się kłaniać, cała reszta też pochylała się nisko. Niektórzy z rozmachem niemal dotykali nosem kolan, inni pozostawali bardziej sztywni i powściągliwi.

Adam i Irena podnieśli się z podłogi i wmieszali się w tłum. Na stole pod ścianą ustawiono dzbanki z wodą i kubki. Podeszli tam i popijając wodę, wymienili kilka zdań z gośćmi, których znali.

– Doktorze Korczak! – zagadnęła Irena, gdy tylko dyrektor domu pożegnał się z jakąś kobietą.

– Gratulacje – powiedział Adam. – Dzieci wspaniale grały.

Korczak skinął głową z uśmiechem, ale w przeciwieństwie do energii, jaką tryskał podczas swojej przemowy przed przedstawieniem, teraz wydawał się wyczerpany. Jakby optymizm i radość z udanego występu zużyły jego siły, zamiast dodać mu skrzydeł. Nagle zachwiał się i podparł się o ścianę.

– Dobrze się pan czuje? – spytała Irena z troską.

– To nic – rzucił niemal szorstko. – Jestem tylko trochę zmęczony. Źle sypiam.

– Z pewnością nie jest łatwo prowadzić taki duży sierociniec – zauważył Adam. – Jeśli nawet dzieci rozświetlają pańskie życie jak świetliki, to wymagają też pracy.

To miał być żart, ale Korczak potraktował spostrzeżenie Adama dosłownie.

– Same dzieci nie wymagają pracy – odpowiedział. – Pracy wymaga tylko to, aby w tych czasach utrzymać je przy życiu, znaleźć niezbędne

środku. Co rano odbywam swoje pielgrzymki, szukając tych, którzy mają jeszcze coś do dania. Po schodach w górę i w dół. Proszę i zebrzę. O skromny datek, o worek ziemniaków. Aż zasycha mi w gardle. I wie pan, co wyżebrałem w ostatnim tygodniu? Pięćdziesiąt złotych i obietnicę kolejnych pięciu co miesiąc. – Lekko parsknął. – Jakim cudem wyżywić za to dwieście dzieci? Czasami rano nie mam siły wyjść z łóżka, bo jestem taki zmęczony. Martwi mnie też plotka o przesiedleniu.

– Przewodniczący Judenratu zaprzecza, jakoby takie plany rzeczywiście istniały – wtrąciła bez przekonania Irena.

– Czerniaków? Mnie też niedawno mówił to samo. Podobno obiecali mu to Niemcy.

– Im nie można wierzyć – rzucił gorzko Adam.

– Ma pan całkowitą rację, młody człowieku. – Korczak lekko poklepał Adama po ramieniu. – Tylko niech pan nie sądzi, że reszta ludzkości jest bez skazy. W końcu człowiek to tylko zwierzę, które zrobiło karierę.

Irena parsknęła śmiechem. Cały Korczak!

– Czy nie zastanawiał się pan nad tym, żeby poszukać sobie jakiegoś bezpiecznego schronienia poza gettem? – spytała, odnotowując jednocześnie, że Adam spojrział na nią z ukosa.

Teraz to Korczak się roześmiał.

– Jeszcze i pani? Niedawno był u mnie mój dawny sekretarz i koniecznie chciał mi pomóc ukryć się po drugiej stronie. Jak? Bez moich dzieci? Właśnie próbuję wymyślić coś, co moglibyśmy tutaj, w sierocińcu, produkować dla Niemców. Stworzyć jakiś rodzaj manufaktury czy fabryki dziecięcej. Bo jeśli rzeczywiście planują przesiedlenia, oszczędzeni zostaną ci, którzy będą im przydatni. Niestety,

na razie nie wpadłem na żaden pomysł. Ale, jak widać, na ucieczkę nie mam czasu.

Irena tylko skinęła głową. Nie spodziewała się innej odpowiedzi.



Rozdział 28

Madame? – Janusz Korczak wsunął głowę przez uchylone drzwi.

Zaskoczona sekretarka Adama Czerniakowa podniosła wzrok.

– Ach, to pan, doktorze? Ależ mnie pan przestraszył. – Wstała i uśmiechnęła się do niego promiennie. – Właściwie powinnam powiedzieć, że doktor Czerniaków nie ma czasu. Ale pan to zupełnie co innego.

Korczak lekko się uklonił.

– Droga pani, jak zawsze należy się pani bukiet kwiatów, gdyby tylko w getcie były jakieś do kupienia.

– Ależ z pana komplementarz!

Zapukawszy do gabinetu szefa, sekretarka szeroko otworzyła Korczakowi drzwi.

– Janusz! – Czerniaków uściskał dłoń dobremu znajomemu i zaprosił go, by usiadł. – Twoja oficjalna wizyta w moim biurze nie zapowiada

niczego miłego. Co mogę dla ciebie zrobić? Masz problemy z zaopatrzeniem?

Korczak wykrzywił twarz.

– Czy kiedykolwiek ich nie miałem? Ale to nie one są powodem mojej wizyty. Myślałem o tym, żeby w sierocińcu urządzić jakiś rodzaj manufaktury. Jak nazywają się zakłady, które produkują w getcie dla Niemców?

– Szopy.

– Otóż to, szopy. Mam u siebie dwieście dzieci. Wiele z nich to już nastolatki. Moglibyśmy sami coś produkować albo dopracowywać rzeczy wytwarzane w innych szopach lub...

Czerniaków podniósł rękę.

– Janusz, chwileczkę, po co mielibyście to robić?

– Po co? I to ty zadajesz mi takie pytanie? Getto zostanie prawdopodobnie wysiedlone, a ci, którzy produkują coś dla Niemców, zazwyczaj są wyłączeni z takich akcji. Jak ci z Żydowskiej Służby Porządkowej czy z Judenratu.

Czerniaków poczerwieniał, ale nie dał się sprowokować.

– Posłuchaj, już nie raz i nie dwa sprawdzałem gdzie trzeba i otrzymałem zapewnienie, że nie jest planowana żadna relokacja. Nikt nic nie wie o rzekomej...

– Co ty powiesz? Czyli nie słyszałeś najświeższej nowiny? Podobno czeka już czterdzieści wagonów przygotowanych do transportu. Mówi się, że jutro wieczorem zacznie się akcja wysiedlania trzech tysięcy ludzi. Kohn i Heller opowiadają o tym od rana na prawo i lewo, a oni raczej wiedzą. Ostatecznie mają firmę transportową. Siedzisz tu sobie

w tej swojej wieży z kości słoniowej i w ogóle nie masz pojęcia, że wśród ludzi szerzy się panika.

Twarz Czerniakowa stężała.

– Mogę ci tylko powtórzyć to, o czym mnie zapewniano.

– Tak, tak, oczywiście. Ale nie po to tu przyszedłem. Proszę cię, porozmawiaj z tymi z Urzędu Rozrachunkowego. Otwórzmy w sierocińcu jakiś szop... proszę.

– Zrobię, co będę mógł.

– To dobrze.

Na pożegnanie uścisnęli sobie ręce, po czym Korczak wyszedł.

Czerniaków podszedł do okna. Czy to możliwe, żeby Niemcy planowali wywieźć z Warszawy setki tysięcy ludzi? Żeby zorganizowali to wszystko i nic nie wyciekło? Przecież te plotki o rzekomym wysiedleniu są zupełnie bezpodstawne!

Odwrócił się i sięgnął po kapelusz.

– Muszę coś wyjaśnić – rzucił do sekretarki, wychodząc.

W lipcowym upale w samochodzie drzemał jego szofer.

– Do Urzędu Rozrachunkowego. – Zniecierpliwiony stuknął kierowcę w ramię. Ten natychmiast otworzył oczy.

– *Pardon* – bąknął i bez wahania ruszył.

Na niezmiennie zatłoczonych ulicach getta było jeszcze więcej ludzi niż zwykle. Kilku młodych mężczyzn, rozpoznawszy auto Czerniakowa, zastąpiło mu drogę, próbując uniemożliwić dalszą jazdę. W mgnieniu oka otoczyła je gromada ludzi, która szybko rosła.

– Czerniaków to zdrajca! – krzyknął ktoś.

– Kiedy chciałeś nam powiedzieć, że jutro mają po nas przyjść? – Zaciśnięte pięści bębniły w szyby. Niektórzy pluli na nie. Kierowca naciskał klakson.

– Kat na usługach Niemców! – krzyknął ktoś inny.

– Ile ci zapłacili, żebyś nas sprzedał?

Czerniaków patrzył tępo przed siebie. Krople potu skapywały mu na kołnierzyk koszuli. Ciężko oddychał. Gdy w końcu szofer nacisnął pedał gazu, że silnik aż zawył, kilka osób odskoczyło na bok. Auto przejechało kawałek, i znowu kolejny. Wreszcie tłum ustąpił. Ale kiedy samochód zatrzymał się przed Urzędem Rozrachunkowym, Czerniaków nie ruszył się z miejsca. Kierowca popatrzył na niego we wstecznym lusterku, a gdy ich spojrzenia się spotkały, mężczyzna spuścił wzrok.

– Zmieniłem zdanie – odezwał się Czerniaków. – Proszę jechać do komisarza getta.

Dotarli na miejsce bez przeszkód.

A potem zaczęło się czekanie. Minęły godziny, zanim Czerniaków został przyjęty przez Heinza Auerswalda. Komisarz do spraw dzielnicy żydowskiej siedział w swoim gabinecie za biurkiem sprawiającym wrażenie niechlujnego. Jak zawsze był gładko ogolony. Uniesiona brew i opuszczony po tej samej stronie kącik ust nadawały jego twarzy dziwny wyraz – jakby coś się na niej wykrzywiło albo osunęło. Auerswald złączył czubki palców i czekał, aż Czerniaków usiądzie.

– Przyszedł pan niezapowiedziany – stwierdził. – O co chodzi? Znowu o straż pożarną, nowy sierociniec czy chce pan może założyć jeszcze jeden ogródek dla dzieci? – Uśmiechnął się, ale Czerniaków nie odpowiedział mu tym samym.

– Proszę o definitywną informację, precyzyjną i jednoznaczną – wyjaśnił. – Pogłoski o przesiedleniu nie cichną i stają się coraz bardziej

konkretne. Podobno czterdzieści wagonów stoi gotowych do ewakuacji, która ma się rozpocząć już jutro.

– Czterdzieści wagonów, powiada pan? – Auerswald uśmiechnął się jeszcze szerzej. – To daleka przesada. Jest ich tylko dwadzieścia, panie Czerniaków, i nie są przeznaczone do żadnej ewakuacji. Jutro kolejnych siedmiuset dwudziestu mężczyzn ma być przewiezionych do obozów pracy. To wszystko.

– Czyli na pewno nie będzie relokacji?

Auerswald uniósł obie dłonie.

– Nic mi o tym nie wiadomo. A wiedziałbym chyba jako pierwszy.

– Czy w takim razie mogę wiarygodnie zdementować te plotki? – Głos Czerniakowa przybrał szorstki ton.

– Ależ oczywiście – oświadczył z emfazą komisarz. – Wszystko to po prostu bzdury. Może być pan całkowicie spokojny. To ja raczej powinienem się martwić. Skąd ludzie biorą takie idiotyzmy? Postaram się niezwłocznie wyjaśnić tę sprawę.

Czerniaków chciał wstać. Nie miał nic więcej do powiedzenia. Mimo to coś zatrzymywało go w miejscu. Czuł potrzebę, by ponownie zadać to samo pytanie. Drugi raz, trzeci raz, bez końca. Czy będzie wysiedlenie? Jutro? W jego wyobraźni powstał obraz, jak chwyta Auerswalda za kołnierz i wykrzykując mu prosto w twarz swoje pytanie, potrząsa nim, aż okulary zsuwają mu się z nosa. Wreszcie podniósł się, skinął niemo na pożegnanie i opuścił pokój.

Dopiero gdy znalazł się w samochodzie, wziął głęboki oddech. O co mu chodzi? Przecież zadał jasne pytanie. Wielokrotnie. I otrzymał równie jasną odpowiedź. Teraz nie pozostało mu nic innego jak odwołać wszystkie spotkania tego dnia i spróbować osobiście uspokoić ludzi.

Kościste palce nastoletniej żebraczki Mary mocno, niemal do bólu ścisnęły rękę Ireny. Chyba przerażał ją tłum. Co się działo? To, że na niektórych ulicach getta nie sposób było się przecisnąć między ludźmi, to całkiem normalne. Dzisiaj jednak w powietrzu wisiało jakieś dziwne napięcie. Na skrzyżowaniu gromada ludzi obstąpiła czarne auto. Irena słyszała krzyki, odgłos walących w szyby pięści. Nie widziała, kto siedzi w środku, ale domyślała się, że pewnie ktoś z Judenratu. W stosunku do Niemców nikt nie odważyłby się na coś takiego, a nikomu innemu nie wolno było jeździć po getcie samochodem.

Pociągnęła Marę za sobą. O tej porze zakurzony bruk wręcz parzył, a lipcowe słońce było tak jaskrawe, że musiała zmrużyć oczy. Na szerszej ulicy Leszno szło się trochę szybciej. Wreszcie pokazał się gmach sądu. Już na schodach prowadzących do wejścia siedzieli i stali ludzie. Przecisnęła się razem z Marą do środka. Powietrze w obszernym holu można było kroić nożem. Tu także cisnął się tłum. Irena instynktownie się wyprostowała. Teraz musiała być czujna i nie wyglądać na niepewną. Kilka dni wcześniej uzgodniła z dozorcą, gdzie mają się spotkać, dowiedziała się też od niego, na kogo powinna uważać. Wskazał jej wtedy pracowników, których w żadnym razie nie powinno być w holu, gdy ona będzie schodzić do piwnicy. Na szczęście w panującym ścisku przesuwali się do przodu bardzo powoli. Irena dyskretnie potoczyła wzrokiem ponad głowami głośnych i energicznie gestykulujących ludzi.

Jak ustalić w tym chaosie, kto tu jest, a kogo nie ma, pomyślała i postanowiła zmienić strategię. Wciąż trzymając Marę za rękę, zrobiła rundkę, udając, że kogoś szuka. Z wymienionych pracowników nie było widać żadnego. Ruszyła więc w kierunku klatki schodowej. Schodząc do piwnicy, obie będą widoczne nawet do trzydziestu sekund. Teraz to ona ścisnęła dłoń Mary. Znalazłszy się na schodach, starała się nie pokonywać dwóch stopni naraz. Spokojnie, z uśmiechem na twarzy.

Udało się. Na dole było ciemno. Skręciła w korytarz po prawej. Pan Duda, dozorca, już na nie czekał. Na ich widok obrócił się bez słowa i otworzył drzwi. Szybko przeszły za nim, potem klucz przekręcił się w zamku. Mijały wiele korytarzy, w prawo, w lewo, znowu prosto. Powietrze było wilgotne i zatęchłe. Dozorca nie włączył światła, znał drogę na pamięć, one zaś bardziej odgadywały ruchy jego masywnych pleców, niż je widziały. Nagle mężczyzna się zatrzymał i odwrócił się do nich. Przyłożył palec do ust i dał im znak, aby nie ruszały się z miejsca.

Irena usłyszała chrobot klucza w zamku. To musiało być wyjście na ulicę Ogrodową. Po uchyleniu drzwi do piwnicy wpadło oślepiające światło i natychmiast wdarło się ciepło. Dozorca ostrożnie wysunął głowę na zewnątrz – i od razu ją cofnął. Dał się słyszeć turkot ciężarówki.

– Transporter pełen esesmanów – szepnął nerwowo i przytknął drzwi, zostawiając tylko małą szczelinę. Z dudnieniem przejechała kolejna ciężarówka. – Niech to szlag, co się dzisiaj dzieje? Wszędzie roi się od esesmanów. Dokąd oni, do cholery, jadą? – zaklął cicho.

Irena i Mara stały bez ruchu. W końcu wszystko ucichło.

– Jak wyjdziecie, od razu zamknę za wami. Moja rola skończona – powiedział oschle Duda.

Powoli otworzył drzwi, znowu rzucił okiem na ulicę, kolejne krótkie spojrzenie, a potem szybki ruch głową. Irena wyslizgnęła się z Marą na zewnątrz. Serce podeszło jej do gardła i miała wrażenie, że wszystko dookoła toczy się w zwolnionym tempie. Jakaś kobieta szła ulicą w przeciwnym kierunku, a rowerzysta, który wyjmując koszyk z bagażnika, upuścił parę ziemniaków, właśnie schylił się po nie. Nikt nie zwracał na nie uwagi. Kiedy w ulicę wtoczył się kolejny transporter, one znajdowały się już spory kawałek od drzwi piwnicy. Irena nie patrzyła w tamtą stronę. Dopiero gdy otwarta ciężarówka przejechała tuż

obok, dostrzegła na niej młodych żołnierzy w mundurach SS. To rzeczywiście dziwne, pomyślała, a głośno powiedziała:

– Dozorca miał rację. Coś się tu dzieje.

Mara obróciła się ku niej, jej oczy rozszerzyły się ze strachu.

– Nie bój się – szepnęła Irena. – To nie o ciebie chodzi.

Ale nie dawało jej to spokoju: skąd nagle tutaj tylu esesmanów? Co oni planują?



Rozdział 29

Następnego ranka Adam Czerniaków znalazł się u siebie w biurze już o wpół do ósmej, chciał się bowiem przygotować do zebrania rady gminy żydowskiej. Otworzył okno – o tej wczesnej godzinie powietrze było jeszcze przyjemnie chłodne, dawało wręcz powiew świeżości. Z nostalgią wspominał poranne godziny w swoim dawnym mieszkaniu. Wysadzana lipami ulica wiosną tonęła w odurzającym zapachu, a latem jego żona sadziła na balkonie kwiaty. Brakowało mu przedwojennych woni i barw. Odwrócił się i usiadł przy biurku.

Kiedy kilka godzin później chciał zamknąć okno, nagle gwałtownie otworzyły się drzwi. Do pokoju wpadła jego sekretarka. Z jej zazwyczaj starannie uczesanej fryzury wysunęło się sporo luźnych kosmyków.

– Doktorze Czerniaków – rzuciła zadyszana – załatwiłam za pana...

– Dziękuję, pani Tyszka – przerwał jej. – Naprawdę nie musiała się pani aż tak trudzić.

– Ale to nie dlatego – wydyszała. – To z powodu wojska. To muszą być jednostki specjalne. SS i gestapo. Obstawili część getta. – Czerniaków w ogóle nie zareagował, co wzbudziło w jego sekretarce

strach. – Doktorze Czerniaków, co się dzieje? Czy pan coś wie? – spytała zdezorientowana.

Przez chwilę patrzyła na niego z otwartymi ustami, potem wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Czerniaków już sięgał po kapelusz, ale w końcu zmienił zdanie. Podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer. Zajęty. Wybrał kolejny. Też zajęty. W przypiływie desperackiej furii, która jego samego przeraziła, cisnął słuchawkę na widełki.

Rozległo się energiczne pukanie i niemal w tym samym momencie otworzyły się drzwi. Stanął w nich SS-Sturmbannführer Höfle. Przewodniczący Judenratu nie miał z nim dotychczas wiele do czynienia, wiedział jednak, że ten człowiek wyrobił sobie pozycję, współorganizując obozy w Lublinie i Bełżcu. Od pewnego czasu był w Warszawie... a teraz znalazł się w jego biurze.

Początkowo żaden z nich się nie odzywał i w tej pełnej napięcia ciszy śmiech i nawoływania dzieci, dla których Czerniaków nie tak dawno założył nieduży ogródek po drugiej stronie ulicy, wydawały się nienaturalnie głośne.

– Niech pan zamknie okno i każe zabrać stamtąd te dzieciaki – powiedział szorstko Höfle.

Czerniaków skinął głową sekretarce, która zatrzymała się w progu. Od razu zniknęła.

– Höfle, SS-Sturmbannführer. Pełnomocnik do spraw przesiedleń. Jestem tutaj, żeby pana poinformować, że dzisiaj dokładnie o dziesiątej zacznie się akcja Reinhardt. – Spojrzał na swój zegarek. – Czyli za pięć minut.

Czerniaków otworzył usta, ale nie wykrztusił ani słowa.

Höfle mówił dalej.

– Z nielicznymi wyjątkami wszyscy Żydzi, bez względu na płeć czy wiek, zostaną przesiedleni na Wschód. Każdy może zabrać nie więcej niż piętnaście kilogramów bagażu osobistego. Dziś do godziny szesnastej pierwsze sześć tysięcy odjedzie z Umschlagplatzu. Wagony stoją już gotowe. Ten sam limit każdego kolejnego dnia.

Czerniaków odzyskał mowę.

– Przesiedlenie? Dokąd dokładnie? I po co? Do obozów pracy? Do innych gett?

– To już nie pana sprawa.

– Ale...

– Pan i Żydowska Służba Porządkowa odpowiadacie wobec mnie za realizację tych limitów. Chciałbym zwrócić uwagę, że pańska żona przebywa jeszcze obecnie na wolności. Jeśli napotkamy opór, będziemy zmuszeni zastrzelić ją jako zakładniczkę.

– Wspomniał pan o wyjątkach. – Czerniaków nigdy nie czuł się bardziej bezradny.

Z zewnątrz dobiegały z daleka pierwsze krzyki. Ostre, przeszywające krzyki kobiet, wściekłe, zdesperowane mężczyźni, płacz dzieci.

– Wyłączeni są pracownicy Judenratu z rodzinami, członkowie Żydowskiej Służby Porządkowej, także z rodzinami, ponadto wywożący śmieci, personel szpitalny oraz posiadacze świadectw pracy, czyli wszyscy, którzy pracują w getcie dla niemieckich firm.

– A dzieci? Sierocińce? – wykrztusił Czerniaków.

– Nie należą do wyjątków. Na najbliższe dni przygotowywany jest specjalny transport dzieci.

– Nie może pan tego zrobić! – krzyknął Czerniaków straceńczo. – Ja...

– Co pan? Jestem tu tylko po to, żeby pana poinformować. Dobrego dnia i Heil Hitler! – Po czym Höfle obrócił się na pięcie i opuścił biuro. Czerniaków zauważył, że sekretarka wpatruje się w niego przez otwarte drzwi. Zatrzasnął je, ponieważ nie potrafił wytrzymać jej wzroku.

W pierwszym odruchu chciał wrócić do okna, jak zawsze, gdy musiał coś przemyśleć. Ale nasilające się krzyki spędzanych ludzi powstrzymały go od tego. Jak skamieniały stał pośrodku pokoju. Stworzył ogródki dla dzieci, borykał się z problemami zaopatrzenia w żywność i z wywozem śmieci. Właśnie niedawno założył nowy sierociniec dla żebrzących dzieci i nieustannie mierzył się z codziennymi praktycznymi przeciwnościami w getcie. Tylko ludzi nie potrafił ochronić – bo że nie chodzi tu o żadne przesiedlenie, było dla niego jasne. Niemcy nie wywoziliby z Warszawy sześciu tysięcy ludzi dziennie, żeby ulokować ich gdzie indziej. Nie wiedział, co dokładnie ich czeka, ale wiedział, że zginą. Walka została przegrana. I nie była to już walka o ich godność. To walka o samo życie.

Pomyślał o Januszu Korczaku, który był u niego tak niedawno. Teraz on sam przyczyni się do tego, że bezbronne dzieci zostaną posłane na śmierć.

Podszedł do biurka i otworzył szufladę. W głębi wymacał palcami małe blaszane pudełko. Postawił je przed sobą na blacie i wpatrzył się w nie.

Nie dam rady dłużej, pomyślał. Nie wytrzymam już własnej bezsilności. Żalu, gniewu. Będziecie uważać mnie za tchórze, ale nim nie jestem. I nigdy nie byłem. Walczyłem – na swój sposób – od rana do wieczora. O odrobinę godności. O każde małe ulepszenie. Nie udało się. Jeśli będę miał szczęście, mój czyn wstrząśnie ludźmi i pokaże, że konieczna jest inna droga.

Otworzył pudełko, wyjął z niego tabletkę cyjanku potasu i włożył ją do ust. Przez chwilę czuł jej krągłą gładkość, a potem ją rozgryzł.



Rozdział 30

To samo co wczoraj, pomyślała Irena z niepokojem, gdy obok przejechała kolejna wojskowa ciężarówka. Wyraźnie zwiększona obecność wojska w mieście budziła w niej złe przeczucia. Nie zapowiadała niczego dobrego. Niewiele myśląc, na najbliższym skrzyżowaniu Irena zdecydowanie skręciła w kierunku getta. Spotkanie w jadłodajni mogło poczekać. Przyspieszyła i jeszcze zanim dotarła do punktu kontrolnego, z daleka zobaczyła pierścień pojazdów wojskowych wokół muru. Na platformach samochodów i między nimi stali esesmani z karabinami maszynowymi w pogotowiu. Otoczyli getto.

Deportacja, przemknęło Irenie przez głowę. To nie mogło być nic innego. Czyli to prawda!

Odstawiła rower i ruszyła w stronę wachmanów. Czuła na sobie spojrzenia wielu par oczu, mimo to patrzyła prosto przed siebie. Przejście było strzeżone od wewnątrz pilniej niż zwykle. Wysupłała przepustkę z kieszeni.

– Jestem oddelegowana do ochrony przed epidemią.

– My też – rzucił strażnik z kamienną twarzą. – I dlatego już niedługo tacy jak pani nie będą nam potrzebni. Czy na pewno chce pani

tam wejść? Może być gorąco.

– Tak, muszę.

– Aha, musi pani. – Teraz uśmiechnął się ironicznie, po czym stojącemu dalej koledze dał znak, że może ją przepuścić.

Ulice w getcie były puste. Pojedyncze krzyki dobiegały od strony tak zwanego małego getta połączonego z dużym gettem drewnianym mostkiem, który prowadził ponad ulicą nienależącą do dzielnicy żydowskiej. Irena ruszyła szybkim krokiem do domu Adama. Dotarłszy na miejsce, zadyszana nacisnęła guzik dzwonka i jednocześnie zapukała.

– Adam? Pani Celnikier? To ja, Irena!

Drzwi się otworzyły. Adam był blady jak ściana. Irena wślizgnęła się do środka. Z zamkniętej kuchni dobiegało ciche szlochanie. Bez słowa poszła za Adamem do jego pokoju.

– Co wiesz? – rzucił natychmiast.

– Chciałam cię spytać o to samo.

Adam opadł z rezygnacją na brzeg łóżka.

– Wiem tylko tyle, ile widzę i słyszę. No i docierają do mnie różne plotki. Małe getto jest zamknięte. Podobno Niemcy chcą spędzać tysiące ludzi na Umschlagplatz i ich wywozić. Tysiące każdego dnia. Zaczynają od małego getta. Słyszałaś krzyki?

Irena skinęła głową.

– Potrzebujemy papierów – ciągnął Adam. – Kart pracy, z których wynika, że jesteśmy zatrudnieni w jakimś niemieckim szopie. Kto ma coś takiego, jest bezpieczny. Tyle że karta kosztuje pięć tysięcy złotych.

– Posłuchaj. – Irena przerwała mu potok słów. – Ani twoja mama, ani ciotka i jej mąż nie znajdą zatrudnienia w żadnej niemieckiej firmie. A nawet jeśli tobie uda się zdobyć taki papier, to chcesz się przyglądać,

jak ich troje będą wywlekać z domu? Poza tym ta karta nie pomoże na zawsze. Jeśli plotki są prawdziwe i Niemcy chcą opróżnić getto, to być może ci z papierami będą ostatni, ale kiedyś i na nich przyjdzie kolej. – Nie miała pojęcia, skąd starczyło jej opanowania na przeprowadzenie tej zimnej i bezwzględnej analizy.

Adam spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Opróżnić getto! Naprawdę tak powiedziałaś?

Irena poczuła lekkie ukłucie w sercu. Owszem, to brzmiało brutalnie. Ale równie brutalne było to, co działo się wokół. I dlatego nie zamierzała niczego owijać w bawełnę.

– Tak, właśnie opróżnić – odpowiedziała wyjątkowo ostro. – Przecież oboje wiemy, że tu nie chodzi o żadne przesiedlenie, prawda?

Adam próbował uniknąć jej spojrzenia, w końcu jednak popatrzył na nią, przygryzł wargę i powoli pokiwał głową.

Przykucnąwszy przed nim, Irena ujęła jego dłoń.

– W takim razie chyba wiesz, co macie zrobić. Zorganizuję dla was przejściową kwaterę. I kiedy tylko będzie to możliwe, spróbujemy się przedostać na drugą stronę.

Adam odwrócił wzrok i cofnąwszy jedną rękę, potarł nią czoło. Potem kiwnął głową.

– Dobrze. Zastanowię się nad tym poważnie. Obiecuję.

Niedługo później Irena spieszyła w kierunku szpitala, idąc upiornie pustym chodnikiem. Musiała porozmawiać z Alą. Po drodze omal nie zderzyła się z Ewą, która nagle wyłoniła się zza rogu.

– Nie widziałaś przypadkiem mojej mamy? – Ewa miała przerażenie w oczach.

– Nie, ja...

– Dziś rano wyszła z domu coś kupić i do tej pory nie wróciła. Biegam po ulicach, obdzwaniam wszystkich znajomych. Pewnie wiesz, co się tutaj dzieje?

Irena potaknęła.

– Czy mama wybierała się może do małego getta?

– Nie, Bogu dzięki! Znajomy Racheli z policji żydowskiej mówi, że oni posuwają się systematycznie, czyszczą po jednej strefie dziennie. Mają wyznaczone limity i jeżeli ich nie wypełniają, to...

– Czy Rachelę mogłaby go spytać, gdzie będą jutro? I w kolejne dni?

– Nie mam pojęcia, czy ten jej znajomy to wie. Chociaż prawdopodobnie tak, bo Niemcy zmuszają policję żydowską do pomocy. Wyobrażasz sobie? Teraz Żydzi wywlekają własnych rodaków z mieszkań i pędzą ich na Umschlagplatz.

– Dobrze byłoby wiedzieć, która strefa planowana jest jako następna. Wtedy można by porozmawiać z ludźmi, którzy w niej mieszkają. Może w tej sytuacji więcej rodzin będzie gotowych powierzyć nam swoje dzieci i wysłać na drugą stronę. Musisz koniecznie skontaktować się z Rachelą.

Ewa chwyciła Irenę za rękę.

– Dam ci znać, obiecuję. Ale teraz muszę już iść.

– Powodzenia!

Po dotarciu do szpitala Irena zagadnęła młodą siostrę, gdzie znajdzie swoją przyjaciółkę.

– Ala? Zamierzała iść z Nachumem na Umschlagplatz.

– Co? Ona jest na Umschlagplatzu?

– Tak, oboje chcieli...

Irena już wybiegła. Jeśli Ala rzeczywiście – nie wiadomo z jakiego powodu – jest na Umschlagplatzu, to musi ją koniecznie tam odnaleźć.

Kiedy tuż przed placem przeładunku towarów wyszła zza rogu, zobaczyła ciągnący z naprzeciwka długi orszak stłoczonych ludzi. Szli po kilkoro w rzędzie, mając w rękach w pośpiechu spakowane walizki i tobołki z dobytkiem. Jakaś kobieta niosła klatkę z kanarkiem. Na większości twarzy odbijała się panika. Esesmani, ukraińscy żołnierze i policjanci z Żydowskiej Służby Porządkowej popędzali ich karabinami, pejcjami i pałkami. Jeden z mężczyzn potknął się o dziecko, które przewróciło się przed nim. Gdy próbował mu pomóc, dostał pałką w plecy i znowu się zachwiał.

– Dalej! Nie zatrzymywać się! – wrzasnął esesman na początku.

Irena wycofała się i skręciła w boczną uliczkę prowadzącą na Umschlagplatz. To, co tam zobaczyła, zaparło jej dech w piersi. Wielki plac u podnóża ramp przeładunkowych wagonów bydlęcych był już pełen ludzi. Musiało ich być znacznie ponad dwa tysiące. Stali ściśnięci blisko siebie w palącym południowym żarze, wycieńczeni, z czerwonymi twarzami. Pozbawieni cienia, wody, toalet. Aby usiąść czy się położyć, brakowało miejsca. Jak znaleźć w tym kłębowisku kogokolwiek?

Zaczęła się przeciskać. Pot spływał jej po plecach, a odór ekskrementów przyprawiał o mdłości. Jakieś dziecko jęczało, po chwili dołączyło do niego drugie. Poza tym zalegała upiorna cisza. Nagle na skraju placu Irena odkryła namiot z namalowanym czerwonym krzyżem. Przepchnęła się do niego. Obok namiotu stał esesman z karabinem w rękach. Kiedy ją zobaczył, ruszył w jej kierunku.

– Cofnąć się!

Irenę ogarnęło przerażenie, ale w tym samym momencie poczuła na ramieniu czyjąś dłoń. Obejrzała się.

– Irena Sendler, ochrona przed zarazą – powiedział stanowczym tonem młody mężczyzna za jej plecami.

Irena rozpoznała go. To Nachum Remba, pracownik Judenratu. Na usłyszane hasło wyjęła swoją legitymację z kieszeni. Esesman odsunął się na bok, Nachum zaś wepchnął ją i rozpaloną prawdopodobnie od gorączki kobietę, która stała obok niego, do namiotu.

– Ala! – zawołała Irena.

Przyjaciółka natychmiast się obróciła. Na prowizorycznych noszach leżała przed nią staruszka.

– Co ty tu robisz? – zdziwiła się Ala.

– Szukam ciebie. A ty? Kiedy mi powiedzieli, że jesteś tutaj, pomyślałam...

– Razem z Nachumem zorganizowaliśmy mały punkt pomocy. Wyciągamy z tłumu nienadających się do transportu i przenosimy ich do szpitala.

– Serio? Nie mogę uwierzyć, że Niemcy pozwalają wam na to.

– A ja tak. – Ala uśmiechnęła się drwiąco, po czym zniżyła głos: – Załatwiamy ich własną bronią. Skoro oni próbują nam wmówić, że chodzi o przesiedlenie, postępujemy tak, jakbyśmy brali to za dobrą monetę. Skoro to tylko przesiedlenie, to nikt w drodze nie powinien ucierpieć, prawda? No więc bawimy się w kotka i myszkę i zabieramy osoby niezdadne do transportu. Oczywiście nie jest ich dużo, ale może przynajmniej kilka uda się uratować przed wywiezieniem...

– Wiesz, dokąd ich zabierają? – spytała Irena.

– Nie. Wiem jedynie, że całe to wysiedlenie to kłamstwo – jeszcze ciszej powiedziała Ala. – Zapamiętałam numer jednego wagonu, który

odjechał dziś rano. Po mniej więcej dwóch godzinach był z powrotem. Dokądkolwiek wywożą tych ludzi, to musi być niedaleko Warszawy.

Irena poczuła się tak, jakby dostała pięścią w żołądek. Rzecz jasna, ani przez chwilę nie wierzyła w bajki o przesiedleniu, ale dopiero teraz wszyscy uzyskali dowód. Zastanawiała się gorączkowo. Czy w okolicy Warszawy znajduje się obóz pracy wystarczająco duży, aby mógł przyjąć tysiące ludzi dziennie i ich wszystkich pomieścić? Odpowiedź brzmiała: nie, a co to oznacza, było jasne. Gdzieś niedaleko istnieje obóz zagłady. Wszyscy ci stłoczeni na placu biedacy jechali na pewną śmierć.

– Musimy pomóc dzieciom – jeszcze tego samego wieczoru powiedziała Irena do Irki, Janki i Jagi. – Musimy je stamtąd wydostać.

– Przecież cały czas to robimy. – Irka spojrzała na nią bezradnie.

– Owszem. Ale dziesięcioro dzieci na tydzień? To za mało.

– Jak to sobie wyobrażasz? – spytała Jaga. – Myślisz, że uda się nam więcej? A skąd weźmiemy na to pieniądze? Większość rodzin zastępczych jest zdana na naszą pomoc finansową, a Niemcy coraz surowiej kontrolują środki przyznawane przez wydział. Wcześniej czy później wyjdzie na jaw, w jakich celach ich używamy. – Pokręciwszy głową, Jaga dodała gorzko: – Jeżeli nawet jakimś cudem zdobędziemy pieniądze i przerzucimy piętnascioro czy dwadzieścioro dzieci tygodniowo, co to jest w porównaniu z sześcioma tysiącami deportowanych ludzi dziennie! – Planowany limit stał się powszechnie znany. Jaga była załamana.

– Wiem – powiedziała cicho Irena. – Mimo to musimy spróbować. Liczy się każde dziecko. A rodzice są teraz bardziej skłonni się z nimi rozstać. Ewa wspomniała mi o rodzinie, która chce ze mną porozmawiać. Hania Kosler pół roku temu urodziła małą Beatkę. Koslerowie załatwili Hani pracę w zakładach Toebbensa, ale przecież nie będzie chodzić do niej z dzieckiem. Co się stanie, jeśli jej rodzina

zostanie deportowana w czasie, kiedy ona będzie w fabryce? Oni wszyscy niemal umierają ze strachu o tę małą.

– Kiedy tam idziesz? – spytała Janka.

– Jutro.

– Poszukam dla niej jakiegoś miejsca.

Następnego dnia Irena zapukała cicho do drzwi Koslerów. W pierwszej chwili nikt nie zareagował. Wydawało się jednak mało prawdopodobne, aby nikogo nie było. Ostrożnie zapukała znowu.

Mężczyzna, który jej odpowiedział, chyba musiał już stać za drzwiami, bo tym razem przytłumiony głos odezwał się od razu.

– Kto tam?

– Jolanta – powiedziała na tyle głośno, aby usłyszano ją po drugiej stronie. Drzwi nadal pozostawały zamknięte. Irena nasłuchiwała pilnie. – Przysłała mnie Ewa Rechtmann – dodała cicho.

W tym momencie drzwi się otworzyły. Irena weszła za próg. Wysoki mężczyzna z rzednącymi włosami skinął jej głową i gestem ręki zaprosił w głąb mieszkania. Po drodze minęli kilka pokoi. Drzwi do nich były otwarte. W każdym siedziało lub stało wiele osób, które przyglądały się im z niemą ciekawością.

– W tych paru pokojach gnieździ się wiele rodzin – wyjaśnił mężczyzna niepytany. – W sumie ponad dwadzieścia osób. Nazywam się Jerzy Kosler, jestem ojcem dziecka.

W pomieszczeniu, do którego ją zaprowadził, było duszno. Małe okno wychodzące na podwórze nie zapewniało wystarczającego przewiewu. Gdy Irena weszła do środka, wszyscy wstali. Podeszła do niej młoda jasnowłosa kobieta.

– Jestem Hania Kosler – przedstawiła się. Miała bladą twarz, ale jej zielone oczy rozblęły, kiedy dodała: – A to jest Beatka, moja mała Beatka.

Irena spojrzała w twarz uśmiechniętego niemowlęcia. Dziewczynka leżała na ręce Hani i wydając ciche nieartykułowane dźwięki, próbowała chwycić palec matki, podczas gdy ta cofała go raz po raz, bawiąc się w ten sposób z córeczką.

– Jest śliczna – powiedziała cicho Irena, czując gulę w gardle. Przyszła tutaj, żeby zabrać matce jej dziecko.

– Urodziła się podczas zamieci. – Hania Kosler nie odrywała oczu od dziewczynki. – Moja położna Stanisława musiała zostać na całą noc. Ewa mówiła, że pani ją zna.

– To prawda. Jej mieszkanie to jedna z naszych kryjówek. Właśnie do niej zabierzemy Beatkę.

– Och. – Przez twarz kobiety przemknął cień uśmiechu. Przynajmniej tyle na osłodę.

Irena spojrzała w jasne oczy dziewczynki. Małe dziecko – źródło nadziei na życie. Nie tylko dla swoich rodziców, ale także dla innych, z których kilkoro pojawiło się teraz w drzwiach. Beata była promykiem światła w piekle.

Obok Jerzego Koslera stanął przygarbiony starszy mężczyzna. Okazało się, że jest dziadkiem Beatki.

– Jak bardzo niebezpieczna jest ucieczka? Czy wszystko pójdzie dobrze? A co potem? Czy wnuczka zostanie ochrzczona? Słyszeliśmy, że często tak się dzieje. – Jego głos brzmiał twardo, ale Irena zdawała sobie sprawę, że przemawia przez niego strach.

Po chwili wahania odpowiedziała:

– Nie będę zaprzeczać, że wyniesienie dziecka z getta nie jest bezpieczne, ale to dla pańskiej wnuczki jedyna szansa. Do której rodziny trafi ostatecznie, nie mogę wam powiedzieć ze względu na jej bezpieczeństwo. Prowadzę dokumentację i prawdziwe nazwisko Beaty nie zaginie. Odzyskacie ją. A czy zostanie ochrzczona... tego nie wiem. Ja osobiście byłabym temu przeciwna. Jednak jak będzie, nie wiadomo.

Najbliżsi Beaty milczeli przygnębieni.

Tymczasem dziewczynka zaczęła coraz głośniej dawać o sobie znać i wierzgać nóżkami. Być może poczuła, że uwaga matki skupiona jest na kimś innym albo po prostu wyczuła napięcie. Hania pochyliła twarz nad maleństwem i cichutko zaśpiewała:

– Pst, pst, moje słoneczko...

Jednocześnie czule kołysała dziewczynkę w ramionach. Po chwili na buzi dziecka pojawił się uśmiech, a potem dało się słyszeć wesołe gaworzenie. Hania przestała nucić i zwróciła twarz ku Irenie. Jej głos brzmiał zaskakująco twardo, gdy się odezwała:

– Oddamy pani Beatę. Ale niech nam pani da jeszcze tydzień, zanim ją pani... – Gdy zdała sobie sprawę, co zamierza powiedzieć, załamał się jej głos.

Tydzień. Irena się przeraziła. Do tego czasu Beata i cała jej rodzina mogli się znaleźć na Umschlagplatzu. Pokręciła głową. Hania Kosler patrzyła na nią nieustępliwie. Można było odnieść wrażenie, że obie nagle straciły głos i negocjują za pomocą spojrzeń. Cztery dni? Trzy? Dwa?

– Chociaż jedną noc. – Jerzy Kosler przerwał ich niemy pojedynek.

– Jedną noc – zgodziła się Irena. – Przyjdę jutro o jedenastej.

Jak zawsze przed planowaną akcją Irena spała niespokojnie. Minione popołudnie spędziła na załatwianiu wszystkiego, co niezbędne. Pasierb

położnej, który już wcześniej kilkakrotnie jej pomagał, miał wstąpić po nią rano i zawieźć do Koslerów. Jako robotnik budowlany także miał przepustkę, a jego skrzynka z narzędziami była dostosowana do tego, żeby idealnie mieściło się w niej niemowlę i miało czym oddychać. Papiery dla dziecka też już były gotowe. Mimo to Irena nieustannie się budziła. Bo bez względu na to, jak starannie przygotowano operację, istniało zawsze sto zmiennych, których nie dało się przewidzieć i zaplanować.

Około piątej, nie mogąc już dłużej wytrzymać, wstała i usiadła przy stole w kuchni. Gdy za oknem zaczęło się rozwidniać, wyjęła z pudełka cieniutką bibułkę papierosową, sięgnęła po ołówek i napisała: Beata Kosler. Urodzona 3 stycznia 1942. Nowe nazwisko: Alicja Adamska. Następnie złożyła papierek i wsunęła go do słoika. Koleżanki ganiły ją za to, że zapisywała nazwiska i dane dzieci przed przeprowadzeniem akcji. Uważały to za zły omen, by chwalić dzień przed zachodem słońca. Irena podchodziła do tego inaczej. Dołączając z wyprzedzeniem kartkę nowego dziecka do innych, tworzyła fakty. Był to rodzaj zaklęcia rzeczywistości. Skoro jest już karteczka z informacją, po prostu wszystko musi się udać.

Michał pojawił się około dziesiątej. Razem przejechali przez punkt kontrolny w jego niedużej ciężarówce. Wachmani nie zainteresowali się nimi. Irena odetchnęła z ulgą. Jeśli przy wyjeździe pójdzie im równie gładko, cała akcja będzie dziecinną igraszką w porównaniu z tym, co czekało ją za kilka chwil: rozstanie matki z jej sześciomiesięcznym dzieckiem.

Już w korytarzu przed drzwiami mieszkania Irena usłyszała cichy płacz Hani. Zawahała się, po czym zapukała. Tym razem drzwi otworzyły się natychmiast. Podobnie jak ostatnio wyszedł do niej Jerzy Kosler i zaprowadził do pokoju. Wszyscy lokatorzy zebrali się razem z Hanią i Jerzym, aby pożegnać Beatę. Mimo to panowała śmiertelna

cisza. Hania Kosler przestała płakać. Jej oczy były czerwone i podkrążone, a twarz stężała i pozbawiona krwi. Przemówiła czule do swojej córeczki, a potem przycisnęła usta do jej czoła. Mała nic nie wiedziała o bólu swoich rodziców. Gaworząc i wierzgając nóżkami, leżała na rękach matki. Jerzy Kosler pochylił się nad nią, jednocześnie otaczając ramieniem żonę. Jego ojciec stał tuż za nim. Wyglądał na bezradnego.

– Daj mi ją, Haniu. – Jerzy Kosler wyciągnął ręce po córkę, lecz żona energicznie potrząsnęła głową.

– Muszę sama. To ostatnia rzecz, jaką mogę dla niej zrobić. – Podeszła powoli do skrzynki z narzędziami i położyła Beatę na kocyku w jej wnętrzu. Dziewczynka chwyciła matkę za palec.

Irena przykucnęła i dała jej do połknięcia środek uspokajający o słodkim smaku. W pierwszej chwili mała się wykrzywiła, ale zaraz się roześmiała radośnie. Minęło kilka minut, podczas których Hania nie odrywała od niej oczu. Potem Beata przestała przebierać nóżkami, jej powieki powoli opadły. Kiedy uścisk maleńkiej rączki zwolnił się wokół palca matki, ta załkała i szybko się odwróciła. Irena zamknęła wieko.

– Nie! – Młoda kobieta chwyciła Irenę za rękę. – Jeszcze tylko raz.

Z ciężkim sercem Irena uniosła pokrywę. Hania wyjęła coś z kieszeni. Była to srebrna łyżeczka z delikatnym grawerunkiem: Beata – 3.1.1942.

Położyła ją obok dziecka.

– Proszę powiedzieć rodzinie zastępczej, żeby nigdy nie zgubiła tej łyżeczki. – Przygryzając wargę, otarła oczy rękawem. – Ona będzie przypominać jej o nas.

Irena skinęła głową, następnie ostrożnie zamknęła skrzynkę. Patrzyli na siebie przez chwilę. Nie mogła już nic powiedzieć. Żadnych słów

pocieszenia.

– Odezwę się do was. – Starła się brzmieć pewnie. Potem się odwróciła.

Jerzy i Hania odprowadzili ją do drzwi. Irena bez słowa wyszła na korytarz. Na schodach próbowała zostawić to, co przed chwilą przeżyła. Ściśnięte gardło i łzy w oczach nie pomogą jej w tym, co ją czeka. Teraz najważniejsze są siła i opanowanie.

Na podwórzu Michał wziął od niej skrzynkę. Gramoląc się na wysokie siedzenie pasażera, Irena słyszała, jak upycha ją między cegłami i pustakami na platformie ciężarówki. Wreszcie usiadł za kierownicą i włączył silnik. Wymienili szybkie spojrzenia, po czym ruszyli.

Przed punktem kontrolnym stało więcej samochodów. Niech to szlag, skąd nagle taki tłok? Esesmani obchodzili dookoła pierwszy pojazd przed szlabanem.

– Cholera – rzucił Michał. – Może wybierzemy inny punkt?

Irena zastanowiła się szybko. Jeden z wachmanów szedł wzdłuż rzędu samochodów. Patrzył w ich kierunku.

– Nie, jeśli teraz się wycofamy, zwrócimy na siebie uwagę.

Michał kręcił się niespokojnie na siedzeniu. Z kieszeni marynarki wyciągnął zmietą paczkę papierosów i zapalił jednego. Podsunął ją Irenie, ale ona odmówiła ruchem ręki.

– Tylko spokojnie – powiedziała do niego, chociaż sama trzęsła się w środku. Jeśli przyjdzie im tu czekać dłużej, może się zdarzyć, że środek uspokajający przestanie działać i Beata zacznie płakać. Gdzieś niedaleko padło kilka strzałów w krótkich odstępach. To nie ma nic wspólnego z nami – Irena przekonywała siebie. Wbiła paznokcie prawej

ręki w grzbiet lewej dłoni. Kolejka się posuwała. Po chwili podeszli do nich dwaj esesmani.

– Wysiadać! Papiery! – warknął jeden. Powoli i z opanowaniem wysiedli. Żadnych gwałtownych ruchów. Znali procedurę. Michał podał dokumenty. Miał pozbawioną wyrazu twarz.

– Ładunek?

– Cegły i narzędzia.

Esesman z papierami w ręce energicznym skinieniem głowy dał znak swojemu koledze, na co ten natychmiast wszedł na platformę ciężarówki. Irena zamarła. Mimo to próbowała rozluźnić mięśnie twarzy. Wachmani wyczuwali strach siódmym zmysłem. Jeśli tylko zauważą, jak jest spięta, przewrócą każdą cegłę po kolei. Kroki esesmana na platformie odbijały się echem. Słysząc było, jak Niemiec podnosi i z łoskotem upuszcza narzędzia, przesuwając cegły. Mijające sekundy wydawały się Irenie wiecznością. A jeśli Beata zaraz się ocknie i wybuchnie krzykiem? Albo wachman otworzy wieko skrzyni z narzędziami? Potem usłyszała, że zeskoczył na ziemię. Obszedł samochód i zrobił obojętny gest ręką. Drugi strażnik oddał Michałowi papiery.

– Odjazd!

Nie patrząc na siebie, oboje wsiedli do kabiny. Michał przekręcił kluczyk, silnik zawarczał, a przed nimi uniósł się szlaban. Po jego drugiej stronie przyspieszyli.

– Niewiele brakowało – wymamrotał Michał.

Irena uścisnęła mu rękę. Niedługo potem zatrzymali się przed domem jego macochy.

– Dziękuję – powiedziała tylko, gdy podał jej skrzynkę z narzędziami.



Rozdział 31

Niewiele dni później Irena siedziała z Ewą w kuchni u Racheli Rosenthal. Nigdy nie zapomni Racheli tego, co zrobiła dla Adama tamtego wieczoru, gdy zabrała go policja i groziło mu wywiezienie do obozu pracy. Gdyby nie jej pomoc, pewnie Irena już więcej by go nie zobaczyła. A tak zostali parą.

Od kiedy rozpoczęto „akcję”, niebezpieczeństwo deportacji nigdy nie było tak duże. I właśnie dlatego Irena przysłała dziś tutaj. Ewa, Rachela oraz ich rodziny nie mogły zostać w getcie, podobnie jak Adam i Ala. Z sąsiedniego pokoju dobiegał pogodny głos Avy, pięcioletniej córki Racheli, która razem ze swoim tatą malowała obrazek.

– Zrób to dla swoich najbliższych – zaklinała Rachelę Irena. – Z każdym dniem spędzonym tutaj ryzyko rośnie. To samo dotyczy ciebie i twoich rodziców – zwróciła się do Ewy.

Rachela pokręciła głową.

– Oboje z mężem mamy karty pracy. Jesteśmy wyłączeni z deportacji, przynajmniej na razie. Może kiedyś odważymy się na ten krok, ale dopiero wtedy, kiedy już nie będzie innego wyjścia. Ryzyko, że komuś z nas stanie się coś złego podczas ucieczki, jest za duże. Poza tym

gdyby nawet wszystko się powiodło, i tak nie moglibyśmy być razem po drugiej stronie. Zostalibyśmy rozłączeni, każdy tkwiłby osobno w jakiejś kryjówce, niepewny własnej przyszłości.

Kręcąc głową, Irena patrzyła prosto przed siebie. Po chwili zwróciła się do Ewy:

– A ty? Zastanowiłaś się?

– Nie muszę. Moje zdanie się nie zmieniło. Nie zostawię dzieci z ogniska na pastwę losu. One mnie potrzebują. Tu, w getcie, mogę coś zrobić. I dla nich, i dla ich rodzin. Jaką wartość miałoby moje życie, gdybym zawiodła tych, którzy liczą na mnie każdego dnia? Przecież dobrze wiesz, co zawsze powtarzam: dzieci w getcie dużo bardziej niż chleba potrzebują kogoś, kto się nimi zajmie i je wesprze. – Widząc kamienną twarz Ireny, uśmiechnęła się pogodnie. – No, daj spokój, będzie dobrze. Każdy z nas podejmuje decyzje za siebie. Co ma być, to będzie...

– Nie, Ewo! Właśnie czegoś takiego nie mogę zaakceptować! Oczywiście rozumiem i ciebie, i Alę, która wczoraj powiedziała mi to samo. Wiem, że jesteście tu potrzebne. Ale przecież potrzebują was także wasze córki. I to żywych. Ja...

W tym momencie do kuchni wszedł Aaron, mąż Racheli, z małą Avą. Jej matka szybko przyłożyła palec do ust, na co Irena natychmiast zamilkła.

– Zobacz, mamusiu, co namalowałam!

Rachela pochyliła się nad obrazkiem, który przedstawiał dużą męską postać trzymającą za ręce kobietę i dziecko. Obok znajdowały się jeszcze dwie osoby w spódnicach.

– To jesteś ty, ja i tata, a to są Irena i Ewa.

Irena roześmiała się serdecznie. Bez wyjaśnień się domyśliła, że jest tą niższą kobietą o krótszych włosach, podczas gdy Ewę łatwo było rozpoznać po długich nogach, jasnej lwiej grzywie i okularach przeciwsłonecznych.

Chwila wesołej beztroski ulotniła się równie szybko, jak się pojawiła. Irena musiała już wracać. Brudny bruk żarzył się w upale, gdy wyszła z bramy i ruszyła w kierunku domu Adama. Tuż przed wyjściem Rachela zapytała ją jeszcze w drzwiach o jego plany. Irena tylko pokręciła głową. Co prawda obiecał, że zastanowi się nad ucieczką, mimo to z każdym krokiem narastał w niej lęk. A jeśli znowu odmówi? Przedstawiał identyczne argumenty jak Ala, Ewa i Rachela, ona zaś nie chciałaby wyjść na egoistkę, która zmusza go do ucieczki, podczas gdy jest potrzebny w getcie i obawia się o bezpieczeństwo własnej rodziny. Ale przecież nie mogła i nie chciała go stracić. Jak zwykle pomyślała też o Mietku. Już bardzo długo przebywał w obozie, tam jednak przynajmniej warunki były znośne i co najważniejsze, polskim jeńcom wojennym nie groziła śmierć. Dlaczego jej przyjaciele nie chcieli pojąć tej różnicy?

Ostatnie stopnie prowadzące do mieszkania Adama pokonała biegiem. Dziś ostatecznie rozwiąże sprawę raz na zawsze. Po prostu zmusi go do ucieczki. On nie może tu zostać i nie może też dłużej zwlekać. Z napięcia napłynęły jej łzy do oczu. Otarła je z irytacją i zaczerpnęła głęboko powietrza, a wtedy usłyszała zza drzwi głośny szloch. To chyba matka Adama. Czy coś mu się stało? Czy go...?

Zanim zdążyła dokończyć myśl, zapukała mocniej, niż zamierzała. Płacz ucichł. Ale nikt nie podchodził do drzwi, zalegała cisza. Prawdopodobnie jej gwałtowne bębnienie zabrzmiało podejrzenie groźnie. Zapukała więc jeszcze raz, zdecydowanie ciszej.

– To ja, Irena.

Drzwi się otworzyły.

– Adam!

Z ulgą rzuciła mu się na szyję. On ją objął, lecz wydawał się spięty. Z głębi mieszkania ponownie dobiegł przejmujący płacz.

Irena odsunęła się od niego.

– Co się stało?

– Chodź. – Zaprowadził ją do swojego pokoju. – To Irena! – zawołał w stronę kuchni.

– Czy nie powinniśmy pójść do twojej matki? – spytała z z troskaniem. – Coś się jej stało?

Adam powoli pokręcił głową.

– Jest z nią wuj Jakub. Jej nic się nie stało. – Utkwił wzrok w podłodze. – Ale ciotka Dora. Została zastrzelona przed swoim domem.

– Co?! – wykrzyknęła z przerażeniem Irena.

Adam nadal na nią nie patrzył.

– Dziś rano przyszła do nas, ale nikogo nie zastała, bo akurat wyszedłem z mamą. Wróciła więc do siebie. Nie wiemy, w jaki sposób ani dlaczego do tego doszło. Czy chcieli zabrać ją na Umschlagplatz, a ona się broniła? Czy też zastrzelili ją tak po prostu, z powodu jakiejś błażostki, jak wielu innych? Wuj Jakub nawet słyszał ten strzał – kontynuował łamiącym się głosem Adam. – Ale bał się podejść do okna. Poza tym myślał, że Dora jest u nas. Dopiero dziesięć minut później wyjrzał na zewnątrz i wtedy ją zobaczył, jak leży na chodniku, trzydzieści metrów od wejścia do kamienicy. – Ukrył twarz w dłoniach.

Irena usłyszała zdławiony szloch.

– Matka wyrzuca sobie, że to przez nas, bo nie było nas w domu – wyjąkał. – Ja też, choć wiem, że to nie nasza wina. Teoretycznie rozumiem...

Wprawdzie Irena zdawała sobie sprawę, że powracanie w tym momencie do tematu ucieczki może być ryzykowne, ale nie mogła tego dłużej odwlekać. Nie było na to czasu.

– Posłuchaj mnie. – Potrząsnęła nim lekko, chwytając za oba ramiona. – Musicie się stąd wydostać, rozumiesz? Musicie uciekać.

Adam otarł łzy dłońmi i skinął głową. Irena poczuła niesamowitą ulgę, po chwili jednak usłyszała:

– Tak, wiem, ale wczoraj kolejny raz rozmawiałem z mamą i ona po prostu nie zdobędzie się na zabawę w chowanego po aryjskiej stronie. Przecież ją znasz. A nie ma mowy, żebym poszedł bez niej.

Spojrzał błagalnie na Irenę, a ona poczuła, jak wzbiera w niej lodowaty chłód. Jego słowa usuwały jej ziemię spod nóg. W tym momencie od drzwi dobiegł głos jego matki. Nie wiadomo, jak długo już tam stała, ale wyglądało na to, że słyszała ich rozmowę.

– Nie, synu – powiedziała stanowczym tonem, który kontrastował z zapłakanymi oczami. – Irena ma rację. Uciekniemy. I to najszybciej, jak to możliwe.

Irena się nie myliła. Zdesperowani rodzice coraz częściej zwracali się do niej i do jej przyjaciół. Nie było dnia, w którym nie przerzucono by na aryjską stronę kilkorga dzieci.

Dzień po uratowaniu małej Beaty Irka miała przemyścić sześciolatniego Sergiusza. Gdy około dziesiątej rano zmierzali we dwójkę w kierunku gmachu sądu, na każdy jej krok chłopczyk musiał zrobić co najmniej dwa kroki, aby za nią nadążyć.

– Nie denerwuj się – powiedziała, chociaż czarnowłosa maluch w dużej czapce z daszkiem i o wiele za ciasnym niedzielnym garniturku nie pisnął ani słówkiem.

Hol sądu był – zgodnie z przewidywaniami – pełen ludzi. Doskonale! Irka skutecznie torowała sobie drogę przez tłum. Jakiś mężczyzna zapamiętałe dyskutował z urzędniczką, która przemawiała do niego łagodząco. Jak zawsze Irka najpierw dyskretnie się rozejrzała, a następnie zeszła z Sergiuszem kondygnację niżej i skręciła w ciemny korytarz. Udało się! Ale gdzie jest dozorca? Czuła ciarki na plecach. Spokojnie, pomyślała. Tylko spokojnie. Mogły być tysiące powodów, dla których pan Duda się spóźniał. Mijała minuta za minutą.

– Kiedy...? – zaczął chłopiec.

– Psst! – Irka przyłożyła palec do ust. – Ani słowa – szepnęła.

Mały, sparaliżowany przerażeniem, skinął głową. Irka coraz bardziej się denerwowała. Z każdą minutą, gdy stali sami w piwnicznym korytarzu, ich sytuacja stawała się coraz bardziej groźna. Lada chwila bowiem mógł się ktoś pojawić, i co wtedy? Musimy stąd iść, zdecydowała i pociągnęła Sergiusza za sobą na górę.

Nigdzie nie było widać dozorca. Na kilka minut wmieszała się więc z chłopcem w tłum, ale w nim też nie mogli być bezpieczni. Szpicle gestapo czaili się wszędzie i wcześniej czy później ktoś zauważy, że nie mają w sądzie nic do załatwienia. Irka czuła, jak pod jej kwiecistą bluzką strużkami spływa pot.

– Chodź – bąknęła do chłopca.

Wciąż trzymając go za rękę, skręciła w sąsiedni korytarz i udawała, że czyta tabliczki na drzwiach. Potem wróciła znowu do holu. Nadal nic. Z trudem panowała nad nerwami. Może powinni wziąć nogi za pas i jak najszybciej stąd zniknąć?

Pociągnęła Sergiusza po schodach na galerię na pierwszym piętrze. W ten sposób mogła dalej grać rolę zagubionej petentki i przy okazji rzucić okiem na cały hol z góry. Na galerii było trochę luźniej. Irka znowu powiodła wzrokiem po tabliczkach na drzwiach, a potem podeszła do balustrady i spojrzała w dół.

– Czy mogę pani jakoś pomóc?

Obejrzała się. Mężczyzna za jej plecami był w cywilnym ubraniu. Jasnoniebieskie oczy, proste włosy, około czterdziestu lat. Uśmiechał się dosyć życzliwie i mówił po polsku. Irka otworzyła już usta, by pod jakimkolwiek pretekstem spytać o dozorcę, lecz w ostatniej sekundzie ugryzła się w język. Czy przypadkiem coś nie czai się w jego spojrzeniu? Czy nie mówił z cieniem akcentu? Prawdopodobnie ani jedno, ani drugie, mężczyzna chciał być po prostu uprzejmy. Zgodnie z zasadami jednak nie wolno włączać do akcji obcych – pomijając już fakt, że byłoby sporą lekkomyślnością z jej strony pytać o kogoś, kogo szukała.

– Nie, dziękuję – odparła, siląc się na jak najbardziej naturalny uśmiech. – Potrzebuję tylko pewnej informacji. – Wskazała nieprecyzyjnie na najbliższe drzwi. – Ale tego pana niestety nie ma.

Nagle struchlała. Co ona wyprawia! Nigdy nie mów za dużo. Niczego nie ujawniaj, a już na pewno nie kłam. Bez przerwy wbijali to sobie do głów. Każdy niepotrzebny detal może stać się kamieniem, o który się potkniesz – tak jak teraz. Wskazała w kierunku drzwi, nie wiedząc, czy urzęduje za nimi kobieta, czy mężczyzna. Sparaliżowana przerażeniem patrzyła, jak nieznajomy zmierza właśnie w ich stronę.

– Pan Wójcik – odczytał na głos.

A jeżeli on teraz naciśnie klamkę i zastanie pana Wójcika przy jego biurku? Już prawie zdecydowała się uciec razem z Sergiuszem, gdy mężczyzna cofnął się od drzwi.

– Do widzenia – rzuciła oschle i pociągnęła chłopca za sobą po schodach w dół. Znalazszy się znowu w holu, przeciskała się między czekającymi ludźmi energiczniej, niż to było konieczne.

I wtedy go zobaczyła. Któreś drzwi się otworzyły i z pokoju wyszedł gestapowiec. W środku stał dozorca. Coś błysnęło na jego nadgarstkach. Jakby się jej spodziewał, podniósł wzrok i na sekundę ich spojrzenia się spotkały. Zanim drzwi ponownie się zamknęły, Irka dostrzegła, jak nieznacznie poruszył głową w kierunku ulicy. Niczym rażona piorunem, szybko opuściła budynek.

Na widok Sergiusza jego ciotka się rozpląkała. Radości, że znowu ma go przy sobie, towarzyszyła obawa, że chłopiec nadal będzie w getcie. Czy dojdzie do drugiej próby? Kiedy? Irka pocieszała ją, obiecując, że skontaktuje się z nią ponownie. Potem opuściła getto i pobiegła do biura, żeby opowiedzieć innym, co się wydarzyło. Na rogu ulicy spotkała Irenę.

– Nie uwierzysz, co się stało – szepnęła rozgorączkowana.

– Nic nie mów! – Irena chwyciła ją za ramię, zawróciła i pociągnęła za sobą ulicą.

– Co się dzieje? – spytała Irka z niepokojem.

Ale dopiero gdy przyjaciółka wepchnęła ją za mur zbombardowanego domu, puściła jej ramię i powiedziała:

– W biurze jest gestapo. Znaleźli niezgodności w dokumentacji. To raczej nie ma nic wspólnego z naszymi papierami. – Podniosła wyżej torbę, której Irka do tej pory nie zauważyła. – Najwyraźniej nie tylko my kombinujemy. Na szczęście na razie Niemcy nie są w stanie niczego jednoznacznie udowodnić. Mimo to miotają się jak wściekłe psy, bo czują, że ich kantujemy. Zabrali jednego z dyrektorów i grożą, że wyślą go do obozu.

Irka z przerażeniem przyłożyła dłoń do ust.

– A ty? – spytała Irena. – Co chciałaś mi powiedzieć? Z Sergiuszem chyba poszło dobrze, prawda?

– Ach, gdybyś... – Irka opuściła rękę. Do oczu napłynęły jej łzy.



Rozdział 32

Dozorcę złapali razem z Jankiem, jednym z naszych przemytników. Janka zastrzelili, dozorca jest na Pawiaku. – Dziewczyna opowiadająca to Irenie, w wieku mniej więcej piętnastu lat, miała kamienną twarz. Nie wspomniała, że Janek to zaledwie dwunastolatek. Wszyscy ponosili ryzyko zawodowe. Dwa dni temu był to Janek, następnym razem może być ona albo Irena. – Przykro mi – dodała nastolatka. Chodziło jej o to, że gmach sądu stał się teraz dla nich bezużyteczny.

Dla Ireny to dotkliwy cios, ponieważ była to jedna z niewielu możliwości przerzucania z getta także dorosłych. Teraz pozostał już tylko kościół Wszystkich Świętych, na którego pogrążonym w nieprzeniknionej ciemności cmentarzu właśnie stały, podobnie jak podczas ich pierwszego spotkania.

– Ale coś ci przyniosłam – kontynuowała dziewczyna.

Irena wyczuła przed sobą jakiś ruch, wyciągnęła więc rękę. Jej palce automatycznie coś chwyciły. Była to złożona kartka papieru.

– Plan tras przemytników kanałami kanalizacyjnymi? – szepnęła Irena.

– Tak. My w nocy, wy w dzień. W porządku?

– Przecież to niebezpieczne schodzić do kanałów w biały dzień – zaoponowała cicho Irena. – Trzeba podnieść klapę, najpierw kazać zejść dziecku po drabince, potem samemu i nasunąć właz z powrotem na miejsce. A to trwa. Ktoś mógłby to wszystko zobaczyć. My...

Dziewczyna pokręciła głową.

– Na naszych warunkach albo wcale. Na tym polega umowa. Znoszenie towarów do kanałów i wyciąganie ich potem na górę zajmuje dużo więcej czasu niż schodzenie ludzi. Oprócz tego przemysł żywności ma priorytet. Wy wyprowadzacie jedynie pojedynczych ludzi. A my organizujemy jedzenie dla wszystkich tutaj.

Irena ustąpiła. Chętnie przytuliłaby tę dziewczynę, która chociaż była jeszcze dzieckiem, nauczyła się już z zimną kalkulacją podejmować decyzje dotyczące życia i śmierci. Nie zrobiła tego jednak, ponieważ to nie dziecko przed nią stało, lecz bojowniczką, dla której liczyły się nie uściski, tylko to, aby Irena przestrzegała jej zasad, była ostrożna i w razie wpadki nikogo nie wydała – nawet mimo bicia i tortur na Pawiaku.

Przez tygodnie od rozpoczęcia „akcji” Irena niewiele spała. Każdego dnia na nowo podejmowała walkę o życie jednostek, podczas gdy tysiące mieszkańców getta codziennie pędzono na Umschlagplatz, a potem wywożono w bydłowych wagonach. Teraz wiedziano już dokąd. Do Treblinki. Obok istniejącego obozu pracy Niemcy zbudowali obóz zagłady. Irena i jej cała siatka pracowali na najwyższych obrotach. Organizowali nowe kryjówki i załatwiali podrabiane papiery. Ona sama bywała w domu jedynie nocą i już nawet nie pamiętała, jak wyglądało jej życie przed wojną.

Kilka dni po spotkaniu z młodą przemytniczką obudziła się jeszcze wcześniej niż zwykle. Dziś był dzień, w którym miała przerzucić z getta

Adama. Jego matka znajdowała się już po drugiej stronie, bo jej syn uparł się, że pójdzie dopiero za nią, jako drugi. Irena zamierzała wyprowadzić go przez kościół Wszystkich Świętych, do którego wejścia były z obu stron.

Przedpołudnie spędziła w biurze. Potem miała kilka spraw do załatwienia w getcie, a z Adamem była umówiona na późne popołudnie.

Gdy około dwunastej przeszła przez ten sam co zawsze punkt kontrolny, nieco dalej dostrzegła stojących na ulicy ludzi. Wydawało się, że na coś czekają. Dziwne. W ostatnich tygodniach ulice w getcie wyglądały jak wymarłe. Jeśli bowiem Niemcom nie udało się wywiązać z limitu przypadającego w danym dniu na wybrany sektor, pędzili wtedy na Umschlagplatz każdego, kto przypadkiem wszedł im w drogę. Przechodniów z torbami na zakupy, dzieci wracające od kolegi do domu. Każda sprawa do załatwienia w mieście, każda wizyta mogła okazać się śmiertelnie niebezpieczna. Jak to więc możliwe, że dzisiaj ulice nie są puste? Zdumiało to Irenę, ponieważ jednak bardzo się spieszyła, szła dalej. Skręciła w Żelazną, jedną z głównych ulic getta. Również na niej ludzie stali w milczeniu na skraju jezdni jak okiem sięgnąć.

Zatrzymała się przy starszym mężczyźnie w znoszonym, ale czystym ubraniu.

– Przepraszam, na co wszyscy czekają? Co się tutaj dzieje?

– Chodzi o sierociniec doktora Korczaka – odpowiedział cicho. – Niemcy go opróżnili. Niedługo dzieci będą przechodzić tędy w drodze na Umschlagplatz.

Irena otworzyła usta, ale nie padło z nich ani jedno słowo. Wiedziała, że Niemcy nie oszczędzają dzieci. Już setki młodszych i starszych zapędzono razem z rodzicami na Umschlagplatz. Mimo to wbrew wszelkiemu rozsądkowi miała nadzieję, że Dom Sierot będzie wyjątkiem.

– Stoimy tutaj, żeby dać świadectwo – kontynuował starszy pan. – Dzisiaj nikt nie chowa się w swoim mieszkaniu. Nie uda im się wyprowadzić tych dzieci po kryjomu pustymi i cichymi ulicami, tylko na oczach nas wszystkich. Jeśli będą chcieli nas aresztować, proszę...

Irena dalej milczała. Czuła się jak odurzona. Niewiele myśląc, stanęła obok mężczyzny i czekała. Nie rób tego, powtarzał jej w głowie jakiś głos. Nie możesz tego oglądać. I nie musisz. Robisz, co w twojej mocy. Tylko to się liczy. Mimo wszystko została.

Pół godziny później usłyszała odgłos niezliczonych kroków, a potem ukazał się długi orszak tych, których prowadzono na Umschlagplatz. Na czele kolumny, zaraz za esesmanami, rozpoznała Janusza Korczaka. Prowadził za ręce dwoje maluchów. Trzymał się prosto, a jego spojrzenie zza okrągłych oprawek okularów skierowane było do przodu. Za nim szły równymi czwórkami jego dzieci. Były ubrane w swoje najlepsze ubrania, wiele też chwyciło się za ręce. Większość była poważna, na niektórych buziach malował się niepewny uśmiech. Gdy orszak się przybliżył, Irena usłyszała znajomą piosenkę – pochodziła ze sztuki, którą dzieci wystawiły zaledwie kilka tygodni wcześniej. A kiedy zobaczyła, że większość z nich przyciska do piersi lalki zrobione przez profesora Witwickiego, omal nie krzyknęła na cały głos, ale rozpacz zacisnęła jej gardło.

Inni chyba czuli to samo. Nikt nie płakał, nikt nic nie mówił. Również ludzie w kolumnie milczeli, a ten niemal podniosły nastrój absurdalnie udzielił się chyba nawet towarzyszącym pochodowi wachmanom.

Teraz obserwujący procesję zaczęli iść razem z nią. Również Irena się ruszyła. Po dotarciu do Umschlagplatzu tłum czekających tam ludzi się rozdzielił, biorąc dzieci do środka. Nadal nikt nic nie mówił. Irena dostrzegła z daleka Alę i jej kolegę Nachuma przed namiotem

Czerwonego Krzyża i pospieszyła do nich. Kiedy uściskała Alę, po jej policzkach pociekły łzy.

– Nie wytrzymam tego – rzucił Nachum.

Zanim Irena i Ala mogły zareagować, ruszył przez tłum. Znalazłszy się przy Korczaku, zaczął mu coś gorączkowo perswadować, doktor jednak pozostał całkowicie spokojny i jedynie od czasu do czasu kręcił głową. W końcu powiedział coś krótko, po ojcowsku poklepał Nachuma po ramieniu i skinął na niego, aby wrócił na swoje miejsce.

– Zaproponowałem mu, że uznam go za nienadającego się do transportu, ale on nie chce zostawić swoich dzieci – opowiadał Nachum łamiącym się głosem, gdy znalazł się znowu przy Irenie i Ali. –

Powiedział im, że jadą na wycieczkę w piękne miejsce. – Rysy Nachuma nagle się zmieniły, zasłonił sobie oczy dłońmi i na kilka minut zniknął w namiocie. Potem ponownie dołączył do nich.

Minęła godzina w palącym słońcu. Umschlagplatz zapełniało coraz więcej ludzi. Mimo to zalegała na nim upiorna cisza.

W końcu rozległ się gwizd. Grupa esesmanów podbiegła do bydłowych wagonów i odsunęła drzwi. Pot i łzy mieszały się na twarzy Ireny. Zrobiło jej się niedobrze, gdy patrzyła, jak Korczak pomaga każdemu dziecku po kolei wdrapać się do wagonu. Potem zniknął także on.

Kiedy przesuwane drzwi się zatrzasnęły i zostały zabezpieczone kolczastym drutem, Irena mimowolnie chwyciła Alę za rękę i mocno ją ścisnęła. Poczowała niepohamowane pragnienie, by uciec z tego miejsca, zapomnieć o tym, co tu się stało. Ale nagle rozbrzmiały w niej słowa starego mężczyzny: „Jesteśmy tutaj, by dać świadectwo”.

– Jesteśmy tutaj, żeby dać świadectwo. Jesteśmy tutaj, żeby dać świadectwo – szeptała tak cicho, że nie słyszała jej nawet Ala. Gdy

z zapamiętaniem koncentrowała się na powtarzaniu w kółko tych kilku słów, łkanie stojącego obok Nachuma docierało do niej jak z oddali.

Rozległ się przeciągły gwizd, potem lokomotywa wyrzuciła kłęby pary i pociąg ruszył.

Kiedy tego samego popołudnia Irena znalazła się u Adama, wciąż była w szoku. On czuł się podobnie. Widział pochód dzieci na innej ulicy, ale nie odprowadził ich na Umschlagplatz.

Irena usiadła ciężko na krześle. Przez chwilę patrzyli na siebie. Potem on stanął przy oknie, odwracając się do niej plecami. Chyba zamierzał coś powiedzieć. Ona też chciała porozmawiać o dzieciach. Tylko nie wiedziała jak. Słowa zawodziły w obliczu tego, co oboje zobaczyli dzisiejszego ranka. Gdy w końcu Adam się odezwał, nie od razu zrozumiała, o czym mówi.

– Nie mogę iść.

– Iść? Dokąd?

– Na aryjską stronę.

Irena zerwała się z miejsca, podeszła do niego i obróciła ku sobie.

– Adam, co ty wygadujesz? Dlaczego?

Jego oczy błyszczały.

– Te dzieci! Jak można tchórzliwie szukać dla siebie bezpiecznego miejsca po tym, co się dzisiaj stało?

– Zapewnienie sobie bezpieczeństwa to żadne tchórzostwo! – wykrzyknęła. – Tak samo jak wola życia i przetrwania. To prawo przynależne nam wszystkim od urodzenia. Prawdziwym tchórzostwem byłoby nie domagać się tego prawa i go nie bronić. Pewien starszy mężczyzna powiedział mi dzisiaj, że naszym obowiązkiem jest dać świadectwo. I miał rację. Ale to będzie możliwe tylko wtedy, jeśli

przeżyjemy. Kiedy wreszcie się stąd wydostaniesz, będziesz mógł pomagać w ucieczce innym. Poza tym twoja matka cię potrzebuje. Nie pomyślałeś o tym? Uważam, że twoim cholernym obowiązkiem jest pozostać przy życiu.

Po ostatnich zdaniach Ireny twarz Adama nieco się rozluźniła. Podniósł na nią wzrok.

– Często zadaję sobie pytanie, skąd ty czerpiesz tę swoją siłę. Zawsze myślałem, że to ja jestem silny. Ale w porównaniu z tobą jestem niczym. Jak ty to robisz? Bez przerwy walczysz i walczysz. I nigdy się nie poddajesz.

– Wcale nie jestem silniejsza od innych. Po prostu nie mogę sobie pozwolić na bycie słabą. I ty też nie. – Spojrzała na zegarek. – Musimy się zbierać!

Przez sekundę mogło się wydawać, że Adam znowu zaprotestuje, w końcu jednak kiwnął głową, podszedł do szafy i zaczął się przebierać.

Przy drzwiach do kościoła Wszystkich Świętych po aryjskiej stronie stał wachman i sprawdzał kenkarty każdemu kto wchodził i wychodził. Ten, kto wchodził, był odnotowywany na liście, i tylko ci, którzy znaleźli się w świątyni od strony aryjskiej, mogli z niej ponownie wyjść na tę samą stronę. Dlatego Irena przez kilka tygodni szukała wśród ludzi ze swojej siatki godnego zaufania mężczyzny w miarę podobnego do Adama – i znalazła.

Ona i jej znajomy Tomasz za godzinę mieli wejść do kościoła od strony aryjskiej – jak pierwsza lepsza zakochana para chcąca zapalić świeczkę. Irena z własną kenkartą, Tomasz – z podrobioną Adama, który z kolei musiał wybrać odpowiedni moment, aby wślizgnąć się do świątyni od strony getta, co odkąd zaczęła się tak zwana akcja wysiedleńcza, stało się dużo łatwiejsze, ponieważ Żydowska Służba Porządkowa miała ręce pełne roboty i była zajęta czym innym.

Następnie zgodnie ze wspólnymi ustaleniami obaj mężczyźni zamieniają się w środku ubraniami, po czym Tomasz opuści kościół po stronie getta i z własną przepustką wróci przez dowolny punkt kontrolny za mur, podczas gdy Irena z Adamem wyjdą z niego jako para na stronę aryjską.

– W porządku? – spytał Adam.

Irena zmierzyła go od góry do dołu. Biała koszula, czarne spodnie, szelki, czapka z daszkiem. Wypomadowane włosy zaczesane do tyłu. Tak ustaliła z Tomaszem. Potaknęła więc z aprobatą, a potem mocno uścisnęła Adama. Oboje zastygli na chwilę. Na koniec on ujął jej twarz w dłoń i pocałował ją czule.

– Widzimy się w kościele – szepnęła Irena.

– W kościele – powtórzył i pocałował ją jeszcze raz. Następnie razem wyszli z domu.

Tomasz czekał na Irenę w umówionym miejscu. Trzymając się za rękę, ruszyli wolnym krokiem w kierunku kościoła Wszystkich Świętych. W pobliżu nie było drzew, które rzucałyby cień, toteż pilnujący wejścia niemiecki strażnik w grubym mundurze wycofał się w zacieniony pas pod murem. Ale i tak sprawiał wrażenie, jakby za chwilę miał dostać udaru słonecznego.

– Kenkarty – rzucił do Ireny i Tomasza. Sprawdził je.

To był pierwszy trudny moment. Jeśli tylko wystawiony dla Adama na nazwisko Stefan Zgrzebmski dokument wyda mu się podejrzany, mogło się zdarzyć wszystko. W najgorszym razie wyciągnie pistolet i zastrzeli ją oraz Tomasza na miejscu. Nic się jednak nie stało. Wachman wpisał ich nazwiska na listę i cofnął się w cień.

W kościele panował mrok i przyjemny chłód. Irena odetchnęła z ulgą, że jest w nim pusto. Nie tracąc czasu, od razu weszła razem z Tomaszem do zakrystii, której drzwi proboszcz specjalnie zostawił

uchylone. Szybko je za nimi zamknęła. Kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Zza stojaka z szatami liturgicznymi wyłonił się Adam. Irenie spadł kamień z serca. Pierwszy krok mieli za sobą. Cała trójka była na miejscu. Obaj mężczyźni uśmiechnęli się do siebie. Rzeczywiście wydawali się niesamowicie podobni.

– Pospieszcie się – ponagliła ich Irena.

Adam i Tomasz rozebrali się i wymienili koszulami oraz spodniami, które choć nie były identyczne, niewiele się różniły.

– Wyglądasz jeszcze gorzej ode mnie – skomentował sucho Adam, wkładając okulary Tomasza. – Tylko nie daj się, broń Boże, zatrzymać na punkcie kontrolnym, bo muszę jak najszybciej odzyskać swoje okulary.

– I nawzajem. – Tomasz się roześmiał.

Gdy już do końca się przebrali, Irena znowu ich upomniała, aby się pospieszyli.

– Zostaje ci kwadrans na wyjście z getta – zwróciła się szeptem do Tomasza. – Mam nadzieję, że kiedy my opuścimy kościół, będziesz już za murem. Musisz się spieszyć, bo jeśli wachman przy drzwiach zacznie coś podejrzewać, będą szukać i ciebie.

Tomasz tylko skinął głową i zniknął w korytarzu łączącym zakrystię z wyjściem do getta. Niedługo potem Irena i Adam usłyszeli cichy odgłos zatraskujących się drzwi.

Irena wyjrzała ostrożnie z zakrystii. Niech to szlag, w pierwszej ławce w nawie głównej siedziała jakaś starsza kobieta w chustce na głowie. Wyglądała nieszkodliwie, ale nigdy nie wiadomo, komu można ufać. Para młodych ludzi wychodząca z zakrystii i kierująca się do wyjścia mogła niepotrzebnie zwrócić uwagę. Lepiej poczekać. Irena spojrzała na wskazówki ściennego zegara. Na jak długo wchodzi się

w biały dzień do kościoła, żeby się pomodlić albo zapalić świeczkę? Na dziesięć minut? Dwadzieścia? Wiele czasu im już nie zostało, będą musieli zatem mimo świadka zaryzykować. Ale mieli szczęście. Mamrocząc pod nosem, kobieta przeżegnała się, wstała z wysiłkiem i na sztywnych nogach pokuśtykała do wyjścia. Ledwie zniknęła na zewnątrz, Irena i Adam wymknęli się z zakrystii i też skierowali się do drzwi. Irena zerknęła ostrożnie przez małą szybkę. Staruszka dreptała prosto przed siebie, nawet nie oglądając się na wachmana, który właśnie wykreślił jedno nazwisko.

– Boję się – usłyszała za sobą szept Adama. – Przecież ten człowiek nie jest idiotą. Od razu pozna, że to nie ja wchodziłem do środka.

Irena z surową miną przyłożyła palec do ust.

– Przestań! Musisz być pewny siebie. Po prostu od razu pokaż mu swoją kenkartę. Ruszamy. – Irena wzięła go pod rękę i pchnęła drzwi. Trzeba rzucić się prosto do jaskini lwa, zanim strach przed nim cię sparaliżuje. To najlepszy sposób na jego pokonanie. – Do widzenia – powiedziała w kierunku strażnika, podczas gdy oboje podetknęli mu pod nos swoje dokumenty. Udało się. Zamiast przyjrzeć się im bliżej, Niemiec zatrzymał spojrzenie na kenkartach, które rozpoznał. Odprawił ich skinieniem głowy.

– Co chcesz dzisiaj na kolację? – spytała Irena, gdy znajdowali się jeszcze w zasięgu jego słuchu. Byli całkiem zwyczajną parą, która nie miała żadnych większych zmartwień niż sprawunki na najbliższy wieczór. A przynajmniej tak powinno się wydawać temu żołnierzowi.

Pół godziny później stali już przed mieszkaniem, w którym Adam miał się od tej pory ukrywać. Mieszkała w nim Maria Kukulska ze swoją nastoletnią córką. Jego matka ze względów bezpieczeństwa została umieszczona w innym miejscu.

Maria była oddaną przyjaciółką, a jej dom już od dawna służył jako przejściowe schronienie dla dzieci przemycanych z getta. Mimo to Irena miała wątpliwości, czy prosić ją o pomoc w sprawie Adama. Przyjęcie pod swój dach na kilka dni dziecka, o którym w razie czego można powiedzieć sąsiadom, że to syn czy córka znajomych i że przyjechali w odwiedziny, to jedno, a zupełnie czym innym jest ukrywanie na stałe dorosłego mężczyzny. Adamowi nie wolno było nawet zbliżyć się do okna i w ogóle musiał zachowywać się bardzo cicho. Podczas nieobecności Marii z mieszkania nie mógł docierać choćby najmniejszy dźwięk, bo denuncjanci znajdowali się wszędzie. Miewali twarz wieloletniego sąsiada albo listonosza czy sprzedawcy warzyw z naprzeciwka. Niemcy płacili sówicie za każdą wskazówkę, a nie wszyscy potrafili oprzeć się takiej pokusie. Poza tym Adam był mężczyzną. Zakamuflowana Żydówka o jasnych włosach i jako takich umiejętnościach aktorskich mogła swobodnie poruszać się po mieście, udając polską katoliczkę. Mężczyźnie natomiast groziło w każdej chwili zdemaskowanie z powodu obrzezania. A jeśli na dodatek wyglądał dokładnie tak, jak naziści wyobrażali sobie Żyda, w grę wchodziło wyłącznie całkowite zniknięcie – w takiej sytuacji nie pomagała nawet nowa kenkarta.

– Czyli dotarłem do mojego komfortowego więzienia – zauważył Adam z ironicznym uśmiechem, kiedy Maria z ulgą uściskała go na powitanie.

– Chodź, pokażę ci twój pokój. Należy tylko do ciebie. – Wraz z Ireną podążył za gospodynią, która otworzyła im drzwi. – Odpocznijcie sobie chwilę – powiedziała. – A potem musicie mi wszystko dokładnie opowiedzieć. Zrobiłam lemoniadę.

Gdy zostali sami, w milczeniu popatrzyli na siebie. Irena wprost nie mogła uwierzyć. Adam znalazł się w bezpiecznym miejscu, bez względu

na to, jak bardzo kruche mogło się okazać to bezpieczeństwo. Ale nie był już zamknięty w getcie i nie groził mu Umschlagplatz.

– Pewnego dnia znowu tak będzie – szepnęła, czując łzy pod powiekami.

– Co masz na myśli?

– Ty i ja. W zwyczajnym pokoju, w normalnym mieście. Będziemy wolni i bezpieczni.

Twarz Adama zasnuła się chmurą.

– Kto wie, kiedy to nastąpi.

– Ale nastąpi – rzekła buńczucznie Irena. – A na razie masz mi obiecać, że będziesz przestrzegał wszystkich wskazówek Marii i będziesz żył.

Adam wyprężył pierś.

– Tak jest.

Opletli się ramionami i mocno przytulili.



Rozdział 33

Mimo otwartego okna w pokoju biurowym Ireny było nieopisanie duszno. W ciągu ostatnich tygodni zaniedbała swoje regularne obowiązki w urzędzie. Cały czas i energię pochłaniała koordynacja akcji ratowniczych. Jan Dobraczyński nie robił jej żadnych trudności. Byli teraz sojusznikami w walce, która z każdym dniem stawała się coraz bardziej zaciekle.

Z przerażeniem i niedowierzaniem Irena odnotowała liczby opublikowane w wydawanej przez Niemców gazecie: do połowy sierpnia deportowano z getta niemal dwieście tysięcy ludzi. Nastrój wśród nadal uwieczonych w jego murach wahał się między rozpaczą a otępiłą obojętnością.

Irena sięgnęła po jeden z segregatorów, otworzyła go i próbowała sobie przypomnieć, co ma do zrobienia: zasiłki, jadłodajnie. W obliczu codziennych polowań na ludzi w getcie powszednie troski potrzebujących poza jego murami wydawały się nieistotne. Nagle otworzyły się drzwi i w progu stanęła Irka.

– Coś się stało? – spytała Irena, podczas gdy przyjaciółka wpatrywała się w nią w milczeniu.

– Nie wiem, czy to prawda – odpowiedziała pozbawionym emocji tonem – ale Dobraczyński właśnie gdzieś usłyszał, że Niemcy chcą całkowicie zlikwidować małe getto.

– Co takiego? – Irena zerwała się z miejsca. Gorączkowo oszacowała konsekwencje. Wiedziała, że większość mieszkańców tej części getta została wywieziona. Najwyraźniej więc Niemcy chcieli ją zupełnie zlikwidować. A jednego można być pewnym: likwidacja małego getta to tylko pierwszy krok do likwidacji całego. Próbowwała sformułować choćby jeden jasny wniosek, ale nie zdołała.

Wyřęczyła ją Irka:

– Ognisko młodzieżowe Ewy jest w małym getcie – powiedziała, przerywając jej gonitwę myśli.

– Ewy? Nie! – rzuciła i wybiegła z pokoju. – Chodź ze mną!

Na ulicach dużego getta mijaly dziesiątki ludzi objuczonych tobołkami i torbami. Najwyraźniej zdążyli wydostać się z terenu małego getta przed jego zamknięciem. Teraz nie wiedzieli, gdzie się mają podziać. Jakieś małżeństwo z niemowlęciem zatrzymało się w bramie i na chybił trafił naciskało guziki dzwonek w nadziei, że znajdzie schronienie w którymś z mieszkań. Większość biegła po prostu na oślep przed siebie.

– Moment, to jest przecież ... – Irena chwyciła za rękę dziewczynę około piętnastu lat.

– Puść mnie! – krzyknęła histerycznie nastolatka.

Irena nie dawała jednak za wygraną.

– Ty chyba należysz do ogniska młodzieżowego Ewy Rechtmann, prawda? Jestem jej koleżanką.

Dziewczyna spojrzała na nią zdziwiona, a potem skinęła głową.

– Tak, i co z tego?

– Widziałaś dziś Ewę?

– Nasza grupa spotkała się rano – odparła, nie mogąc złapać tchu. – Ale kiedy dotarła ta wiadomość, Ewa od razu odesłała z powrotem wszystkich, u których w domu jest ktoś dorosły, a sama została z resztą.

Irena puściła rękę dziewczyny.

– Kiedy to było?

– Mniej więcej dwie, trzy godziny temu – usłyszała jeszcze Irena, podczas gdy nastolatka już się odwróciła i puściła się pędem w poszukiwaniu jakiegoś kąta czy kryjówki.

Po krótkiej naradzie Irena i Irka doszły do wniosku, że muszą zaangażować Alę i Nachuma z Umschlagplatzu. W nich była jedyna nadzieja. Podczas gdy Irka została z Nachumem na placu, gdzie oboje rozglądali się za Ewą, Irena i Ala ruszyły ambulansem, który koleżanka wykorzystywała do przewożenia rzekomo nienadających się do transportu ludzi z Umschlagplatzu do szpitala.

– Żebyśmy chociaż wiedziały, czy Ewa jest jeszcze w małym getcie, czy już na Umschlagplatzu. A może udało jej się gdzieś ukryć? – zastanawiała się Ala.

Irena prychnęła.

– Ukryć? Z wianuszkami większych i mniejszych dzieciaków? Esesmani wypędzają ludzi z każdego pokoju, z każdego schowka na szczotki, z każdego poddasza...

– Mimo to nie powinniśmy tracić nadziei.

Kiedy samochód skręcił gwałtownie, Irena mocno ścisnęła klamkę.

– Uważaj! – krzyknęła.

Ala nacisnęła hamulec i pojazd wpadł w lekki poślizg. Powoli minęły kolumnę idącą w kierunku Umschlagplatzu. Irena rozglądała się uważnie, ale Ewy w niej nie było.

Dojeżdżały do małego getta. Przy drewnianym mostku stały samochody z uzbrojonymi po zęby esesmanami. Ala zwolniła i próbowała rozluźnić mięśnie twarzy.

– Ja będę mówić – szepnęła.

Już zbliżało się do nich dwóch Niemców.

– Mamy pilne wezwanie stamtąd. Nagły przypadek – tłumaczyła Ala, usiłując się uśmiechnąć.

– One obie są jak nagły przypadek. – Mężczyzna z przodu wyszczerzył się znacząco do swojego kolegi.

– Proszę – rzuciła z desperacją Ala, chociaż najchętniej powiedziała mu coś zupełnie innego.

– Tam na ulicach są same blokady. Daleko nie zajedziecie.

– Chcemy przynajmniej spróbować.

Niemiec wzruszył ramionami i spojrzał na kolegę. Ten ciągle jeszcze się szczyrzył.

– Skoro tak bardzo chcecie... – Dał im znak, aby minęły barierę.

Irena i Ala odetchnęły.

– Jeśli Ewa się gdzieś ukryła, to raczej blisko ogniska. Tam, gdzie ma rozeznanie – zauważyła Irena.

Ala tylko potaknęła.

Esesman miał rację. Wszędzie rozstawiono dodatkowe blokady, żeby uniemożliwić ludziom ucieczkę. Niemcy i członkowie żydowskiej policji

przeczesywali ulice i domy. W niektórych miejscach stali w gromadzie spędzeni zewsząd mieszkańcy.

Irenie na zawsze odcisnęło się w pamięci kilka obrazków: zapamiętała chłopca w jednym bucie, mężczyznę z połówką bochenka chleba w ręce i starszą panią obok niego, która nie miała żadnego bagażu, za to trzymała na smyczy małego czarnego psa.

– Pilne wezwanie do chorego! Musimy się przedostać! – krzyknęła Ala przy kolejnej blokadzie, ale wachman podszedł do nich z podniesionym karabinem.

– Zabierać się stąd! I to szybko! No, już!

– Sparaliżowana kobieta, w głębi tej ulicy – spróbowała ponownie Ala.

Esesman strzelił dwa razy w powietrze. Na co ona natychmiast wrzuciła wsteczny bieg i odjechała z piskiem opon.

– Jest jeszcze jeden dojazd do ulicy Ewy – powiedziała Irena, ledwie łapiąc oddech, ale oczywiście i tamta droga była zablokowana.

Tym razem Ala wysiadła z ambulansu. W jej kierunku ruszył esesman około pięćdziesiątki o czerwonej, pełnej twarzy.

– Musimy zabrać sparaliżowaną kobietę, ona i tak nie jest w stanie dojść na Umschlagplatz! – krzyknęła Ala, zanim Niemiec zdążył do niej podejść.

– Papiery?

Ala nabrała nadziei.

– Proszę.

Esesman zerknął pobieżnie na dokument i oddał go zaraz.

– A więc sparaliżowana kobieta... – Spojrzał na nią badawczo.

– Tak, sparaliżowana. – Ala starała się wytrzymać jego wzrok, czuła jednak, że zaczyna mrugać. On, rzecz jasna, wie, że to kłamstwo, pomyślała z rezygnacją.

Przez twarz wachmana rzeczywiście przemknął cień uśmiechu, lecz zamiast ją odprawić, szybko rozejrzał się dookoła. Wyglądało na to, że jego kolega był zajęty.

– Tylko szybko. – Nieznacznym ruchem ręki dał jej znak, że ma przejechać.

Ala natychmiast się obróciła i podbiegła do wozu. Jej twarz płonęła.

– Heinrich, jakiś problem? – To musiał być ten drugi.

– Nagły przypadek. Jakaś sparaliżowana kobieta na ulicy.

– Tu nikt nie ma wstępu. – Głos kolegi brzmiał władczo.

Drugi esesman przybliżył się szybkim krokiem.

– Wynosić się stąd, migiem! – Grzmotnął pięścią w maskę ambulansu.

Ala, która siedziała już z powrotem za kierownicą, spojrzała błagalnie na pierwszego mężczyznę, ale jego twarz była obojętna.

– Słyszała pani: trzeba odjechać!

Jeszcze przez dwie kolejne godziny Ala i Irena przeczesywały ulice małego getta w nadziei, że wypatrzą Ewę w którymś skupisku ludzi albo że zostaną przepuszczone przez choćby jedną blokadę. Obie desperacko liczyły na to, że wszystko skończy się dobrze. Ale na próżno.

Na Umschlagplatzu Irka i Nachum również bezskutecznie wypatrywali Ewy wśród tysięcy ludzi. Potem wszyscy niczym skamieniali odprowadzali wzrokiem ostatni pociąg opuszczający plac tego dnia. Czy Ewa była w jednym z wagonów? Czy już kilka godzin wcześniej dotarła do Treblinki?

Późnym wieczorem Irena leżała na łóżku z twarzą zwróconą ku ciemnemu prostokątowi okna. Adam otoczył ją od tyłu ramieniem. Jej oczy płonęły a gardło było suche. Czuła się kompletnie pusta w środku.

– Zawsze powtarzała: co ma być, to będzie – wyjąkała. Jej ciało zeszywniało w nagłym skurczu. – I co? Czy rzeczywiście stało się tak, jak chciałaś? – Wbiła paznokcie w przedramię Adama i gorzko zaszlochała.

On trzymał ją mocno, przyciskając głowę do jej karku.

– Wracaj, Ewo! – krzyknęła Irena. – Ty głupia, kochana Ewo! – Jej całe ciało dygotało, wstrząsane gwałtownym, rozdzierającym płaczem.



Rozdział 34

Ludwig Fischer wziął jeszcze jeden plaster pieczeni i dodatkową pyzę, pokroił ją na małe kawałki i dolał sobie więcej sosu. Następnie odprawił personel z pokoju. Po drugiej stronie stołu siedział Heinz Auerswald, komisarz żydowskiej dzielnicy mieszkaniowej. Ogromne dwuskrzydłowe okna w mieszkaniu Fischera były szeroko otwarte, przez co zapewniały w salonie przyjemnie ciepły wieczorny powiew. Do tej chwili rozmawiali tylko o błahostkach. Ale teraz Fischer przeszedł do właściwego powodu ich spotkania.

– Według pańskich raportów akcja Reinhardt przebiega w sposób zadowolający...

Heinz Auerswald otarł usta białą płócienną serwetką.

– Nadzwyczaj zadowolający. W ciągu minionych tygodni nie odnotowaliśmy żadnego znaczącego oporu. To było wręcz banalnie proste i potwierdziło naszą ocenę rasy żydowskiej jako elementu skrajnie prymitywnego. Niezdolnego do walki czy obrony.

Fischer pokiwał głową.

– Jak pan sądzi, ile jeszcze potrzebujemy czasu?

– Co najwyżej kilku tygodni. Większą część getta już zlikwidowaliśmy. Sierocińce są puste. Wkrótce opustoszeją szpitale. Zresztą i tak nie będą już potrzebne. – Uśmiechnął się. – Koniec z pozorami. Do końca września getto ma być ewakuowane.

– Z wyjątkiem tych, którzy pracują w niemieckich zakładach na terenie Warszawy. – Ludwig Fischer pociągnął łyk wina. – Akurat nie pamiętam ich liczby.

– Z ostatniego raportu wynika, że do końca września dostarczymy do Treblinki około trzystu osiemdziesięciu tysięcy mieszkańców getta. Czyli oficjalnie do pracy przymusowej pozostanie jeszcze około trzydziestu tysięcy.

– Oficjalnie? – Fischer uniósł brwi.

Auerswald zawahał się przez moment.

– No cóż, mimo wszelkiej staranności należy oczywiście założyć, że istnieje pewna liczba niezgłoszonych przypadków. Niektórym wciąż udaje się uniknąć czystek, chociaż oficjalnie nie są z nich zwolnieni.

Fischerowi zaczynał już działać na nerwy biurokratyczny żargon jego gościa. Choć sam miał doktorat z prawa, lubił nazywać rzeczy po imieniu.

– Chce pan powiedzieć, że paru Żydów okpiło nas i ukrywa się gdzieś w getcie?

– Otóż to.

– Ilu?

Auerswald zrobił niepewną minę.

– Przypuszczamy, że można mówić o kolejnych trzydziestu tysiącach.

– Trzydziestu tysiącach? Nie do wiary! – Fischer westchnął. – Oni są jak kurz. A jego nie sposób całkiem pozbyć się z kątów. – Auerswald się

roześmiał, Fischer zaś kontynuował: – Nieważne. Na razie dajmy im spokój i zrobmy w Treblince miejsce dla innych gett. A tymi, którzy się nam wyślizgnęli, zajmiemy się, kiedy tylko poczują się bezpiecznie.

– Czy może pan to jakoś umiejscowić w czasie?

Fischer odłożył nóż i widelec na pusty talerz i rzucił obok serwetkę.

– Może odczekajmy przez święta. Obstawiam styczeń. Ale to oczywiście nie zależy ode mnie. – Gdy zobaczył, że Auerswald również skończył jeść, zaproponował: – Koniaku?



Rozdział 35

Irenę obudził promień wczesnego słońca padający na jej twarz. Otworzyła oczy i w pierwszej chwili nie rozpoznała pokoju. Żelazne łóżko, koślawy stolik, a przy niej leżał stary pluszowy miś z nieudolnie przyszytą łapką. Usiadła przerażona. Gdzie ona jest? Czowała, jak ogarnia ją panika. Nagle sobie przypomniała. No jasne! Jest w pokoju córki Racheli. Łóżeczko dziewczynki było już puste, podobnie jak materac na podłodze tuż obok, na którym spędził noc sześciolatek Sergiusz. Jego ucieczka przez budynek sądu na razie się nie powiodła. Dzisiaj miała się odbyć druga próba.

Irena opadła jeszcze na posłanie i natychmiast znowu pojawiła się ta myśl: Ewa nie żyje. Przez kilka dni po jej zniknięciu szukali jej wszędzie – bezskutecznie. Od tego czasu żal i smutek co rano po przebudzeniu z powrotem wpychały Irenę w poduszkę. Jej oczy napęśniały się łzami, a ciało stawało się ciężkie jak z ołowiu. Tak było również teraz. Nie jestem w stanie się podnieść, pomyślała. I nie dam rady przeprowadzić Sergiusza kanałami. Do tego potrzeba odwagi i energii. A mnie nie starcza woli nawet na to, aby zwlec się z materaca. Czowała, jak po jej policzkach toczą się gorące łzy. Otarła je, po czym nagle wstała, ubrała się i poszła do kuchni.

– Właśnie zamierzałam cię obudzić. Wszystko w porządku? –
Rachela popatrzyła na nią z z troskaniem.

Irena z ociąganiem skinęła głową. Sergiusz siedział przy stole, zajadając kromkę chleba.

– Wybacz, mały był tak strasznie głodny, i teraz nic nie zostało. Ale już posłałam Aarona z Avą do piekarza. Powinni zaraz wrócić.

Irena spróbowała się uśmiechnąć. Załatwianie praktycznych spraw pomaga. Trzeba robić krok za krokiem. Tak jak Rachela. Tylko że ona ma męża i dziecko, którzy jej to ułatwiają. Nie powinnam narzekać, szybko upomniała samą siebie. Przecież ja mam matkę i Adama. I niemal każdego dnia nowe dziecko, którego życie zależy od mojej przytomności umysłu. Wypiwszy szklanekę wody podaną jej przez Rachelę, poczuła, jak na nowo wstępuje w nią duch walki. Jeśli teraz pozwoli się stłamsić, Niemcy wygrają.

Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że zostało im niewiele czasu. Specjalnie nocowała z Sergiuszem u Racheli, żeby najwcześniej jak to możliwe spróbować zejść do kanału.

– Aaron powinien być lada chwila – powtórzyła przyjaciółka, jakby czytała w myślach Ireny.

Kolejne minuty mijały w pełnym napięcia milczeniu. Irena dłubała przy swoim zegarku, Rachela umyła talerz i sprzątnęła okruchy ze stołu.

– Musimy iść – stwierdziła w końcu Irena i wstała. Pogłaskawszy Sergiusza po włosach, zwróciła się do niego: – No, gotowy na wielką przygodę?

Chłopiec skinął głową, szeroko otwierając oczy.

– Nie będę zamykać drzwi, żeby Aaron i Ava mogli się dostać, jak wrócą. Pewnie stoją w piekarni w kilometrowej kolejce – powiedziała przepraszająco Rachela.

Wyszli z domu we trójkę. Od kilku tygodni na ulicach było spokojnie, tylko przed sklepami ludzie stali aż na chodniku w nadziei, że uda im się kupić coś do jedzenia. Mijając z daleka piekarnię, Rachela rzuciła okiem na ogonek czekających, ale nie dostrzegła wśród nich Aarona i Avy. Pewnie dostali się już do środka. Rachela zmrużyła oczy, lecz przez szybę wystawową widać było tylko rozmyte kontury. Kilka minut później dotarły razem z Sergiuszem do cichej ślepej uliczki.

– Wszystko jak zawsze – szepnęła Irena. – Ty zostajesz tutaj. Jeśli ktoś się pojawi albo zobaczysz kogoś w oknie, schyl się i zawiąż sznurowadło. Pokrywa wjazdu jest tylko lekko wciśnięta. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, w niecałą minutę będziemy na dole.

Rachela potaknęła. Nie pierwszy raz pomagała Irenie, stojąc na straży. W skupieniu powiodła wzrokiem po oknach okolicznych mieszkań. Wszystkie zamknięte, wiele zaciemnionych. Na ulicy za jej plecami nie było nikogo. Widziała, jak Irena się pochyliła, uniosła okrągłą pokrywę i położyła ją obok wjazdu. Następnie pomogła chłopcu postawić stopy na najwyższym stopniu żelaznej drabinki. Kilka sekund później mały znalazł się już na tyle głęboko, że Irena mogła wejść za nim.

Rachela ponownie uważnie się rozejrzała. Kiedy zerknęła ostatni raz na koniec uliczki, pokrywa właśnie nasuwała się z powrotem na wjazd. Cała operacja rzeczywiście nie trwała nawet minuty. Rachela została jeszcze przez kilka sekund w miejscu, a następnie ruszyła do domu.

Kolejka przed piekarnią dodatkowo się wydłużyła. Mimo wczesnej godziny było już bardzo ciepło. Rachela przyspieszyła kroku. Gdy weszła na chłodną klatkę schodową, odetchnęła z ulgą. Wszystko poszło zgodnie z planem, dobrze będzie teraz zjeść kromkę świeżego chleba.

– Już jestem! – krzyknęła, zamykając za sobą drzwi.

Nikt jej nie odpowiedział.

– Aaron? – Zajrzała do kuchni. Nie było w niej nikogo, podobnie w sypialni i pokoju Avy. – Aaron? Ava?... Aaron? – Wbiegła znowu do kuchni, potem jeszcze raz do pokoiów. Obok łóżeczka córki podniosła z podłogi pluszowego misia i przez kilka sekund zatrzymała na nim wzrok. – Ava – wyszeptała ponownie.

A potem wypadła z mieszkania.

W tym czasie Irena brnęła z Sergiuszem przez niskie kanały systemu kanalizacyjnego. Cienie ich przygarbionych sylwetek podskakiwały w świetle latarki w górę i w dół na mokrych, brudnych ścianach, a ich stopy grzęzły po kostki w lepkim, brejowatym szlamie. Gorące i cuchnące powietrze zapierało Irenie dech w piersi, wywołując ciągły odruch wymiotny.

– Długo jeszcze? – dobiegł słaby głosik Sergiusza.

– Już niedaleko – odpowiedziała mechanicznie Irena. Musiała być skoncentrowana, jeśli miała nie zabłądzić w tym rozgałęzionym systemie korytarzy, którego nauczyła się na pamięć.

Z góry docierały pierwsze odgłosy ruchu ulicznego. Gdzieś przejechała z turkotem furgonetka, rozległ się klakson, słychać było urywane *staccato* końskich kopyt. Zbliżali się do strony aryjskiej.

Nagle Sergiusz się zatrzymał.

– Chcę do domu. – Jego usta ułożyły się w podkówkę. – Boję się... Chcę do cioci Ludy... – Z oczu potoczyły się łzy.

– Pst – szepnęła Irena. – Cichutko. – Pochyliła się nad nim i otarła mu policzki. – Tam, dokąd idziemy, jest plac zabaw, pamiętasz, mówiłam ci. I dużo innych dzieci. Przecież ci obiecałam.

– A ciocia Luda?

To było dla Ireny najtrudniejsze pytanie. Chłopiec miał znaleźć schronienie w sierocińcu prowadzonym przez zakon katolicki niedaleko Warszawy. Siostry były cudownymi kobietami, gotowymi uczynić dla swoich podopiecznych wszystko i wiele dla nich zaryzykować. Na pewno będzie mu tam dobrze. Ale jednego Irena nie mogła mu zagwarantować – że zobaczy się jeszcze ze swoją ciotką, jedyną bliską osobą, jaka mu została. Kobieta opiekowała się bowiem przykutą do łóżka matką, której nie mogła zostawić samej.

– Ciocia Luda przyjdzie cię odwiedzić, jak tylko będzie mogła – szepnęła z ciężkim sercem.

Mimo to Sergiusz nie przestawał płakać. Akurat w tym momencie Irena usłyszała nieopodal stukot wojskowych butów. Szybko chwyciła chłopca za rękę i pociągnęła za sobą. Ruszyła na chybił trafił, byle dalej od odgłosu tych butów. Mały ze zdziwienia przestał łkać, a wkrótce znowu zrobiło się cicho. Zbyt cicho. Gdzie się podziały hałasy uliczne? Cholera! Irena przygryzła wargę. Dokąd skręciła w panice? Czy tylko się cofnęła, czy też nieopatrznie odbiła w złą stronę? Gdy znów usłyszała echo końskich kopyt, postanowiła iść za nim.

Podjęła właściwą decyzję. Wkrótce znaleźli się przed rozwidleniem, które rozpoznała, a zaledwie kilka minut później dostrzegła nikłe plamki światła przedostającego się przez szczeliny włazu. Kiedy stanęli pod nim, przyłożyła palec do ust i zaczęła nasłuchiwać. Najpierw nie słyszała nic. Później rozległy się kroki, które się zbliżały i oddalały. I znowu zapanowała cisza. W końcu do jej uszu dobiegł gwizd. Umówiona melodia. Czysto.

Dała znak Sergiuszowi i zaczęła wspinać się po metalowych stopniach.

Wiadomość o zniknięciu Racheli dotarła do Ireny dzień po przeprowadzeniu Sergiusza. Sąsiedzi opowiedzieli jej, że kiedy Aaron

i Ava nie wrócili z piekarni, próbowali zatrzymać Rachelę w domu, ale wyrwała się im i od tamtej pory już się nie pokazała. Przypuszczali, że pobięła na Umschlagplatz, żeby odszukać swoich bliskich, i pewnie też została wywieziona do Treblinki.

Irena poczuła tępy ból, który oddzielił ją od otoczenia niczym szyba z matowego szkła. Oddalił ją od wszystkiego i wszystkich, nawet od siebie.

Tymczasem Irena poznała tylko połowę prawdy: mąż i córka Racheli rzeczywiście zginęli w Treblince, ją zaś Niemcy wcielili do komanda robotników przymusowych, których dzień w dzień wczesnym świtem prowadzono na stronę aryjską, aby w jakimś warsztacie sortowali szmaty.

Rachela poddawała się temu wszystkiemu całkowicie bezwolnie. Utrata bliskich zgasiła w niej wolę życia. Nie miała pojęcia, ile dni czy tygodni minęło od deportacji Aarona i Awy. Z martwym spojrzeniem robiła, co jej kazano, nawet nie zauważając innych kobiet i mężczyzn w brudnych ubraniach roboczych obok siebie. Czuła się otępiała, pusta, jak marionetka, której jest wszystko jedno, w jakim kolejnym przedstawieniu zagra i czy potem zostanie zniszczona lub wyrzucona.

Również w ten jesienny poranek przeszła wraz z innymi przez punkt kontrolny, gdzie spisano ich personalia. Teraz stała od kilku godzin przy jednym z długich stołów. Jej ręce mechanicznie przerzucały stare ubrania. W sali panowała duchota. Czuć było potem i brudnymi szmatami.

Dopiero po kilku chwilach dotarło do niej to, co szepnęła jej sąsiadka przy stole.

– To dzisiaj. Nie wracamy do getta. Uważaj na hasło, bo wtedy się zacznie.

Rachela nic nie czuła. Ani podniecenia, ani strachu. Nie wiedziała, jak brzmi hasło, i było jej to obojętne. Pracowała dalej, jakby nic nie miało się wydarzyć.

Potem ciszę rozerwał strzał, po którym nastąpiły krzyki.

– Na miejsca! Wracać! – wrzeszczeli wachmani.

Robotnicy rozbiegli się na wszystkie strony, niektórzy piszczełi ze strachu, gdy padły nowe strzały. Rachela też puściła się przed siebie. Nie zastanawiała się nad niczym, nawet nie wiedziała, dokąd niosą ją nogi. Jak owca w stadzie uciekała z innymi w kierunku bocznego wyjścia. Kolejne strzały, mężczyzna obok niej padł trafiony na ziemię. Ona pędziła dalej. Przed nią były otwarte drzwi, za nimi rozpościerała się ulica. Ci, którym udało się dotrzeć aż tutaj, rozpierzchli się na wszystkie strony. Rachela biegła i biegła. Gorący oddech zatykał jej gardło. Pot kapał z włosów. Strzały za jej plecami ucichły, ale ona wciąż pędziła przed siebie.

Zatrzymała się na ulicy, która wydała jej się nieznajoma. Domy wirowały wokół, pot zalewał jej oczy, uginały się pod nią kolana. Dyszała, jej płuca płonęły, spragnione powietrza. Ludzie omijali ją wielkim łukiem, poszturchiwali się, wymieniali znaczące spojrzenia i odchodzili jak najdalej. Robocze ubranie i gwiazda na ramieniu zdradzały, że Rachela jest żydowską robotnicą przymusową. W każdej chwili któryś z przechodniów mógł podnieść alarm. Ale w jej głowie wciąż była pustka.

– Rachela? Jezus Maria!

Ktoś chwycił ją za rękę. Spojrzała w twarz, którą jakby skądś знаła. Para zielonoszarych oczu wpatrywała się w nią z przerażeniem. Uścisk stał się mocniejszy.

– Musisz stąd zniknąć. Szybko!

Dała się wciągnąć w bramę domu.

Ala podzielała smutek Ireny. Zniknięcie Ewy i Racheli było ciosem nie do zniesienia. Prawdopodobnie obie straciły życie w Treblince. Jednak żal po przyjaciółkach nie był jedynym powodem, dla którego w ostatnie noce Ala wyjątkowo źle spała. Od kilku dni jej córka znajdowała się u rodziny zastępczej po aryjskiej stronie. Ona sama odmówiła ucieczki i rozstała się z Rami z krwawiącym sercem. Chociaż świadomość, że dziecko jest bezpieczne, była pocieszająca, dotkliwie odczuwała brak swojej małej dziewczynki, jej radosnego śmiechu, gdy wieczorem córka obejmowała ją na dobranoc za szyję. Rami była jej jedynym promykiem światła, szczególnie od czasu, gdy razem z Nachumem musiała porzucić punkt pomocy na Umschlagplatzu. Im mniej ludzi zostało w getcie, tym mniejszą wagę Niemcy przywiązywali do zachowania pozorów. Któregoś ranka bez żadnych ceregieli zlikwidowali ich stanowisko, a im dali jasno do zrozumienia, że mają się tam więcej nie pokazywać. Od tej pory Ala znowu spędzała całe dni w klinice, przy czym ani na chwilę nie opuszczało jej poczucie, że zawiodła. Co noc dręczyło ją wspomnienie twarzy tych niezliczonych biedaków, których nie zdołała uratować, a w szpitalu w końcu wcale nie było lepiej.

Ze znużeniem pchnęła ciężkie drzwi frontowe dużego budynku.

– Mamy spotkanie w pokoju pielęgniarskim! – krzyknęła do niej w przelocie jedna z koleżanek.

Ala uniosła brwi, o nic jednak nie spytała. Ponieważ w oszczędnie umeblowanym pokoju nie było już wolnych krzeseł, oparła się o ścianę. Z każdą sekundą przybywało pracowników szpitala. Przy drzwiach stał starszy lekarz, z narastającym niepokojem przyglądając się zgromadzonym.

– Wobec tego zacznijmy – powiedział, kiedy już nikt więcej się nie pojawił. Poprawił sobie okulary i wyjął kartkę z kieszeni kitla. Ala

rozpoznała z daleka, że to niemieckie obwieszczenie. Coś się w niej ścisnęło. Co jeszcze mogło się zdarzyć po tych wszystkich cierpieniach ostatnich miesięcy? W pokoju podniósł się szmer.

– Cisza! – krzyknął ostro lekarz, którego Ala знаła dotychczas jako nadzwyczaj miłego człowieka. – Dziś rano w całym mieście rozwieszono to ogłoszenie. Od tej chwili Niemcy gwarantują amnestię wszystkim Polakom, jeśli wydadzą Żydów, którym pomagali albo których ukrywali.

Żadnej reakcji.

W końcu odezwała się młoda pielęgniarka na praktyce:

– Przecież Polacy, którzy pomagali Żydom, nagle nie zmieniają zdania i ich nie zadenuncjują.

– Nigdy nie wiadomo – warknął jeden z sanitariuszy. – Niektórym może zaczęły ciążyć wysiłek i odpowiedzialność, więc odetchną z ulgą, że mają okazję bezkarnie umyć od wszystkiego ręce.

– Według mnie to jest początek końca – stwierdził lekarz, który przyniósł obwieszczenie. – Najwyraźniej Niemcy koniecznie chcą znaleźć jeszcze tych Żydów, którzy ukrywają się już od dłuższego czasu. Chcą dopaść każdego, bez wyjątku. – Powiódł spojrzeniem po wszystkich. – Chyba wiecie, co to dla nas oznacza?

Na chwilę znowu zapadła cisza, po czym odezwała się młoda lekarka:

– Chodzi o nasze rodziny tu, w szpitalu!

Lekarz skinął głową. Wielu medyków, sióstr i sanitariuszy sprowadziło swoich bliskich do kliniki i zarejestrowało ich jako pacjentów, aby ocalić ich przed deportacją. Wystarczyłaby jedna jedyna kontrola, aby zdemaskować cały system.

– Kto ma w szpitalu dzieci, rodziców lub męża albo żonę, musi znaleźć dla nich inną kryjówkę i... – Mężczyzna w białym kitlu przerwał, gdy skrzydła drzwi wejściowych na parterze z hukiem uderzyły o ścianę.

W następnej chwili na pokrytej linoleum podłodze rozległ się tupot wojskowych butów. Kroki wyraźnie się rozdzieliły, wydawano instrukcje po niemiecku. W korytarzach niosły się echem pierwsze okrzyki:

– Wstawać z łóżek! Wychodzić!

Przez chwilę wszyscy w pokoju stali jak sparaliżowani, nagle odezwała się młoda pielęgniarka, a jej głos brzmiał tak, jakby miała całkiem zwyczajną rzecz do stwierdzenia:

– Chyba przyszła nasza kolej. Ewakuują nas.

W mgnieniu oka wszyscy rozbiegli się bez słowa. Ala oprzytomniała dopiero na korytarzu. Co robić? Uciekać? Tylko jak? Potem przebiegła jej przez głowę inna myśl. Oddział dziecięcy! Jeśli jest jeszcze cokolwiek do uratowania, to jedynie dzieci...

Puściła się biegiem wzdłuż korytarza. Kiedy wyjrzała zza rogu, zobaczyła esesmana stojącego przed leżanką, na której leżał starszy mężczyzna.

– Wstawać... Szybciej!

– To jest pan Pollock! – krzyknęła, niewiele myśląc. – On już nie może chodzić. On...

Nie zdążyła dokończyć zdania, gdy esesman wyciągnął pistolet i strzelił staruszkowi w głowę. Potem odwrócił się do niej. Intuicyjnie puściła się pędem w kierunku, z którego nadbiegła. Na oddział dziecięcy można było się dostać również inną drogą.

Ze wszystkich stron dochodziły przeraźliwe krzyki i płacz. Dudniło echo kroków, ludzie biegali na oślep tam i z powrotem, nie wiedząc, co ze sobą począć. Strażnicy pilnowali wszystkich wyjść. Nie było jak się wydostać. Kątem oka Ala zobaczyła przez otwarte drzwi jednej z sal zaprzyjaźnioną lekarzkę stojącą przy łóżku pacjentki.

– Milena? – Weszła szybko do sali. Lekarka spojrzała na nią przerażona. – Chodź ze mną – rzuciła Ala. – Próbuję się dostać na oddział dziecięcy. Może uda się coś jeszcze zrobić. – Przerwała.

Twarz Mileny zastygła, w jej oczach pojawiły się łzy. Ala zaczęła wątpić, czy ona w ogóle ją zrozumiała. O co chodzi? Przeniosła spojrzenie na łóżko, na siwowłosą kobietę o zapadniętych policzkach, a potem na drżące dłonie trzymające maleńkie pudełeczko. Wszystko stało się jasne. Staruszka jest matką Mileny, a w pudełeczku znajdował się jedyny prezent, jaki ona mogła jej jeszcze podarować: spokojna śmierć z rąk kochającej córki.

– Dołączę do ciebie tak szybko, jak będę mogła – odezwała się bezbarwnym głosem Milena.

Ala kiwnęła głową. Chciała coś dodać. Jakieś słowo pocieszenia lub pokrzepienia, lecz nie znalazła żadnego. Jeszcze przez moment patrzyła na młodą lekarzkę, po czym pospieszyła dalej.

Tuż przed oddziałem dziecięcym spotkała pędzącego z naprzeciwka Damiana, piętnastolatka, który wiele tygodni temu szukał w szpitalu schronienia i od tamtej pory pracował w nim jako pomoc kuchenna. Zatrzymała go i mocno nim potrząsnęła. Chłopak wpatrywał się w nią nieprzytomnie i rozpoznał ją dopiero po dłuższej chwili. Ala wpadła na pewien pomysł.

– Posłuchaj mnie – zwróciła się do niego. – Musisz coś dla mnie zrobić. Rozumiesz?

Potaknął bez słowa.

– Pobiegnij do kuchni i powiedz, żeby załadowali furgonetkę pustymi skrzynkami i workami. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, niedługo przyjdę na dół z kilkorgiem dzieci, tak?

– Tak.

Ruszyła dalej. Pomysł był ryzykowny, lecz na nic lepszego nie wpadła. Okna znajdującej się w piwnicy kuchni wychodziły na boczną ulicę. Po tej stronie budynku nie było żadnego wejścia, istniała więc nadzieja, że Niemcy nie postawili tam wachmanów. Furgonetka dostawcza w ciągu dnia zawsze parkowała tuż przed niskimi oknami piwnicy. Gdyby nic im nie przeszkodziło, mogliby wydostać się z dziećmi na zewnątrz przez okienka i wywieźć je dostawczakiem między skrzynkami. To szaleństwo, ale nie mieli nic do stracenia.

Na oddziale dziecięcym panował nie mniejszy chaos niż w pozostałej części szpitala. Na szczęście Niemcy jeszcze tu nie dotarli, lecz dzieci, wystraszone krzykami rozlegającymi się w budynku i desperacją sanitariuszy, opuściły łóżka i z płaczem błąkały się po korytarzach.

Z przytomnością umysłu Ala sięgnęła po łyżkę i basen i zaczęła wybijać metaliczny rytm. Płacz przycichł. Wokół niej stopniowo zaczęli się zbierać mali pacjenci, a także sanitariusze. Wkrótce otaczało ją kilkadziesiąt dzieci. Pochlipywały już tylko nieliczne.

– Posłuchajcie mnie uważnie – zaczęła bardzo spokojnym tonem. – Zaraz wyjdziemy wszyscy razem na dwór. Nic wam się nie stanie, jeśli będziemy zachowywać się cicho, dobrze? Każde starsze dziecko weźmie dwójkę maluchów za ręce. Jeśli ktoś umie nieść niemowlę, to świetnie. Nikt nie może zostać w salach. Na koniec chcę widzieć same puste łóżka. Tylko musimy się pospieszyć. Najpierw zejdziecie wszyscy ze mną na dół. No, ruszamy!

Kilka minut później ponad trzydziestka dzieci i kilku sanitariuszy podążyło za nią sekretnymi skrótami do kuchni. Przy otwartych oknach piwnicy stało już dwóch pomocników kuchennych.

– Furgonetka jest wyładowana skrzynkami – poinformował jeden z nich, wskazując głową na zewnątrz.

– Świetnie, to zaczynamy. Potrzebujemy ludzi na ulicy, żeby odbierali dzieci i chowali je w samochodzie. Będziemy je im podawać.

Każdy bez słowa robił swoje, a maluchy intuicyjnie zrozumiały, o co chodzi. Pilnie śledziły każdy ruch dorosłych i przechodząc z rąk do rąk, zachowywały całkowitą ciszę. Wszystko przebiegało zadziwiająco szybko.

Żeby tylko starczyło nam czasu, zanim Niemcy dotrą do kuchni, modliła się w duchu Ala.

Została wysłuchana. Kiedy niedługo później furgonetka skręciła za róg, Ala wprost nie mogła w to uwierzyć. Naprawdę to zrobili! Przewiezienie tylu dzieci naraz przez bramę było oczywiście niemożliwe. Wiele zależało od tego, czy uda się je ukryć w różnych miejscach getta, zanim Irena i inni przerzucą je na aryjską stronę. Ale teraz ona i sanitariusze musieli pomyśleć o sobie.



Rozdział 36

Pod koniec września wstrzymano transporty do Treblinki. Getto było na dobrą sprawę prawie puste. Osiemdziesiąt pięć procent jego mieszkańców stracono w obozie. Wśród tych, którzy zostali oszczędzeni dzięki kartom pracy, znajdowali się Ala, jej kolega Nachum Remba i matka Beaty, Hania Kosler. Ponadto tysiące mieszkały w getcie na dziko, ukrywając się w piwnicach, na strychach i między podwójnymi ścianami. Wiele z nich to osierocone dzieci w różnym wieku niemające żadnych bliskich. Irena była zdesperowana. Wiedziała, że powinni podwoić wysiłki. Ale jak? Rodziny przyjmujące przemycone dzieci potrzebowały finansowego wsparcia, tymczasem środki, jakimi dysponowała jej siatka, nie wystarczały, zwłaszcza że Niemcy ograniczyli budżet Wydziału Opieki Społecznej i Zdrowia Publicznego do minimum.

Potem przyszedł październik i pierwsze ulewne jesienne deszcze, które splukały kurz lata, zamieniając go w brunatne strumienie płynące ulicami. Irena miała całkiem przemoczone skarpetki, kiedy usiadła przy polakierowanym na niebiesko stole w kuchni Stanisławy Bussold. Przybrana matka małej Beaty postawiła przed nią parujący kubek

kawowego erztatu, po czym zajęła miejsce naprzeciw niej. Beata zasnęła na jej ramieniu z buzią zaczerwienioną od płaczu.

– Zeszłej nocy kiepsko spała – powiedziała kobieta i dodała: – Właściwie to nie planowałam jej zatrzymać. Miała zostać tylko na kilka pierwszych dni. Ale kiedy już się tu znalazła, po prostu nie potrafiłam jej oddać.

– Bardzo się cieszę, że ją zatrzymałaś – rzekła Irena, popijając kawę. – Czy masz jakieś wiadomości od jej rodziny?

Stanisława westchnęła.

– Tak, Hania nadal pracuje w getcie w zakładach Toebbensa, co jest prawdziwym błogosławieństwem. Od czasu do czasu brygadzysta pozwala jej tu zadzwonić. Wtedy mówi do Beaty przez słuchawkę, a ta jej słucha z szeroko otwartymi oczami, śmieje się i popiskuje. Rozpoznaje głos mamy. Kiedy Hani zbiera się na płacz, szybko się rozłącza, a mała zaczyna wtedy marudzić, ja natomiast czuję się winna, że jest przy mnie, a nie przy własnej matce. – Po krótkiej pauzie mówiła dalej: – Ojciec Beaty nie żyje. Zastrzelili go na Umschlagplatzu. Podobno nie chciał wsiąść do wagonu. Ale dziadek nadal żyje. Przydzielili go do brygady, która pracuje po aryjskiej stronie w jakiejś niemieckiej firmie.

Irena pokiwała powoli głową.

– Na razie „akcja wysiedleńcza” jest zakończona. Jeśli Beata będzie miała szczęście, kiedyś może wróci do swojej mamy i dziadka. W fabryce Hania jest jako tako chroniona, chociaż nie ufam temu pozornemu spokojowi.

– Ja też nie. – Przez jakiś czas obie milczały, po czym Stanisława powiedziała nieco niepewnym tonem: – Chciałam cię uprzedzić, że Beata niedługo zostanie ochrzczona.

– Co takiego? – Irena zareagowała gwałtowniej, niż zamierzała. Po chwili dodała nieco spokojniej: – Ale dlaczego? Przecież to w ogóle nie jest konieczne.

– To pomoże w jej kamuflażu. Stanie się prawdziwą katolicką dziewczynką. Wtedy już nikt nie będzie mógł niczego podejrzewać.

– Wiesz przecież, że równie dobrze mogę zdobyć dla niej perfekcyjnie podrobione świadectwo chrztu. Od razu jutro pójdę...

– Nie. – Głos Stanisławy zabrzmiał prowokacyjnie. – Beata jest teraz pod moją opieką i uważam to za właściwy krok.

– A ja nie – sprzeciwiła się ostro Irena. – W ten sposób odbieramy jej rodzinie ostatnie, co im zostało: przynależność ich córki do ich własnej wspólnoty wyznaniowej.

Choć wpatrywała się przenikliwie w Stanisławę, twarz kobiety pozostała niewzruszona. Irena wiedziała, że nie zdoła zmienić podjętego przez nią postanowienia. Westchnęła ciężko, bo chociaż także była katoliczką, irytował ją fakt, że wiele z przemyconych dzieci chrzczono, wyrywając je tym samym z kręgu tradycji właściwej ich biologicznym rodzinom. Nic jednak nie mogła na to poradzić.

Po wizycie u Stanisławy Bussold Irena długo walczyła ze sobą, aż w końcu się zdecydowała. Lekko mżyło i niebo było zasnuwane chmurami, gdy stanęła w pobliżu bramy, przez którą co wieczór dziadek Beaty wracał ze swoją brygadą z robót. Jeśli będzie miała szczęście, być może odprawa zajmie wystarczająco dużo czasu, by zdążyła powiedzieć mu o planowanym chrzcie Beaty. Chociaż było jej przykro, że jeszcze bardziej przygnębi tego przygarbionego mężczyznę, uważała za swój obowiązek przynajmniej poinformowanie rodziny.

Miała szczęście. Pół godziny później dostrzegła pana Koslera wśród innych robotników. Podczas gdy cała grupa czekała na kontrolę, Irena

podeszła do niego.

– Dzień dobry, panie Kosler – powiedziała cicho.

Kiedy mężczyzna odwrócił głowę, na poranej zmarszczkami twarzy pojawił się uśmiech.

– Pani Sendlerowa... jak się miewa nasza Beatka? – Jego oczy nagle rozbliły. Zdjąwszy czapkę z głowy, poprawił ręką siwe kosmyki. Widać było, że to spotkanie wywołało w nim niepokój. Irena przeklęła samą siebie za swój pomysł. Jak mogła mu to zrobić? Musiała jednak być z nim szczerą.

– Z Beatką wszystko w porządku – odparła z uśmiechem. – Czasami bywa solidną krzykaczką, ale to cudowne dziecko.

Jego wąskie usta uniosły się w jeszcze szerszym uśmiechu.

– Będzie z niej mały uparciuch, jak wszyscy w rodzinie – rzekł z dumą.

Coraz mocniej padało. Irena czuła wilgoć na ramionach, łysina pana Koslera błyszczała od wody, ale on zamiast z powrotem wcisnąć na głowę czapkę, nerwowo miętosił ją w rękach.

– Muszę coś panu powiedzieć – zaczęła nieśmiało Irena. Po czym szybko dodała: – Beata zostanie niedługo ochrzczona. Przykro mi. Gdyby to ode mnie zależało, nie doszłoby do tego, ale niestety nie mam na to wpływu.

Stary mężczyzna wpatrywał się w nią przez kilka sekund oniemiały. Jego usta lekko się rozchyliły i dolna warga zaczęła drżeć. Oczy się zaszklily. Potem zamknął usta i głośno przełknął łzy. Jabłko Adama poruszało się gwałtownie w górę i w dół. Deszcz padał jeszcze intensywniej. Z przodu rozległy się krzyki i cała grupa przesunęła się o kilka kroków dalej. Dziadek Beaty odwrócił się i dołączył do reszty. Również Irena ruszyła z miejsca. Liczyła na to, że pan Kosler jeszcze

obejrzy się za nią, ale on stał nieruchomo ze wzrokiem utkwionym gdzieś prosto przed siebie.

Prawie całe popołudnie Irena spędziła w getcie i dopiero gdy zaczęło się ściemniać, wróciła do biura. Jedynie pod nielicznymi drzwiami widoczna była wąska smuga światła. Zmęczona powiesiła wilgotny płaszcz na wieszaku, założyła włosy za uszy i usiadła przy biurku. Jeszcze tylko parę obowiązkowych raportów do napisania, a potem będzie mogła pójść do Adama. Na korytarzu co jakiś czas rozbrzmiewały kroki, zbliżały się, a potem milkły. Szklane drzwi na klatkę schodową otwierały się i zatrzaśkiwały z hałasem. Chyba została już sama. Właśnie podpisywała jakiś dokument, gdy rozległo się pukanie.

– Wejść! – rzuciła szorstko. Drzwi się uchyliły i do środka weszła młoda koleżanka, z którą Irena nie miała dotąd wiele do czynienia. – Cześć, Stefano! Ty też jeszcze tutaj?

– Mogę usiąść? – spytała kobieta.

– Jasne, o co chodzi?

– Czy ty zajmujesz się także rachunkami? – Wskazała głową papiery leżące na biurku.

– Nie, piszę raporty. – Irena nie potrafiła ukryć podejrzliwości.

– A ja właśnie robiłam podsumowanie budżetu. Ale sama wiesz, jak jest. Odkąd Niemcy zablokowali nam wszystkie środki, na nic nie starcza pieniędzy. To smutne.

– Niestety – wtrąciła Irena i trochę się rozluźniła, tymczasem ku jej zaskoczeniu Stefania nagle wstała. Przedtem jednak szybko położyła na stole małą karteczkę.

– Są ludzie, którzy mogą nas wesprzeć w naszej pracy. Nie jesteśmy sami. Wyrzuć, proszę, ten adres, bez względu na to, czy zdecydujesz się

tam pójść, czy nie. A jeśli się wybierzesz, spytaj o Trojana. – Przez twarz Stefanii przemknął uśmiech. – Dobranoc! Nie pracuj za długo.

Po czym odwróciła się i wyszła, zanim Irena zdążyła cokolwiek odpowiedzieć.

Sięgnęła po kartkę i przeczytała: „Żurawia 24, mieszkania 4, trzecie piętro”. Myślała gorączkowo. Stefania nie należała do siatki, lecz najwyraźniej wiedziała o działalności Ireny więcej, niż ta sądziła. A może po prostu przypuszczała, że ona też boryka się z takimi samymi brakami finansowymi jak wszyscy inni pracownicy wydziału? W takim razie po co te tajemnice? Kartka z adresem, którą ma zniszczyć. Trojan. To pewnie pseudonim...

Odchyliwszy się na krześle, ściągnęła brwi. Takie kierowane pozornie dobrymi intencjami oferty mogły się okazać niebezpieczne. Może koleżanka chciała ją podpuścić, żeby potem wydać Niemcom? Lub – kto wie? – Stefania sama została przez kogoś wrobiona i teraz mimo woli pociągnie za sobą także innych.

Irena obracała kartkę w palcach. W końcu wstała, wzięła płaszcz i wyszła z biura. Przejechawszy kilka metrów na rowerze, zatrzymała się przy najbliższej studzience kanalizacyjnej. Wyjęła skrawek papieru z kieszeni, porwała go na strzępy, a następnie wrzuciła je w otwory żelaznej pokrywy i pojechała dalej.

Żurawia 24. Najchętniej wymazałaby ten adres z pamięci. To było zbyt niebezpieczne. Przecież za mało wie o swojej koleżance. Jeżeli ona i jej przyjaciółki na razie nie wpadły w ręce Niemców, to tylko dzięki temu, że przestrzegały ustalonych zasad. Ale czy na pewno? Od razu przypomniało jej się kilkoro dzieci, które wciąż żyją wyłącznie dlatego, że ona i pozostali podejmowali ryzyko wbrew wszelkiemu rozsądkowi. Ponadto ich możliwości finansowe się wyczerpały – najzwyczajniej

w świecie nie było pieniędzy, aby pomóc wszystkim dzieciom, które jeszcze przetrwały w getcie.

Na najbliższym skrzyżowaniu nie skręciła jednak w ulicę prowadzącą do mieszkania Marii Kukulskiej, u której ukrywał się Adam. Niedługo potem odstawiła rower przed kamienicą z tabliczką Żurawia 24. Jej serce łomotało jak szalone, gdy delikatnie zapukała do drzwi mieszkania numer cztery na trzecim piętrze. Jeśli zaraz nikt się nie pojawi, to będzie znak, uznała. Wtedy pójdę i już nigdy tu nie wrócę.

– Kto tam? – odezwał się cicho kobiecy głos.

– Jolanta – odszepnęła Irena, chociaż nie miała pojęcia, czy to imię cokolwiek mówi tamtej osobie.

Drzwi się otworzyły i szczupła kobieta o krótkich siwych włosach wpuściła ją do środka.

– Proszę wejść...

– Miałam spytać o Trojana – powiedziała Irena zniżonym głosem, kiedy starsza pani zamknęła za nią drzwi wejściowe. Nie otrzymała odpowiedzi. Na końcu korytarza kobieta otworzyła przed nią drzwi do zaciemnionego pokoju.

– Tutaj.

Wyglądający mniej więcej na pięćdziesiątkę mężczyzna wstał z fotela. Jego twarz skrywał cień, ponieważ jedyne źródło światła stanowiła nieduża lampa naftowa na bocznym stoliku. Był krępy, miał ciemną brodę i krzaczaste brwi. Zbliżywszy się do Ireny, zlustrował ją dokładnie.

Jeśli to jest pułapka, powinna zatrzaskać się teraz, przemknęło jej przez głowę. Nieznajomy wyciągnął do niej rękę. Nie bez wahania Irena podała mu dłoń.

– Domyślam się, że ma pani obawy, ale niepotrzebnie – rzekł, wskazując na krzesło. – Jestem Trojan z nowo powstałej organizacji podziemnej Żegota. Działamy pod parasolem Armii Krajowej.

Irena słyszała o tajnym ruchu oporu i organizacji wojskowej. Należeli do niej partyzanci walczący w podziemiu przeciwko niemieckiej okupacji.

– Armia Krajowa jest ramieniem zbrojnym polskiego państwa podziemnego i jest wspierana przez londyński rząd na uchodźstwie – wyjaśnił Trojan.

– Wiem – odpowiedziała Irena z uśmiechem. Poczła się bezpieczniej.

Mężczyzna zrewanżował się jej także uśmiechem.

– To dobrze. Słyszałem, że dysponuje pani sprawnie działającą siatką, która przemyca żydowskie dzieci z getta i je ukrywa.

Twarz Ireny natychmiast stężała, ale Trojan szybko uzupełnił:

– Żegota ma własną sekcję opieki nad dziećmi. I mamy środki finansowe. Rząd na uchodźstwie dostarcza nam pieniądze, korzystając z pomocy skoczków spadochronowych. Brakuje nam natomiast efektywnej siatki, takiej jak stworzona przez panią. Dlatego chcę zaproponować pani współpracę. Proszę do nas dołączyć. Nie będziemy ingerować w pani sposób działania. Odpowiedzialność za wasze akcje nadal będzie spoczywać wyłącznie na was, ale my możemy je finansować. Oprócz tego mielibyście dostęp do naszych tajnych skrytek pocztowych... punktów kontaktowych, gdzie pieniądze i informacje zmieniają właścicieli. Mamy też jedno konspiracyjne mieszkanie. Co pani na to?

Irena miała gonitwę myśli w głowie. Właśnie dokładnie tego potrzebowali. Środków na finansowanie akcji przy zachowaniu

autonomii. Czy to nie było zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe?

– Nawiasem mówiąc, nazywam się Julian Grobelny – dodał mężczyzna. – Teraz wie pani o mnie więcej niż ja o pani. Ale na podstawie tego, co o pani słyszałem, sądzę, że mogę pani w pełni zaufać, i mam nadzieję, że niebawem moje zaufanie zostanie odwzajemnione.

– Irena Sendlerowa, miło mi.

Spontanicznie wyciągnęła ku niemu rękę.

Grobelny mocno uściskał jej dłoń.

– Muszę już iść, zaraz godzina policyjna – powiedziała Irena kilka dni później, jeszcze raz oplatając Adama ramionami pod kocem.

– Mogłabyś przenocować – zachęcał, głaszcząc ją po plecach. – W nocy jest strasznie zimno bez ciebie.

– Wiem. – Irena pocałowała go delikatnie i otarła twarz o jego policzek. – Ale nie mogę wciąż zostawiać mamy samej. I tak zbyt ją zaniedbuję.

Jeszcze raz pocałowali się czule, po czym Irena w końcu wstała i ubrała się szybko. Para wydobywająca się z jej ust zamieniała się w ciemności i zimnie pokoju Adama w białe obłoczki. Kiedy spojrzała na niego, leżał wyciągnięty na plecach i nieruchomo wpatrywał się w sufit.

– Muszę już iść – powtórzyła, on jednak ani drgnął.

– Wiem, że to brzmi absurdalnie – odezwał się wreszcie. – Ale zazdroszczę ci. Ty możesz coś zrobić. Pomagasz dzieciom, czuwasz nad matką. Słyszałem, że w getcie powstaje ruch oporu. Przygotowują powstanie. Mężczyźni i kobiety. Podobno są już setki. Przemycają broń zza muru i fabrykują ją własnymi siłami. Jeżeli Niemcy rozpoczną

kolejną akcję, będą walczyć. Wreszcie zaczną się coś dziać. Oni się bronią. Ja też mógłbym tam być.

Irena spojrzała na niego z poważną miną.

– Mimo to cieszę się, że jesteś nie tam, tylko tutaj.

Adam prychnął cicho.

– Gdzie tkwię... jak kanarek w klatce. Chodzę z pokoju do pokoju. To jedyne, co robię dzień w dzień od rana do wieczora. Jestem bezużyteczny. Co więcej, narażam Marię i jej córkę na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Irena zerknęła przelotnie na zegarek. Zrobiło się naprawdę późno. Mimo to usiadła znowu na brzegu łóżka obok Adama.

– Może znajdzie się jednak coś, co mógłbyś robić – powiedziała.

On też usiadł.

– Teraz, kiedy dzięki Żegocie mamy więcej pieniędzy niż kiedykolwiek do tej pory, przydałby mi się ktoś, kto pomógłby prowadzić księgowość. W tym momencie mamy co miesiąc do dyspozycji wręcz niewyobrażalne osiemdziesiąt tysięcy złotych, z których możemy opłacać fałszywe papiery, transport i utrzymanie naszych podopiecznych. A w kolejnych miesiącach prawdopodobnie dostaniemy jeszcze więcej. Ale oczywiście nie możemy wydawać tych pieniędzy ot tak sobie. Powinniśmy wszystko skrupulatnie wyliczyć. Tyle że na prowadzenie porządnej księgowości nie starcza nam już czasu. Jak myślisz, może mógłbyś nam w tym pomóc?

– Prowadzenie ksiąg rachunkowych zamiast ruchu oporu? No świetnie!

Irena spojrzała mu prosto w oczy.

– Nie zamierzam cię tu więzić wbrew twojej woli. Jeżeli chcesz dołączyć do powstańców w getcie, nikt nie zdoła cię powstrzymać. Ale pamiętaj o jednym. Ja cię potrzebuję. I twoja matka także.

Adam długo nic nie mówił. A potem rzucił:

– Ja ciebie też.

Irena przyciągnęła jego głowę ku sobie i pocałowała go namiętnie. Kiedy po chwili odsunęła się od niego, jej wzrok padł na zegar. Struchlała.

– O nie! Zaraz się zacznie godzina policyjna!

Pożegnała się z nim pospiesznie i błyskawicznie zbiegła po schodach. Powrót do domu rowerem zajmował jej zwykle około kwadransa. Tyle czasu już nie miała. Ciemne ulice opustoszały. Irena jechała chodnikiem pod murami domów. Mimo wilgotnego chłodu była zlane potem. Dlaczego właściwie nie została u Adama?

Nagle w zaparkowanym aucie tuż przed nią rozbłysły reflektory. Przeraziła się. Jaskrawe światło ją oślepiło. Zachwiała się na rowerze. Po obu stronach samochodu otworzyły się drzwi, wysiadło dwóch mundurowych.

– Stać!

Irena ani myślała wykonać ich polecenia. Błyskawicznie zawróciła i ruszyła w kierunku, z którego przyjechała. Za jej plecami kliknęło. Doskonale znała odgłos odbezpieczanego pistoletu, mimo to się nie zatrzymała, a po odbiciu za róg kamienicy na razie zniknęła z linii strzału. Potem usłyszała, że drzwi pojazdu się zatrzasnęły i zapuszczono silnik.

Myśl, modliła się. Znasz to miasto lepiej niż Niemcy. I rzeczywiście wpadła na pewien pomysł. Jedna z najbliższych bocznych uliczek była na tyle wąska, że nieprzejezdna dla samochodów. Irena naciskała na

pedały najmocniej jak potrafiła. Światło reflektorów za plecami bardziej czuła, niż je widziała. Nareszcie. Jest. Odbiła w uliczkę. Auto z tyłu zatrzymało się z piskiem opon. Znowu otworzyły się drzwi. Ale nim padł pierwszy strzał, ona skręciła już po drugiej stronie za róg.

Jedynie sobie znanymi skrótami Irena dotarła wreszcie do domu. Gdy przytuliła swoją wylęknioną matkę, zrozumiała, jak wiele ryzykowała.

Uspokoiła się jako tako dopiero dobrą godzinę później. Zjadły coś razem, a mama raz po raz ścisnęła ją za rękę. Nie zadawała pytań. Wiedziała, że córka dla jej własnego bezpieczeństwa nie może opowiadać o swojej działalności. Po zmyciu naczyń starsza pani położyła przed nią na stole niedużą paczuszkę.

– Dziś po południu przyniosła to jakaś dziewczyna – powiedziała i wyszła z pokoju.

Irena wzięła zawiniątko do ręki. Dziewczyna? Pewnie jakaś mała przemytniczka. Zawartość pakieciku wydawała się miękka, tylko w jednym miejscu wyczuwało się coś wąskiego i twardego. Irena ostrożnie rozerwała papier i wyjęła z niego... delikatną białą koronkę. W pierwszej chwili nie wiedziała, co to jest, ale potem jej oczy zaszyły łzami. To była sukieneczka do chrztu, a obok leżał srebrny krzyżyk. Ostatni desperacki podarunek Koslerów dla ich małej Beatki, która niedługo zostanie ochrzczona.

Opadła na krzesło. Dopiero gdy do pokoju weszła znowu jej mama i ją przytuliła, Irena zorientowała się, że płacze.



Rozdział 37

Wieczorem 31 grudnia znowu zaczął padać śnieg. Późnym popołudniem Irena pożegnała się z mamą i jej przyjaciółkami i przez gęstą zamieć ruszyła do mieszkania Marii Kukulskiej, aby spędzić wieczór z nią, jej córką i Adamem. Miękki, świeży biały puch pod stopami, dzieci urządzające sobie bitwę na śnieżki na rogu ulicy, ciepły blask padający z okien o wczesnym zmierzchu – to wszystko przypominało jej przeszłość, czas sprzed wojny, który wydawał się odległy o lata świetlne.

Przechodząc obok bramy getta, Irena poczuła ukłucie w sercu. Ulice za murem leżały puste. Nie paliły się żadne latarnie, okna w domach ziały czernią. Wszystko było pogrążone w ciemności, jakby już nikt nie żył w tej dzielnicy, a przecież wciąż mieszkali tam ludzie. I to całe tysiące, pochowani w lodowatych piwnicach i na wietrznych poddaszach. Wystraszeni i niewidzialni.

W mieszkaniu u Marii było ciepło. Z okazji sylwestra przyjaciółka napaliła we wszystkich pokojach.

– Mniam, ale pięknie pachnie! Może przyda się moja pomoc? – zaproponowała Irena, wchodząc do kuchni.

– No pewnie. Zrobimy pączki i upieczemy chleb. Zaraz zagnieciemy ciasto.

Irena zawiązała sobie fartuch wokół bioder. Zgodnie z noworocznym zwyczajem razem z Marią uformowały z ciasta chlebowego różne dziwne zwierzęta, a gdy potem wsunęły już swoje dzieła do pieca, Maria stwierdziła:

– Właściwie to powinniśmy zabawić się dziś we wróżenie. Tylko nie wiem, czy to na pewno dobry pomysł. No wiecie, z powodu ziemi.

Irena zastanowiła się przez chwilę. Wróżby były popularną sylwestrową tradycją. Na stole umieszczano różne przedmioty: szklanek z wodą, miseczkę z ziemią, klucz, gałązkę mirtową, różaniec i pierścionek. Następnie każdemu uczestnikowi po kolei zawiązywano oczy, aby po omacku wybrał jedną z rzeczy, które uprzednio jeszcze raz poprzesuowano na blacie. Każda z nich miała specjalne znaczenie, a ta konkretna, wybrana przez daną osobę była zapowiedzią nadchodzącego roku. Ziemia oznaczała śmierć i pogrzeb.

– W pewnym sensie masz rację – powiedział Adam. – Ale czy mamy pozwolić jeszcze na to, żeby Niemcy odebrali nam naszą sylwestrową tradycję? A jeżeli nawet ktoś z nas wybierze ziemię, to co z tego? Przecież wszyscy jesteśmy świadkami śmierci, i to codziennie.

– Słusznie – potwierdziła córka Marii, Anna. – Nie boję się ani tej gry, ani śmierci. Daj spokój, mamo, zabawmy się jak co roku!

Maria tylko się roześmiała i wyraziła zgodę.

Zaczęli zaraz po kolacji. Pierwsza była Anna. Wyciągnęła różaniec i czuła się wyraźnie zawiedziona.

– Pobożność, co za nuda!

– Wcale nie – stwierdziła jej mama i mocno ją uścisnęła. – To coś wspaniałego, o czym zawsze dla ciebie marzyłam.

Anna przewróciła oczami, pozostali zaś wybuchnęli śmiechem.

Teraz przysła kolej na Adama. Trafił mu się klucz.

– Wzorowe gospodarowanie? – Zrobił sceptyczną minę w kierunku Anny. – Według mnie to jeszcze nudniejsze od pobożności, ale przynajmniej pasuje do mojej nowej funkcji księgowego.

Następnie Irena zawiązała sobie oczy, a Adam przemieszał przedmioty na stole.

– Ojej! – Poczowała, jak się czerwieni. Po omacku znalazła pierścionek.

– Zareczyny, super! – wykrzyknęła Anna, imitując ustami wiele drobnych pocałunków.

Irena z rozbawieniem pokręciła głową, jej policzki zaś pały coraz mocniej.

– Chce mi się pić! – zawołała wesoło, unikając spojrzenia Adama i ucinając komentarze.

Kiedy nadeszła północ, wzniesli toast, ucałowali się i złożyli sobie nawzajem życzenia.

– Może mi nie uwierzysz, ale wiele razy myślałem o tym, że bardzo chciałbym ci podarować pierścionek – szepnął Adam, gdy siedzieli we dwójkę na kanapie. I dodał: – Gdyby to tylko było możliwe.

Irenę trafiło to jak piorun z jasnego nieba. Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. W środku czuła szal radości, lecz w spojrzeniu Adama krył się smutek, a ona domyślała się dlaczego. Jasne, trwała wojna. Nie chodziło jednak wyłącznie o to. Mimo że ona i Mietek od lat żyli osobno, na papierze wciąż byli małżeństwem.

Czułym gestem odgarnęła mu włosy z czoła.

– Kiedyś wojna się skończy – powiedziała cicho. – Mietek wróci i wtedy ja... wtedy my będziemy wolni. – Pocałowała go w usta. –

W każdym razie nigdy cię nie opuszczę.

Oczy Adama się uśmiechnęły. Przytulił ją do siebie.

– Szczęśliwego nowego roku, Ireno. A przynajmniej lepszego. I wspólnego, cokolwiek on przyniesie.

– Wspólnego – powtórzyła za nim.

Jeszcze nie zdążyły przebrzmieć noworoczne życzenia, gdy rok 1943 pokazał swoją prawdziwą twarz. Już w styczniu Niemcy rozpoczęli nową akcję.

„Tym razem zlikwidują getto na dobre”, słychać było na każdym rogu w mieście. Niektórzy mówili to z aprobatą, inni – ze współczuciem.

Również w getcie wiedziano, że stawką jest wszystko. W pierwszym dniu „akcji” grupie uzbrojonych młodych ludzi udało się odeprzeć Niemców w zbrojnym ataku. W poprzednich miesiącach mozolnie i cierpliwie szmuglowano broń do getta i teraz wróg, któremu nigdy nie przyszłoby do głowy, że Żydzi będą się bronić, ustąpił zaskoczony. Pierwszy raz z ich rąk zginęli niemieccy żołnierze. Ale już następnego dnia Niemcy pojawili się z dodatkowymi posiłkami i zdławili pierwszy zbrojny opór w getcie. W ciągu kilku dni tysiące wywieziono do Treblinki. Przerażeni i zdesperowani ludzie coraz częściej podejmowali ryzykowną ucieczkę z getta, a siatka Ireny pomagała, jak tylko mogła. Wszyscy potrzebowali bezpiecznych kryjówek, ubrań, pieniędzy i dokumentów.

Potem, pod koniec stycznia, nastąpił dotkliwy cios. Przepustki, dzięki którym Irena i jej koleżanki wchodziły do getta, zostały unieważnione. Lakoniczne wyjaśnienie: monitorowanie rozmiarów zarazy przestało być konieczne w dzielnicy, w której wkrótce już nikt nie będzie mieszkał. Odcięto także ostatnie połączenia telefoniczne z gettem. Kto wciąż w nim pozostał, był zdany wyłącznie na siebie. Chociaż

kontakt z Alą również się urwał, Irena mimo to się nie poddała. Porozumiała się z grupą nastoletnich przemytników i razem z nimi nadal wyprowadzała kanałami dzieci poza mur, gdzie czekali na nie ludzie z jej siatki i kierowali je dalej. Była to codzienna walka o przetrwanie, a im zajadziej Niemcy polowali na ostatnich mieszkańców getta, żeby ich deportować, tym żarliwiej Irena i koleżanki starały się ich ocalić. Liczba bibulek papierosowych, na których Irena zapisywała stare i nowe nazwiska dzieci, rosła z każdym dniem.

Irena już dawno przestała cierpieć na bezsenność. Podczas gdy wcześniej całymi nocami nie mogła zmrużyć oka albo męczyły ją koszmary, teraz padała na łóżko jak zabita i spała mocno i głęboko. Tak było również tego wieczoru na początku marca. Dlatego najpierw w ogóle nie usłyszała pukania do drzwi.

– O co chodzi...? – W końcu się ocknęła i zerwała się przerażona. Zerknąwszy na kuchenny stół, upewniła się, że słoik z bibułkami stoi na nim gotowy. W razie gdyby przyszło gestapo, wystarczyło tylko otworzyć okno i wyrzucić cieniutkie papierki, aby poszybowały nad podwórkiem.

Znowu delikatne pukanie. To nie Niemcy, uznała. Oni przychodzili z hałasem. Ostrożnie otworzyła drzwi i ujrzała przed sobą zdezorientowane twarze czwórki brudnych dzieci. Obok nich stała mniej więcej piętnastoletnia dziewczyna, w której oczach malował się strach.

– Jolanta?

Irena kiwnęła głową. Szybkim ruchem ręki kazała im wejść i rzuciła okiem na drzwi po przeciwnej stronie klatki schodowej. Jak długo pukano, zanim się obudziła? W przeciwieństwie do niej starsza pani z naprzeciwka zazwyczaj chodziła spać późno.

Po cichu zamknęła drzwi i przyłożywszy palec do ust, poprowadziła ociekające wodą dzieci do łazienki.

– Co się stało? – spytała szeptem.

Dłoń piętnastolatki drżała, gdy odgarnęła nią kosmyk włosów z czoła. Potem wyjaśniła:

– Byłyśmy we dwie. Moja koleżanka z trzema dziećmi i ja z tą czwórką. Ona pobiegła trochę przed nami i nagle pojawił się patrol. Nie miała szans, ale my zdążyliśmy się ukryć. Nas nikt nie zauważył.

Irena przygryzła wargę. A więc Niemcy złapali nastoletnią przemytniczkę z trójką dzieci. Trudno sobie wyobrazić gorszy scenariusz, bo teraz gestapo zabierze ich na Pawiak i torturami będzie próbowało wydobyć z dziewczyny informacje o kontaktach i metodach działania. Czy ona to wytrzyma? Ta myśl była nie do zniesienia.

Ale w tym momencie Irena musiała myśleć o dzieciach, które miała obok siebie. Nastolatka umyła się szybko i wyszła. Spieszyła się.

Irena spojrzała w milczące twarze dzieci.

– Muszę was umyć – wyjaśniła. – Jutro rano, kiedy minie godzina policyjna, zaprowadzę was do waszych kwater. – Gdy dzieci wciąż milczały, dodała: – Wszystko jest w porządku, nic wam nie grozi. – A jednocześnie pomyślała o tym, co one z pewnością wiedzą. Wszystkie maluchy z grupki, która biegła przed nimi, nie żyły. Po raz kolejny zdecydował przypadek, kto mógł żyć, a kto nie. Irena rozpałała drewnem pod kuchnią i nastawiła wielki gar wody.

Niech to szlag! Zapomniała kupić mydło. Może da radę bez niego? Ale ubrania dzieci strasznie cuchnęły ściekami. Irena spojrzała na zegarek i zaczęła się gorączkowo zastanawiać. Minęła pierwsza... czyli było tylko jedno rozwiązanie. Wyszła na korytarz i zapukała do drzwi po przeciwległej stronie klatki. Otworzyły się zadziwiająco szybko.

– Pani Sandlerowa? – powiedziała starsza pani, chociaż wcale nie wyglądała na zaskoczoną.

– Serdecznie panią przepraszam – zaczęła Irena z przyjaznym uśmiechem. – Nie niepokoiłabym pani, gdybym nie wiedziała, że pani zawsze chodzi bardzo późno spać... tak samo jak ja. Martwię się o mojego męża. Zwłaszcza nocą dręczy mnie niepokój. Pewnie pani wie, że jest w niemieckim obozie jenieckim.

Sąsiadka pogłaskała ją po ramieniu.

– Biedne dziecko.

– Dlatego na każdy wieczór wynajduję sobie jakieś zajęcie – kłamała dalej. – Dzisiaj właśnie zabrałam się do prania, ale akurat skończyło mi się mydło. Czy nie ma pani przypadkiem zbędnego kawałka?

Oczy kobiety się zwęziły.

– Ależ oczywiście.

Obróciła się, a po chwili wróciła z kostką mydła w ręce.

– Bardzo dziękuję.

Kiedy Irena znalazła się znów u siebie, wielki garnek z wodą nie stał już na kuchni. Poszła do łazienki. Jej matka klęczała przed małą dziewczynką i pomagała się jej rozebrać.

– Mamo?

Matka się odwróciła. Choć Irena unikała wtajemniczenia jej w swoją działalność, ona z pewnością i tak wielu rzeczy domyśliła się sama. Im mniej jednak wiedziała, tym była bezpieczniejsza. Nie wspominając już o tym, że nerwy i zmartwienia szkodziłyby jej słabemu sercu.

– No co tak stoisz, jakbyś wrosła w ziemię? – Spojrzenie mamy było ciepłe, ale stanowcze. – Daj mi mydło i bierz się do roboty, zanim te małe łobuziaki przeziębą się na śmierć w tych swoich mokrych rzeczach.

Irena nie miała wyboru. Pochyliła się i ucałowała matkę w głowę, zaczęła pomagać jednemu z chłopców zdjąć kurtkę.

Odkąd przepustka Ireny straciła ważność, a Niemcy odcięli ostatnie połączenia telefoniczne z gettem, istniała tylko jedna możliwość, by upewnić się, czy u Ali wszystko jest w porządku: Irena czekała po aryjskiej stronie, aż przyjaciółka, która pracowała teraz w niemieckich warsztatach Toebbensa na terenie getta i mieszkała w piwnicy, będzie przechodziła w drodze z fabryki obok punktu kontrolnego. Jeśli miały szczęście, udawało się im wymienić na migi kilkoma informacjami. Za pośrednictwem nastoletnich przemytników Irena regularnie przekazywała jej jedzenie i lekarstwa, a ona rozdawała je ukrywającym się rodzinom. Począwszy od akcji przeprowadzonej w styczniu, żyjący jeszcze w getcie ludzie odważali się wyjść na kilka godzin na zewnątrz jedynie nocą, aby zaczerpnąć trochę powietrza i zdobyć coś do jedzenia. W ciągu dnia chowali się we własnoręcznie zbudowanych bunkrach.

Ale w ten pochmurny kwietniowy wieczór wszystko wyglądało inaczej. Kiedy Irena wyszła zza węgła ostatniego domu przed bramą, stanęła jak wryta. Tak samo jak zeszłego lata przed pierwszą akcją wysiedleńczą getto było otoczone pierścieniem ciężkich transporterów i uzbrojonych po zęby żołnierzy. Waffen-SS, pomyślała. A to mogło oznaczać wyłącznie jedno: rozpoczęła się ostatnia bitwa o getto.

– Hej, ty tam! Wynoś się stąd! – Jeden z Niemców ruszył w jej kierunku z ręką spoczywającą na karabinie. Irena ostatni raz spojrzała na ulicę po drugiej stronie bramy. Ali nie było. Odwróciła się więc i zniknęła za rogiem domu.

Kilka minut później to samo spotkało Alę po drugiej stronie muru. Ledwie zdążyła przystanąć na sekundę na wysokości punktu kontrolnego, podszedł do niej z wyciągniętą bronią wachman. Zdjęta

przerażeniem pobiegła dalej, przedtem jednak kątem oka dostrzegła długi sznur ciężkiego sprzętu i kolumny żołnierzy: getto było otoczone!

Zamiast ruszyć do domu, pospieszyła do bunkra swoich przyjaciół. Od miesięcy była w kontakcie z członkiniami i członkami ŻOB-u, nowej żydowskiej organizacji bojowej. Wielu z nich pracowało wcześniej w ogniskach kulturalnych i młodzieżowych na terenie getta. To wszystko należało dzisiaj do historii, jakiegokolwiek życie w getcie przestało już być możliwe. Bojownicy zgodnie uznali, że zbyt długo beczynn timer przyglądali się temu, co Niemcy robili z nimi w getcie. Podczas styczniowej akcji wysiedleńczej po raz pierwszy stawili opór, jednak wtedy byli jeszcze zbyt słabo uzbrojeni i w ciągu kilku dni musieli się poddać. Od tamtej pory wiele się wydarzyło. W całym getcie powstały setki dodatkowych kryjówek i bunkrów, a liczba przeschmuglowanej broni i samodzielnie wyprodukowanych koktajli Mołotowa znacznie wzrosła. Ponadto wszyscy intensywnie się szkolili.

Po podaniu hasła Ala została wpuszczona do niskiego pomieszczenia bez okien, które powstało dzięki wzniesieniu dodatkowej ściany i miało nawet podłączenie do kanalizacji. Było w nim nieopisanie duszno. Na podłodze siedziała grupa ciasno stłoczonych kobiet i mężczyzn.

– Getto jest otoczone. Niemcy planują nową akcję – wydyszała Ala, znalazłszy się w środku.

– Wiemy – powiedział młody mężczyzna o imieniu Marek.

– Proszę bardzo, niech sobie przychodzą – rzekła blada rudowłosa kobieta obok niego i się roześmiała. – Tym razem jesteśmy lepiej przygotowani.

– Tyle że teraz Niemcy spodziewają się oporu. Nie tak jak w styczniu, kiedy mogliśmy ich zaskoczyć.

Młoda kobieta wzruszyła ramionami.

– Spodziewają się tego samego, co byliśmy w stanie zrobić w styczniu. A przez ten czas dołączyły do nas setki ludzi. Nasze grupy czekają przyczajone w całym getcie. Mamy dobrą sieć komunikacyjną i setki bunkrów połączonych tunelami i systemem kanalizacji. Zbudowaliśmy przejścia między piwnicami wszystkich domów. Poza tym dobrze znamy tutejszą topografię, a kiedy wejdą, możemy strzelać do nich z góry, z okien i z dachów. To nasza przewaga.

– Tak – potwierdził Marek. – Tym razem ich przyciśniemy. Będziemy walczyć do ostatniego bojownika, bo nie mamy już nic do stracenia.

– Do ostatniego bojownika i do ostatniej bojowniczkii. – Rudowłosa znów się roześmiała. Zabrzmiało to ponuro.

Ala została jeszcze kilka minut, a potem musiała iść. Tej nocy prawie nie spała. Myślała o swojej córeczce Rami i dziękowała Bogu, że jest bezpieczna po aryjskiej stronie. Jej przyjaciółka Ewa nie przetrwała getta. A jaki los czeka ją? Czy umrze? Być może już niedługo, lecz zanim to się stanie, będę walczyć, pomyślała. To jeszcze nie ten moment, czuję to. Wreszcie ogarnął ją spokój. Nie sposób przeciwstawiać się bez końca sile Waffen-SS, czołgom i pojazdom opancerzonym. Mimo wszystko dobrze było wreszcie się bronić. Ala przypomniała sobie bojowników. Czekali w piwnicach, bunkrach, na strychach. Długie godziny napięcia i niepewności w dusznej ciemności. Nagle padł pierwszy strzał, a po nim rozległa się ostra detonacja. Ktoś rzucił koktajl Mołotowa. Z daleka dobiegły krzyki. Nastąpiła gwałtowna wymiana ognia. Ala spojrzała na zegarek: 6.03. Zaczęło się.

Jürgen Stroop

SS- und Polizeiführer

Distrikt Warschau

Do

*Wyższego Dowódcy SS i Policji w Generalnym
Gubernatorstwie*

SS-Obergruppenführera i generała policji Krügera

lub pełniącego jego obowiązki

Kraków

Warszawa, 23 kwietnia 1943

Raport dzienny dot. Akcji w getcie 23.4.1943

(dzień piąty)

Podobnie jak w poprzednich dniach wkroczenie do getta o godzinie 6.00 w celu gruntownego przeszukania i likwidacji. Oddziały zostały natychmiast zaatakowane z broni palnej przez Żydów i bandytów. Jeden czołg i jeden wóz opancerzony stanęły w płomieniach i spłonęły. Została użyta dodatkowa grupa bojowa, jak również saperzy i ciężki sprzęt. Mimo ponownego ataku ze strony buntowników udało się przeczesać duży kompleks budynków. Odkryto i wysadzono wiele bunkrów i podziemnych przejść. Jednocześnie ujęto 300 Żydów, ale znaczna ich liczba zdołała uciec przez pozostałe tunele i korytarze. Dla przeciwdziałania temu wydałem rozkaz podpalenia całego kwartału domów. Wykurzeni w ten sposób Żydzi zostali albo zlikwidowani, albo przeznaczeni do ewakuacji. Obecność bandytów w systemie kanalizacji spowodowała konieczność zalania jego części. Po dokonaniu odkrycia, że przebiegli Żydzi przewozili ludzi w tak zwanych karawanach na cmentarz żydowski, umożliwiając im w ten sposób ucieczkę na stronę aryjską, także tutaj zarządzono szeroko zakrojone rewizje.

Łącznie schwytano około 3500 Żydów z istniejących jeszcze na terenie getta zakładów pracy i w celu wysiedlenia zapędzono ich na Umschlagplatz.

Do dzisiaj ujęto w celu ewakuacji: 19 450.

Z tego już wywieziono: 16 950.

Do załadowania pozostało: 2500.

Najbliższy transport nastąpi 24.4.1943.

Kontynuację akcji zaplanowano na 24.4.1943 na godz. 10.00, aby dać Żydom poczucie, że być może akcja dobiegła końca.

Siłły operacyjne:

Grenadierzy pancerni Waffen-SS

Kawaleria Waffen-SS

Policja Porządkowa

Służba Bezpieczeństwa

Trawniki Männer

Sprzęt, patrz dzień poprzedni

*SS- und Polizeiführer
im Distrikt Warschau
Podpisano: Jürgen Stroop
SS-Brigadeführer und
Generalmajor der Polizei*



Rozdział 38

Majowe ciepło bynajmniej nie poprawiło powietrza w bunkrach. Walki wkraczały już w trzeci tydzień. Początkowa euforia bojowników wywołana ich pierwszymi sukcesami przerodziła się w gorzkie otrzeźwienie.

Niemcy już dawno odłączyli prąd i Ala ledwie mogła dostrzec mozolnie stawiane litery, gdy na cudem zdobytej kartce papieru pisała list. W gruncie rzeczy nie wiedziała, do kogo tak naprawdę go kieruje: do Ireny czy do swojej córki Rami, która zrozumie jego treść dopiero za wiele lat – o ile w ogóle uda się go przemycić z getta. Dużo ryzykowała, dlatego nie używała żadnych imion ani nazwisk. Musiała jednak spróbować. Tęsknota za ludźmi, których kochała, była zbyt przemożna. Kiedy skończyła, kilka razy przeczytała list od pierwszego zdania do ostatniego. Miała wtedy poczucie, jakby rozmawiała z Rami, Ireną i innymi.

Moi Najdrożsi,

jakże wielka radość panowała tu wśród nas jeszcze kilka tygodni temu, kiedy na grupy niemieckich żołnierzy spadały pierwsze koktajle Mołotowa i widzieliśmy ich uciekających z krzykiem. To był tak niezwykły widok, że nie mogliśmy

wprost uwierzyć w to, co oglądaliśmy. Nasi bojownicy nie są wyszkolonymi strzelcami, mimo to udawało im się często trafić, i po raz pierwszy mogliśmy zobaczyć, jak Niemcy tracą pewność siebie. Biorący nogi za pas żołnierze w niemieckich mundurach, ze strachem wymalowanym na twarzach – wyobrażacie to sobie? Zbyt długo musieliśmy czekać na coś takiego. Oczywiście SS nie zajęło dużo czasu, aby odkryć nasz przemysłny system bunkrów i podziemnych przejść. Natychmiast zmienili taktykę i wrócili z psami, które wytropiły ludzi w jamach i norach. Ale to im nie wystarczyło. Żeby dopaść wszystkich co do jednego i wypłoszyć naszych bojowników z kryjówek, zaczęli podpalać całe kwartały domów. Wczoraj do późnej nocy widzieliśmy płomienie trawiące kamienice na Lesznie. Najpierw słychać było krzyki. Całe rodziny wyrzucały materace i pościel na ulicę w nadziei, że dzięki nim przeżyją skok z trzeciego lub czwartego piętra. Inni spuszczaali się po prześcieradłach. Ranni próbowali uciekać do domów, które jeszcze nie płonęły, ale nie mieli na to szans.

Na początku przynajmniej w nocy panował spokój. Wychodzono wtedy na ulice, żeby zdobyć jakiś prowiant albo przynajmniej zaczerpnąć trochę powietrza. Bo im mniej bunkrów, tym bardziej przepelnione są te, które pozostały. Ludzie godzinami siedzą w nich na twardej i wilgotnej ziemi, stłoczeni, bez ruchu. Ból kończyn i brak tlenu doprowadzają ich do obłądu. Podobno niektórzy się zdradzili, kłócąc się między sobą. Mam uszy i oczy szeroko otwarte. Także w naszym zakładzie są komórki ruchu oporu, ale ostatnie wiadomości są druzgocące. Brakuje wszystkiego. Wody, jedzenia, amunicji. Z każdym dniem sytuacja robi się coraz

bardziej beznadziejna. Także dla nas, pracujących w tutejszych zakładach i warsztatach. Większość została ewakuowana. Słyszałam, że transporty kierowane są nie tylko do Treblinki, ale i do obozu pracy w Poniatowej.

Niedawno spotkałam mamę małej B. Przez cały czas mówiła tylko o swojej córeczce i że nie może już zadzwonić do matki zastępczej, żeby chociaż usłyszeć głosik dziewczynki. Nic więcej dla niej nie istnieje. Próbowałam dodać jej otuchy, ale czy słusznie?

Gdybym nie wiedziała, że istniejecie, chyba bym zwariowała. Nie tylko z powodu własnego położenia, ale ogólnie, z powodu ludzi. Pewnie miałyście okazję widzieć jarmark, który odbywał się w święta wielkanocne tuż pod murem getta. I słyszałyście, że niektórzy jeździli karuzelą, żeby z góry popatrzeć na walki w getcie, jakby to była tylko kolejna atrakcja. Wyrafinowana atrakcja polegająca na tym, że ich dawni współmieszkańcy i sąsiedzi walczą tutaj o przetrwanie jak zwierzęta na polowaniu z nagonką. Oczywiście wiem, że polska armia podziemna próbowała przyjść naszym bojownikom z pomocą, ale najwyraźniej nic z tego nie wyszło.

Tak bardzo chciałabym zakończyć czymś miłym. Każdego dnia wspominam godziny, kiedy byliśmy razem. Nasz śmiech, nasze żarty, pyszne jedzenie, chociaż nawet już nie pamiętam smaku mnóstwa rzeczy. Beznadzieja w getcie staje się coraz bardziej przygnębiająca. Podobno nieliczni bojownicy, którzy przeżyli, rozważają ucieczkę i przyłączenie się do polskich partyzantów. Ja też łamię sobie głowę, czy wydostanie się stąd jest jeszcze możliwe, bo robi się coraz

trudniej. Niemcy wprowadzili gaz do kanalizacji. Wielu, którzy próbowali uciec tamtędy, zginęło.

Ale na razie postaram się jakoś przekazać Wam ten list. Pomyślcie o mnie, kiedy weźmiecie go do rąk. Przytulcie i ucałujcie moją dziewczynkę. Może kiedyś sama przeczyta to, co napisałam. A może to wcale nie będzie konieczne, ponieważ ja jej to wszystko opowiem. Życzcie mi powodzenia. Będzie mi potrzebne, bo jak wiecie, nie jestem stworzona, by się poddawać.

Ala złożyła kartkę tyle razy, że zrobił się z niej mały, owinięty sznurkiem prostokącik. Następnie wyczołgała się na zewnątrz i ostrożnie ruszyła wzdłuż ciemnych murów domów. Choć zjawiła się w umówionym punkcie przed czasem, młodociany przemytnik już czekał. Kiedy do niego podeszła, chłopak bez słowa wyciągnął rękę. Ala dała mu zwitek papieru i banknot.

– Dla Jolanty – szepnęła, choć on i tak już wiedział. Skinął głową, odwrócił się na pięcie i zniknął w ciemności.

Uważaj, chciała jeszcze dodać, ale było za późno. Nagle ogarnęło ją ogromne przygnębienie. Co przyniosą następne dni, tygodnie czy miesiące... o ile jeszcze w ogóle powinna myśleć w takich kategoriach czasowych. Może ten list był ostatnią nicią łączącą ją z ludźmi, których kocha? Tak zwane ostatnie słowa? Przestań!, ofuknęła samą siebie. Jeśli zaczniesz myśleć w ten sposób, to już przegrałaś. Nagle uświadomiła sobie, że wciąż stoi w ciemnej bramie jakiegoś domu. Każda minuta przebywania pod gołym niebem zwiększała ryzyko złapania. Pod osłoną mroku murów ruszyła z powrotem do swojej piwnicy.

Jürgen Stroop

SS- und Polizeiführer

Distrikt Warschau

Do

*Wyższego Dowódcy SS i Policji w Generalnym
Gubernatorstwie*

SS-Obergruppenführera i generała policji Krügera

lub pełniącego jego obowiązki

Kraków

Warszawa, 16 maja 1943

Dotyczy: Zakończenie Akcji w warszawskim getcie

*Tylko dzięki nieustrudzonej walce dniem i nocą udało się
zdławić zapamiętały opór Żydów i bandytów w warszawskim
getcie, który zmusił siły operacyjne do twardych
i nieustępliwych działań. Ostatecznie Akcja zakończyła się
sukcesem: dawna żydowska dzielnica mieszkaniowa nie
istnieje. Wniosek: od jej początku 19 kwietnia 1943 ujęto
i eksterminowano lub wysłano do obozów pracy łącznie
56 065 Żydów. Szczegółowe podsumowanie zostanie zawarte
w osobnym raporcie. Powyższa liczba nie obejmuje tych,
których zgładzono w niezbędnych eksplozjach
i podpaleniach.*

*Wielka Akcja została zakończona 16 maja 1943 o godzinie
20.15 wysadzeniem Wielkiej Synagogi. W żydowskiej dzielnicy
mieszkaniowej nie ma już żadnego zakładu pracy. Wszystkie
znajdujące się w dotychczasowych fabrykach surowce
i maszyny zostały wywiezione. Z wyjątkiem ośmiu budynków,
w tym siedziby policji i szpitala, getto zostało doszczętnie
zniszczone przez wysadzenie zabudowań w powietrze lub*

spalenie. Na jego terenie znajduje się duża ilość cegieł i złomu do dalszego wykorzystania.

Ostateczny raport zamykający zostanie opublikowany w terminie późniejszym.

SS- und Polizeiführer

im Distrikt Warschau

Podpisano: Jürgen Stroop

SS-Brigadeführer und

Generalmajor der Polizei

Szok po zniszczeniu getta nie opuszczał Ireny i jej przyjaciółek jeszcze przez wiele miesięcy. Setki tysięcy ludzi zostały wymordowane na oczach świata. Liczby przyprawiły o zawrót głowy, były wprost niewyobrażalne. Za każdym straconym istnieniem kryło się życie, indywidualna historia. Jak niewielu ona i jej koleżanki zdołały uratować w porównaniu z tymi, którzy zostali zgładzeni.

Jedynym jasnym punktem była wiadomość, że zarówno Ala, jak i Hania Kosler przeżyły akcję wysiedleńczą. Niemcy wywieźli je do pobliskiego obozu pracy w Poniatowej, gdzie szyto mundury wojskowe dla niemieckiego producenta tekstyliów Toebbensa. Choć nie były to najweselsze wieści, to dodawały otuchy. Ala miała naturę bojowniczkę. Jeśli komukolwiek mogło się udać, to na pewno jej.

Wraz z wyburzeniem getta skończył się też przemysł dzieci. Już nikt nie mieszkał w pilnie strzeżonych wypalonych ruinach. Za to na ulicach Warszawy pojawili się ci, którzy zdołali uciec podczas akcji. Wielu nie miało ani pieniędzy, ani kontaktów i dlatego chociaż narażali własne życie, pozostawała im jedynie ulica. Dzięki środkom otrzymanym z Żegoty Irena wynajęła na obrzeżach miasta kilka mieszkań, ponieważ prześladowani pilnie potrzebowali schronienia, kryjówki. Pieczę nad

tymi cichymi przystaniami mieli członkowie jej siatki, którzy oficjalnie byli ich jedynymi lokatorami, robili wszystkie zakupy i opiekowali się ukrywającymi się ludźmi.. Ta zzerająca nerwy praca wymagała odwagi i zarazem wyjątkowego wyczucia, ponieważ kapusie czyhali dosłownie wszędzie. Jeszcze wiosną przekonała się o tym niestety jej koleżanka Stefania, która wprowadziła ją do Żegoty. Po dniach niepokoju nadeszła pewność. Stefania została rozstrzelana razem z innymi więźniami. Mimo tortur niczego nie powiedziała.

Irena myślała o tym wszystkim, wracając w październikowy deszczowy wieczór kolejką podmiejską z podwarszawskiego Świdra, gdzie sprawdzała jedno z nowo wynajętych mieszkań. Za oknem przesuwiał się mroczny krajobraz, aż wreszcie wyłoniły się peryferie stolicy. Pociąg zatrzymywał się coraz częściej. Irena spojrzała na zegarek. Dzisiaj były jej imieniny. W panujących okolicznościach to właściwie żaden powód do świętowania. Janka uparła się jednak, że mimo wszystko do niej wpadnie.

Irena zsunęła się na wysłużonej drewnianej ławce. Pociąg trochę się spóźniał, a ona po drodze do domu chciała jeszcze wstąpić do pralni, która służyła organizacjom podziemnym jako tajna skrytka pocztowa.

W końcu wysiadła na dworcu w śródmieściu. Odnalazłszy swój rower, wytarła rękawem płaszcz mokre od deszczu siodełko. Musiała się spieszyć, jeśli chciała dotrzeć do pralni przed jej zamknięciem.

Na ulicach było ciemno. Kilkakrotnie w ostatniej chwili zdołała ominąć dziurę w jezdni. Widząc z daleka światło w oknie pralni, odetchnęła z ulgą. Oparła rower o latarnię i pchnęła drzwi, lecz te stawiały opór. Szarpnęła je lekko – ani drgnęły. Przycisnęła nos do dużej szyby. Nikt nie stał za ladą, na której stos ubrań czekał na przeniesienie w głąb zakładu.

Zerknęła na zegarek. Jeszcze dziesięć minut do zamknięcia. Z irytacją zapukała w szybę. Nic. Zapukała jeszcze mocniej, ale nikt się nie pokazał. Co teraz? W pralni czekały na nią prawdopodobnie pieniądze i ważna wiadomość. Jeśli bowiem znaleziono gdzieś żydowskie dziecko potrzebujące kryjówki, ją informowano jako pierwszą. Wolała nie pukać głośniej, a tym bardziej wołać, żeby nie zwrócić uwagi sąsiadów.

Kątem oka dostrzegła, że w sąsiednim mieszkaniu chyba lekko poruszyła się firanka. Zapukała ostatni raz, odczekała chwilę, po czym wróciła do roweru. Wydawało się dziwne, że właścicielka pralni zamknęła tak wcześnie, ale może miała coś pilnego do załatwienia przed godziną policyjną. Na pewno istniało jakieś wyjaśnienie. Irena postanowiła przyjść nazajutrz rano.

W domu przywitała się z mamą, potem umyła się i uczesała włosy niedawno podcięte przez Irkę. Z lewej strony wciąż były odrobinę dłuższe niż z prawej, chociaż Irka z zapamiętaniem starała się je wyrównać. Dopiero gdy fryzura stawała się coraz krótsza i krótsza, Irena, śmiejąc się, poprosiła koleżankę, żeby się nad nią zlitowała i wreszcie odłożyła nożyczki. Wielka szkoda, że ona i Jaga nie mają dziś czasu.

Usłyszała, że mama otwiera drzwi mieszkania i wita się z Janką. Najbliższe godziny spędziły, racząc się ciasteczkami domowego wypieku i likierem przyniesionym przez Jankę, która z powodu godziny policyjnej została na noc.

Kiedy Irena próbowała potem zasnąć, nagle ocknęła się ogarnięta paniką. Nazwiska dzieci! Zapomniała postawić słoik z kartkami na stole pod oknem. Ciężko westchnąwszy, zwlokła się z łóżka i naprawiła błąd. Przez chwilę stała przed ciemnym prostokątem okna wychodzącego na podwórze, po czym wróciła do łóżka i zapadła w sen.

Już niedługo obudziło ją walenie w drzwi wejściowe.

– Otwierać! Gestapo!

Zerwała się na równe nogi. Również Janka i mama już nie spały, tylko stały w kuchni z przerażeniem w oczach. Irena dziesiątki razy wyobrażała sobie tę sytuację. Niewiele myśląc, chwyciła słoik, otworzyła kuchenne okno... i raptem się cofnęła. Na podwórzu stali mundurowi, spoglądając w górę na ścianę domu.

– Cholera! Nie mogę wyrzucić kartek – szepnęła. Ogarnięta paniką spojrzała na Jankę. Przyjaciółka zrozumiała od razu: jeśli bibułki z nazwiskami trafią w ręce Niemców, tysiące ukrytych dzieci znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, podobnie jak ludzie, u których mieszkały.

– Im chodzi o ciebie, nie o mnie – rzuciła Janka i wyciągnęła rękę po słoik, a potem błyskawicznie wepchnęła cieniuteńkie bibułki papierosowe do stanika.

Tymczasem gestapowcy dobijali się do drzwi coraz brutalniej. Założyli łom. Irena pomyślała jeszcze o teczce z fałszywymi dokumentami ukrytej pod jej łóżkiem. Te papiery zajmowały zbyt dużo miejsca, poza tym nie było już na nic czasu.

Janka skinęła głową i Irena otworzyła drzwi. Do środka wtargnęła horda uzbrojonych mężczyzn, wpychając ją i matkę do kąta, podczas gdy dowódca drugiej grupy wykrzykiwał rozkazy. Jego podwładni rozpierzchli się po kuchni i reszcie mieszkania. Z kredensu leciały naczynia, a książki, cudem ocalone z ulicznej barykady na początku wojny, po raz drugi sypały się z półek. Krzesła przewracały się z hałasem. W powietrze wzbił się tuman piór, gdy jeden z gestapowców rozciął poduszkę.

Irena przygryzała wewnętrzną ściankę policzka niemal do krwi. Co będzie, jeśli gestapo zrobi im wszystkim trzem rewizję osobistą? Jeśli znajdą papiery pod łóżkiem? Przez otwarte drzwi do swojej sypialni widziała, jak właśnie runął na nie regał. Stara drewniana rama nie wytrzymała i złamała się. Łóżko przygniotło teczkę, a Niemcy najwyraźniej nie kwapili się, by je podnieść.

Irena nie potrafiła powiedzieć, ile minęło czasu, ale za oknem zaczynało już szarzeć, kiedy dowódca kazał jej się ubrać. Szybko wciągnęła spodnie i sweter. Dopóki Niemcy skupiają się na niej – jest dobrze. Najważniejsze, żeby zostawili w spokoju mamę i Jankę.

Kiedy chwilę potem dwaj gestapowcy pchnęli ją w kierunku wyjścia, nie miała odwagi spojrzeć na matkę. Kątem oka zobaczyła, że Janka otoczyła ją ramieniem. Była jej za to wdzięczna. Drzwi mieszkań sąsiadów pozostały zamknięte, mimo to Irena nie miała wątpliwości, że wszyscy nie śpią i nasłuchują. Kto z nich ucieszy się z jej aresztowania, a kto nie? Trudno powiedzieć, kto po której jest stronie.

Wyszli na ulewny deszcz. Silniki czarnych samochodów już szumiały. Irena została wepchnięta do jednego z nich. Gdy zatrzaśnięto za nią drzwi, przez zasłone deszczu spojrzała w górę na Jankę i mamę, które stały w mieszkaniu przy oknie.

Ruszyli. Irena wiedziała, dokąd ją zawiozą: do głównej siedziby gestapo przy alei Szucha. Tam zabierano więźniów, od których spodziewano się wyciągnąć informacje.

Jak wiele razy w ciągu ostatnich kilku godzin, pomyślała o Adamie. Listy z nazwiskami są na razie bezpieczne. Ryzyko stanowiła ona sama. Mocno zacisnęła zęby. Czy wytrzyma tortury? Od tego zależało bezpieczeństwo Adama i jej przyjaciół, ba, całej siatki.

Poruszyła nerwowo palcami dłoni ukrytej w kieszeni płaszcza. Co to jest? Poczowała, jak wzbiera w niej panika. Na dnie kieszeni miała listę

dzieci, którym zamierzała dzisiaj zanieść pieniądze. Stłumiła strach. Kątem oka dostrzegła, że gestapowiec obok niej przysnął. Na ile była w stanie, roztarła cienki papier na malutkie kuleczki. Szyba w bocznym oknie była lekko opuszczona. Irena błyskawicznie uniosła rękę i wyrzuciła strzępki na zewnątrz. Nikt niczego nie zauważył.

Dokumenty pod łóżkiem, bibułka z nazwiskami w biustonoszu Janki i teraz ta kartka. Mam nadzieję, że nie wyczerpałam jeszcze swojego szczęścia, pomyślała.

Kroki rozbrzmiewały donośnym echem, kiedy dwaj gestapowcy prowadzili Irenę długim korytarzem głównej kwatery gestapo. Niektóre drzwi były otwarte. Mimo wczesnej godziny mężczyźni i kobiety siedzieli już przy klekoczących maszynach do pisania. Podłogi były starannie wywoskowane, wysokie buty obu mężczyzn lśniły głęboką czernią. Perfekcyjna biurokracja śmierci.

Zatrzymali się przed jednymi z drzwi. Pukanie, potem głośne „Wejść!”. W pokoju siedział siwowłosa mężczyzna z uśmiechem na twarzy, który w innych okolicznościach mógłby się wydawać nawet sympatyczny.

– Dzień dobry, pani Sandler, proszę usiąść! – Irena usiadła. Mężczyzna mówił po polsku z niemieckim akcentem. – Imię Irena?

– Tak.

Zanotował.

– Zamieszkała?

Podawała adres.

– Data urodzenia?

– Czy byłabym tutaj, gdyby pan tego wszystkiego już o mnie nie wiedział? – rzuciła zaczepnie Irena, szybko jednak się opanowała. W jej

obecnym położeniu prowokacja była zupełnie nie na miejscu.

Mężczyzna rzeczywiście przerwał katalog banalnych pytań, odchylił się na krzesło i spojrzał na nią spod przymrużonych powiek. Teraz się zastanawia, jaką mam osobowość i jak mnie podejść, pomyślała z irytacją i obawą, że właśnie sama dała mu narzędzie do ręki.

– Pani Sendler – zaczął z ożywieniem mężczyzna. – Chcielibyśmy wiedzieć, gdzie przebywa Konrad Żegota.

Irena przeraziła się tak bardzo, że z trudem zdołała zapanować nad mimiką twarzy. Ale kilka sekund później wzięła się już w ryzy. Wyglądało na to, że gestapo ma informacje o Żegocie, lecz niedokładne, i chwyciło haczyk. Żegota bowiem to organizacja, a nie osoba. Pan Konrad Żegota został wymyślony jedynie dla ochrony, aby odwrócić uwagę od faktu, że za tą nazwą kryje się cała konspiracyjna siatka.

Irena pokręciła głową.

– Konrad Żegota? Nie znam nikogo takiego, naprawdę.

Mężczyzna spojrzał na nią z politowaniem.

– Pani Sendler, odkryliśmy jeden z waszych punktów kontaktowych – pralnię. Jej właścicielka była uprzejma podać nam pani nazwisko. – Otworzył szufladę i położył na biurku pękata tekturową teczkę. Jego dłoń spoczywała na brązowym kartonie. – Jak pani widzi, zaprzeczanie jest bezcelowe. Wiemy, że współpracuje pani z podziemiem. Więc pytam jeszcze raz: osoby kontaktowe? Kim jest Konrad Żegota?

Irena walczyła z paniką. Czy w tej teczce rzeczywiście są informacje o niej? Kobieta z pralni, którą najwyraźniej aresztowano dzień wcześniej, mogła zdradzić im co najwyżej imię Jolanta. Skąd Niemcy wiedzieli, że to ona się za nim kryje? Od jak dawna ją obserwują? Czy wiedzą o przemycanych dzieciach? I o Adamie?

– Czasami chodzę do pralni, to prawda. Ale jeśli jej właścicielka współpracuje z podziemiem, to nie ma to nic wspólnego ze mną. Musieliście mnie z kimś pomylić.

Mężczyzna pokiwał głową znudzony. Nie spodziewał się innej odpowiedzi. Na początku wszyscy mówią to samo, ale po paru dniach stają się rozmowniejsi. Czasami wystarczy jedna jedyna sesja. Dał znak wartownikowi przy drzwiach.

– Odprowadzić. Skończymy później.

Po aresztowaniu Ireny Janka zaczęła, aż skończy się godzina policyjna, a potem, nie wyjmując bibułek ze stanika, pobiegła do mieszkania Marii Kukulskiej, aby poinformować ją o tym, co się stało.

Niebo za kuchennym oknem pokrywały chmury. Podmuchy wiatru raz po raz szarpały starą okienną ramą, wprawiając szyby w drżenie. W mętym świetle wczesnego poranka twarz Marii wydawała się szara.

– Na litość boską... – Zasłoniła dłonią usta, gdy Janka skończyła relację. Nic nie mówiąc, próbowała ocenić konsekwencje – dla Ireny i dla nich wszystkich.

W tym momencie otworzyły się drzwi pokoju Adama.

– Witaj, Janko – rzucił, zdziwiony jej obecnością. – Tak wcześnie tutaj? Co się...? – Spojrzał na Marię, która choć natychmiast cofnęła rękę od ust, nie potrafiła ukryć poruszenia.

– Aresztowali Irenę. Jest na Szucha – powiedziała Janka.

– Co? – Przerażony Adam złapał się za włosy. Na chwilę odwrócił wzrok. – Muszę jej pomóc – oświadczył i ruszył w kierunku drzwi wyjściowych.

– Adam, do cholery! – Janka i Maria równocześnie chwyciły go za ręce. Kiedy próbował się im wyrwać, Maria syknęła na niego: – To idź,

bardzo proszę, jeśli ci życie niemiłe, ale jeżeli mnie i mojej córce się coś stanie, ty będziesz za to odpowiedzialny!

Adam bezradnie opuścił ramiona. Obie kobiety zaprowadziły go do stołu. Z głową opartą na dłoniach i wzrokiem utkwionym w blacie wysłuchał relacji Janki.

Maria natomiast już myślała o następnych krokach. Trzeba zacząć działać, żeby wydostać Irenę, i to jak najszybciej. Dojrzywał w niej pewien pomysł, był jednak dosyć kosztowny.

– I co teraz? – spytał z goryczą Adam.

Janka bezradnie pokręciła głową.

– Teraz musisz stąd zniknąć. – Maria przejęła dowodzenie. – Już nie jesteś tutaj bezpieczny.

– Irena przenigdy nie zdradzi mojej kryjówki. Ona...

– Tak, wiem, jest silną kobietą. – Maria ujęła jego dłoń. – Mimo to powinieneś się stąd wynieść. Spakuj parę rzeczy. – Następnie zwróciła się do Janki: – Mogłabyś zostać tu jeszcze trochę? Muszę szybko coś załatwić.

Koleżanka potaknęła, na co Maria wstała.



Rozdział 39

Kiedy wieczorem na Pawiaku Irena położyła się na więziennej pryczy, nie mogła wręcz uwierzyć, że na razie zostawili ją w spokoju.

Najpierw wiele godzin tkwiła w celi z innymi czekającymi, zgodnie z rozkazem nie odrywając wzroku od tyłu głowy kobiety siedzącej przed nią. W miarę jak do siedziby gestapo coraz częściej docierały transporty więźniów z Pawiaka, korytarze potężnego gmachu przy alei Szucha wypełniały się krzykami, płaczem i odgłosami uderzeń i kopniaków. W końcu przyszła też kolej na nią. Nic nie powiedziała.

Po kolejnych godzinach czekania zabrano ją wraz z dwudziestką innych więźniów z powrotem na Pawiak. Co będzie jutro, nie wiedziała.

W ciemności dotknęła zaschniętej krwi na skroni, sprawdziła też opuchnięte popękane usta. Nie myśleć o Adamie, powtarzała sobie. Nie myśleć o nikim. Wyrzucić z głowy wszystkie nazwiska. Zamknęła oczy. Czuła suchość w gardle, język wydawał się większy i utrudniał przełykanie. Nagle ktoś dotknął jej ramienia.

– Irena.

Głos był ledwo słyszalny. Bardzo powoli odwróciła pulsującą tępym bólem głowę. Na wysokości oczu ujrzała czyjaś twarz, ale w ciemności nie potrafiła jej rozpoznać.

– To ja, Basia.

– Basia? – Irena chciała jeszcze bardziej obrócić głowę, nie pozwolił jej jednak ból.

Basia była dawną znajomą i jeśli wierzyć plotkom, działała w konspiracji. Mimo to ich drogi w ostatnich latach raczej rzadko się krzyżowały. Wsunęła dłoń pod głowę Ireny i lekko ją uniosła, drugą ręką zaś przystawiła do jej wyschniętych ust kubek z wodą. Obolałą czaszkę przeszyła rozdzierająca błyskawica. Przełknięcie kilku łyków okazało się niezwykłym wysiłkiem.

– Nie jesteś sama – szepnęła Basia, gdy Irena piła. – Zobaczysz, jest tu mnóstwo innych. Dosłownie cała siatka cieni podziemia. Już dobrze... – Opuściła jej głowę. – A teraz odpoczywaj.

Irena zamknęła oczy, ale nie zasnęła. W pewnym momencie usłyszała wokół siebie kilka czystych kobiecych głosów śpiewających po cichu polską piosenkę ludową. Głos Basi brzmiał całkiem blisko. Ta znajoma melodia miała w ciemności celi coś ulotnego. Ból głowy stopniowo zelżał i pozwolił jej zasnąć.

Julian Grobelny siedział w swoim fotelu pochylony do przodu. Łokcie oparł na kolanach i wpatrzył się w podłogę. Tkwił w takiej pozycji przez kilka minut, podczas których Maria Kukulska mogła mu się przyjrzeć bliżej. Miał zapadnięte policzki, brodę dłuższą niż zwykle i był w szlafroku. Chorował na gruźlicę, mimo to z domu dalej prowadził sprawy Żegoty. Wiadomość o aresztowaniu Ireny trafiła go jak grom z jasnego nieba.

Wreszcie się wyprostował i potarł brodę.

– Pieniądze nie są problemem – powiedział zwyczajnie. – Rząd emigracyjny nie szczędzi nam grosza. Masz rację: musimy wydostać Irenę. Również ze względu na ryzyko, jakie jej aresztowanie stanowi dla nas wszystkich. Jeśli złamie się pod wpływem tortur, może to kosztować życie tysięcy ludzi. Ona jest silna, wiem, ale czy wystarczająco? – Utkwił wzrok w przeciwległej ścianie i zdawał się zastanawiać. Potem zwrócił się znowu ku Marii. – Tak więc pytanie nie brzmi, czy powinniśmy coś zrobić, tylko co możemy zrobić. Potrzebny jest nam ktoś, kto ma kontakty w gestapo i wie, kogo jest najłatwiej przekupić. – Westchnąwszy, oparł się w fotelu.

Po chwili wahania Maria powiedziała:

– Możliwe, że znam kogoś takiego...

– W gestapo? – Julian uniósł pytająco brwi.

– Nie. Znam pewną kobietę. Nazywa się Maria Palester. To dawna koleżanka Ireny, też działa w konspiracji i pracuje nawet dla siatki Ireny, ale przez osoby postronne uważana jest za przyjazną Niemcom. U siebie w mieszkaniu organizuje raz w tygodniu partię brydża, na której bywają też informatorzy gestapo. Dzięki swojemu urokowi Maria już nieraz wyciągnęła z nich przydatne informacje. Kto wie, może któryś z tych gości zna w gestapo kogoś, z kim dałoby się coś załatwić.

Julian cmoknął językiem.

– To może być jakiś punkt zaczepienia, ale twoja znajoma musi być świadoma, że w tym przypadku nie chodzi tylko o informacje. Niewykluczone, że trzeba będzie przekupić nie jednego, ale paru wysoko postawionych gestapowców. Jeśli to się nie uda, nikt jej nie pomoże. Czy ona ma rodzinę?

– Ma męża, dwóch synów i córkę.

Julian lekko prychnął.

– Wierzysz, że ona to zrobi?

– Ja to wiem.

– No dobrze, to spróbujmy – powiedział, patrząc na Marię.

Po pierwszym dniu Irena nie została na razie ponownie zabrana na przesłuchanie na Szucha. Na porannym apelu przydzielono ją za to do więziennej pralni. Było dla niej jasne, że to tylko przejściowa chwila wytchnienia, mimo to poczuła ulgę, że również tego ranka ani Basi, ani jej nie przetransportowano do głównej kwatery gestapo. Wiedziała, że czeka ją kolejny ciężki dzień w pralni, ale przynajmniej nie będzie torturowana.

Kiedy odczytywano nazwiska tych, którzy mają się zameldować na oddziale ambulatoryjnym, Irena słuchała tylko jednym uchem.

– Irena Sendler: dentysta.

Zareagowała z sekundowym opóźnieniem.

– Co? Ja? Jak to?

Basia szturchnęła ją mocno w bok i Irena zamilkła.

Kiedy wkrótce potem w asyście wartownika szła wyfroterowanym korytarzem do ambulatorium, jej początkowy niepokój zniknął. Basia miała rację. To, że musiała iść do dentysty, mogło oznaczać tylko jedno: ktoś z podziemia chciał nawiązać z nią kontakt. Weszła do niedużego szarego pomieszczenia, w którym na bocznym stoliku obok kozetki leżało kilka instrumentów dentystycznych. Wartownik stanął przed oknem i znudzony wyglądał na dwór. Po chwili pojawiła się kobieta w białym kitlu. Niewiele brakowało, a Irena z zaskoczenia wykrzyknęłaby jej imię. To była Hania Sipowicz! Irena wiedziała, że ona i jej mąż pracowali dla ruchu oporu i jakiś czas temu zostali aresztowani. Teraz pracowali w więzieniu jako lekarze. Hania mrugnęła do niej dyskretnie i wskazała kozetkę.

– Chodzi o ząb trzonowy, który wymaga wypełnienia, zgadza się? – Jej głos brzmiał zupełnie obojętnie. Sięgnęła po jedno z narzędzi i podeszła bliżej.

– Tak, tak, chodzi o trzonowiec. – Pacjentka otworzyła usta. Hania nachyliła się nad nią. W tej samej chwili Irena poczuła coś w swojej dłoni. Zacisnęła ją. To była mała karteczka.

– Najpierw trzeba będzie oczyścić ubytek i dopiero potem włożyć plombę. – Podczas gdy lekarka się wyprostowała, Irena przeczytała kilka słów skreślonych ręką Juliana Grobelnego: „Wytrzymaj! Robimy, co w naszej mocy, żeby cię wydostać”.

Spojrzenia kobiet spotkały się na chwilę, a wtedy Hania bez słowa wcisnęła jej do ręki ołówki i odwróciła karteczkę. Irena zrozumiała natychmiast. Podczas gdy lekarka uruchomiła maszynę do borowania, Irena nabazgrała odpowiedź dla Juliana: „Wszystkie nazwiska bezpieczne”.

Z każdym tygodniem Irena odkrywała na Pawiaku coraz więcej przyjaciół i znajomych. Wśród nich znajdowali się także – ku jej przerażeniu – Helena Szeszko i jej mąż Leon, który sfałszował tysiące dokumentów i przemycił z getta tramwajem wiele dzieci. Kiedy tylko nadarzała się możliwość, Irena i Helena wymieniały ze sobą kilka słów. Wiedziały, co je czeka, ale miały też świadomość, ile zależy od ich milczenia; chociaż dobrze było widzieć wokół siebie znajome twarze, Irena miała nadzieję, że już nie będzie ich przybywać.

Często myślała też o Ali. Według ostatnich informacji przyjaciółka została wywieziona do obozu pracy w Poniatowej na południowy wschód od Warszawy, gdzie pracowała jako szwaczka. Może natrafiła tam na ludzi o podobnym temperamencie?

Irena nie myliła się w swoich przypuszczeniach. Zaledwie po kilku dniach pobytu w obozie Ala przyłączyła się do małej komórki

konspiracyjnej, a niedługo później do jej baraku została przeniesiona kolejna znajoma osoba: Hania Kosler, matka małej Beaty.

Pewnego wieczoru Ala podeszła do niej, gdy ta pogrążona w głębokiej zadumie siedziała samotnie w kącie. Znała ją tylko przelotnie, ale wiedziała, że Hania wciąż nie może się pogodzić ze śmiercią męża i dotkliwie tęskni za swoją małą córeczką. Nawiązanie z nią rozmowy okazało się niełatwe. Kobieta była wycieńczona i wyraźnie wolała tkwić zamknięta w świecie własnych myśli i wspomnień. Ala podjęła kilka bezskutecznych prób, ale dopiero gdy napomknęła, że wielu robotników z sąsiednich baraków przeniesiono do kopania dołów, Hania się zainteresowała.

– Tam, gdzie byłam wcześniej, też co najmniej sto osób przydzielili do kopania – powiedziała. – I teraz ledwie nadążamy z szyciem. Brakuje zbyt wielu ludzi. Co oni tak naprawdę robią?

– Podobno dla obrony obozu otaczają go okopami – wyjaśniła Ala.

– Podobno?

Ala wahała się przez chwilę, czy powinna mówić to Hani. Uznała jednak, że w ich sytuacji prawda jest najważniejsza.

– Oczywiście nie wiem tego na sto procent, ale w obozie działa konspiracyjna siatka mająca kontakty z ludźmi z zewnątrz. Z informacji od nich wynika, że sytuacja Niemców nie jest ostatnio najlepsza. W Treblince wybuchł niedawno bunt, mówi się też, że doszło do zamieszek wśród więźniów w Auschwitz.

Hania zrobiła wielkie oczy.

– Myślisz, że Niemcy budują okopy, żeby w razie powstania bronić się przed nami?

– Wiem, że to nie brzmi zbyt przekonująco – przyznała Ala. – W obozie działa co prawda niewielka komórka konspiracyjna i... – tu

zniżyła głos – mamy nawet parę sztuk broni. Ale to za mało, żeby móc prowadzić prawdziwą walkę zbrojną. Bardziej obawiam się tego, że te wszystkie obozy wypełnione więźniami będą dla Niemców coraz bardziej niewygodne. Będą stanowić coraz większe zagrożenie.

– Uważasz, że te doły mogą być dla nas?! – wykrzyknęła nagle Hania.

Ala chwyciła ją za ramię i energicznie pokręciła głową.

– Spokojnie. Nikt tego nie wie. Ale gdyby doszło do tego, to znaczy gdyby Niemcy rzeczywiście próbowali się nas pozbyć, nie poddam się bez walki. Nasza mała grupka powiększa się z każdym dniem, mamy też trochę broni. Może dołączysz do nas?

Hania spojrzała na nią zaskoczona. Nawet po latach ucisku i beznadziejnej walki o przetrwanie po prostu nie potrafiła sobie wyobrazić, by miała chwycić za broń.

– Nie wiem – rzekła z ociąganiem. – Przecież wiesz, mam córeczkę. Ma dopiero niecałe dwa latka. Chcę przeżyć. Dla niej. Muszę. Zbrojny opór? Nie sądzę, żebym się na to zdobyła.

Ala pokiwała głową.

– Rozumiem cię. Ja też mam córkę. Ma na imię Rami i opiekuje się nią teraz obca rodzina, tak jak Beatę. Też chciałabym ją kiedyś zobaczyć. Pragnę tego mocniej niż czegokolwiek innego na świecie. Czy mi się to uda, nie wiem. Chcę jednak przynajmniej spróbować, a jedyną szansę na to widzę w naszym oporze.

– Zastanowię się – powiedziała Hania po chwili.

– W porządku. – Ala lekko ścisnęła ją za ramię, po czym wstała.

Po tygodniach spędzonych w więzieniu i niezliczonych brutalnych przesłuchaniach dla Ireny stało się jasne przede wszystkim jedno: nić jej

życia nie została jeszcze zerwana, ponieważ Niemcy nie wiedzieli, z kim w istocie mają do czynienia. Najwyraźniej uważali, że w jej osobie aresztowali drobną płótkę sympatyzującą z podziemiem i od czasu do czasu zabawiającą się w jej posłańca. Liczyli na to, że torturami zdołają wydobyć z niej więcej nazwisk. Podczas jednego z przesłuchań nawet złamali jej nogę. Co prawda ją poskładali, ale od tamtej pory praca w pralni była dla niej męczarnią.

Mimo to Irena niezmiennie się uśmiechała na myśl o tym, że jej dręczyciele sami są małymi płótkami i nie mają pojęcia, że ta młoda, blada kobieta to jeden z najaktywniejszych trybików w maszynerii konspiracji. Kobieta, która uratowała tysiące dzieci.

Dziś przynajmniej miały coś do jedzenia w pralni, zdarzały się bowiem „dobre” nadzorkynie, które pozwalały dzieciom więźniarek przynieść z magazynu trochę ziemniaków albo rzepy. Kobiety gotowały je potem w małym garnku, podczas gdy pranie moczyło się obok w wielkich kotłach. To była prawdziwa uczta!

Kiedy wieczorem Irena wróciła do celi i zastała Basię leżącą na pryczy z głową odwróconą do ściany, przysiadła na brzegu legowiska i głaszcząc ją po ramieniu, zlustrowała jej twarz i ciało, szukając nowych ran lub obrażeń. Basia chwyciła ją za rękę, ale nie zmieniła pozycji.

– Jutro – odezwała się cicho. – Jutro na apelu, kiedy będą wywoływać tych, którzy mają być rozstrzelani, usłyszę swoje nazwisko.

– Co ty wygadujesz – szepnęła Irena z przerażeniem. – Skąd ci to przyszło do głowy? Przecież wiesz, że nie wolno tak myśleć, bo to przynosi nieszczęście.

– Mam przecucie. Poza tym widziałam dzisiaj Zbigniewa, osiemnastoletniego chłopaka, który pracuje dla nas jako kurier w dziecięcym podziemiu. Na moich oczach wlekli go prawie nieżywego przez korytarz.

– I co? Zdradził cię?

Basia gwałtownie przewróciła się na plecy, w oczach miała łzy.

– Nie – odparła. – Ale ja zdradziłam jego. Mimowolnie dałam chyba do zrozumienia, że go znam. No i teraz Niemcy dodadzą sobie dwa do dwóch.

– Daj spokój – wtrąciła Irena. – To przecież jeszcze nic nie znaczy. Zbigniew jest tylko kurierem. Nie wie dużo, a im zależy tylko na grubych rybach. Chodź, zaśpiewajmy coś razem. Bez twojego pięknego głosu sama nie dam rady.

– Nie mogę. Nie dzisiaj – odpowiedziała Basia i z powrotem odwróciła się do ściany.



Rozdział 40

Listopadowe noce w barakach obozu pracy były lodowato zimne, ale to nie dlatego Ala nie spała. Kilka dni temu zakończono kopanie dołów i rowów, a robotnicy, którzy przy nich pracowali, wrócili do maszyn do szycia i na razie nic szczególnego się nie działo. Czy były to rzeczywiście rowy mające służyć jedynie obronie, jak twierdzili Niemcy?

O świcie zimno stawało się nie do zniesienia. Poza tym od ciągłego stania na nogach w ciągu dnia i od leżenia na nieznośnie twardej pryczy czuła się cała obolała. Najchętniej by z niej wstała, ale to było zabronione, zwinęła się więc w kłębek, oplotła kolana rękami i przywołała w pamięci obraz Rami: jak jadła chleb z marmoladą, jak tuliła się na pożegnanie, kiedy Ala wychodziła do pracy. „Jeszcze minutkę – powtarzała zawsze. – Tylko jedną minutkę”. Nagle nawet lata spędzone w getcie wydały się piękne. Bo przynajmniej byli razem. A teraz?

Raptem na dworze rozległy się głosy i kroki. Psy szczekały podniecone. Ala usiadła na pryczy. Również inne kobiety zaczęły się poruszać. Jej wewnętrzny zegar mówił, że jeszcze za wcześnie na poranną pobudkę.

Za ścianą baraku zacharczał głośnik.

– Apel! Wszyscy więźniowie wystąpić i ustawić się w szeregu!

Wszyscy? Ali serce podeszło do gardła. Pytającym wzrokiem spojrzała na kobietę z pryczy pod sobą. Ona też wyglądała na zaniepokojoną. Poranny apel wszystkich więźniów? Czegoś takiego jeszcze nigdy nie było.

Sąsiadka z naprzeciwka zerknąwszy na nią, dała jej znak. Ala zrozumiała natychmiast i przekazała sygnał dalej. W ostatnich dniach starano się zmobilizować do walki jak najwięcej osób. Uzgodniono, że w sytuacji takiej jak obecna mają nie wychodzić na zewnątrz, tylko zabarykadować się w baraku. Tymczasem większość więźniarek wokół szykowała się do opuszczenia go w uporządkowanej kolumnie. Z dworu dobiegał podniesiony głos wachmana.

Ala próbowała wypatrzeć w tłumie Hanię Kosler, która od ich ostatniej rozmowy chyba jej unikała. Nie mogła nigdzie jej dostrzec. W ogólnym zamęciu chyba nikt nie zauważył, że część kobiet wcisnęła się pod prycze, podczas gdy inne ustawiły się w kolejce. Ala wyjrzała jeszcze spod koi – i nagle ją zobaczyła: Hania stała zaledwie kilka metrów od niej. Przygryzała nerwowo wargi, mocno trzęsły się jej ręce.

Drzwi baraku się otworzyły. Padły komendy i szereg kobiet ruszył z miejsca. W tym momencie Hania się obejrzała. Swoimi wielkimi oczami nerwowo omiotła salę. Czy ona mnie szuka?, pomyślała Ala. Ze swojego miejsca pod pryczą usilnie próbowała przyciągnąć ją wzrokiem, lecz ich spojrzenia niestety się nie spotkały. Po chwili Hania też postąpiła kilka kroków naprzód. Po kilku minutach barak opustoszał.

Podczas gdy na dziedzińcu coraz częściej rozlegały się ostre wrzaski i ujadanie psów, Ala i jej towarzyszki zaczęły wznosić barykadę w rogu baraku. Sprawdziły kilka sztuk posiadanej broni. Mimo porannego zimna Ala czuła, jak pot spływa jej po plecach. Na kilka minut zaległa cisza.

Potem nagle pojedynczy krzyk. I kolejny. Dwa strzały jeden po drugim. I znowu cisza. Alę ogarnęło przerażenie. Co się tam dzieje? Czy chodzi o ewakuację?

Wtedy zaterkotał pierwszy karabin maszynowy. Rozdzierające krzyki zostały zagłuszone nasilającym się gradem kul. Ala zamarła, po jej policzkach płynęły łzy. Nie myliła się. Ci ludzie na zewnątrz wpadali do dołów, które sami wykopali. Nie miała złudzeń. Na pewno już zauważono, że paru osób brakuje. Kwestia czasu, kiedy wachmani przyjdą po nie.

I przyszli. Z powodu nieustających strzałów nie było nawet słychać, jak drzwi baraku się otworzyły. Kilku żołnierzy z psami błyskawicznie rozbiegło się po sali.

Ogarnięta przerażeniem Ala miała wrażenie, że zaraz się udusi. Również inne kobiety zastygły sparaliżowane strachem, aż w końcu starsza więźniarka po jej prawej ręce strzeliła – i trafiła. Młody mężczyzna osunął się na podłogę. Teraz zaczęły strzelać również pozostałe. Niemcy odpowiedzieli ogniem, lecz prowizoryczna barykada z krzeseł i stołów jeszcze się trzymała.

Ala wycelowała, lecz bez powodzenia. Jestem pielęgniarką, pomyślała w desperacji. Co ja tutaj robię? Zacisnęła zęby i strzelała dalej. Kiedy padł trzeci wachman, pozostali się wycofali. Ala czuła pulsowanie krwi w skroniach. Żyją... jeszcze! Co Niemcy teraz zrobią? Gdyby dało się jakoś wymknąć z baraku! Ucieczka była jednak całkowicie niemożliwa.

Mijały minuty, które wydawały się wiecznością. Nikt się nie odzywał. Potem poczuły swąd. Jednocześnie otworzyły się drzwi. Na kocach leżących na pryczach wylądowały materiały zapalające i w następnej sekundzie wystrzeliły wysokie płomienie. Dym wgrzyzał się

w oczy, Ala zaczęła kaszleć. Jakaś młoda kobieta rzuciła się do małego okna i natychmiast padła od kuli. Barak był otoczony.

Ala oparła się o ścianę, przymknęła powieki i znów przywołała obraz Rami. Choć ponownie wstrząsnął nią kaszel, ona wciąż miała przed oczami twarzyczkę córki. Przynajmniej nie jestem sama, pomyślała. Rami jest przy mnie i będzie żyła.

Potem straciła przytomność.



Rozdział 41

Funkcjonariusz gestapo był zdenerwowany. Nigdy dotąd nie robił czegoś takiego, chociaż znał kilku kolegów, którzy na Pawiaku zgarniali pieniądze za drobne przysługi. Bliscy więźniów hojnie płacili za podsuniecie swoim krewnym bochenka chleba czy za wymianę listów.

To, czego on się podjął, nie mieściło się jednak w kategorii drobnych przysług. Uratowanie uwięzionej osoby przed egzekucją i przemycenie jej z głównej kwatery gestapo na wolność to coś zupełnie innego. Ponadto musiał dopilnować, aby jej nazwisko mimo wszystko znalazło się na liście straconych. Zakreśliło mu się w głowie. To istne szaleństwo. Jeśli ktoś go przyłapie, stanie przed plutonem egzekucyjnym.

Przestępując z nogi na nogę i rozcierając prawą dłońią spięty kark, spojrzął na zegarek. Jeszcze pięć minut. Cholera, po co on przyszedł tak wcześnie? Co prawda był w cywilnym ubraniu, a ulica znajdowała się na uboczu, ale mimo wszystko. W tym przeklętym mieście nikt nie stoi bez powodu kwadrans w jednym miejscu. To wzbudza podejrzenia. Zrobił kilka kroków. Wystarczy po prostu stąd odejść... jeszcze nie jest za późno. Zatrzymał się znowu. Nie, pieniądze. To wprost niewiarygodna kwota.

Dzięki niej razem z żoną będą w stanie zbudować sobie coś po wojnie. Oby tylko nadszedł ten czas.

Ciekawe, za kogo płacą aż tyle. Po raz kolejny przemknęło mu przez głowę to pytanie, ale szybko je odepchnął. Jeśli chciał szczęśliwie przeprowadzić tę sprawę do końca, musiało mu to być obojętne.

Ponownie spojrzął w głąb ulicy. W końcu ktoś nadchodził. Kobieta w czerwonej sukience, zgodnie z umową. Nie... Oniemiał. Czy oni postradali zmysły? Żeby wysyłać prawie dziecko? Zmierzająca ku niemu dziewczynka mogła mieć co najwyżej czternaście lat i niosła na ramionach szkolny plecak. Cholerni Polacy. Kompletnie poszaleli. Myślą, że po odebraniu gotówki nie zdobędę się na zastrzelenie dziecka? Wiedział, że niektórzy brali pieniądze i zabijali kuriera. Nic prostszego – i o jednego świadka mniej. A wytłumaczenie się przed przełożonym z powodu zastrzelonego Polaka to też żadna sztuka. Inni z kolei dostawali tyle, ile zażądali, a potem nie robili tego, za co zostali przekupieni, albo inkasowali po raz drugi. Mam jeszcze czas, żeby się zastanowić. Do jutra rana. W razie czego mogę też zdecydować spontanicznie. Ale teraz pora skupić się na pieniądzach... i na dziewczynie.

Ona już prawie do niego doszła. Zatrzymała się w odległości mniej więcej dwóch metrów i spokojnie spojrzała mu w oczy. Wciąż nie odrywając od niego wzroku, zdjęła skórzany plecak i go otworzyła. Kiedy jej dłoń zniknęła we wnętrzu, jego palce zacisnęły się na rękojeści pistoletu w kieszeni marynarki. Ręka dziewczyny wyłoniła się znowu, a wraz z nią woreczek, który wyciągnęła ku niemu. Z sercem w gardle chwycił go, ona zaś zarzuciła plecak na ramiona, odwróciła się i pobiegła z powrotem ulicą, jakby właśnie szła ze szkoły i nie miała żadnych innych zmartwień poza pracą domową.

Dopiero kiedy skręciła za róg, on rozluźnił palce na rękojeści.



Rozdział 42

Irena Sendler.

Irena wiedziała, że kiedyś usłyszy swoje nazwisko wśród wyznaczonych do egzekucji. To tylko kwestia czasu.

Niemal się roześmiała. Bo nagle w ogóle nie czuła bólu w złamanej nodze, za to wargi jej drżały, a w ustach miała tak sucho, że język prawie przykleił się do podniebienia. A zatem dzisiaj, w szary styczniowy dzień. Kiedy Adam i jej matka się dowiedzą?

Całe życie. Nagle zredukowane do kilku godzin.

Zaledwie trzydzieści minut później podjechała ciężarówka, nazywana przez wielu „wozem śmierci”. Polscy wartownicy wprowadzili ją i innych więźniów do budy. U niektórych z nich widziała współczucie w oczach, u innych zupełnie nic. Dzięki transportowi kupuję sobie czas, pomyślała. Dodatkowe pół godziny? Może nawet więcej?

Z więzienia na Pawiaku do alei Szucha nie było daleko, ale załadunek i rozładunek też trochę trwa. Irena zdawała sobie sprawę, jak bezsensowne jest myślenie o tym, a jednak kurczowo trzymała się w duchu tych obliczeń. Dziesięć minut jazdy. Kolejne dziesięć

rozładunek... albo może tylko pięć? Próbowała pomyśleć o Adamie, o mamie... nie była w stanie. Zamiast tego uchwyciła się tych minut, które zdawały się mijać coraz szybciej. Czasami więźniowie byli rozstrzeliwani już o świcie na więziennym dziedzińcu, a niekiedy także na publicznym skrzyżowaniu tuż przed nim.

Mam szczęście, przemknęło jej przez głowę. Dostałam przynajmniej dodatkowe pół godziny, bo Niemcy lubią urozmaicenie w sprawach śmierci. Niemal się roześmiała na samą tę myśl.

Samochód ruszył. Chętnie spojrzełaby jeszcze raz na ulice swojego miasta, ale buda była ze wszystkich stron zamknięta. Próbowała więc odgadnąć po zakrętach, gdzie dokładnie się znajdują, podczas gdy jej wewnętrzne oko przywoływało w wyobraźni znajome gmachy.

W kwaterze gestapo zaprowadzono ją z resztą współwięźniów do zimnej poczekalni. Kilka minut później zabrano pierwszą kobietę. W drzwiach zaczęła krzyczeć i próbowała uwolnić się z rąk wachmana. Kiedy jego pałka trafiła ją między łopatki, potykając się, ruszyła przed siebie. Wejście do poczekalni pozostało otwarte. Irena patrzyła niczym zaklęta, jak jedna kobieta za drugą najpierw idą korytarzem do końca, a potem znikają w drzwiach po prawej stronie. Następował strzał. Dzisiaj każda umierała sama. Nigdy dotąd Irena nie czuła się bardziej samotna, a mimo to wciąż nie zdołała przywołać obrazu Adama. Ciekawe, jak czuła się Basia? Intuicja jej nie myliła. Rano została stracona na więziennym dziedzińcu.

– Irena Sendler.

Niczym w transie ruszyła za wachmanem. Miała płytki oddech. Na końcu korytarza automatycznie skierowała się do drzwi po prawej.

– W lewo. – Usłyszała cichy, ale ostry głos strażnika.

Zawahała się przerażona. Czy będzie znowu przesłuchiwana? Czyli jednak odroczenie?

– W lewo – powtórzył głos z jeszcze większym naciskiem. Za drzwiami po lewej znajdował się długi korytarz. Uścisk na jej ramieniu stał się mocniejszy, mężczyzna przyspieszył kroku. Irena kuśtykała do przodu, ból w złamanej nodze był nie do wytrzymania. Strażnik otworzył kolejne drzwi. Za nimi rozpościerała się cicha boczna ulica od alei Szucha. Mężczyzna bez słowa pociągnął ją za sobą.

Gdzie on chce to zrobić?, zachodziła w głowę Irena. Rozejrzała się nerwowo. Pięćdziesiąt metrów dalej było skrzyżowanie, a skrzyżowania to popularne miejsca egzekucji, ale wystarczyłaby też dowolna ściana.

Nagle mężczyzna się zatrzymał, cofnął rękę z jej ramienia.

– Idź... szybko!

Irena nie rozumiała i popatrzyła na niego, szeroko otwierając usta. Czego on od niej chce?

– Uciekaj! No zjeżdżaj stąd, słyszysz?! – warknął.

Wciąż nie pojmowała. W jego oczach był strach. Czy to możliwe?

– A moja kenkarta? Bez kenkarty nie mogę... – Nagle zdała sobie sprawę, jakim idiotyzmem jest martwienie się w takiej chwili o kenkartę, którą zabrano jej po aresztowaniu. Po prostu tak się jej wyrwało. Bo bez kenkarty jest się tylko zwierzyną łowną.

Nie dokończyła zdania. Ni z tego, ni z owego dostała mocno w twarz i poczuła w ustach smak krwi.

– Mówię ostatni raz: wynoś się!

Irena ruszyła, najpierw powoli, ale z każdym krokiem szła coraz szybciej. W końcu puściła się pędem. Na najbliższym rogu odważyła się spojrzeć za siebie. Mężczyzna zniknął.

Biegła dalej, ale już po pięćdziesięciu metrach nie mogła złapać tchu, a wskutek przeszywającego bólu w nodze była niemal bliska omdlenia. Dysząc, oparła się o okno wystawowe jakiegoś sklepu. Próbowwała zebrać myśli, lecz w jej głowie panował nieopisany zamęt. Obok rozległ się delikatny dźwięk dzwonka. Na chodnik wyszła kobieta w fartuchu. W pierwszym odruchu Irena chciała rzucić się do ucieczki. Ostatnim wysiłkiem woli odepchnęła się od szyby, lecz zanim zdołała zrobić krok, mocna dłoń chwyciła ją za rękę i wciągnęła do sklepu.

Na półkach pod ścianą stały jakieś puszkki i środki czystości. Kobieta zaprowadziła ją na zaplecze, gdzie Irena znienacka osunęła się na podłogę. Nieznajoma podeszła do zlewu, nalała wody do szklanki i podała ją Irenie.

– Niech pani tu poczeka – poleciła, po czym wyszła.

Irena piła łapczywie. Drżała jej ręka, więc niemal połowę rozlała. Zakrztusiła się i zaczęła gwałtownie kaszleć. Wkrótce potem kobieta wróciła. Przez ramię miała przerzucony sweter, spodnie i płaszcz.

– Niech pani zdejmie te rzeczy. Szybko. Nie może tu pani zostać.

Irena dopiero w tej chwili sobie uświadomiła, że jest w więziennym pasiaku. Zaczęła go zdejmować, ale jej ruchy były zupełnie niezborne. Miesiące strachu i napięcia, tortury i niedożywienie – wszystko naraz zbierało teraz żniwo. Właścicielka sklepu pomogła jej się ubrać.

– Ma pani dokąd iść?

– Do mojej mamy, na ulicę Ludwiki.

– To dobrze. – Kobiecie wyraźnie ulżyło. Znowu zniknęła z zaplecza. Po chwili rozległ się brzęk otwieranej kasy, a potem Irena dostała od niej kilka monet.

– Tramwaj piątka zatrzymuje się zaraz na najbliższym rogu i jedzie prawie do Ludwiki. Da pani radę?

Irena niemrawo skinęła głową. Nie miała pojęcia, czy starczy jej sił, ale nie pozostało jej nic innego jak spróbować.

Tramwaj, do którego wsiadła, był przepełniony. Wyciągnęła rękę, żeby chwycić się płóciennej pętli do trzymania, a gdy chybiła i sięgnęła po nią po raz drugi, jakiś starszy mężczyzna wstał i popchnął ją na swoje miejsce. Muszę wyglądać jak przekręcona przez maszynkę, pomyślała i niemal się uśmiechnęła. Powoli docierało do niej, że jest wolna. Głowa zaczynała pracować, zmysły się wyostrzyły.

Pół godziny później zapukała do drzwi własnego mieszkania. Gdy uchyliły się nieco, w wąskiej szparze ukazała się twarz kuzynki.

– Irena! Boże drogi! – Drzwi natychmiast się otworzyły na oścież i Irena znalazła się w ramionach krewnej.

– Zostały z ciebie tylko skóra i kości. Chodź...

Kuzynka zaprowadziła ją na kanapę.

– Zaraz przyniosę ci chleba i herbaty.

– Gdzie mama?

Młoda kobieta przełknęła nerwowo.

– Nie najlepiej z nią. Serce. Ostatnio bardzo się jej pogorszyło. Lekarz nie potrafi już pomóc. Nie wiadomo, jak długo... – Urwała. Najwyraźniej nie chciała robić jej córce wyrzutów.

Irena miała łzy w oczach. Jej matka umiera, a winę za to ponosi ona. Aresztowanie, długie miesiące niepewności, lęk o życie najbliższej osoby były zabójczą trucizną. Przewidziała to. Każdego dnia w więzieniu czuła, że tak się stanie.

Oparwszy się o poręcz kanapy, wstała z wysiłkiem i poszła do sypialni. Drzwi zaskrzypiały cicho, ale mama nie otworzyła oczu. Irena ostrożnie przysiadła na skraju łóżka. Jakże ona wychudła! Kołdra ledwie

się wybrzuszała ponad wątlym ciałem, a blada twarz tonęła w poduszce. Chociaż Irena nie chciała jej obudzić, nie potrafiła się powstrzymać i delikatnie pogłaskała zapadnięte policzki. Chora uniosła powieki. W pierwszym momencie wyglądała na zdezorientowaną, potem zaś przez jej twarz przemknął uśmiech, a ręce wyciągnęły się ku córce.

– Moja najdroższa mama.

– To ty... – wyszeptała staruszka drżącym głosem. Irena nie miała odwagi oprzeć głowy na jej piersi, chwyciła więc jej dłonie i przyłożyła je sobie do policzków. Dłonie były zimne, mimo to tak dobrze było je znowu czuć, że Irenie ze wzruszenia napłynęły łzy do oczu. Również matka płakała ze szczęścia.

– Ona jest bardzo słaba. – Dłoń kuzynki spoczęła na ramieniu Ireny. – Pozwól jej jeszcze trochę pospać, a ty chodź coś zjeść w tym czasie.

Kilka dni później Irena nadal nie wyniosła się od mamy. Spała, jadła i wreszcie nabrała dość sił, by znów móc trzeźwo myśleć. Rozum mówił jej, że pozostawanie w tym mieszkaniu to szaleństwo. W razie odkrycia jej ucieczki to pierwsze miejsce, w którym Niemcy będą jej szukać. Ale mama z dnia na dzień coraz bardziej słabła. W tej sytuacji Irena po prostu nie mogła odejść.

Wtedy pewnego dnia w drzwiach stanęła Janka. Ich powitanie było krótkie, ale intensywne. Irena szybko zauważyła, że przyjaciółkę coś gryzie.

– Przyszłaś odwiedzić mamę? – spytała ją, gdy usiadły razem na kanapie.

Janka zaprzeczyła.

– To skąd wiesz, że wróciłam? – Irena spojrzała na nią pytająco i wtedy zrozumiała. – Ty... wy... czy Żegota naprawdę?

Janka się uśmiechnęła.

– A kto inny?

Irena pokiwała głową. No jasne. A kto inny?

– Ale teraz musisz stąd zniknąć – oznajmiła Janka. – I to zaraz.

– Przez ostatnie lata zbyt często zostawiałam mamę samą – sprzeciwiła się Irena. – Ona tak bardzo niedomagala, a ja bylam dla wszystkich, tylko nie dla niej.

– Posłuchaj... – W głosie Janki pojawił się nieco ostrzejszy ton. – Nie masz wyboru. Zobacz... – Wyjęła z kieszeni kartkę i ją rozłożyła. – Te ogłoszenia wiszą w całym mieście.

– Obwieszczenie – przeczytała na głos Irena. – Lista straconych dwudziestego stycznia czterdziestego czwartego roku. – Przebiegła wzrokiem listę nazwisk i odkryła na niej własne. – Irena Sendler. Przyczyna stracenia: pomoc Żydom. – Roześmiała się krótko, Janka natomiast chwyciła ją za nadgarstek i mocno go ścisnęła.

– Au!

– Irena, to wcale nie jest śmieszne! Oni na razie jeszcze myślą, że nie żyjesz. Ale ktoś, kto widział cię tu w ostatnich dniach, może przeczytać tę listę i zrozumieć, że po prostu uciekłaś. Wtedy to już tylko kwestia czasu, kiedy zostaniesz zadenuncjowana, a jeśli cię tu znajdą, wszystko pójdzie na marne. Nie możesz tak postąpić. Cięży na tobie odpowiedzialność. Także wobec nas. – Znowu wyjęła coś z kieszeni i położyła przed Ireną na stole. Była to kenkarta na nazwisko Klara Dąbrowska, a tuż obok leżała gęsto zapisana kartka.

– Odtąd to jesteś ty – oznajmiła Janka. – A to twoja historia. Wyucz się swojej nowej tożsamości na pamięć. Do tej pory pomagałaś robić to innym. Teraz twoja kolej. Jeżeli gestapo się dowie, że ktoś pomógł ci

uciec, zrozumie, jak bardzo ważna jesteś dla Żegoty, i znajdziesz się na samym szczycie ich listy. Będą na ciebie polować.

– Mogę się przenieść na najwyższe piętro do sąsiadki. Sama mi to zaproponowała.

– Na ostatnie piętro w tym domu? Oszalałaś?! – wykrzyknęła z niedowierzaniem Janka. – Na razie zawieziemy cię do Otwocka do Juliana. Zobaczysz się z Adamem.

Na dźwięk jego imienia oczy Ireny rozbłysły, ale zaraz oznajmiła stanowczo:

– Nie. Pójdę do sąsiadki. To moje ostatnie słowo. Muszę być w pobliżu mamy. Nie możesz mnie zmusić.

Janka popatrzyła na nią bez słowa. Następnie ze złością pokręciła głową. Irena miała rację: nie może jej zmusić.

Od wizyty Janki minęło kilka dni. W nocy Irena spała u sąsiadki w jej mieszkaniu na poddaszu, ale w ciągu dnia była przy mamie. Siedziała przy jej łóżku, poila i karmiła, a także opowiadała – głównie o przeszłości. Wspominała czas sprzed wojny, wspominała ojca, przyjaciół i znajomych. Matka była zbyt słaba, by dużo mówić. Oddech miała ciężki i świszczący. Mimo to przywoływane przez Irenę historie i obrazy raz po raz wyczarowywały uśmiech na jej twarzy.

Kiedy w pewien zimny wieczór pod koniec stycznia Irena wróciła do mieszkania sąsiadki, poszła prosto do łazienki. Mama dała jej do zrozumienia, że ma ogromny apetyt na biały chleb. Czy coś takiego można jeszcze gdziekolwiek kupić?, zastanawiała się Irena. Chociaż nie widziała jasnego pieczywa od dobrych paru lat, postanowiła jednak mimo wszystko go poszukać.

W łazience otworzyła szafeczkę pod zlewem i wyjęła torebkę henny. Dostała ją od Janki do ufarbowania włosów, ale dotychczas nie

zamierzała z niej skorzystać. Zerknęła w lustro. Ciemnoblonde włosy były dłuższe niż zwykle, a twarz wyraźnie zmizerniała. Uśmiechnęła się do siebie, lecz własne odbicie wydawało jej się obce. Pomyślała o Adamie, przypomniała sobie wieczór w kawiarni Sztuka, spinkę do włosów pożyczoną od Ewy i szminkę. Jej uśmiech zgasł. Ewy już nie ma, nie ma też kawiarni. Nagle zatęskniła za Adamem, za ciepłym jego ramieniem. Przy nim znowu się odnajdzie... pewnego dnia.

Farbowanie włosów okazało się trudniejsze, niż sądziła. Już samo umycie zlewu po całej operacji było niełatwe, a na koniec wręcz przeraził ją widok jej nowej, ciemnoczerwonej czupryny. Niewiele myśląc, sięgnęła po nożyczki i zaczęła ciąć. Skoro zmiana, to radykalna.

– Irena? Co ty, do licha... – W drzwiach łazienki stanęła sąsiadka Lara i najpierw zrobiła wielkie oczy ze zdumienia, a potem się roześmiała. – Widzę, że wreszcie nabrałaś rozsądku. Ale to nie tak się robi. Pokaż no. – Zdecydowanym ruchem wzięła nożyczki do ręki i po półgodzinie skoncentrowanej pracy Irena miała zgrabną krótką fryzurę. Ich spojrzenia spotkały się w lustrze. – No i co powiesz?

Irena przyjrzała się sobie uważnie. W końcu się uśmiechnęła.

– Nowy człowiek. Właściwie całkiem niezły.

Kiedy później jadła z Larą kolację, ku własnemu zaskoczeniu doznała czegoś na kształt spontanicznej lekkości. Nagle obie usłyszały głuchy huk. Musiał dobiegać z parteru, bo niemal w tym samym momencie na klatce schodowej rozległo się głośnie echo ciężkich butów i licznych męskich głosów. Słowa nie brzmiały po polsku. Irena spojrzała na Larę, której krew odpłynęła z twarzy. Drżącą ręką postawiła szklankę na stole.

– Przyszli po ciebie? – spytała niemal bez tchu.

– Nie wiem, może...

Irena jeszcze nigdy nie czuła się tak bezradna – a także głupia. Ogarnęła ją wściekłość. Co ona najlepszego wymyśliła? Mieszkanie na poddaszu jako kryjówka? To przecież śmieszne. Co powinna teraz ze sobą zrobić? Niemcy zaraz przeszukają każdy kąt i nie dość, że ją znajdą, to zabiorą też Larę. Bogu ducha winna sąsiadka zginie... przez nią. Szeroko otwarte oczy Lary zdradzały, że również jej przemknęła przez głowę podobna myśl.

– Sprzątnij naczynia – rzuciła z desperacją Irena i podbiegła do szafy, w której trzymała swoje fałszywe dokumenty. Potem wślizgnęła się pod kołdrę i położyła się całkiem płasko, ale bez szczególnej nadziei. To oczywiste, że ją znajdą.

Na klatce schodowej walono w kolejne drzwi. Kroki i głosy były coraz bliżej. Irena słyszała przesuwanie mebli. Od czasu do czasu ktoś zapłakał, lecz przeważnie ludzie poddawali się wszystkiemu w milczeniu. Potem rzeczywiście padło jej nazwisko. Czyli gestapo się zorientowało, że jej śmierć została upozorowana. A jeśli zabiorą mamę? Tego by nie przeżyła. Rozważała poddanie się. Może w ten sposób uratowałaby chociaż Larę i matkę. Sądząc po odgłosach, gestapowcy byli już piętro niżej. Raz po raz słyszała swoje nazwisko i przeczące odpowiedzi lokatorów.

Zdecydowanym ruchem wstała i ubrała się szybko, lecz nim zdążyła wyjść do przedpokoju, mocno trzasnęły drzwi mieszkania bezpośrednio pod nimi. Na klatce schodowej rozległy się kroki, jednak wydawało się, że z każdą sekundą są coraz dalej. Czy to możliwe? Spojrzała na Larę. Obie wsłuchiwały się w napięciu. Niemcy schodzili na dół. Walnięcie drzwi frontowych, a potem cisza.

Po chwili milczenia, która Irenie wydała się wiecznością, Lara powiedziała:

– Przegapili moje mieszkanie. Nie mogę uwierzyć. Najwyraźniej nie wiedzieli, że na górze jeszcze ktoś mieszka.

Lara rozszlochała się z powodu napięcia, Irena zaś objęła ją ramieniem. W tym momencie rozległo się ciche pukanie do drzwi.

– Otworzę – rzuciła Lara, ocierając łzy.

Po chwili do pokoju weszła kuzynka Ireny.

– Dzięki Bogu! – Przytuliły się do siebie. Następnie kuzynka podała jej złożoną kartkę i popatrzyła na nią wymownie. – To od twojej mamy.

Irena rozwinęła kartkę i przebiegła wzrokiem kilka nieporadnie napisanych słów: „Moje najdroższe dziecko. Jeśli mnie kochasz, odejź zaraz. Nie wracaj do mieszkania. Nawet żeby się pożegnać. To zbyt niebezpieczne. Nie wolno ci czynić sobie żadnych wyrzutów. Jesteś najlepszą córką, jaką mogłam sobie wymarzyć. Zadbaj o własne bezpieczeństwo. Jedynie to jesteś mi winna. Twoja kochająca cię mama”.

Irena przełknęła głośno. Wiedziała, że matka ma rację. Okazała słabość i narażała nie tylko siebie, ale także innych. Na stole w kuchni leżały jej nowe dokumenty. Od tej chwili będzie dla świata Klarą Dąbrowską.



Rozdział 43

Klara. Właściwie też ładne imię – powiedział Adam, uśmiechając się pod wąsem.

– Co ty masz na punkcie tych ładnych imion... – Irena roześmiała się cicho i otoczyła go ramieniem, na co on również objął ją mocno.

Już co najmniej piętnaście minut siedzieli szczelnie owinięci kocem na werandzie konspiracyjnego mieszkania w Otwocku i obserwowali pojedyncze delikatne płatki śniegu, które niemal nieśmiało spadały na ziemię. Ogród leżał pogrążony w ciemności bezwietrznego wieczoru. Z okien za ich plecami ciepły blask padał na ośnieżone deski. Chociaż było zimno, ani trochę nie marzli.

Irena zaszyła się na kilka tygodni u Adama, wiedziała jednak, że ich wspólny czas dobiega końca. Pozostawanie długo w jednym miejscu wiązało się ze zbyt dużym ryzykiem. Janka miała rację: dopiero ucieczka Ireny uświadomiła ludziom z gestapo, że nie byle kto wymknął się im z sieci. Od tej pory jej nazwisko znajdowało się na samym szczycie listy poszukiwanych, wywieszanej na wszystkich placach i rogach ulic.

– Nie martw się – odrzekł Adam, ona zaś mogła jedynie się domyślać jego uśmiechu. – Uważam, że Irena jest jeszcze ładniejsza. Ale tamto możemy zapamiętać. – Przerwał. – Na później. No wiesz, jak kiedyś będziemy szukać jakiegoś ładnego imienia.

Irenie zrobiło się gorąco z wrażenia. Czy Adam naprawdę powiedział to, co jej się wydawało? Czy mówił o ich córeczce? Jeszcze mocniej się do niego przytuliła. O niczym bardziej nie marzyła.

– Czasami się boję, że to nigdy nie nastąpi. Że to jutro nigdy nie nadejdzie.

– Nie wolno ci tak myśleć – odpowiedział cicho i spojrzał na nią czule. – Od naszej przyszłości dzieli nas zaledwie kilka kroków. Prawie ją widzę. Tak jak przyszłość tych maluchów. – Wskazał głową w kierunku dużego słoika z cienkimi bibułkami papierosowymi. Był to rejestr życia Ireny, zawierający dawne i nowe nazwiska uratowanych dzieci. – Jesteś pewna, że powinniśmy zakopać ten słoik? – spytał nagle. – To też niesie pewne ryzyko.

Irena skinęła głową.

– Długo się nad tym zastanawiałam, ale według mnie to najlepsze rozwiązanie. Ewa i Ala nie żyją, Rachela pewnie też. Basia została rozstrzelana. Nasza siatka prawie nie istnieje. Dlatego ciągłe noszenie tych danych z miejsca na miejsce byłoby jeszcze bardziej niebezpieczne. One po prostu nie mogą wpaść w niepowołane ręce. Pod żadnym pozorem. A jeśli nawet nie uda się tego słoika wykopać nam, w końcu ktoś kiedyś go znajdzie. – Irena starała się nadać swojemu głosowi spokojne brzmienie.

– Wykopiemy go, wykopiemy, możesz być pewna – rzekł Adam. – Ale najpierw musi mi się udać wyrąbać w tej zamrzniętej ziemi jakąkolwiek dziurę. – Puściwszy Irenę, wstał i sięgnął po łopatę. Odgarnął trochę śniegu pod starą jabłonią. – Tutaj?

Irena potaknęła, na co on zaczął się zmagać z twardym jak skała podłożem. Wkrótce jego oddech stał się urywany, a na czole wystąpiły mu kropelki potu. Irena zdjęła rękawiczki i wzięła słoik do rąk. Był zimny. Przycisnęła go do siebie i poczuła, jak jej dłonie powoli ogrzewają szkło.

Osobliwe uczucie. Jak wiele losów mieści się w tym niepozornym naczyniu. Tysiące ludzkich istnień, które chciały trwać. Przypomniała sobie małą Beatę w skrzynce z narzędziami. Jej mama Hania nie żyła, zginęła w tym samym obozie co jej przyjaciółka Ala. Ale Beata ocalała. Podobnie jak Sergiusz, który ze strachu rozplakał się w kanale. Ujrzała kalejdoskop twarzy, mniejszych i większych. Znała wszystkie imiona i nazwiska. Nie zapomniała ani jednego, mimo że większość dzieci widziała zaledwie kilka godzin.

– Uff! Gotowe. Wystarczy?

Irena ocknęła się z zadumy.

– Halo, halo, dokąd mi odpłynęłaś? – spytał Adam ze śmiechem.

– Ach, nic, nic. – Irena wstała i popatrzyła na wykopany dołek. Był głębszy, niż myślała. – Dobra robota. Dzięki! – Przykucnęła i ostrożnie włożyła do niego słoik. – Wszystkiego najlepszego dla nas wszystkich – powiedziała cicho. Następnie wzięła łopatę i wykopaną ziemią przysypała naczynie.



Rozdział 44

W ciągu następnych miesięcy Irena przenosiła się z jednego konspiracyjnego mieszkania do drugiego. Było to uciążliwe i stresujące, ale nie miała wyboru. Ze swoich kryjówek nadal koordynowała pozyskiwanie fałszywych dokumentów i lokali dla ukrywającej się ludności żydowskiej. Z ulgą stwierdziła, że liczba chętnych gotowych do współpracy z podziemiem stale się powiększa. Groźba tortur i śmierci oczywiście wciąż istniała, lecz wraz z nasilającą się desperacją i wściekłością rosły też odwaga i duch przekory.

Mimo to po położeniu się do łóżka często nie mogła długo zasnąć. Martwiła się o tych, którym teraz mogła pomagać jedynie na odległość, ponadto tęskniła za mamą i Adamem. Co pewien czas kuzynce udawało się przekazać wiadomość z domu. Irena zdawała sobie sprawę, że niepokój o córkę i rozłąka z nią są zabójcze dla słabego serca matki.

W marcu nadszedł kolejny cios. Julian Grobelny został wytropiony w swojej kryjówce we wsi Cegłów i aresztowany. W Żegocie znowu zapanowało napięcie. Jako mózg całej organizacji dysponował on wiedzą, która w żadnym razie nie mogła stać się dostępna Niemcom. Pytanie tylko, jak długo Julian zdoła znieść tortury w więzieniu. Jego organizm był bardzo osłabiony przez gruźlicę, dlatego Irena i inni

obawiali się najgorszego. Musieli zdobyć pieniądze na okup... i wymyślić plan.

Tym razem opracował go Juliusz Majkowski. Odkąd dyrektor miejskich zakładów sanitarnych załatwił przed laty jej i koleżankom z biura przepustki do getta, Irena widywała go rzadko, wiedziała jednak, że nadal działa w podziemiu. Jego pomysł był tak prosty, że aż genialny. Stan Grobelnego pogorszył się do tego stopnia, że zorganizowanie dla niego transportu do szpitala wydawało się rzeczą wręcz oczywistą. Chodziło tylko o to, aby kierowca, który zostanie sownie opłacony, po drodze pozbył się strażników. Zadanie ryzykowne, ale wszystko się powiodło. Zamiast do szpitala Julian trafił do nowej kryjówki. Był znowu wolny i wszyscy w organizacji odetchnęli.

Dla większości akcja na tym się skończyła, tymczasem Irena wciąż nie przestawała o niej myśleć. Przewóz ambulansem! Może zadziałałoby to też w przypadku jej matki? Postanowiła zaryzykować i porozmawiać z Majkowskim. Ten bez wahania zgodził się odwiedzić ją w konspiracyjnym mieszkaniu.

– Co za okropna kawa – zauważył z uśmiechem, gdy usiedli naprzeciw siebie w kuchni.

– Pewnie dlatego, że nie jest prawdziwa – odpowiedziała mu także z uśmiechem.

Majkowski roześmiał się szczerze. Był tak samo sympatyczny i dowcipny, jakim Irena go zapamiętała. Gdyby nie to, że znacznie schudł, można by pomyśleć, że ostatnie lata w ogóle nie odcisnęły na nim piętna.

Irena wykorzystała krótką pauzę, aby przedstawić sytuację swojej matki.

– Nie widziałam jej już od stycznia – podsumowała. – Jej stan pogarsza się z każdym tygodniem, a ja nie mogę się do niej w żaden sposób dostać. Przed domem, w którym mieszka, stoją niemieccy tajniacy, którzy tylko czekają, żebym się tam pojawiła. A mama jest przykuta do łóżka. Po prostu się boję, że już nigdy nie zobaczę jej żywej. Stąd ten pomysł z karetką.

– A jak pani to sobie dokładnie wyobraża? – spytał spokojnie Majkowski.

Irena westchnęła.

– I to właśnie jest problem. Nie jestem pewna, jak miałyby się to odbyć. Może jak w przypadku Juliana? Kierowca musiałby zgubić ewentualnych szpiegów i zawieźć mamę do kryjówki. Szkopuł tylko w tym, kto byłby tym kierowcą. Akcja jest śmiertelnie niebezpieczna. No i oczywiście nie mogę zaoferować żadnych pieniędzy. Nie chcę też prosić nikogo z przyjaciół czy znajomych. Dlatego zastanawiam się, czy nie mogłabym zrobić tego sama.

– Pani? Akurat pani, na którą od miesięcy czatują tajniacy przed domem? – Majkowski uniósł brwi, nie kryjąc zdziwienia. A potem roześmiał się serdecznie. – Myśli pani, że nie rozpoznają pani w tej nowej fryzurze, tak?

Irena zrobiła kwaśną minę.

– Oczywiście, ma pan rację, ale...

– Mogłaby pani mnie przynajmniej zapytać.

– Słucham? – Irena utkwiała w nim wzrok. – Pana? Zdecydowałby się pan? Tak po prostu?

– Ma pani wątpliwości, czy umiem prowadzić z fantazją?

– Nie, skąd. – Irena nie wiedziała, co powiedzieć. Ten człowiek, którego właściwie w ogóle nie zna, już po raz drugi przychodzi jej z pomocą. A tym razem jest gotów zaryzykować własne życie, żeby ona mogła zobaczyć swoją śmiertelnie chorą matkę.

W następnych dniach zaplanowali akcję najskrupulatniej jak to możliwe. Mimo to w umówionym dniu rano Irena czuła się kompletnie roztrzęsiona. Najgorsze było to, że tym razem sama mogła się jedynie przyglądać.

Majkowskiemu pociły się dłonie, kiedy tego ranka wsiadał do ambulansu przed zakładami sanitarnymi. Jego palce zbyt mocno ścisnęły kierownicę, a auto nieoczekiwanie szarpnęło, gdy stopa za szybko ześlizgnęła się ze sprzęgła.

– Cholera! Tylko mi nie mów, że jesteś za stary na taką małą przygodę. – Uśmiechnął się do własnego odbicia w lusterku wstecznym. Tak lepiej.

Po zawadiacku ścinał zakręty i ostro dodawał gazu na prostych odcinkach. Domy i ruiny migwały po bokach, samochody i dorożki zjeżdżały na skraj jezdni, jakiś przechodzień przerażony odskoczył do tyłu.

– I o to chodziło – mruknął radośnie pod nosem. Zawsze chciał poprowadzić karetkę, toteż ta część misji bardzo mu się podobała. Dopiero gdy zbliżał się do ulicy Ludwiki, powróciło napięcie.

Wyjechawszy z za ostatniego zakrętu, kątem oka zobaczył na wysokości domu Ireny dwóch mężczyzn palących papierosa przed oknem wystawowym. To musieli być ci tajniacy. Majkowski zatrzymał się z piskiem opon. Nie oglądając się na nich, wyskoczył z samochodu, wbiegł do kamienicy i odetchnął. Za frontowymi drzwiami czekała już kuzynka z matką. Teraz wszystko potoczyło się bardzo szybko. Majkowski wniósł szczupłą kobietę do ambulansu. Na widok starszej

pani tamci dwaj nagle się ocknęli. Ruszyli biegiem w stronę karetki, ale nie zdążyli. Z włączoną syreną Majkowski odjechał w przeciwnym kierunku. We wstecznym lusterku zobaczył, że Niemcy wskoczyli do czarnego auta. Dodał gazu, ale niedługo potem zablokował mu drogę wóz konny. Czarne auto było coraz bliżej, a od umówionej kryjówki dzieliła go już niewielka odległość. Zanosiło się na to, że plan A nie wypali.

– Wobec tego plan B – wymamrotał przez zęby i z karkołomną prędkością wyprzedził chłopca powożącemu wozem zaprzężonym w konia. Skoro nie zdołał się pozbyć swoich prześladowców po drodze, wystarczy mu nawet minimalna przewaga, żeby zgubić ich w tłumie w szpitalnym holu.

Kiedy wkrótce potem zatrzymał się przed kliniką, zrezygnował z popisowego pisku opon. Brawurowo wyprzedzony wóz konny zatrzymał Niemców na wystarczająco długo, by dać mu czasową przewagę, na którą liczył. Młody kolega czekał już z noszami przy wejściu. Obaj popędzili ze starszą panią do środka. Na szczęście w holu było jak zawsze pełno ludzi, którzy głośno prosili o pomoc albo domagali się informacji.

Majkowski wraz z kolegą torowali sobie drogę przez kolejne sale w amfiladzie, wzbudzając zdziwienie pielęgniarek i lekarzy. Kiedy dotarli do umówionego pomieszczenia na drugim piętrze, Majkowski był mokry od potu pod białym kitem. Również jego pomocnikowi wilgotne kosmyki włosów opadły na czoło.

Pulchna, siwowłosa pielęgniarka o surowym wyrazie twarzy pomogła mamie Ireny zejść z noszy. Starszą panią, która oddychała z trudem i miała szeroko otwarte oczy, czekała teraz najtrudniejsza część operacji. Siostra objęła ją swoim silnym ramieniem i skierowała na schody przeciwpożarowe.

– Tylko kilka schodków w dół. I niedługo będzie po wszystkim. – Jej głos był nadszpiewanie łagodny. Ostrożnie, stopień po stopniu, sprowadzała matkę Ireny na parter.

Na ulicy czekała już druga karetka. Majkowski skinął z góry kierowcy. Jeszcze chwila i zaraz będzie koniec. Podszedł do drzwi i wyjrzał na korytarz. Spokój. Prawdopodobnie Niemcy wciąż próbowali uzyskać w recepcji informację o właśnie przywiezionej pacjentce. Na dole kierowca wniósł starszą panią do ambulansu, następnie usiadł za kierownicą i ruszył. Majkowski z ulgą skinął głową ku młodemu koledze i pielęgniarce, która ciężko dysząc, weszła z powrotem po schodach. Przez jej twarz przemknął uśmiech.

– Z wami z zakładów sanitarnych zawsze są tylko same kłopoty – powiedziała na pozór szorstko, ale w jej oczach błysnęła figlarna iskierka. Majkowski spojrzał na nią życzliwie, po czym zdjął kitel i ruszył do wyjścia.

Kiedy do Ireny dotarła wiadomość, że mama jest już w konspiracyjnym mieszkaniu, nic nie mogło jej zatrzymać w kryjówce. Marzec był jeszcze chłodny. Obszerny płaszcz, czapka i okulary dopełniały kamuflażu, gdy szybkim krokiem przemierzała ulice pod jasnoniebieskim rozmytym niebem. Kobieta, u której znalazła schronienie jej mama, sama pracowała w wydziale zdrowia i była wykwalifikowaną pielęgniarką. Od razu położyła starszą panią do łóżka i napoiła ją herbatą.

– Proszę, niech pani wejdzie – przywitała Irenę, gdy ta dotarła na miejsce. – Zaprowadzę panią.

Weszły do małego pokoiku.

– Mamo!

Irena jednym susem znalazła się przy łóżku. Z całego serca pragnęła uściskać mamę, ale to w ogóle nie wchodziło w rachubę.

– Płaczesz, bo wreszcie znowu się widzimy czy dlatego, że tak źle wyglądam? – spytała staruszka. Cedziła słowa, ale ten uśmiech jej córka znała od zawsze.

Śmiejąc się, Irena otarła łzy z policzków, które płynęły wbrew jej woli.

– I jedno, i drugie – odparła zaczepnie.

Mama też się roześmiała, ale zaraz się zachłysnęła i zaczęła kaszeć. Pielęgniarka wetknęła głowę w drzwi i zrobiła delikatny gest, który Irena od razu zrozumiała. Dla chorej niewskazane są zbyt intensywne emocje. Również te pozytywne.

– Dziękuję ci, że wydobyłaś mnie z tamtego więzienia. I za to, że mogłam cię jeszcze raz zobaczyć – powiedziała starsza pani, kiedy kaszel się uspokoił.

– Jeszcze raz zobaczyć? – Irena ujęła jej dłonie. – Co ty wygadujesz? Teraz będziemy się widywać codziennie.

– Czy to nie jest zbyt niebezpieczne dla ciebie? Powinnaś siedzieć w swojej kryjówce.

Irena pokręciła głową.

– To niedaleko. Przestań się zamartwiać, słyszysz? To ważne. Teraz wszystko będzie dobrze.

Matka potaknęła niemo. Jej oczy błyszczały, a dolna warga zaczęła drżeć.

– Mamo? – spytała zaniepokojona Irena.

– W porządku. Nic się nie dzieje. Tylko jeszcze jedna rzecz mnie męczy. Musisz mi coś obiecać, a ja chciałabym ci zaufać. Potem już niczym nie będę się martwić, przyrzekam.

– Co to takiego?

– Chodzi o mój pogrzeb. – Starsza pani uwolniła jedną dłoń i pogłaskała córkę po policzku. – Nie, nie, posłuchaj mnie – powiedziała, gdy Irena otworzyła usta, aby zaprotestować. – Ten dzień nadejdzie, i to już niedługo. Dobrze wiesz, że Niemcy polują na ciebie. Dlatego nie wolno ci przyjść na mój pogrzeb. Obiecuj mi to na wszystko, co jest dla ciebie święte. Na pamięć twojego ojca i szczęście tych wszystkich dzieci, którym pomogłaś.

Irena popatrzyła na nią na poły z przerażeniem, na poły z przekorą.

– Nie, nie sprzeciwiaj się. – Matka ścisnęła jej dłonie tak mocno, jak tylko była w stanie. – Jeśli Pan wezwie mnie do siebie, to widocznie tak musiało być. Ale to nie powód, żeby oni mieli ciebie schwytać. Masz mi to przyrzec. Tu i teraz. – Zakaszła ze zmęczenia. Ucieczka z domu i wyjątkowo długa rozmowa kosztowały ją dużo wysiłku. Policzki się zaczerwieniły, a sine usta pociemniały.

– Przyrzekam – powiedziała szybko Irena. – Nie przyjdę i będę na siebie uważać.

Atak kaszlu minął, oddech się uspokoił i schorowana kobieta opadła głębiej na poduszki. Irena znowu ujęła jej dłonie.

Popołudniowe światło za oknem przygasało. Żółto-zielona tapeta pobladła. Zniknął też rozedrgany cień gałęzi, jaki jeszcze do niedawna rzucał na ścianę dęb z podwórka. Znowu zajrzała pielęgniarka i zapaliła lampkę, ale mama Ireny zasnęła.

Tydzień później zmarła. Tego dnia bliski kwiecień zapowiedział się pierwszymi ulewnymi deszczami. Również w dniu pogrzebu lało jak z cebra. Chociaż przyszło jej to z ogromnym trudem, Irena dotrzymała obietnicy i nie pojawiła się na cmentarzu. W Warszawie Niemcy wiedzieli o każdym pochówku, ale jej mamie nie mogli już nic zrobić, nie zdołali też przeszkodzić w tym, aby Irena się z nią pożegnała.

W ostatnich dniach przed śmiercią matki spędzała przy jej łóżku całe godziny. W przeciwieństwie do ich pierwszego spotkania nie potrzebowały już wielu słów – obie upajały się po prostu wzajemną obecnością. Odejście mamy poczyniło kolejną wielką pustkę w życiu Ireny, pustkę, którą można było zapełnić jedynie pracą. W najbliższych tygodniach i miesiącach dziewczyna rzuciła się zatem w wir pracy dla Żegoty. Dzięki doświadczeniu, odwadze i wyważonej nieustępliwości zyskała ogólny szacunek. Coraz częściej to ona przejmowała kierowanie organizacją, zgłaszała inicjatywy i planowała akcje także innych grup.

W styczniu 1944 roku Związek Sowiecki przerwał pierścień niemieckiego oblężenia wokół Leningradu, a brytyjskie lotnictwo dokonało pierwszych dotkliwych nalotów na Berlin. W marcu kolejne bomby zniszczyły centrum Frankfurtu. Od niewielu tygodni Rzym był znowu wolnym miastem, a wraz z wylądowaniem aliantów w Normandii rozpoczęła się ostateczna walka o wyzwolenie Francji. Niemcy nie były już niepokonane.

W Warszawie byle jak połatane ulice żarzyły się w lipcowym upale, a ciepły wiatr wzbijał nad ruinami tumany kurzu. Działająca w podziemiu Armia Krajowa uznała, że nadszedł właściwy moment, by stawić otwarty opór. Od kilku dni Adam i Irena nie rozmawiali o niczym innym. Od niedawna oboje ukrywali się u Marii i Henryka Palestrów, którzy przed laty przeszli na judaizm i pozostali niezauważeni, żyjąc na oczach wszystkich. W ich mieszkaniu ukrywała się także żydowska lekarka Maria Skokowska, kolejna przyjaciółka Palestrów.

– Może rzeczywiście idźmy dziś wcześniej spać, skoro jutro zgodnie z planem ma się wszystko zacząć o piątej – zaproponował Adam na wpół żartobliwie, kiedy po skromnej kolacji wszyscy usiedli w pokoju.

Irena oparła głowę na jego ramieniu. Nagle się wyprostowała.

– A niby dlaczego miałyby się nie zacząć jutro rano? – spytała z irytacją. – Powstanie planowane jest od tygodni.

Adam wybuchnął śmiechem.

– Na litość boską... to był tylko żart. Jasne, że się zacznie... nareszcie! – Potoczył wzrokiem po pozostałych.

Oczy Marii Skokowskiej pałały, za to Henryk i Maria Palestrowie wydawali się przygnębieni, niemal nerwowi.

– Wcześniej też myślałem, że już najwyższa pora na otwarte powstanie w tym mieście – zauważył z ociąganiem Henryk, kiedy spostrzegł pytające spojrzenie Adama. – Ale teraz, kiedy to ma się stać, nagle wcale nie jestem pewny.

– Co? Dlaczego? – rzucił Adam, nie kryjąc zdziwienia. – Przecież Armia Czerwona jest już w Polsce. Kilka dni temu wyzwoliła obóz koncentracyjny pod Lublinem. A jedna z jej dywizji dotarła pod samą Warszawę. Wszyscy byliśmy zgodni co do tego, że teraz to najlepszy moment. A może się boisz, że kiedy się wszystko zacznie, trzeba będzie opuścić to mieszkanie?

– To też – odpowiedziała z westchnieniem Maria Palester.

– Ale nie tylko – kontynuował jej mąż. – Po prostu niepokoi mnie to, że przyjmujemy niejako za oczywistość, że armia sowiecka przyjdzie nam z pomocą w powstaniu.

– A dlaczego miałyby tego nie zrobić? – spytała nagle Maria Skokowska. – Niemcy to przecież nasz wspólny wróg. Jasne, że Sowieci nam pomogą, kiedy jutro zobaczą, że nasza Armia Krajowa uderza.

– Też tak myślę – rzekła z przekonaniem Irena. – I w obliczu tego wspólnego frontu Niemcy się poddadzą. Nie pozostanie im nic innego. Już sama nasza armia podziemna liczy niemal czterdzieści tysięcy ludzi. Broni też nam nie brakuje, rząd emigracyjny o to zadbał.

– Otóż to – wtrącił Adam. – A nawet jeśli nie jesteśmy tak dobrze wyposażeni jak Niemcy, nadrobimy to odwagą i determinacją, których im brakuje. W przeciwieństwie do nich my walczymy o własny kraj.

– Adam ma rację – dołączyła Maria Skokowska. – O nasz kraj. O nasze miasto. A kiedy już się z nimi rozprawimy, pognamy niemieckich żołnierzy ulicami Warszawy, tak jak niedawno Sowieci zrobili z nimi w Moskwie. Pamiętacie? Zaledwie kilka tygodni temu kazali maszerować dziesiątkom tysięcy niemieckich jeńców wojennych przez Moskwę. Możesz mi wierzyć, Henryku: Niemcy tego nie zapomnieli. Tkwi w nich strach przed czymś podobnym. W głębi duszy czują się pokonani, jestem tego pewna.

Henryk westchnął i niezdecydowanie wzruszył ramionami. Prawą ręką ścisnął kolano żony, która siedziała obok niego.

– Prawdopodobnie macie rację. No bo dlaczego Sowieci mieliby nam nie pomóc? Oby tylko zrobili to szybko. A przynajmniej zanim Niemcy będą mieli okazję jeszcze bardziej zniszczyć Warszawę. Ostatnie lata, strach, ukrywanie się, powszechne okrucieństwa wokół nas – to wszystko dało mi się porządnie we znaki. A perspektywa utraty naszego mieszkania w czekających nas walkach też nie jest dla mnie łatwa. Zauważcie, że nie jestem już tak młody jak wy. – Uśmiechnął się szelmowsko do swojej dużo młodszej żony.

Ta uszczypnęła go żartobliwie w policzek.

– No proszę. A teraz jeszcze domaga się komplementów: że wciąż ma bujną czuprynę i wygląda właściwie jak młody bóg.

Pozostali wybuchnęli śmiechem.



Rozdział 45

Gubernator dystryktu warszawskiego Ludwig Fischer stał na balkonie i patrzył na mroczne miasto przed sobą. Jedyne źródłem światła były ozdobne secesyjne lampy w salonie za jego plecami, doskonale harmonizujące z wysokimi regałami na książki i skórzanymi sofami. Fischer prawie nic nie zmienił w wystroju mieszkania. Bogaci Żydzi mieli dobry gust. Nie pamiętał już nazwiska właścicieli. Zresztą oni wszyscy nazywali się tak samo. Goldblatt, Goldkranz, Rosenblatt, Rosenkranz... Przynajmniej w Niemczech.

W ciemności rozróżniał co najwyżej kontury. Swoją drogą ciekawe, co stało się z tą rodziną. Po raz pierwszy nasunęło mu się to pytanie. Stawiał na Treblinkę, chociaż akurat tym ludziom raczej nie brakowało pieniędzy, żeby gdzieś w porę bezpiecznie się ulokować. Zrobiło tak wielu, ale bynajmniej nie wszyscy. Większość liczyła na przeczekanie. Tak jak Polacy w tym mieście – ci wręcz wierzyli, że niedługo odwrócą bieg historii. Pewnie myśleli, że Niemcy nic nie wiedzą o ich śmiesznych planach wywołania powstania.

Fischer spojrział na zegar i z trudem dostrzegł wskazówki – było tuż po jedenastej. W tym samym momencie zobaczył zajeżdżające przed dom

auto. Wsiadł z niego młody oficer i szybko skierował się do drzwi frontowych.

Niedługo potem ten sam młody mężczyzna wszedł do salonu. Fischer, który nadal stał na balkonie, odwrócił się do niego.

– Heil Hitler!

– Heil Hitler!

– Chciałbym złożyć meldunek! – oznajmił oficer, prężąc się na baczność.

– Wobec tego słucham. – Głos Fischera zdradzał zniecierpliwienie.

– Tak jest, panie gubernatorze. Nasi informatorzy potwierdzają, że nie ma zmian w planie. Tak zwane powstanie ma się rozpocząć jutro rano o piątej.

Fischer skinął głową.

– Dziękuję. Może pan odejść. Heil Hitler!

– Heil Hitler! – Mężczyzna ruszył do wyjścia. Po kilku minutach zaparkowany na dole samochód odjechał.

Fischer westchnął. Zapowiadała się krótka noc, kolejne też pewnie będą podobne. Wezbrała w nim wściekłość. Czy ci Polacy naprawdę wierzą, że garstka ludzi i ta odrobina uzbrojenia zafundowana przez ich tchórzliwy rząd emigracyjny w Londynie wystarczą, żeby wyzwolić miasto? Oczywiście liczyli też na to, że z pomocą pospieszą im Sowieci. I ramię w ramię będą walczyć ze wspólnym wrogiem.

Fischer uśmiechnął się w ciemności. Wprawdzie nie można było wykluczyć takiej możliwości, ale według niego Rosjanie mieli własne plany. A gdyby nawet... Myli się każdy, kto sądzi, że oni, Niemcy, podkulą ogon i oddadzą miasto. Na jego biurku leżał właśnie rozkaz przekazany przez samego Heinricha Himmlera, brzmiący jednoznacznie:

Warszawa ma być utrzymana za wszelką cenę. W razie konieczności unicestwić całą ludność i zrównać miasto z ziemią.

Wrócił do salonu i usiadł w fotelu. Nie było sensu kłaść się do łóżka. Zamknął oczy.



Rozdział 46

Kolejny wybuch gdzieś całkiem blisko wprawił ściany i posadzkę piwnicy w drżenie. Zgasło światło, z sufitu posypał się tynk. Kilka osób zakaszłało, a niemowlę sąsiadki krzychało wniebogłosy.

– Nie mogłaby pani uciszyć tego dziecka?

– Niech pan zostawi biedną kobietę w spokoju! Co według pana miałyby zrobić?

Mężczyzna, który zgłaszał pretensje, z irytacją pokręcił głową.

Irena starała się nie zauważać tych wszystkich pełnych zniecierpliwienia spięć, do jakich coraz częściej dochodziło między ludźmi godzinami tkwiącymi w piwnicy. Oparła czoło na podciągniętych kolanach, które otoczyła ramionami. Na plecach czuła mechanicznie głaszczącą ją rękę Adama. Wiedziała, że po ostatnich dniach jest równie wycieńczony nerwowo jak ona. Odkąd tydzień temu ogłoszono wybuch powstania, więcej czasu spędzali w piwnicy niż na zewnątrz. Prawie nie jedli i jeszcze mniej sypiali. Poprzedniego wieczoru jedna z sąsiadek dostała ataku paniki. Henryk Palester zdołał ją jakoś uspokoić, ale potem jemu samemu z wyczerpania trzęsły się ręce i głowa.

Ponownie dudnienie samolotu. Coraz głośniejsze... i głośniejsze. Ostry świst. Detonacja znów wstrząsnęła piwnicą. Grad kawałków betonu wielkości pięści spadł z sufitu. Irena krzyknęła, jednocześnie poczuła w ustach cementowy pył, zakrztusiła się i zaczęła kaszleć.

– Robi się gorąco... nad nami chyba się pali. – Przez wrzaski i nawoływania innych usłyszała głos Adama. – Wstawaj! – Poderwał ją do góry. – Trzeba stąd uciekać. Ogień musi być całkiem blisko.

Irena chwyciła za rękę Marię Skokowską, też wstrząsaną atakiem kaszlu. Zgięci w pół, biali od pyłu, zasłaniając sobie usta dłońmi i przedramionami, ruszyli w kierunku wyjścia z piwnicy.

Im wyżej, tym stawało się goręcej. Na ulicy powietrze wprost wibrowało. Trawiona płomieniami sąsiednia kamienica trzeszczała i powoli pękała. Kawałek ściany nie wytrzymał ognia i runął. We wszystkich kierunkach biegali ogarnięci paniką ludzie. I znowu narastał huk samolotu.

– Musimy się stąd zabierać! – wrzasnął do nich Henryk Palester. – Trzeba znaleźć nową piwnicę!

Pobiegli za nim. Na końcu ulicy stała ruina domu zbombardowanego już na początku wojny, ale mającego nienaruszoną piwnicę i wolne podwórze. Odnaleźli wejście do cuchnących stęchlizną pomieszczeń, w których zastali już kilka osób. Nieznajomi popatrzyli na nich otępiąłym wzrokiem.

W jednym z ostatnich pustych kątów wycieńczeni osunęli się po ścianie na posadzkę.

– Dlaczego Rosjanie nic nie robią? – rzuciła ze złością Maria Palester. – Gdzie oni są? Na co czekają?

Maria Skokowska zaśmiała się gorzko.

– Wiesz, co ja myślę? Oni chcą, żeby Niemcy i Polacy nawzajem się wykończyli. Wygląda na to, że w ogóle nie są zainteresowani wyzwoleniem nas. Nawet nie pozwalają korzystać ze swoich lądowisk aliantom, wtedy przyszliby nam z pomocą przynajmniej Anglicy.

Maria Palester prychnęła.

– A my byliśmy tacy głupi i im wierzyliśmy.

Irena spojrzała na Adama, który tyłem głowy mechanicznie uderzał o ścianę.

– Cholerny szkolny błąd, że zdaliśmy się akurat na Sowieców. A skoro ich pomoc miała być naszą jedyną szansą na sukces, to sytuacja jest jasna.

Siedząc z boku, Irena otoczyła go ramieniem.

– Daj spokój! Jeszcze nie wszystko stracone. Nie wolno rezygnować tak szybko.

Adam roześmiał się gorzko, ale nic nie powiedział. Nagle zaległa nad nimi cisza. Terkot samolotów się oddalał i w końcu całkiem zniknął. Irena odetchnęła z ulgą. Stopniowo czuła, jak jej mięśnie się rozluźniają, pot wysycha, mimo to nie miała dość siły, żeby się podnieść. Inni byli chyba w podobnej kondycji. Słyszała jedynie ich oddech. Oparła głowę na ramieniu Adama. Wystarczyła sekunda i oczy same się jej zamknęły. Zasnęła.

W następnych tygodniach walki trwały nieprzerwanie. Miasto przypominało jeden gigantyczny stos gruzów. Irena z Adamem, a także Palestrowie i Maria Skokowska co noc schodzili spać do piwnicy. Na podwórzu domu urządzili pod kierunkiem Henryka i Marii Skokowskiej, którzy byli lekarzami, prowizoryczną izbę chorych. Zaczęło się od jednego rannego żołnierza, a przerodziło się w stały punkt pomocy medycznej. Wieść o ich klinice szybko się rozeszła i pacjentów im nie

brakowało. Brakowało za to odpowiednich środków: instrumenty były podstawowe, a materiały opatrunkowe i lekarstwa niemal nie do zdobycia.

Tymczasem oprócz nieustannych walk od kilku dni zawisł nad nimi jeszcze jeden miecz Damoklesa: Niemcy zaczęli wypędzać ludzi z domów i gnać ich na piechotę z miasta. Kolejna ewakuacja i nikt nie wiedział dokąd. Irena i jej grupa postanowili zostać.

Pewnego ranka, gdy Irena pomagała oczyścić ranę u jednego z pacjentów, energiczny męski głos przerwał zniemacka pełną skupienia ciszę. Mężczyzna mówił po polsku, ale kiedy Maria i Irena się obejrzały, zamarły. Nieznajomy miał na sobie mundur Wehrmachtu.

– Nie słyszałyście o ewakuacji? – spytał powtórnie i tym razem Irena odniosła wrażenie, że słyszy niemiecki akcent.

– To jest izba chorych – oznajmiła stanowczym tonem Maria Skokowska.

Od strony budynku zbliżał się Henryk z żoną. Trudno było odczytać wyraz ich twarzy.

– Zostały nam tylko jedne nosze – uzupełniła rzeczowo Irena. – Nie mamy jak przetransportować naszych pacjentów, a nie zostawimy ich tutaj.

Młody Niemiec ruszył w kierunku wyjścia z podwórza. Wydawało się, że zamierza odejść. Irena i Maria popatrzyły na siebie pytająco. W bramie jednak żołnierz Wehrmachtu się zatrzymał i spojrzał raz w jedną, raz w drugą stronę ulicy. Następnie wrócił.

– Nie możecie tu zostać – oznajmił krótko. – Zaprowadzę was gdzie indziej. Powyjmujcie drzwi z zawiasów, użyjemy ich zamiast noszy. Albo znajdźcie deski, cokolwiek. To niedaleko. Pospieszcie się!

– Dlaczego chce nam pan pomóc? – spytała podejrzliwie Maria Palester.

– Moja matka jest Polką, a ojciec Niemcem. Obiecałem jej, że nikogo nie zabiję i będę pomagał, gdzie to tylko możliwe.

Przez chwilę nikt nawet nie drgnął, w końcu Henryk podszedł do pierwszych drzwi z brzegu i wyjął je z nawiasów. Pojawił się też Adam, który przysłuchiwał się rozmowie, siedząc w środku. Irena trochę się denerwowała, nie miała bowiem pojęcia, czy rzeczywiście mogą zaufać nieznanemu Niemcowi. Tymczasem on zabrał się już do wymontowywania kolejnych drzwi.

Niecałą godzinę później znaleźli się w pomieszczeniach budynku pozbawionego okien i dachu kilka ulic dalej.

– Powinno być w porządku – stwierdził żołnierz. – Tu już była kontrola. Ale gdyby mimo wszystko ktoś się pojawił, powiedzcie, że jesteście tutaj na rozkaz majora Patza. – Po czym skinął głową i zniknął.

W najbliższych dniach Irena i pozostali wciąż się spodziewali, że lada moment zostaną zdemaskowani. Na szczęście nic takiego się nie zdarzyło.

– Udało ci się coś zdobyć? – spytała Marię Palester, gdy po oddzielnych wyprawach eksploracyjnych spotkały się w pobliżu ich nowej kryjówki.

Obie miały szczęście. Przez ostatnie godziny panował względny spokój, dzięki czemu mogły dłużej niż zwykle penetrować okolicę w poszukiwaniu jedzenia i lekarstw.

– Kilka brukwi, parę strzykawek i jedno prześcieradło, ale żadnych lekarstw. A tobie? – Maria odgarnęła z czoła ciemny kosmyk włosów i starała się nadążyć za Ireną, która wielkimi krokami zmierzała w kierunku ich wspólnego schronienia.

– Ziemniaki. Pomarszczone, ale jeszcze jadalne. Znalazłam w piwnicy opuszczonego domu. I słoik dżemu – oznajmiła z triumfem Irena.

– Serio? – Maria aż przystanąła. – Ojej, już nie pamiętam, kiedy ostatnio...

Rozległ się głośny huk, po którym nastąpił przesywający krzyk. Gdy obie wyjrzały zza rogu domu, zobaczyły kobietę kręcącą się wokół własnej osi niczym wariatka z wysoko uniesioną ręką, której brakowało dłoni.

Irena pędem puściła się ku niej, chwyciła ją i pociągnęła za sobą. Maria spodziewała się, że lada moment z któregoś okna polecą kolejny granat, ale na razie był spokój. Kiedy Irena znalazła się przy niej z ranną kobietą, natychmiast wyciągnęła z torby prześcieradło i owinęła nim kikut. Potem zabrały ją do swojej izby chorych.

– Jezus Maria!

Maria Skokowska i Henryk Palester ruszyli im naprzeciw i położyli będącą w szoku kobietę na noszach. Wciąż była przytomna i wpatrywała się w nich szeroko otwartymi, dzikimi oczami.

– Trzeba natychmiast operować – rzuciła Maria, patrząc na Henryka. – Kto to zrobi? Ja czy ty?

Henryk nerwowo ugniatał dłonie.

– Jestem zakaźnikiem. A coś takiego... nie sądzę, żebym dał radę.

– Moja specjalność to też nie jest, ale jakie to ma znaczenie? – Z marsową miną Maria sięgnęła po niemal pustą butelkę ze środkiem dezynfekującym.

Wszyscy zamilkli. Maria pracowała w skupieniu, wręcz z zapamiętaniem, podczas gdy Henryk asystował jej wraz z Ireną. Maria

Palester i Adam stali oparci o brudną ścianę piwnicy i śledzili każdy ich ruch. Nikt nie słyszał zbliżających się kroków, dopóki mężczyzna nie stanął tuż za nimi.

– Co tu się dzieje? Co wy, u diabła, tu robicie?! – ryknął oficer, który sam wydawał się zaskoczony, że raptem natrafił na grupkę ludzi. Miał przysypane pyłem włosy, porysowane okulary i podarty mundur. Najwyraźniej dopiero teraz przyszło mu do głowy, że powinien wyciągnąć broń. Z zewnątrz dobiegły kolejne kroki. W drzwiach ukazało się dwóch żołnierzy, którzy też chwycili za broń.

Adam zareagował jako pierwszy i sięgnął po flagę Czerwonego Krzyża, którą sami zrobili.

– *Red Cross!* – krzyknął. Prawie załamał mu się głos. – *Hospital. We have a patient.* – Wskazał na prowizoryczny stół operacyjny. Żołnierze nerwowo przenosili wzrok raz w jedną, raz w drugą stronę.

Henryk Palester uniósł ręce i powiedział:

– Nie mamy broni. Lekarze. I jesteśmy tu na rozkaz majora Patza.

Mężczyzna z porysowanymi okularami błyskawicznie znalazł się przy nim i go uderzył. Henryk zatoczył się do tyłu, ale w ostatniej sekundzie zdołał się czegoś złapać.

– Majora Patza?! – ryknął Niemiec. – Ja jestem major Patz!

– Cisza! – Głos Marii Skokowskiej nieoczekiwanie przeciął powietrze. Wszystkie głowy obróciły się w jej stronę. – Nie widzicie, że operuję? Przeszkadzacie. Poczekajcie, aż skończę, wtedy wszystko będę mogła wyjaśnić.

Jej rzeczowy i nieznoszący sprzeciwu ton odniósł niespodziewany skutek. Mężczyzna, będący najwyraźniej majorem Patzem, dał znak żołnierzom, że mogą odejść. On sam zaś schował broń i stanął obok

Adama i Marii Palester pod ścianą. Dopiero gdy operacja dobiegła końca i Maria umyła ręce, wystąpił do przodu.

– No, a teraz za mną.

– Może mógłbym... – zaczął Henryk, lecz major zaraz mu przerwał:

– Ta kobieta chciała mi coś wyjaśnić i teraz będzie musiała to zrobić. – Po czym wyprowadził Marię na dwór.

Minęła więcej niż godzina, podczas której Irena, Adam i Palestrowie nie powiedzieli ani słowa. W milczeniu nasłuchiwali odgłosu strzału, który byłby dla nich sygnałem, że Maria nie żyje. Ale żaden strzał nie padł. Za to znowu rozległy się kroki. Irena jako pierwsza wybiegła na podwórze, tuż za nią Adam i Palestrowie. Nie do wiary! To Maria! Towarzyszyli jej czterej żołnierze niosący wielkie kosze.

– Co się stało? Wszystko w porządku? – rzuciła Irena z daleka.

Oczy Marii błyszczały, a policzki były zarumienione.

– Udało mi się wszystko wyjaśnić. A major Patz przysyła nam to. – Wskazała kosze. – Chleb, materiały opatrunkowe i lekarstwa. Zwraca nam uwagę, że mógł nas zastrzelić, ale nasza operacja w tych warunkach najwyraźniej zrobiła na nim wrażenie. W przyszłości powinniśmy być bardziej ostrożni. – Następnie zwróciła się do żołnierzy: – Tędy!



Rozdział 47

Ludwig Fischer siedział w salonie swojego mieszkania przy misternie wykonanym sekretarzyku z czereśniowego drewna. Za oknami było jeszcze ciemno, również w wielkim pokoju panował mrok. Nieco światła rzucała tylko mała lampka na blacie. Meble i książki znajdujące się poza obrębem jasnego stożka zdawały się należeć do innej sfery.

Fischer siedział tak chwilę. Leżący przed nim oprawiony w skórę gruby notes był zamknięty. W końcu go otworzył. Od jego ostatnich prywatnych wpisów minęło już sporo czasu. Sięgnął po pióro, zaraz jednak je opuścił i przewrócił kilka kartek do tyłu. Na przykład 4 października. Prychnął. Jak szybko sytuacja się zmieniła. Przebiegł wzrokiem po linijkach:

4 października 1944

Tak zwana polska Armia Krajowa skapitulowała. Nie powinno się wszczynać powstania, wymachując pistolecikami i domowej roboty granatami ręcznymi, kiedy wróg ma do dyspozycji prawdziwą broń, czołgi i samoloty. Zgodnie z przewidywaniami Armia Czerwona do samego końca nie ruszyła nawet palcem, aby pomóc polskim

powstańcom. Jeśli o mnie chodzi, nie widzę powodu do świętowania. W obliczu ewidentnej słabości Polaków 63 dni walki są dla nas, Niemców, hańbą i nie należy robić wokół tego wiele hałasu. Sprawa powinna być zostać załatwiona w niecały tydzień. Od jutra początek planowego, zarządzanego osobiście przez Himmlera niszczenia miasta, ewentualnie tego, co jeszcze z niego pozostało.

Przeczytał kolejne zapiski.

10 października 1944

Od kilku dni nasze oddziały inżynieryjne przeczesują miasto w celu spalenia i wyburzenia jeszcze stojących budynków. Stosują materiały wybuchowe i miotacze ognia. Pierwszeństwo mają budowle o znaczeniu historycznym lub gmachy użyteczności publicznej. Jak mnie poinformowano, istnieją dwa projekty dotyczące przyszłości miasta po niezachwianym niemieckim zwycięstwie. Jeden przewiduje zrobienie z Warszawy wojskowego obozu przejściowego. Według drugiego należy zrównać ją z ziemią i na jej miejscu stworzyć jezioro. Też niezły pomysł.

Do tej pory wysadzono 16 budynków. Ponad 20 kolejnych podpalono. Duże straty wśród ludności cywilnej.

29 października 1944

Dotychczas 100 wysadzonych i spalonych budynków, w tym Biblioteka Narodowa razem z książkami. Dalsze znaczne straty wśród ludności cywilnej.

27 grudnia 1944

Dzisiaj zburzono Pałac Saski. Duże straty wśród ludności cywilnej. Zniszczenie pałacu w Łazienkach zostało

sfilmowane przez ekipę operatorską w celu dokumentacji.

10 stycznia 1945

Do dziś udało się zniszczyć około 85% substancji budowlanej miasta. Obejmuje to zniszczenia podczas inwazji w 1939, podczas likwidacji getta i zdławienia powstania warszawskiego. Szacowane straty ludności cywilnej wynoszą między 150 a 225 tysięcy.

Fischer odchylił się na moment na fotelu. Jego prawa dłoń spoczywała na ostatnim wpisie. Następne strony były puste. Przeniósł spojrzenie ku wyłaniającym się z mroku czerwonym sofom. Tak dużo osiągnęli... i tak szybko, zaledwie w ciągu kilku dni, sytuacja się odwróciła. Pora zrobić ostatnie notatki – gwoli porządku. Znowu pochylił się do przodu i sięgnął po pióro.

Pisał w skupieniu przez dobrych kilka minut. Relacjonował, jak niemieckie linie obrony zostały przerwane przez Rosjan, aż w końcu Sowieci przekroczyli Wisłę pod Warszawą. Nie było ani jednej daty, ani jednego manewru wojsk, których nie potrafiłby co do minuty odtworzyć.

Wreszcie dotarł do dzisiejszego dnia:

17 stycznia 1945, godz. 5.00

Kilka godzin temu pierwsza polska armia pod dowództwem sowieckim przekroczyła Wisłę i rano wkroczyła do miasta.

Szybkie kroki po drugiej stronie drzwi wejściowych przerwały tok jego myśli. Gwałtowne pukanie. Tuż potem do środka wszedł jego osobisty adiutant.

– Heil Hitler, panie gubernatorze!

– Heil Hitler!

– Melduję posłusznie, panie gubernatorze – odezwał się młody żołnierz – pańskie auto stoi gotowe.

– Jeszcze minutę...

– Panie gubernatorze, nie mamy ani chwili do stracenia. Oni... Sowieci mogą być tu lada moment. Wskazane byłoby niezwłoczne opuszczenie...

– Powiedziałem: jeszcze minutę! – wrzasnął na niego Fischer. Jego twarz wykrzywił gniew.

Młody żołnierz aż się wzdrygnął.

– Tak jest, panie gubernatorze.

Fischer odwrócił się i pisał dalej:

Jaki pożytek wyniknął ze stłumienia powstania warszawskiego? Po co systematyczne niszczenie miasta, skoro teraz wszystko, co zdobyliśmy, musimy porzucić jak tchórze? Od naszych wojsk na Zachodzie nie przychodzi żadna pomoc. Tłumaczą się tym, że są niezbędne na froncie zachodnim w walce z aliantami. Zostaliśmy poświęceni! Moja żona i córka opuściły miasto już kilka dni wcześniej. Dzisiaj do nich dołączam.

Zamknął zeszyt, włożył go do niedużej walizki stojącej obok sekretarzyka i wstał. Adiutant podał mu płaszcz i ruszył przed nim.

W drzwiach salonu Fischer zatrzymał się jeszcze i spojrzął za siebie. Nie zgasił lampki, ale to nie miało już znaczenia. Co zrobią Rosjanie z tym mieszkaniem? Powiódł wzrokiem po perskich dywanach, meblach, wysokiej bibliotece z tomami oprawnymi w skórę. Prawdopodobnie splądrują – jak barbarzyńcy, którymi są. Właściwie szkoda, uznał, po czym się odwrócił i poszedł za swoim adiutantem do samochodu.



Rozdział 48

W ostatnich rozpaczliwych tygodniach skazanego na klęskę powstania również Irena i jej przyjaciele musieli opuścić miasto. Znaleźli schronienie w jakiejś dawnej fabryce pod Warszawą.

Kiedy 17 stycznia rozeszła się wiadomość, że Sowieci „wyzwolili” stolicę, a gubernator Ludwig Fischer uciekł, można było wreszcie do niej wrócić. Mimo to nikt się nie cieszył. Warszawa praktycznie nie nadawała się do życia. W mroźne zimowe miesiące 1945 roku Irena i Adam urządzili się od biedy w jakiejś komórce i zaczęli szukać żydowskich współobywateli. Przez lata żyli nadzieją, że wielu z nich zdołało się ukryć poza murami getta. A teraz, kiedy ta gra w ciuciubabkę już nie była konieczna, mogli wreszcie się ujawnić. Niestety ich nadzieja okazała się płonna. Dopiero później poznają liczby wręcz niedające się ogarnąć rozumem. Dziewięćdziesiąt procent żydowskiej ludności Polski nie przeżyło ostatnich kilku lat.

Mimo to Irena i Adam nie rezygnowali. W swoich wędrówkach po zniszczonym mieście w poszukiwaniu pożywienia i jakiegokolwiek opału rozglądali się też za ocalałymi i powracającymi.

Tak jak w pewien szary wieczór pod koniec marca. Kilka godzin wcześniej padał deszcz. Gruzy, po których Irena się wspinała, były mokre.

– Auu! – Poślizgnęła się na tłustym popiołowym szlamie i upadła na siedzenie. Jej i tak już wyświechtane spodnie były teraz całkiem do niczego. Oczyszczyła je w miarę możliwości i poprawiła niemal pusty plecak. Nagle zauważyła niedużą białą plamkę. Zaintrygowana podeszła bliżej.

Jak szybko my, ludzie, zamieniamy się na powrót w łowców i zbieraczy, pomyślała, a zaraz potem na jej twarzy rozlał się szeroki uśmiech. Ten biały punkcik w mieście, w którym zdawały się istnieć jedynie odcienie szarości, czerni i brązu, okazał się przebiśnieniem.

– Co ty tutaj robisz? Myślisz, że to bezpieczne miejsce dla ciebie?

Irena musnęła biały dzwoneczek opuszkami palców. Oparła się pokusie, aby wyrwać kwiatek z korzeniami i posadzić go potem przed komórką, w której mieszkała razem z Adamem.

– Zdecydowanie zbyt wielu straciło swoje korzenie w tej wojnie – powiedziała cicho po chwili. – Właściwie wszyscy. Skoro wyrosłeś w tym miejscu, to tutaj zostań. Uważaj na siebie. – Wyprostowała się. Nagle poczuła się nieopisanie lekka. Jak niewiele potrzeba, by ogrzać ludzkie serce.

Gdy wkrótce potem zbliżała się do swojego prowizorycznego domostwa, usłyszała dobiegający ze środka podniesiony kobiecy głos. Zatrzymała się i zaczęła nasłuchiwać. Głos wydawał się znajomy, nie potrafiła jednak przypisać go konkretnej osobie. Podeszła do rozklekotanych drzwi zbitych z desek, zapukała krótko i otworzyła.

Chuda, wysoka kobieta o ostrych rysach i nieposkromionej czarnej lwiej grzywie obróciła się i w tej samej sekundzie podskoczyła do niej.

– Pani Sendlerowa! – Irena nie wiedziała, jak to się stało, ale niemal straciła równowagę, kiedy nieznajoma mocno ją uścisnęła. Ponad jej ramieniem widziała, jak Adam zanosi się śmiechem.

Kobieta uwolniła ją wreszcie z objęcia.

– Pewnie mnie pani nie pamięta. Nazywam się Bialeki. Mnie i mojego syna przemyciła pani z getta. W czasie powstania. – Patrzyła podekscytowana na Irenę.

– Małego Ismaela?

– Tak, zgadza się, mojego małego Ismaela. Ze względu na bezpieczeństwo nie chciała mi pani wtedy powiedzieć, gdzie on zostanie umieszczony. Szukam pani już od dwóch miesięcy. Poruszyłam niebo i ziemię, no i wreszcie panią znalazłam. Jestem taka szczęśliwa. Gdzie jest Ismael, co z nim?

Irena poczuła, jak wzbiera w niej wielka radość.

– Jest w domu dziecka w Otwocku. O ile wiem, wszystkie tamtejsze dzieci mają się dobrze.

Kobieta przyłożyła obie dłonie do ust, a z jej oczu popłynęły łzy radości.

– Muszę tam pojechać. Teraz, zaraz.

Adam podszedł do niej i ujął ją lekko za ramię.

– Jest już ciemno. Za późno na taką wyprawę. Proszę przenocować u nas, a jutro pojedziemy tam z panią. – Mówiąc to, rzucił pytające spojrzenie na Irenę.

– To dobry pomysł – przytaknęła. – Jutro na pewno uda nam się jakoś wspólnie dotrzeć do Otwocka.

I rzeczywiście się udało. Tory kolejowe były zniszczone, dlatego początkowy odcinek za miastem pokonali na chłopskiej furmance. Na

końcowych kilometrach kursowała kolejka i w końcu późnym popołudniem znaleźli się w Otwocku. Irena nie miała możliwości, by zapowiedzieć swoją wizytę. Gdy spocona i pokryta kurzem szła razem z Adamem i panią Bialeki po schodkach do wejścia, miała wrażenie, jakby odbyła podróż dookoła świata. Matka Ismaela natomiast energicznie pchnęła drzwi.

Z wnętrza przestronnego budynku uderzyło w nich chłodne powietrze. Ciężkie drzwi majestatycznie zamknęły się za nimi. Dookoła zalegała całkowita cisza. Pani Bialeki spojrzała na Irenę z niepokojem.

– Tu nikogo nie ma!

Irena uśmiechnęła się i zwróciła się w lewo. W tym momencie gdzieś w głębi usłyszeli najpierw głos dziecka, a potem dorosłej kobiety. We troje podążyli za nimi. W jednej z sal zastali starszą zakonnicę i grupkę maluchów, które pisały coś w zeszytach. Na pytanie Ireny siostra poinformowała, że większość dzieci bawi się w ogrodzie. Przemierzywszy kilka korytarzy o bielonych ścianach, po chwili doszli do dużych podwójnych drzwi.

Za nimi znajdował się kamienny taras, z którego kilka stopni prowadziło do ogrodu. Wysokie drzewa stały jeszcze nagie, jedynie gdzieś tam nad gałęziami zielona poświata. Zielonożółta trawa była zdeptana i martwa. Mimo to Irena zaczerpnęła głęboko powietrza. Już od dawna nie widziała żadnego ogrodu, a w tym na dodatek bawiły się dzieci. Trudno o piękniejszy i bardziej normalny widok.

Zbiegła po schodkach i skierowała się ku gromadce maluchów, które stały pośrodku łąki i uważnie rozglądały się na wszystkie strony. Większa od pozostałych dziewczynka przeszukiwała okolicę. Pani Bialeki wyprzedziła Irenę.

– Ismael Bialeki. Czy jest tu z wami?! – wykrzyknęła niemal bez tchu.

Dzieci spojrzały na nią podejrzliwie.

– Nie znamy żadnego Ismaela – odpowiedział rudowłosy chłopiec mogący mieć około ośmiu lat.

– Chodzi o Jana Wabla. Czy Janek jest tutaj? – skorygowała Irena, dogoniwszy panią Bialeki.

Buzie dzieci od razu się rozjaśniły.

– Janek jeszcze się nie znalazł. Ale ja wiem, gdzie on jest. – Mówiąca to pięciolatka rozpromieniła się.

– Jestem jego mamą. – Pani Bialeki nie mogła się już powstrzymać.

– Naprawdę? – spytała ze zdziwieniem dziewczynka.

– Tak, naprawdę. – Do oczu chudej kobiety napłynęły łzy.

Mała odwróciła się i krzyknęła piskliwym głosem:

– Janek, wychodź, twoja mama przyszła...

Wszyscy czekali w napięciu, ale nic się nie wydarzyło, tylko szukająca dziewczynka obejrzała się ku nim zaskoczona.

– Przecież było wiadomo, że w to nie uwierzy – stwierdził przemądrzale jakiś trzynastolatek. – Ja też bym nie uwierzył. Na pewno myśli, że chcemy go wywabić... Janek! – krzyknął donośnie. – Naprawdę przyszła twoja mama!

Tym razem padła odpowiedź.

– Tere-fere! Przestańcie! Jesteście wredni!

Szukająca dziewczynka błyskawicznie ruszyła w kierunku, z którego dochodził głos.

– Mam cię!

Podbiegła do niewielkiej szopki, zza której wyskoczył rozczochrany chłopiec. Niczym jeleni puścił się zygzakiem w stronę gromadki dzieci. Ona za nim. Janek, piszcząc z rozbawienia, był coraz bliżej wszystkich – i nagle ją zobaczył. Mniej więcej dziesięć metrów od swojej mamy raptem się zatrzymał. Jego oczy się poszerzyły, usta otworzyły się mimo woli.

– Mama – powiedział cicho. – Mama.

– Mam cię! – Dziewczynka dogoniła go i lekko uderzyła w ramię, nie widząc, co się dzieje. – Jesteś zaklepany.

Nie zwracając na nią uwagi, Janek rzucił się w szeroko rozłożone ramiona matki. Jego drobna klatka piersiowa unosiła się i opadała w rytm głośnego szlochu. Pani Bialeki też płakała. Dzieci zaczęły szeptać między sobą. Niektóre posmutniały, inne wydawały się podekscytowane.

Irena chwyciła Adama za rękę. Jeszcze przez chwilę sycili oczy tą wzruszającą sceną, po czym się wycofali.

– Chodź – powiedziała Irena. – Mamy jeszcze coś do załatwienia, pamiętasz?

Adam skinął głową. Nie patrzył na nią, ale ona kątem oka dostrzegła, jak nerwowo przełyka ślinę. Ponowne spotkanie matki i syna i jego nie pozostawiło obojętnym.

Wciąż trzymając się za rękę, szli główną ulicą Otwocka, a potem mniejszymi uliczkami dotarli na obrzeże miasteczka. Niektóre domy przetrwały ostatnie lata bez szwanku, inne stały opuszczone i zrujnowane. Niemal wszystkie ogrody były zaniedbane, ale tu i ówdzie krzątali się mężczyźni lub kobiety, a to naprawiając furtkę w płocie, a to wymieniając dachówki czy grabiąc liście. Można było odnieść wrażenie,

że czynności te wykonywano z ociąganiem, niezdecydowanie, jak gdyby sama myśl o naprawie czegoś, o zaufaniu w jutro i tym samym w przyszłość miały w sobie coś zdrożnego.

Kiedy Adam i Irena doszli do domu, w którym dawniej się ukrywali, przystanęli. Ogrodzenie się zawaliło, ktoś ukradł furtkę. Dwie okiennice zniszczono, wybito szyby. Rozdarta zasłonka kołysała się w lekkim wieczornym wietrze. Pokoje ziały pustką. Co od biedy nadawało się jeszcze do użytku, już dawno zostało wyniesione. Deski podłogowe spuchły od wilgoci, w kącie leżało połamane krzesło, ściany pokrywał grzyb. Pod ich nogami przemknęła mysz. Irena pociągnęła skrzypiące tylne drzwi i wyszła do ogrodu. Był tak samo zarośnięty i zapuszczony jak ten w sierocińcu. Ale stara sękata jabłoń stała nienaruszona. Jeszcze zamknięte ciemne pąki lśniły wilgocią w półmroku.

– Zobacz, ta sama łopata – powiedział Adam za jej plecami, trzymając w ręce szpadel, którym rok wcześniej zakopał w ziemi słoik z listami nazwisk. – Porządnie pordzewiała, ale to nie szkodzi. – Ruszył z uśmiechem w kierunku drzewa.

Podczas gdy na zachodzie zgasły ostatnie promienie słońca, a powietrze wyraźnie się ochłodziło, on kopał i kopał, nie odrywając wzroku od ziemi. Wreszcie ostrze łopaty natrafiło na coś twardego.

– Uważaj! – Irena podeszła i pochyliła się nad wykopem. Gołymi rękami zaczęła odgarniać gliniastą ziemię, aż w końcu wyjęła słoik. Nie do wiary – wilgoć w ogóle nie dostała się do środka! Przycisnęła naczynie do piersi. Ponad dwa tysiące istnień w tak małej przestrzeni. Miała wrażenie, jakby szkło wibrowało w jej dłoniach, chociaż oczywiście wiedziała, że to tylko złudzenie.

– Co zrobisz teraz z tymi listami? – spytał Adam.

Irena się uśmiechnęła.

– Przekażę je komuś, u kogo będą bezpieczne i kto będzie miał możliwość połączyć te wszystkie rozproszone maluchy z ich być może nadal żyjącymi członkami rodziny. – Stuknęła lekko w wieczko. – Ale najpierw chciałabym odwiedzić kilkoro z tych dzieci i zobaczyć, jak im się wiedzie.



Rozdział 49

I tak zrobiła. Nadszedł maj. Słońce i ciepło sprawiły, że spustoszenie dokonane w stolicy wydawało się mniej druzgocące. Dosłownie na każdym kroku ludzie odrzucali gruz zwykłymi łopatami albo wręcz gołymi rękami. Od czasu do czasu można było spotkać znowu chłopów, którzy przywozili do miasta ziemniaki, jajka i kury.

W ostatnich tygodniach Irena odszukała wiele ze swoich dzieci. Najłatwiej było zlokalizować te umieszczone w sierocińcu lub w zakonach w okolicy Warszawy, trudniej zaś przygarnięte przez przybrane rodziny, które w zawierusze ostatnich miesięcy opuściły swoje domy i mieszkania, a potem do nich nie wróciły.

Można było odnieść wrażenie, że ręka jakiegoś olbrzyma wpakowała całe miasto do worka, mocno nim potrząsnęła, a potem po prostu go upuściła. Mury, dachy, meble, ludzie – nic i nikt nie trafił już na swoje miejsce. Wszystko było przejściowe i prowizoryczne, nawet nowy wydział opieki społecznej, który wznowił pracę wśród powszechnego chaosu i biedy.

Ósmego maja Irena opuściła biuro – niezasługujące zresztą na tę nazwę – nieco wcześniej. Chciała coś sprawdzić. Jedna z koleżanek

zasugerowała jej, gdzie ewentualnie może znaleźć Stanisławę Bussold i małą Beatę.

Dziury po kulach w budynku, w którym wyłącznie parter nadawał się do zamieszkania, w popołudniowym słońcu rzucały się w oczy jak brzydkie pryszcze. Irena weszła do sieni; rozbite drzwi frontowe stały oparte o ścianę. Zapukała do mieszkania. W środku od razu rozległo się dreptanie dziecięcych nóżek.

– Nie tak szybko! – zawołał kobiecy głos. Na twarzy Ireny pojawił się uśmiech. Nareszcie! Udało się!

Gdy otworzyły się drzwi, Irena przez chwilę wpatrywała się niemo w obcą kobietę, do której nogi przyłgnęła mała dziewczynka w wieku Beaty. Jedną rączką oplotła łydkę mamy, a kciuk drugiej wsadziła sobie do buzi.

– Tak, słucham? – spytała przyjaźnie kobieta.

Irena otrząsnęła się z początkowego zaskoczenia.

– Dzień dobry, nazywam się Irena Sendlerowa, jestem z wydziału opieki społecznej. Szukam położnej Stanisławy Bussold i jej małej córeczki Beaty.

– Przykro mi. Teraz mieszkam tu tylko ja z Leną – odpowiedziała kobieta, głaszcząc dziewczynkę po główce.

– Rozumiem, wobec tego dziękuję! Do widzenia! – Irena uśmiechnęła się do małej i już chciała odejść, gdy usłyszała:

– Chwileczkę, pani Sendler. Powiedziałam: teraz. Stanisława to moja znajoma i rzeczywiście do niedawna mieszkała u mnie z Beatą, ale właśnie znalazła sobie coś własnego.

– Aha!

– A dlaczego chce się pani z nią widzieć? – spytała młoda matka z lekką nutą nieufności. – Chodzi o Beatę?

– Tak. – Irena uśmiechnęła się serdecznie. – Chodzi o Beatę. Oddałam ją przed laty pani Bussold i po prostu chciałabym ją znowu zobaczyć. Przekonać się, jak urosła.

Kobieta roześmiała się z ulgą.

– Urosła, urosła. Skończyła już trzy latka i prawdziwy z niej urwis. Ona i Lena wywracały w naszym jedynym pokoiku wszystko do góry nogami. Proszę wejść. Dam pani nowy adres Stanisławy.

Irena wracała do domu jak na skrzydłach. Beata jest cała i zdrowa, a ona wkrótce ją zobaczy. Już nie mogła się doczekać, aby podzielić się tymi nowinami z Adamem. On też na pewno się ucieszy.

Kiedy dotarła do placu niedaleko ich kwatery, stanęła jak wryta. Setki ludzi zgromadziły się pośrodku, wznoszono radosne okrzyki, rzucono w górę kapelusze i czapki. Niektórzy padali sobie w ramiona. Z powodu ogólnego zgiełku Irena nie mogła zrozumieć informacji ogłaszanej przez megafon. Ale kiedy chciała podejść bliżej, za jej plecami rozległ się kobiecy głos, który wydał się jej znajomy.

– Niemcy skapitulowali! Wojna się skończyła.

Irena obejrzała się i nie mogła uwierzyć własnym oczom.

– Rachela? To niemożliwe! To naprawdę ty? Ty żyjesz!

Przez twarz Racheli przemknął przelotny uśmiech. Patrząc na swoją dawną przyjaciółkę, Irena przez ułamek sekundy miała wrażenie, że od ich ostatniego spotkania nie minęła nawet godzina. Zaraz jednak dostrzegła w jej pociągłej twarzy dziwną determinację, wręcz surowość. Zmierzyła ją od góry do dołu. Rachela miała na sobie wojskowe spodnie i wojskową kurtkę. Stała wyprostowana i wydawała się muskularna, a jej oczy błyszczały inaczej niż zwykle.

– Niemcy skapitulowali? Wojna się skończyła? – Dopiero w tym momencie dotarło to do świadomości Ireny. – Och, Rachelo! – Rzuciła się na przyjaciółkę i mocno ją uścisnęła.

Rachela odwzajemniła jej gest.

– Tyle czasu na to czekaliśmy. Nie mogę uwierzyć. Znowu możemy patrzeć w przyszłość! – wykrzyknęła Irena. – Żyjemy, a wiele naszych ocalonych dzieci może wrócić do swoich bliskich. Zobaczysz, że...

Twarz Racheli stężała.

Irena urwała z zawstydzeniem.

– Przepraszam cię! Trajkoczę o sobie i dzieciach, a tobie nie zadałam ani jednego pytania. Gdzie się podziewałaś przez ostatnie lata? Słyszałam o twojej rodzinie, tak bardzo mi przykro!

Irena przypomniała sobie poranek, kiedy widziały się po raz ostatni. Rachela czuwała, gdy ona schodziła do kanału z małym Sergiuszem, a w tym samym czasie Niemcy zabrali jej bliskich. Spojrzała ze smutkiem na koleżankę, ale ta mimo wszystko się uśmiechnęła.

– Nie musisz za nic przeproszać. Akurat ty – nigdy! – Po chwili pauzy powiedziała: – Przez ostatnie lata byłam w lesie i walczyłam w partyzantce. Poznałam Stanisława. Jest polskim żołnierzem. Pobraliśmy się.

Irena mocno uścisnęła jej dłoń.

– Ogromnie się cieszę, chociaż to pewnie nie jest dla ciebie łatwe.

Rachela przyłożyła palec wskazujący do jej ust.

– Posłuchaj, tamtej Racheli, którą kiedyś znałaś, już nie ma. Zniknęła razem z jej rodziną i jej przeszłością. Nie istnieje, rozumiesz? Mój nowy mąż nic nie wie o moim wcześniejszym życiu. Nie zna nawet mojego

prawdziwego imienia. I tak jest dobrze. Teraz jestem Karoliną, tylko Karoliną.

Irena pokiwała głową. A więc to jest ta zmiana, którą natychmiast dostrzegła w przyjaciółce. Nowa niezłomność, nowa twarz. Jeszcze raz uściskały się bez słowa, po czym Rachela się odwróciła i zaczęła iść w swoją stronę. Irena patrzyła za nią jeszcze przez kilka sekund, ale w końcu i ona ruszyła z miejsca. Nagle usłyszała głos przyjaciółki.

– Irena, czy wspomnisz czasami Rachelę Rosenthal?

Na te słowa zatrzymała się, spojrzała na Rachelę i położyła rękę na sercu.

– Ona na zawsze zostanie tutaj.

Znowu wymieniły się uśmiechami. Potem kobieta w wojskowym stroju odwróciła się zdecydowanie i oddaliła się szybkim krokiem.

– Irena! – Adam biegł do niej z drugiej strony z radośnie roześmianą twarzą. – Słyszałaś? Koniec wojny! – Niemal łamał mu się głos. Gdy znalazł się przy niej, padli sobie w ramiona. – To naprawdę koniec. Nie mogę uwierzyć – szeptał.

– Tak – odpowiedziała też szeptem. – A my oboje wciąż żyjemy, tak jak ci obiecywałam. Miejmy nadzieję, że niedługo wróci też Mietek i wtedy zacznie się dla nas wszystkich nowe życie.

Adam odsunął się nieco i uśmiechnął się krzywo.

– Przyznaję, że były chwile, kiedy w to wątpiłem. – Uszczęśliwiony spojrzał jej głęboko w oczy. Następnie wskazał głową w kierunku, gdzie zniknęła Rachela. – Kto to był?

– Och... – Irena lekko pokręciła głową, uśmiechając się ciepło. – Ktoś, kogo kiedyś bardzo dobrze znałam.



Postowie

Ta powieść stanowiła dla mnie pod wieloma względami wyzwanie. Jak zanurzyć się w najmroczniejszym rozdziale niemieckiej historii? I jak oddać sprawiedliwość ludziom, którzy urodzili się w tamtym czasie i, chcąc nie chcąc, musieli się opowiedzieć po określonej stronie? To, co się działo w latach drugiej wojny światowej, nie pozwalało nikomu stać z boku jako obojętny obserwator. Wielu zostało – z najróżniejszych przyczyn – sprawcami, wielu – wybawcami i buntownikami. Przeważająca większość próbowała przeżyć, po prostu trwając – co było też decyzją o dalekosiężnych skutkach dla nich i dla innych.

Gdyby wręcz nadludzka odwaga i moralna wielkość przedstawionych w książce bohaterów nie miała tak pozytywnej siły oddziaływania, załamałabym się, zstępując w otchłań tamtych czasów.

Irena Sendlerowa i jej współpracownicy w imponujący sposób udowodnili, na co – mimo śmiertelnego niebezpieczeństwa – było stać ówczesnych ludzi. Ponad dwa i pół tysiąca osób przeżyło tylko dlatego, że garstka innych nie godziła się na terror i walczyła o każde pojedyncze istnienie. Ponad dwa i pół tysiąca ludzi, którym dano szansę, by dorośli i się zestarzelili, by zdobyli zawody, założyli rodziny, mieli dzieci.

Każdy, kto czyta historię Ireny Sendlerowej i podobnych do niej osób, z pewnością zadaje sobie pytanie, jak on sam wówczas by postąpił. Pytanie, na które nie można już udzielić odpowiedzi z mocą wsteczną. Mimo to z dziejów Ireny możemy wynieść coś cennego także dla naszego życia, ponieważ każda epoka ma swoje dylematy, swoich prześladowanych i pokrzywdzonych. Kim jesteśmy dzisiaj? Co bezwarunkowo akceptujemy, a gdzie moglibyśmy zrobić więcej? To są pytania, jakie wyniknęły dla mnie w związku z tamtym czasem i po poznaniu bohaterów książki.

Irena Sendlerowa, Irka Schultz, Ala Gołąb-Grynberg i inni nie byli „nadludźmi”. Byli całkiem zwyczajnymi ludźmi, którzy po prostu postanowili pozostać właśnie ludźmi w obliczu barbarzyństwa. Ci z nich, którzy przetrwali wojnę, żyli po niej całkiem normalnie. Wielu jednak odeszło w ostatnich latach okupacji. Ala Gołąb-Grynberg zginęła podczas buntu w obozie pracy przymusowej w Poniatowej, Julian Grobelny 5 grudnia 1944 roku zmarł w wyniku choroby.

Po wojnie Irena Sendlerowa rozwiodła się ze swoim mężem i przyjacielem z młodości i poślubiła Adama Celnikiera. Urodziło się im troje dzieci, ale w 1957 roku się rozstali. Adam, który zachował swoją nową tożsamość (Stefan Zgrzebski) także po wojnie, zmarł w 1961 roku.

Cztery lata później Irena Sendlerowa i Irka Schultz zostały uhonorowane przez instytut Jad Waszem tytułem Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Obie przyjaciółki uczestniczyły w ceremonii w Jerozolimie. Irena Sendlerowa przez całe życie mieszkała w Warszawie, gdzie zmarła 12 maja 2008 roku, dożywszy sędziwego wieku.

Występujące w książce postacie z najbliższego otoczenia Ireny są autentyczne, podobnie jak większość przedstawicieli niemieckiego

okupanta. Bezkompromisowe dokonania Ali Gołąb-Grynberg, Racheli Rosenthal, Ewy Rechtmann, Irki Schultz, Janusza Korczaka, Stanisławy Bussold i wielu pozostałych opisano w licznych publikacjach, między innymi w książkach *Prawdziwa historia Ireny Sendlerowej* Anny Mieszkowskiej czy *Dzieci Sendlerowej* Tilar J. Mazzeo. Wychowawca i kierownik domu dla sierot w warszawskim getcie, doktor Janusz Korczak, prowadził do dnia swojej śmierci dziennik, który ukazał się także po niemiecku. Warto też przeczytać książkę Jacka Mayera *Życie w słoiku* opartą na projekcie amerykańskich uczennic.

Autentyczne są także nazwiska innych historycznych postaci. Adam Czerniaków, prezes Żydowskiej Rady Starszych (Judenratu), pozostawił po sobie obszerny dziennik. Rola funkcjonariuszy nazistowskich, w szczególności Ludwiga Fischera (gubernatora dystryktu warszawskiego) i Hansa Franka (gubernatora generalnego), jest dobrze znana i opisana w wielu publikacjach. Gdy nazwiska sporadycznie występujących osób nie były poświadczone, sama wymyślałam dla nich personalia.

Fikcyjne są także imiona i nazwiska uratowanych dzieci oraz ich rodzin, nawet w udokumentowanych przypadkach. Taki wybór był podyktowany wolą ochrony sfery prywatnej nadal żyjących ofiar i ich rodzin.

Wiele autentycznych wydarzeń i akcji ratunkowych przebiegło w sposób ukazany tutaj lub podobny. Niektóre z nich Irena Sendlerowa opisała szczegółowo, inne co najwyżej zasugerowała, dlatego w książce przeplatają się na równi fikcja i fakty. Mimo to starałam się jak najwierniej przedstawić prezentowane wydarzenia. Tam, gdzie dla wypełnienia pustych miejsc musiałam posłużyć się wyobraźnią, czyniałam to z największym respektem, tak by również te wymyślone przeze mnie akcje teoretycznie mogły się odbyć, a być może – kto wie – w takiej czy innej formie istotnie się odbyły.

Od pierwszej pustej strony na ekranie komputera do pojawienia się gotowej książki w księgarni mija dużo czasu, w którym ściśle współdziała ze sobą wielu ludzi.

Przede wszystkim dziękuję wydawnictwu Piper za okazane mi zaufanie. Szczególne wyrazy wdzięczności kieruję do mojej redaktorki prowadzącej Anne Scharf za konstruktywną krytykę, sprawną komunikację i konsekwentnie bliską współpracę towarzyszącą mi przez cały proces tworzenia. Serdeczne podziękowania składam także pani Annice Krummacher za staranną i dogłębną redakcję końcową oraz liczne cenne uwagi.

Pragnę gorąco podziękować doktorowi Uwemu Neumahrowi z Agence Hoffman, który wielokrotnie podsuwa mi równie cenne projekty, jak ten niniejszy. Gdyby nie on, nie napisałabym tej powieści.

I na koniec dziękuję mojej mamie Gabriele Kurasch-Macharzinie, a także mojemu towarzyszowi życia Giancarlovi Abbamontemu za ich pełne miłości wsparcie każdego dnia.

Tytuł oryginału

*Der Engel von Warschau. Irena Sendler – Für die Rettung der Kinder
riskierte sie ihr Leben*

Copyright © 2021 Piper Verlag GmbH, München

Copyright © for the translation by Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska

Projekt okładki

Magda Kuc

Fotografia na okładce

© Lee Avison / Trevillion Images

Redaktorka nabywająca

Milena Rachid Chehab

Redaktorka prowadząca

Dominika Kardaś

Adiustacja

Anna Skowrońska / CAŁA JASKRAWOŚĆ

Korekta

Agata Schneider-Wawrzaszek / CAŁA JASKRAWOŚĆ

Sylwia Kordylas-Niedziółka / CAŁA JASKRAWOŚĆ

ISBN 978-83-240-7767-0

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105
Kraków

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink



woblink.com

plik przygotował Karol Ossowski